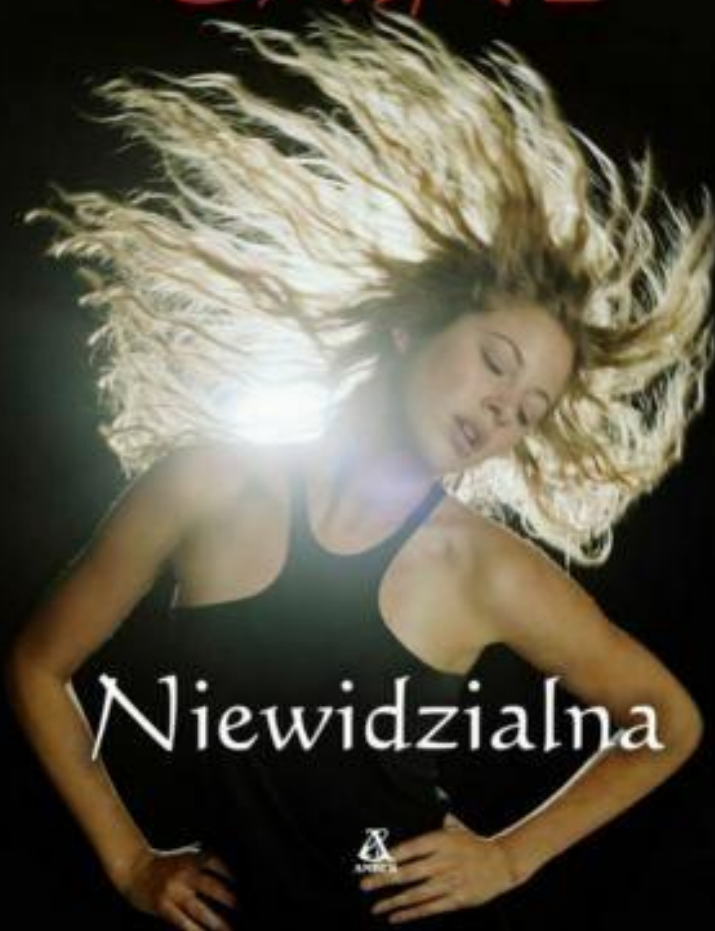


Autorka bestsellerowych *Wampirów z Morganville*

RACHEL
CAINE



Niewidzialna



Caine Rachel

Czas Wygnania 03

Niewidzialna

Cassiel, demon wysokiej rangi, skazana przez swego zwierzchnika za niewykonanie rozkazu na życie śmiertelniczki, na ziemi zakochała się w Strażniku Pogody - mężczyźnie obdarzonym mocą panowania nad żywiołami. Teraz świat ludzi, którego stała się częścią, jest w niebezpieczeństwie. Tylko Cassiel może go ocalić, najpierw jednak musi uratować życie Luisa i jego małej bratanicy. Ale zostaje wciągnięta w pułapkę, z której wyrwać może ją tylko... powrót do świata demonów

To, co odeszło w przeszłość...

Mam na imię Cassiel, kiedyś byłam džinnem, istotą równie odwieczną, jak Ziemia, wspieraną jej mocą. Niewiele dbałam o małe, zabiegane ludzkie istoty, zajęte swoimi nieważnymi sprawami.

Wszystko się zmieniło. Teraz ja jestem małą, zabieganą ludzką istotą. W każdym razie, jeśli chodzi o postać. Sprzeciwiłam się Ashanowi, przywódcy prawdziwych džinnów. Teraz mogę się utrzymać przy życiu tylko dzięki życzliwości Strażników - ludzi, którzy nadzorują oddziaływanie otaczających nas żywiołów, takich jak wiatr i ogień. Strażnik, z którym się związałam, Luis Rocha, rozporządza mocami żywej Ziemi.

Zdaję sobie sprawę jak bardzo mi zależy na Luisie i jego bratanicy Isabel, a także na innych, dawniej w ogóle dla mnie nieważnych. Przywódca Starych Dżinnów twierdzi, że muszę zniszczyć ludzkość, żeby uratować džinny i to, co jeszcze żyje na Ziemi. Nie wierzę mu. Nie potrafię.

Stałam się zbyt... ludzka.

Dawniej uznałabym to za przekleństwo.

Teraz myślę, że może być błogosławieństwem.

I

Ogień to coś żywego, złowrogiego. Je, oddycha, porusza się z płynnym wdziękiem, jest w nim upiorne, zabójcze piękno.

Podziwiałam jego zadziwiającą moc, nawet kiedy przypalał mi włosy, a jego żar parzył moją delikatną, ludzką skórę. Płomienie niczym płynna masa spływały po ścianach biura - wiły się wężowato po podłodze

I pożerały meble. Wszystko jakby zastygło w bezruchu, zdawało się, że ogień przeobraził się w bursztyn. Piekły mnie oczy i nie mogłam skupić wzroku na dłużej niż kilka sekund; było za jasno, za gorąco. Potem buchnął wokół mnie czarny, duszący dym.

Upadłam na kolana i czołgałam się, wdychając toksyczne gorące opary, aż po omacku dotknęłam czegoś miękkiego. Skóra, ręka kobiety. Nie ruszała się. Złapałam ją i przyciągnęłam do siebie; jej czarną garsonkę już trawił ogień. Gdy walczyłam z płomieniami, miałam wrażenie, że w napadach kaszlu wypluję własne płuca.

Kobieta, którą znalazłam, była nieprzytomna, ale ciągle oddychała, choć płytko. Jej osmalona dymem twarz przypominała maskę.

- Cass! Zabieraj się stąd, już! - Ostry, chrapliwy krzyk przebił się przez huk pożaru i kiedy się rozejrzałam, zobaczyłam nacierającą na mnie ścianę ognia. Nagły wybuch białej piany zdusił płomienie.

Tylko na

chwile, ale zyskałam cenne sekundy i zebrałam siły, żeby się ruszyć.

Z gęstego dymu, potykając się, wyszedł Luis Rocha z pustą, ciągle charczącą gaśnicą. Mój partner Strażnik wyglądał, jakby właśnie stoczył zażartą walkę - ubranie miał porwane i nadpalone, skórę poparzoną, czarne, sięgające ramion włosy zwęglone.

- Cass, szybko, przegrywamy! Musimy uciekać!

Tchnęłam czystą moc Ziemi - gęstą, złocistą moc, która lała się jak miód w znalezioną przeze mnie kobietę. Jej oddech i rytm serca się uspokajały. Wstałam i chwyciłam ją w tali. Była drobna, a ja wysoka, jednak kiedy przerzucalam ją przez ramię, zachwiałam się. Ogień zawył na znak sprzeciwu i rzucił się na fotel zaledwie metr od nas; palił się szybko, tapicerka zmieniła się w zwęgloną, czarną koronkę - pozostał jedynie szkielet ze sprężyn i drewna.

Znieruchomiałam, przez moment czując się pokonana. Nic nie wyglądało tak, jak powinno, nie wiedziałam, jak stąd wyjść. „Umrzesz tu”, usłyszałam zimny, beznamiętny głos, głos Ashana, przywódcy Starych Dżinnów - mojego prawdziwego brata i mojego króla, cokolwiek to znaczyło.

„Dlaczego to robisz, dla nich?”

Chodziło mu o ludzi. Nie urodziłam się jako istota cielesna; byłam tu, w świecie śmiertelników, bo sama dokonałam takiego wyboru. Podobnie jak sama postanowiłam, żeby wbiec do tego płonącego budynku z Luisem.

Miałam swoje powody, żeby podjąć te głupie, prawdopodobnie fatalne decyzje.

W każdym razie ta część mnie, która uparcie pozostawała dżinnem, nieśmiertelnym i potężnym, uważała to za głupotę. Zdarzało się - jak właśnie teraz, że moja ludzka część jest skłonna się z tym zgodzić.

Cudownie chłodny podmuch powietrza owiał moją twarz. Wciągnęłam je w płuca i na oślep, chwiejąc się,

zmierzałam tam, gdzie nie wybuchł jeszcze pożar. Na końcu korytarza roztrzaskały się szklane drzwi i obok mnie przemknął podmuch wsysany przez szalejący za mną ogień. W najlepszym razie mieliśmy tylko kilka chwil, zanim z potężną siłą zaatakuje nas ognista kula, pochłaniająca wszystko na swojej drodze.

Przede mną Luis coś krzychał, cofając się w stronę drzwi. Nie mogłam odpowiedzieć, bo płuca miałam pełne dymu i sadzy; kaszlałam tylko, zataczałam się i przytrzymywałam okopconej, gorącej ściany. Oczy mnie piekły i łzawiły. Chciałam usiąść pod ścianą, zatonać w chłodnym, wiejącym wietrze - ale wiedziałam, że jeżeli to zrobię, umrę, a ze mną umrze kobieta, którą próbowałam ocalić. Nagle odniosłam wrażenie, że powietrze przepływające obok mnie jakby się zatrzymało i po skórze przebiegły mi ciarki instynktownego niepokoju. Przypominało to ciszę przed burzą, ale nie wyczuwałam żadnej zmiany pogody. Nie, to była fizyka - fizyka innego rodzaju.

I wtedy przez drzwi za mną buchnęły z olbrzymią siłą płomienie; grube języki ognia rozpełzły się po suficie i ścianach korytarza. Głodne, sięgające po swój żer.

- Cassiel! - krzyknął Luis i popędził do mnie. Za późno; nie mógł prześcignąć ognia, ja też nie.

Przyjęłam to ze swego rodzaju fatalistycznym spokojem: rzeczywiście tu umrę, teraz, w tej chwili.

Umrę jako miernota uwięziona w ludzkim ciele, bo nie potrafię zapobiec nadchodzącej katastrofie ani nawet własnemu absurdalnemu końcowi.

I mogło się tak właśnie stać, gdyby nie dziecko, które powoli wyłoniło się z samego serca piekielnego ognia, przeszło przez drzwi i wyciągnęło do mnie ręce. Mała, śliczna dziewczynka z długimi, jedwabistymi, czarnymi włosami. Jej skóra miała barwę karmelu, tak jak skóra jej wuja, Luisa. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Isabel, była wesołym, szczęśliwym dzieckiem.

Teraz wydawała się o wiele za dorosła jak na swój bardzo młody wiek - niespełna sześć lat. Jej oczy, głębokie i smutne, wyrażały trudne doznania. Wyciągnęła do mnie pulchne rączki, zacisnęła je w pięści i smagające mnie płomienie... zgasły.

Jakby w drzwiach, przez które przeszła, powstała jakaś bariera. Ogień buzował i huczał, ale nie mógł się przedostać na drugą stronę. Nawet wiatr ustał.

Żywioł nie pozostawił na Isabel żadnego śladu - żadnych przypalonych włosów, najmniejszej smugi popiołu. Na jej jasnoniebieskiej koszulce rozpościerała się wesoła tęcza, jaskrawa jak zawsze, i nawet białe tenisówki były czyste.

- Powinniśmy już stąd wyjść, Cassie - powiedziała Isabel bardzo poważnie.

Była jedyną osobą na świecie, której pozwalałam tak się nazywać. Przypominało mi to szczęśliwsze dni i szczęśliwszą Ibby. Ciągle kaszlałam, kiedy mnie mijała, podchodząc do swojego wujka, Luisa. Pokręcił głową i nasze oczy spotkały się na moment; jego spojrzenie zdradzało, jak bardzo się martwi tym, co przeżywa teraz dziewczynka. Jednak nie mieliśmy nic do powiedzenia. Wziął Ibby w ramiona i poniósł ją do rozbitych szklanych drzwi.

Poszłam za nimi, dźwigając nieprzytomną kobietę.

Na zewnątrz panowało zamieszanie; w ostrym blasku i huku ognia migotały światła, skrzeczały krótkofalówki, krzyczeli ludzie. Z wozów strażackich odwinęto wielkie, białe węże, a mężczyźni i kobiety w ciężkich ochronnych strojach rzucili się do budynku. Ktoś zabrał kobietę z moich ramion i szybko zaniósł ją do karetki, w której czekali ratownicy medyczni.

Osunęłam się na trawę, ciągle kaszłając, i wyplułam czarny śluz o obrzydliwym smaku. Po minucie, może dwóch - nie wiem, ile czasu minęło - uklęknął koło mnie sanitariusz i nałożył mi maskę tlenową. Z wdzięcznością wciągałam chłodne, słodkie, ożywcze powietrze; czu-

łam, jak wraca mi jasność umysłu i robi mi się lżej w płucach. Podał mi paczkę nawilżonych ręczniczków i podniósł kciuk w geście uznania, unosząc brwi. Skinęłam głową. Paramedyk ruszył dalej.

Wytarłam wilgotną chusteczką usmoloną twarz i zdałam sobie sprawę, że trzęsą mi się ręce. Mogłam wykorzystać moc Ziemi, którą czerpałam od Luisa, żeby się umyć i zacząć leczyć uszkodzone płuca, ale zdecydowałam, że nie; Luis w tym momencie potrzebował całej swej siły, a ja nie byłam poważnie ranna. Na razie swoją próżność mogłam zaspokoić zwykłymi, ludzkimi sposobami.

Przykleknął obok mnie mężczyzna z plakietką na tasiemce zwisającą z szyi. Surowy i stanowczy, patrzył nie na mnie, raczej na płonący budynek. Na identyfikatorze miał nazwisko Guilder. Był ubrany w świeżo wyprasowany czarny garnitur, białą koszulę i niebieski krawat.

- Pani nazywa się Cassiel - stwierdził. - Dżinn. - Nie powiedział tego w taki sposób, jakby to zrobił Strażnik, który dorastał świadomy istnienia nadnaturalnych stworzeń zamkniętych w butelce; wymówił to słowo ostrożnie, z zakłopotaniem, jakby to było hasło w słowniku wyrazów obcych. - Jestem Guilder. FBI.

Skinęłam głową. Spodziewałam się, że agenci szybko zwałą się nam na kark; dziwiło mnie tylko, że nie był jednym z wielu.

Zdjęłam maskę, trochę z żalem.

- Chce pan wiedzieć, jak to się stało - wykrztusiłam głosem, który raczej nie przypominał mojego; chrypia-łam jak stary palacz. - Ostrzegaliśmy was.

- Poinformowano mnie o waszych ostrzeżeniach -powiedział, ciągle patrząc na ogień, na który strażacy właśnie skierowali węże. - Pani naprawdę sądzi, że dziecko wywołało to wszystko?

- Nie jakieś zwyczajne dziecko. Dziecko, które potrafi kontrolować ogień i podporządkować go swojej

woli. Ostrzegaliśmy was, żebyście żadnego z nich tu nie trzymali. Nie jesteście odpowiednio przygotowani, żeby sobie z nimi radzić.

Dzieci zostały uratowane - albo uprowadzone, w zależności od tego, kto by się na ten temat wypowiedział - z obozów rozrzuconych po całych Stanach Zjednoczonych, a prowadzonych przez Kościół Nowego Świata, skrajną organizację, która ostatnio obrała sobie nowy niebezpieczny kierunek... i albo porывała dzieci zaczynające przejawiać typowe dla Strażników zdolności do kontrolowania mocy Ziemi, ognia i pogody, albo manipulowała ich rodzicami, tak by uwierzyli, że tylko Kościół może ochronić ich potomstwo. Zgodnie z nauką Kościoła organizacja Strażników, oficjalne zgromadzenie ludzi obdarzonych takimi umiejętnościami, zamierzała wyrządzić dzieciom krzywdę. Gotowa byłam przyznać bez wahania, że Strażnicy nie są doskonali, ale wiedziałam, że mają jak najlepsze intencje, zwłaszcza wobec utalentowanych, niewinnych istot.

Kościół nauczał też, że Strażnicy są bezwzględnymi okrutnikami - odbierają zdolności swoim dzieciom, w najlepszym razie czyniąc z nich psychiczne kaleki, w najgorszym zabijając je. Mogło się to oczywiście zdarzyć, jeżeli dziecko wykazywało talent niebezpieczny dla innych i należało je powstrzymać. Strażnicy nie byli zbyt litościwi.

Kościół głosił, że zwykle tak właśnie się dzieje, że jest to działanie planowe. Wielu ludzi w to uwierzyło i oddało dzieci Kościołowi na „wychowanie” - albo, w niektórych wypadkach, Kościół uprowadzał te, które uważał za najbardziej wartościowe, najważniejsze dla sprawy.

Takie jak Isabel.

Te dzieci - nieliczne z nich udało się nam uwolnić z obozów organizowanych przez Kościół w całym kraju - były niebezpiecznie utalentowane, szkolone za wcześnie-

nie, obciążone mocą, na której kontrolowanie nie były przygotowane ani emocjonalnie, ani fizycznie. Ostrzegałam FBI, żeby nie trzymano ich tutaj, w biurze. A jeżeli już, to Strażnicy koniecznie powinni pełnić tu dyżury, aby dopilnować, żeby dzieci nie wpadły w panikę i nie użyły swoich umiejętności w sposób nieodpowiedzialny.

Co jedno z nich najwyraźniej zrobiło.

Guilder nie spierał się ze mną.

- Sądziliśmy, że rozumiemy ryzyko - oświadczył. - Nie doceniliśmy powagi sytuacji.

Parę miesięcy wcześniej bez wątpienia poinformowałam go, jak bardzo się mylą, ale nauczyłam się, co kosztowało mnie niemało, kiedy należy to sobie darować, z grzeczności. Takt nie był moją naturalną umiejętnością.

- Ile macie ofiar? - zapytałam.

- Żadnych, wyniosła pani agentkę Littleton - powiedział ciepłej i w końcu na mnie spojrzał. - Dzięki. Skinęłam głową i znów się rozkaszałam, ale ucisk w płucach zelżał. Zaczynałam odczuwać wielkie zmęczenie i wiedziałam, że wkrótce będę musiała odpocząć. Na razie jednak oładnęło mną przyjemne ciepło i odprężenie. Nawet poparzenia nie paliły bardzo mocno.

Nie mogłam, będąc tym, kim byłam, nie dostrzec uczuć agenta FBI: wdzięczności, niepokoju i... miłości. Nie do mnie oczywiście. Rzadko wyczuwałam emocje innych, z wyjątkiem Luisa, ale wyglądało na to, że agent Guilder posiada jakieś uspijone zdolności wywodzące się z Ziemi, jednak zbyt słabe, żeby można je nazwać prawdziwą mocą.

To nie była miłość do mnie, lecz do agentki, którą uratowałam. Agentki Littleton.

- Czy aby nie ma przepisu zabraniającego agentom.. . zbliżeń? - zapytałam, patrząc mu w oczy. Jak wiele jest eufemizmów w ludzkiej mowie... Ale ten brak precyzji okazywał się pomocny, jak się przekonałam; nie

wiedziała, co tak naprawdę łączy go z agentką, ale czułam, że to coś poważnego. I tajemniczego. Zupełnie się nie spodziewałam takiego pytania. Zauważyłam zdziwienie i zakłopotanie na jego twarzy, pomimo rezerwy, którą nauczył się zachowywać jako profesjonalny stróż prawa. Szybko się jednak opanował.

- Nie ma przepisów, które by zabraniały być szczęśliwym, kiedy współpracownikowi uda się przeżyć - odparł. - Jestem absolutnie przekonany, że nie ma. Czytałem regulaminy.

Uśmiechnęłam się, o co niewątpliwie mu chodziło:

- Wierzę panu - powiedziałam. - Czy dzieciom nic się nie stało?

Pokręcił głową.

- Nic. Brakuje tylko chłopca, który wzniecił pożar; uciekł, jak tylko ogień zaczął się rozprzestrzeniać z prędkością trzech machów; ten wielki ogień prawdopodobnie miał odciągnąć uwagę i ukryć jego ucieczkę. Pani bratanica i jeszcze jeden chłopiec ochronili resztę dzieci i tylu agentów, ilu zdołali.

- To nie jest moja bratanica - zaprzeczyłam odruchowo, ale z miejsca tego pożałowałam.

Odchrząknęłam i wyjaśniłam: - Jest bratanicą mojego partnera, Luisa Rochy. Ma na imię Isabel.

- Hm, nazywa panią ciocią Cassie.

- Tak. - Przeniosłam wzrok z niego na ogień. - Niedawno została sierotą. To było dla niej... trudne.

- Z tego, co słyszałem, to było trudne dla wszystkich tych dzieci - powiedział Guilder i w końcu wstał, ciągle na mnie spoglądając. - Będziemy potrzebowali oświadczenia o tym, co stało się w środku. Ale nie dziś. Jutro. Wezwiemy panią i pana Rochę.

- Tak szybko znów będziecie mieli biuro? - spytałam. Uśmiechnął się. Był to czarujący uśmiech - zawodowa broń, którą posługiwał się z chirurgiczną precyzją.

- Po to Bóg stworzył laptopy. I telefony komórkowe. Nie mówiąc już o kartach kredytowych - oznajmił.

Skinął mi głową, odszedł do karetki i schylił się nad agentką, którą wyciągnęłam z ognia. Na noszach wyglądała na bardzo małą, on, pochylony nad nią, na wysokiego. Na pewno nie zamierzał wyjawić tego, co zdradzała mowa jego ciała.

Prawdopodobnie dobrze się stało, że agentka Littleton straciła przytomność. Gdyby odwzajemniła jego uczucie, byłoby to dla nich obojga niezręczne, gdyby tego nie zrobiła - niezwykle bolesne.

Przestałam interesować się agentem Guilderem, a skupiłam na Luisie. Siedział na krawężniku obok Isabel i obejmował ją ramieniem. Wydawał się zmęczony; był czarny od dymu i poparzony, ale na twarzy miał uśmiech, autentyczny i cudowny. Uśmiechał się tak do Ibby, ale kiedy na mnie spojrzał, uśmiech... nie zniknął. Przeciwnie, stał się cieplejszy.

Odwróciłam wzrok, nagle niepewna, jak powinna wyglądać właściwa ludzka reakcja. Uczucia, które mną targały, były zbyt sprzeczne i pogmatwane, żeby je teraz uporządkować. Fala zmęczenia spiętrzała się i zalewała mnie, musiałam odpocząć. Oczywiście Luis to wyczuwał; nie potrafiłam ukryć przed nim tego rodzaju wyczerpania, zważywszy na silny związek, jaki nas łączył. Przytulił Ibby i wstał, trzymając ją za rękę. Światło ognia połyskiwało na jego skórze i migotało, zwłaszcza na gołych ramionach, gdzie wiły się zręcznie wytatuowane ję-zyki-płomienie.

Kiedy się do mnie zbliżał, obserwowałam, jak te tatuaże napinają się i poruszają. Było to łatwiejsze niż patrzeć mu w twarz.

- Jesteś zmęczona - stwierdził. - Zabieram cię do domu, Cass.

Świetny pomysł.

Siedziałam na trawie, więc moja głowa znalazła się prawie na tym samym poziomie co główka Isabel, i kiedy spojrzałam na dziewczynkę, zobaczyłam, że przygląda mi się szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami. Nic nie potrafiłam wyczytać z jej twarzy, Ibby głęboko skrywała emocje. Aż do momentu, kiedy zarzuciła mi ręce na szyję i przytuliła się do mnie.

Uścisnęłam ją i posadziłam sobie na kolanach.

- Ciii... - szepnęłam, chociaż nie wydała z siebie żadnego dźwięku. - Wszyscy mają się dobrze. Nawet my.

- Przykro mi - odezwała się. - Próbowałam... On był taki wściekły, Cassie. Nie umiałam go powstrzymać. On uważa, że chcesz nam zrobić krzywdę. Że chcesz mu wyrządzić krzywdę. Po prostu nie mogłam go przekonać.

- Nie musiałaś - powiedziałam. - To bardzo odważne, że w ogóle próbowałaś, moja maleńka, no i że pomogłaś reszcie dostać się w bezpieczne miejsce.

Wzruszyła ramionami.

- To tylko ogień - mruknęła. - Nic trudnego.

- Dla ciebie. Nie dla innych. - Wskazałam strażaków i ich węże. - Codziennie ryzykują życie, walczą z ogniem, nie mając nawet odrobiny mocy, która mogłaby ich ochronić. Nie lekceważ niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą twój żywioł, Ibby. Może być groźny nawet dla ciebie, jeżeli stracisz nad nim kontrolę.

Skinęła głową, ale chyba nie do końca zrozumiała. Zastanawiałam się, kiedy się nauczyła takiej dyplomacji; normalnie dziecko tak nie reaguje. Podejrzewałam, że szkolenie - nie, maltretowanie - którego doświadczyła, nauczyło ją, jak unikać konfliktów. Zrobiło mi się smutno, bo kiedy spotkałam Ibby po raz pierwszy, była bardzo bezpośrednia.

Westchnęłam.

- No dobrze. Chyba czas iść do domu. - Pocałowałam Ibby w czyste, słodko pachnące włosy, świadoma, że sama śmierdzę dymem, przypalonym materiałem i bardzo ludzkim potem. Luis podniósł Ibby z moich kolan i podał mi rękę. Chwyciłam ją i natychmiast poczułam przyływ świeżej energii.

- Przestań - powiedziałam. - Potrzebujesz...

- Nie mów mi, czego potrzebuję, *chica* - przerwał mi. - Sam to wiem, wierz mi. Piwa, prysznic i łóżka, w tej kolejności. Ale energia przynajmniej podtrzyma nas oboje jeszcze przez chwilę.

Furgonetka Luisa stała zaparkowana kilka przecznic dalej - duża, czarna, lśniąca, z płomieniami namalowanymi na bokach. Ciągle wspaniała, nawet mimo tych wszystkich szkód, na które ją razem naraziliśmy -albo może została wymieniona na nową. Nie wiedziałam. Raczej to drugie, stwierdziłam, bo wnętrze pachniało świeżością. Nie powiedział mi, a ja nie zadałam sobie trudu, żeby zapytać.

Mój motocykl, nowy victory vision w kolorze przygaszonego srebra, był zaparkowany obok. Luis bez słowa wysunął z tylnej klapy furgonetki pochylnię, wprowadził go na skrzynię i ostrożnie położył na kocu. Kiedy wszedł do szoferki ze mną i z Ibby, zauważył, że na niego patrzę, lecz wzruszył tylko ramionami.

- Co? - spytał. - Przecież wstałabyś w środku nocy i po niego przyszła. Lepiej to zrobić teraz, żebyś nie musiała się błąkać i straszyć ludzi o czwartej nad ranem.

Miał rację. Kochałam swój motocykl miłością, którą zarezerwowałam dla kilku tylko rzeczy, i wiedziałam, że nie mogłabym spokojnie odpoczywać, dopóki bym się nie upewniła, że jest bezpieczny przy mnie. Luis, świadom, że udało mu się przejrzeć moje zamiary, niemal szczerzył zęby w uśmiechu. Przybrałam jak zwykle maskę obojętności

i jeszcze raz wytarłam ręce wilgotną chusteczką z opakowania leżącego na desce rozdzielczej. Moja blada skóra ciągle była szara od brudu. Czy kiedykolwiek się domyję?

Luis uruchomił samochód - silnik zaskoczył z głębokim pomrukiem. Włączyła się klimatyzacja i owiał mnie kojący chłód; jak przyjemnie, westchnęłam. Zamiast wrzucić bieg, Luis sięgnął po chusteczkę, którą trzymałam w ręce.

- Nie zauważyłaś jeszcze jednej plamki - powiedział i delikatnie wytarł mi twarz. Było w tym coś... niespodziewanie intymnego. Zamrugalam i zdałam sobie sprawę, że lekko się uśmiecham. Przyglądał mi się przez kilka długich sekund, po czym oddał mi chusteczkę. - Teraz lepiej.

- Tak - szepnęłam. - Lepiej.

Bardzo wyraźnie czułam go - jego ciepło, siłę i moc -przez całą drogę do domu.

Moje mieszkanie było proste w stylu i puste, z paroma zaledwie meblami i nielicznymi, nietrafionymi prezentami, które ofiarowali mi znajomi, żeby je „ocieplić”. Nie rozumiałam potrzeby zaznaczania swojej osobowości w kilku pokojach, które w gruncie rzeczy były tymczasową kwaterą. Uważałam je za schronienie, miejsce odpoczynku. Przechowałam z łóżkiem i szafą na ubranie.

Nie miałam na przykład pojęcia, do czego przydałaby mi się ceramiczna statuetka anioła - podarował mi ją w dobrej wierze sąsiad, który się wyprowadzał - ale Luis powiedział, że zachowałabym się niegrzecznie, nie przyjmując jej. Była to w istocie jedyna rzecz, którą posiadałam, a która nie miała żadnego praktycznego zastosowania, co sprawiało, że wydawała się dziwaczna i wyjątkowo obca.

Często myślałam o wyrzuceniu figurki; im dłużej patrzyłam na pogodną porcelanową twarz anioła, tym bardziej mnie denerwował. Człowieczeństwo, jak odkryłam, wiąże się z istnieniem tysięcy niewidzialnych sznureczków, za które ktoś pociąga, a każdy z nich łączy się z jakimś zobowiązaniem,

a także z nieoczekiwanymi korzyściami. Ostatecznie Luis nie odwiózł mnie do mojego mieszkania, więc nie musiałam wpatrywać się w anioła o oczach pozbawionych wyrazu i zastanawiać się, ile czasu musi jeszcze upłynąć, zanim będę mogła bezpiecznie się go pozbyć.

Luis zabrał mnie do siebie - do swojego domu. Należał on kiedyś do jego brata, Manny'ego Rochy, mojego pierwszego partnera Strażnika, i w przeciwieństwie do krępującej sterylności mojego mieszkania sprawiał wrażenie... ciepłego. Trwałego i przepojonego pełnym miłości życiem tych, którzy tu mieszkali. Śmierć Manny'ego i Angeli skaziła go, ale Luis powoli wymazywał psychiczne szkody i dom wydawał się teraz... serdeczny. Nawet dla mnie, nawet mimo poczucia winy, które zawsze odczuwałam, kiedy docierało do mnie, że Manny'ego i Angeli nie ma już na tym świecie.

- Hej, Ib - powiedział Luis, kiedy wchodziliśmy do domu. - Chcesz coś zjeść?

- Nie, dziękuję - odparła grzecznie. - Jestem zmęczona. Chcę tylko spać.

- Dobrze, dziecinko. - Pocałował ją w czubek głowy. - Otulić cię kołderką?

- Nie trzeba mnie otulać, Tío. Jestem już prawie dorosła. Uśmiech zgasł na twarzy Luisa i kiedy Isabel wychodziła, zobaczyłam w jego oczach niepokój.

Nie było to, jak już teraz rozumiałam, zachowanie właściwe dla dziecka w jej wieku. Jednakże wydawało się, że nie ma sposobu, żeby naprawić krzywdy, które jej wyrządzono, jej ciału i jej duszy, kiedy została nam odebrana. Ciągłe nie o wszystkim wiedzieliśmy; Ibby niechętnie o tym mówiła, a Luis postanowił to uszanować.

Ale oboje martwiliśmy się, i to bardzo, że tak szybko przybyło jej lat.

Była już prawie przy drzwiach sypialni, kiedy odwróciła się i przybiegła z powrotem do Luisa, rzuciła mu się w ramiona i pocałowała go w policzek.

- Dobranoc, Tío - powiedziała, po czym uwolniła się z jego objęć i podeszła do mnie, żebym też ją uścisnęła, chociaż widziałam, że zrobiła to raczej z obowiązku niż z miłości. - Dobranoc, Cassie.

- Kolorowych snów - szepnęłam; kiedyś słyszałam, jak czegoś takiego życzyła Ibby jej matka, Angela. Brakowało mi Angeli, wiedziałyby, co powiedzieć, co zrobić... ale chyba wypadłam niezłe, bo Ibby się uśmiechnęła i mnie też pocałowała w policzek.

Potem pobiegła korytarzem, nagle zachowując się jak normalne dziecko w jej wieku, i z hukiem zamknęła drzwi swojej sypialni. Luis skrzywił się i pokręcił głową.

- Dzieci - mruknął. - Nie potrafią zamknąć drzwi, nie wrywając ich z zawiasów, ale chyba nie powinienem narzekać; przynajmniej nie łamie mi serca tak bardzo, jak kiedyś. No więc. Coś do jedzenia?

- Nie.

- No to może piwo?

- Tak.

Zniknął w kuchni i za chwilę wrócił z dwiema oszronionymi otwartymi butelkami. Podał mi jedną i trącił swoją butelką o moją.

- Na zdrowie. - Pociągnął spory łyk; musiał być bardzo spragniony. Zamknął oczy, oddając się niemal nieprzyzwoitej przyjemności. - O, cholera, ale to dobre. Całą noc o tym myślałem.

Było dobre, zmyło smak popiołu, który ciągle miałam w ustach, i wlało się jasnym, chłodnym strumieniem aż do żołądka. Westchnęłam, usiadłam na sofie i dopiero wtedy pomyślałam o moim ubraniu i o tym, że pobrudzę meble. Lecz Luis ruchem ręki kazał mi zostać na miejscu i sam opadł na kanapę obok mnie.

- Rzucę o prysznic - powiedział. Zobaczyłam w myślach, jak rzuca mnie głową w dół, i nie mogłam sobie wyobrazić, dlaczego miałyby to mieć coś wspólnego z podejmowaniem decyzji. Musiał dostrzec moje zmieszanie, bo roześmiał i wyjaśnił. - Monetę. Dwie strony, orzeł i reszka. Rozumiesz?

- Tak - odparłam. Wypiłam jeszcze jeden duży łyk piwa. - Ale w tym domu są dwie łazienki.

- No tak, są dwie. To była taka figura stylistyczna, w każdym razie podgrzewacz wody jest do niczego. Albo naraz kąpie się w ciepłej tylko jedna osoba, albo oboje bierzemy zimny prysznic.

- Aha. - Zastanowiłam się. Myślałam się już w zimnej wodzie; dziwne, ale było to znacznie mniej przyjemne niż zmoknąć na deszczu. Może chodziło o to, że dokonywało się świadomego wyboru. - W takim razie idź pierwszy.

- Tak? - Szybko opróżnił swoją butelkę. Spojrzał na mnie z ukosa. - Dzięki.

Nie wydawał się szczególnie wdzięczny. Jakiego podtekstu nie odczytałam w naszej rozmowie? Znowu? Było to wyjątkowo frustrujące, kiedy padałam z nóg ze zmęczenia i wiedziałam, że jestem brudna. Z chęcią poszłabym pierwsza i fakt, że tak bezinteresownie zaproponowałam to jemu, zasługiwał chyba na odrobinę jego wdzięczności.

Mimo to, gdy wzrok Luisa zatrzymał się na mnie, poczułam, że wszystkie wątpliwości stopniały. Od jakiegoś czasu byliśmy sobie... bliscy, ale nie bliscy w eufemistycznym znaczeniu tego słowa, którym czasami posługiwali się ludzie. Kiedy przyglądał mi się długo i z namysłem, poczułam jakąś nieoczekiwaną intymność, jakby otworzyły się między nami drzwi. Nie łudziłam się, że była to zmiana w naszych stosunkach; jedno z nas zawsze w pewnym momencie zatrzaskiwało te drzwi. Moje pochodzenie nie pozwalało na całkowite zaufanie

i uczciwość, a jego - no cóż, podejrzewałam, że z nim jest podobnie.

A jednak ciągle mi się przypatrywał. Też na niego spojrzałam, powoli unosząc brwi.

- O czym myślisz? - spytałam w końcu.

- O niczym - odparł, przechylił butelkę i wysączył ostatnie krople piwa.

- Naprawdę? - Popijałam swoje. Nie wypiałam jeszcze nawet połowy, ale piwo plus przemęczenie sprawiło, że kręciło mi się w głowie, przyjemnie, jakbym dryfowała. - Dziwne. Wyglądało to tak, jakbyś coś miał na myśli.

- Nie sądzisz, że wiem, kiedy o czymś myślę?

- No... powinieneś.

- I myślisz też, że powinienem ci o tym powiedzieć. O, robiło się ciekawie.

- A dlaczegoż by nie? - spytałam. - Chyba że myślisz, że ja myślę o czymś zupełnie innym.

- Cass... - Westchnął. - Do cholery, dziewczyno, nigdy się nie nauczę, jak za tobą nadażyć. Kiedy trzeba działać, kiedy grozi niebezpieczeństwo, jesteśmy zgrani jak ścieżka dźwiękowa; kiedy zostajemy po prostu my, ty i ja, zupełnie nie wiem, co myślisz ani co czujesz, jeżeli w ogóle coś czujesz. Patrzę na ciebie i po prostu...

- Po prostu co?

Wzruszył ramionami i zmarszczył brwi.

- Wszystko się od ciebie odbija - odparł. - Jak od stali. Zdziwiło mnie to i trochę zabolalo.

- Nie jestem ze stali. Jestem człowiekiem. Krew, kości i mięśnie, serce, uczucia i wrażliwość. Czy tego nie widać?

- Ani trochę. Nie tutaj. - Brzmiało to prawie, jakby mnie przeproszał. - No wiesz, to prawdopodobnie nie twoja wina. Zaadaptowałaś się tak dobrze do wszystkiego innego, nic dziwnego, że nie możesz pozbyć się tej ostatniej cząstki dzinna.

Szybko przełknęłam łyk zimnego piwa.

- Byłam dzinnem przez wieki. Człowiekiem jestem od paru miesięcy. Może mnie zbyt ostro oceniasz, Luisie.

- Tak, wiem. Rozumiem twój punkt widzenia. Ale z tego powodu wcale nie jest łatwiej poczuć, że wysyłasz jakiegokolwiek fluidy, tylko tyle.

- Jakie fluidy próbujesz poczuć?

To pytanie sprawiło, że odwrócił wzrok i zaczął się przyglądać pustej butelce w swojej ręce, jakby znalazł coś niezwykle interesującego na nalepce.

- Chcę tylko być pewien, że czujesz się dobrze. A ty całkowicie się zamykasz.

Kłamał. Rozumiałam się na ludzkich uczuciach na tyle, żeby to wyczuć, przynajmniej to. I nagle pojęłam, czego szukał - a co ja skrywałam, chowając się pod maską dzinna. Tak. Byłam człowiekiem i byłam wrażliwa, ale instynktownie sprzeciwiałam się pokazaniu komukolwiek tej delikatnej, bezbronnej strony mojej osoby. Nawet Luisowi, który najbardziej chciał ją zobaczyć.

Myśl, żeby zburzyć ten mur, ujawnić prawdziwe uczucia, przerażała mnie tak samo, jak przerażałoby mnie, gdybym musiała stać na kruchej skalnej półce nad bezdenną przepaścią. Jeżeli prawdą było to, co mówili ludzie, unosiłabym się, nie spadała. Ale instynktownie całą sobą się temu sprzeciwiałam.

Wyciągnęłam rękę i koniuszkami palców dotknęłam jego policzka. Był szorstki, pokrywał go całodniowy zarost; to doznanie rozbudziło we mnie wszelkiego rodzaju osobliwe uczucia - coś, co pojawiło się bez udziału świadomości. Dałam się ponieść jakiejś dziwnie potężnej burzy krwi, która na tę chwilę stłumiła ostrożność i wahanie.

Spojrzał na mnie, zaskoczony. Kontrast między moimi bladymi palcami a jego ciemnobrązową skórą sprawił, że serce zaczęło mi bić szybciej. Tym razem wytrzymałam

jego wzrok i mur, który uprzednio wzniosłam, zaczął słabnąć, mięknąć, aż zniknął.

- A teraz widzisz? - spytałam bardzo spokojnie. - Jest między nami wiele, dobrego i złego, ale czy możesz przebić się przez to wszystko i zobaczyć, co czuję?

Odstawił butelkę. Zrobiłam to samo, ciągle wolno gładząc palcami jego policzek, przesuwając je w dół na ciepłą, wilgotną szyję, na ostry zarost na podbródku, na zadziwiająco delikatne wargi.

Rozchyliły się, chłodne od piwa.

- Hej, Cass? - Jego głos stał się bardziej mroczny, nabrał powagi, głębi. - Do diabła, czy ty jesteś pewna, że wiesz, co robisz?

- Nie - odparłam szczerze. - Mam nadzieję, że mi powiesz, kiedy będę to robiła źle.

- Jezu - szepnął, skupiony. - Serio. Słuchaj, czy ty na pewno wiesz, o czym nie mówisz? Bo nie jestem pewny, że wiesz.

Spojrzałam wprost w jego ciemnobrązowe oczy.

- Chcę się z tobą kochać - powiedziałam. - Czy ty nie chcesz tego samego?

- A niech to! - odezwał się po chwili ciszy, zaszokowany. - Myślę, że wiesz, o czym nie mówiłaś.

Przepraszam. Po prostu nie chciałem strzelić gafy, ale, *mądre*, Cass, ciągle nie wiem, czy ty...

Wstałam, odwróciłam się i usiadłam na nim okrakiem, klękając na poduszkach po obu jego stronach.

W takiej odległości nie mogło być mowy o barierach albo błędach - ani dla niego, ani dla mnie.

Pocałowałam go.

Smakował tak zadziwiająco słodko, a zarazem pikantnie, było w tym coś porywającego i wszechogarniającego, i potężnego, tak że miałam tylko mgliste pojęcie o tym, co się dzieje.

Całowanie go zdawało się chwilowo zaspokajać szalejący we mnie głód, ale przesunął się on tylko w inne miejsce i zaczęły mnie męczyć nowe, dziwne bóle. Kiedy nasze usta ocierały się o siebie, wilgot-

ne i spragnione, nie odczuwałam presji otaczającego nas świata, ciężaru odpowiedzialności, przeznaczenia ani desperacji.

Czułam jedynie światło, ciszę i zapierające dech w piersiach oczekiwanie, wbijające we mnie swe drżące, srebrzyste ostrze.

Odsunęłam się odrobinę, żeby wyszeptać kilka słów w jego otwarte usta.

- Czy to jest dostatecznie jasne?

- *Claro* - odpowiedział równie cicho. Przyłożył palec do moich ust. - Nie możemy tego robić tutaj, *guerida*. Ibby. Chodź.

Skinęłam głową i poszłam za nim do łazienki, nie tej w korytarzu obok pokoju Ibby, ale tej przy sypialni małżeńskiej. Zamknął za mną drzwi, przekręcił zamek, a ja tymczasem zdjęłam swoją białą skórzaną kurtkę. Muszę później doprowadzić ją do stanu używalności - dość prosta sprawa, kiedy mam odpowiedni zapas energii - ale teraz była brudna i sfatygowana. Zaczęłam rozpinać ja-snoróżową bluzkę, którą miałam pod spodem, ale Luis wyciągnął rękę i zatrzymał mnie.

- Nie. Poczekaj. Wiem, że już dość jasno dałaś mi do zrozumienia, ale... chcę to wyraźnie usłyszeć. Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? Całkowicie?

- Już powiedziałam, że tak.

- *Cass*... - Pokręcił głową. - Okej. W takim razie, do jasnej cholery, zwolnij trochę, dobrze? To nie wyścig.

Nie spieszył się; wolno przewlekał każdy guzik przez dziurkę, a potem przeciągał ciepłymi palcami po odkrytej bladej skórze. Po odpięciu trzech guzików odsłonił ja-snoróżowy satynowy biustonosz i poczułam, że serce zaczęło mu bić szybciej. Moje zdążyło już wyrwać znacznie do przodu, podnosząc temperaturę ciała i upodabniając skórę do ciepłej kości słoniowej; krew pulsowała mi w skroniach i żyłach, zalewając gorącym dolną część

mojego ciała, jakby docierały tam promienie słońca. Przygotowuje mnie, uświadomiłam sobie. Zsunął bluzkę z moich ramion; zadrżałam, chociaż w pokoju było ciepło. Zadrżałam jeszcze mocniej, kiedy koniuszki jego palców zaczęły wędrować po mojej nagiej skórze. Zbliżył się do mnie, pochylił i przytknął usta do mojego ucha.

- Odwróć się - szepnął.

Zrobiłam to, niemal ocierając się o niego. Rozpiął mi biustonosz i zsunął jedwabne ramiączka - delikatny staniczek spadł na podłogę, obok bluzki. Następnie objął mnie w talii i rozpiął skórzane spodnie, najpierw zatrzask, potem suwak, i ściągnął je powoli po moich gołych nogach. Przyłgnęłam do niego plecami, zafascynowana potężną eksplozją uczuć w moim ciele, kiedy wsunął rękę pod cieniutkie majteczki...

Zabrakło mi tchu i przygryzłam wargę, rozpalilo się we mnie zupełnie nowe uczucie i bezwiednie zaczęłam napierać na jego palce. Wyrwał mi się stłumiony okrzyk, zupełnie nie zdołałam go powstrzymać. Nie miałam pojęcia, co mną rządzi, lecz musiało to być coś głęboko zakodowanego w naturze człowieka. Zawsze sądziłam, że dżinny, które polubiły przebywanie w ludzkiej skórze, mają jakąś skazę, a teraz - teraz zrozumiałam. Dżinny w swojej naturalnej postaci potrafią oczywiście odczuwać rozkosz, ale nie aż tak... intensywnie.

- Spokojnie, skarbie, jeszcze długa droga przed nami - powiedział Luis tym samym cichym szeptem, co z jakiegoś powodu pobudziło mnie tak jak jego dotyk. - Najpierw pozbadźmy się tego.

Cofnął rękę, a ja prawie krzyknęłam w proteście, po czym ściągnął mi majtki i pozwolił im zsunąć się po moich nogach. Uświadomiłam sobie, że jestem naga, lecz nie czułam się zagrożona, bezbronna.

Wręcz przeciwnie. Czułam się... potężna. Moim okryciem było zaufanie.

Odwróciłam się twarzą do Luisa, oddychając ciężko, i zdałam sobie sprawę, że ciągle jest ubrany. Pomogłam mu zdjąć przez głowę osmaloną, porwaną koszulę i zanim jeszcze zdążyła spaść na podłogę, zaczęłam go dotykać. Widziałam go już bez koszuli, ale było to tak, jakbym patrzyła przez filtr przyciemniający. Teraz, w tym momencie, zobaczyłam, jak piękny jest w rzeczywistości. Ujrzałam grę światła i cieni na jego mięśniach, kiedy się naprężyły i rozluźniały; gładką, aksamitną skórę; głęboki brąz sterczących brodawek; ciemne włosy układające się w prostą linię i znikające pod paskiem, które łaskotały mnie w palce, gdy odpinałam metalowy guzik. Kiedy ustąpił z cichym trzaskiem, rozpięłam suwak jego spodni; zawahałam się, niepewna, czego Luis ode mnie oczekuje. Nie dawał mi żadnych sygnałów. Przyglądał mi się w skupieniu zamglonymi, brązowymi oczami. Czułam kłębiące się w nim emocje i kiedy spojrzałam na niego superwzrokiem, nakładając na eteryczny świat - naturalne środowisko dzinnów - ludzką rzeczywistość, zobaczyłam, że mieni się olśniewającymi, intensywnymi barwami - kolorami namiętności, pragnienia, życia. Było to oszałamiające, zachwycało mnie.

Patrzyłam Luisowi w oczy, powoli zsuwając mu spodnie, aż został tylko w obcisłych slipkach, pod którymi nabrzmiewał dowód pożądania. Wzięłam głęboki wdech i je również ściągnęłam. Kiedy już nie dzieliło nas nic i zanim uległam jakimkolwiek wątpliwościom, przywarłam do niego całym ciałem i pocałowałam go. Wtedy potężnym strumieniem wypłynęła z niego moc, gęsta jak płynny bursztyn, nasączona esencją wszystkiego, co żywe, wolnym pulsem samej Matki Ziemi. Moja skóra się oczyszczała, a włosy rozwiewał niewidzialny wiatr. Poczułam się... odrodzona. Nowa. Doskonała.

Jego usta przy moich stały się gorące, wilgotne, natrętne i słodkie w smaku. Drżałam wtulona w niego,

kiedy jego ręce wędrowały w dół po kręgosłupie aż do krzyża, a potem zaczęły pieścić moje krągłe pośladki. Rozchylił wargi i poczułam, jak jego język miękko trącił mój. Krew we mnie wrzała, a serce waliło jak młotem. Nie wiedziałam, jak bardzo to, co czułam, płynie z wykorzystania przez Luisa mocy Ziemi, ale nie miało to znaczenia. Było to intensywne i piękne, wciągało mnie bez reszty. Nie mogłam uwierzyć, że tak długo tego unikałam, przebywając z nim na co dzień. Pragnęłam tego, a przecież nawet nie wiedziałam dlaczego.

I jeszcze jedno dziwne uczucie - miejsca na jego ramionach pokryte tatuażami były inne w dotyku niż reszta skóry. Wytatuowane płomienie wydawały się cieplejsze, tak jakby w ciemnych obwódkach był prawdziwy ogień, a nie tusz.

Luis przerwał pocałunek i przywarł policzkiem do zgięcia mojej szyi, dysząc ciężko. Jego gorący oddech przepalał mi skórę i poruszał moje jasne włosy.

- Zwolnij - odezwał się wreszcie. - Za szybko doprowadzisz mnie do końca. Odpreż się. Powiedziałem ci, to nie jest wyścig.

- W takim razie co? - spytałam. - Moje ciało chce chyba pędzić do mety.

Roześmiał się.

- Przestań zwracać mi moją energię, to ci pokażę. Ale najpierw prysznic.

- Przecież jesteśmy czysti. - Moc, która eksplodowała z niego na początku, oczyściła naszą skórę i włosy; odczuwaliśmy cudowną świeżość.

- Nie po to będziemy brać prysznic - powiedział. - Ufasz mi?

- Tak. - Zawsze mu ufałam, gdzieś w głębi siebie. Teraz nie było inaczej... a jednak... w tej chwili zaufanie wypływało z fizyczności; nie potrafiłam wyobrazić sobie

czegoś takiego w innej sytuacji, ale wydawało się ono nieodłącznie towarzyszyć takiemu momentowi, tu i teraz było absolutnie właściwe. - Oczywiście, że ci ufam. Wziął mnie za rękę.

- Więc chodź. Musisz być tak mokra jak ja, mała. Były w tym zdaniu jakieś skojarzenia, nad którymi nigdy dotąd się nie zastanawiałam ... mroczne i podniecające, tak jakbym nagle poczuła coś pikantnego na języku. Zaczęłam oddychać szybciej, puls mi przyspieszył.

Pozwoliłam Luisowi zaciągnąć się do łazienki. Zamknął za nami drzwi i szybkim ruchem przekręcił zamek. Wyczuł, że mu się przyglądam, i uniósł brwi.

- Tylko ze względu na Ibby. Słuchaj, nie chcę, żebyś pomyślała, że próbuję cię do czegoś nakłonić. Tak właśnie myślisz? Możesz to w każdej chwili przerwać.

Uśmiechnęłam się.

- Sądzisz, że mógłbyś mnie do tego zmusić, gdybym sama nie chciała?

- Słusznie. Sprawiałabyś mi porządny łomot.

- Co najmniej - powiedziałam i położyłam swoje blade ręce na jego ciemnych ramionach. - Mam nadzieję, że i ja nie nakłaniam cię do czegoś, czego nie chcesz.

Roześmiał się.

- *Chica*, nie znasz facetów. - Jego wzrok powędrował w dół mojego ciała i Luis wolno wypuścił powietrze. - Ich strata. Jesteś taka piękna. - Spojrzał mi w oczy. - Ale ty tak nie uważasz, prawda?

Rzeczywiście tak nie uważałam; rozumiałam ludzkie piękno zupełnie inaczej - jako coś związanego ze słabością, próżnością, wyznaczaniem niewłaściwych celów. Byłam silna, wysoka, bardzo sprawna, ale nigdy nie odczuwałam najmniejszej potrzeby, żeby być piękną.

A teraz nagle zaczęłam ją odczuwać. Dla niego.

- Wierzę, że ty w to wierzysz - szepnęłam i znów go pocałowałam. Tym razem powstrzymałam się od sięgnięcia

do istoty jego mocy; było to tylko coś cielesnego, ciepłego i czułego, doskonałego i naturalnego. Opar! mnie o ścianę i aż syknęłam, kiedy dotknęłam zimnych kafelków, ale natychmiast o tym zapomniałam w tej chwili uniesienia. Luis oderwał się ode mnie, pochylił nad prysznicem i przekręcił gałkę. Kiedy woda zaczęła się rozpryskiwać, wyciągnął z szafki ręczniki i odłożył je na bok, gotowe do użycia. Szklana kabina błyskawicznie wypełniła się kłębamii pary, która zrosiła moją skórę. Weszliśmy razem pod gorący natrysk, przytuleni do siebie tak mocno, że woda z trudem dostawała się między nasze ciała. Doznania nakładały się na siebie, stapały, zacierały się między nimi wszelkie granice, zalewały mnie pulsującą, gorącą jak krew falą. Nie rozróżniałam ciepła jego rąk od strumienia równie ciepłej wody. Miałam wrażenie, że wszystkie zakamarki mojego ciała są pieszczone jednocześnie i kiedy palce Luisa znów wsunęły się między moje nogi, objęłam go rękami za szyję.

To, co mi robił, wywołało w głębi mnie miniaturowe eksplozje, drgania, które sygnalizowały, że nadchodzi coś znacznie, ale to znacznie wspanialszego. Uświadomiłam sobie, że się wygięłam, przyciskając do niego, odchyliłam do tyłu głowę i przygryzłam wargę. Wydawało mi się, że sprawia mu to taką samą przyjemność jak mnie; tajemnicza alchemia uczuć - nie przypuszczałam, że coś takiego jest w ogóle możliwe w świecie ludzi. Nic nie mówił. Woda bila w nasze ciała, gorąca jak krew, aż wreszcie, w końcu, chwycił mnie w tali, podniósł, naprężając swe mocne ramiona, po których spływały srebrzyste strugi, i oparł plecami o ciepłą, wilgotną, wyłożoną płytkami ścianę. - Gotowa? - Nie wiedziałam, o co pytał, ale skinęłam głową. Oczywiście w zasadzie wiedziałam, ale wiedzieć i czuć to, jak się okazało, zupełnie co innego. - Zrobię to powoli. Oczekiwałam przyjemności, a nie nagłego, palącego bólu ostrego jak brzytwa, więc krzyknęłam bardziej

z przerażenia niż z rozkoszy, kładąc mu ręce płasko na piersi w geście protestu. Luis zamarł w bezruchu, zaszokowany, podczas gdy ja próbowałam zapanować nad oddechem. Ból zaczął ustępować, ale zaskoczenie pozostało. Czułam się tak, jakby zdradziło mnie moje ciało, bo kazało mi się spodziewać wyłącznie cudownych doznań. Luis wydawał się równie zaskoczony.

- Jezu, Cass, nie powiedziałaś mi, że jesteś dziewicą - powiedział po kilku długich sekundach. - Nie sądziłem... - Wziął głęboki wdech, zły na siebie. - Głupiec. Oczywiście, że jesteś dziewicą. Weszłaś wprost w ludzkie ciało, z nikim nie byłaś...

Miał rację. Nie zdarzyło mi się być w takiej krępującej, wyjątkowo intymnej i delikatnej sytuacji z nikim innym od chwili, kiedy się odrodziłam w ludzkiej skórze. Pod wieloma względami byłam bardziej dziewicą niż jakakolwiek ludzka kobieta czy dziewczyna, ale mimo to w ogóle nie czułam się nieświadoma czy niegotowa.

Jedynie zdradzona przez własną biologię.

- W porządku - odrzekłam cichym, stanowczym głosem, patrząc w ciepłe oczy Luisa o barwie cynamonu. - Nic mi się nie stało.

- Przeciwnie, zadałem ci ból. Nie chciałem...

Owinałam się nogami wokół jego pasa, uparcie przyciągając go do siebie, aż połączyliśmy się całkowicie. Ujęłam w dłonie jego twarz i uśmiechnęłam się.

- Od kiedy przyjąłem ludzką postać, doznałem wiele bólu. Przed chwilą to był... krótki dyskomfort.

Już po wszystkim. Pomóż mi teraz o tym zapomnieć.

Jęknął głębokim, gardłowym głosem i schylił głowę, skrywając twarz w ciepłym miejscu między moim ramieniem a szyją. Poczułam drżenie jego nóg, a potem zaczął się poruszać, wolno, łagodnie, lecz coraz bardziej zdecydowanie.

- Powiedz mi, jeżeli...

Musiał się bardzo starać, nawet teraz, żeby być wobec mnie delikatnym. Wobec mnie, istoty tak starej i tak potężnej, do której nawet moi pobratymcy, dżinny, zawsze podchodzili z ostrożnością. Rozśmieszyło mnie to, a jednocześnie przepełniło ciepłem i słodyczą w stosunku do niego. Pomogłam mu przestać się wahać, ukazując własne przemożne pragnienie, szaleńczy ogień pożądania, żar, namiętność i rozkosz.

Nikt mi nigdy nie opisał, co czuje dwoje ludzi, których razem pochłania taki ogień, nieokiełznany, niszczycielski, kiedy w jedno zlewają się ręce, usta, pchnięcia i najczulsze pieścizoty.

Nie istniały takie słowa w świecie dżinnów ani odpowiednik takiego przeżycia. Uświadomienie sobie tego było upokarzające; zrozumiałam w końcu, dlaczego tak wielu przedstawicieli mojego gatunku szukało pociechy, przyjmując ludzką postać.

Świat rozpadł się na dźwięki, światła, barwy, szaleńcze bicie serc i zroszoną potem skórę, aż wreszcie zaczęło się powolne, lekkie jak piórko, spiralne opadanie z eterycznych wyżyn - nie wiedziałam dotąd, że ludzie mogą się wspinać tak wysoko. Kiedy Luis w końcu mnie puścił, zostaliśmy jeszcze przez chwilę pod osłoną ciepłej, dudniącej wody, aż zrobiła się zimna, chłodząc nas.

Wyłączył prysznic i spojrzeliśmy na siebie przez obłoki pary ciągle unoszące się w powietrzu.

Luis się uśmiechnął. Na jego twarzy malowała się cudowna beztroska i w tym momencie zrozumiałam, że naprawdę mnie kochał od jakiegoś czasu - może od wielu miesięcy. Przez moje ciało przelała się taka sama fala emocji i podobny, piękny, niekontrolowany uśmiech pojawił się na moich ustach. Czułam ból w różnych dziwnych miejscach, a podejrzane ciepło w innych; ogarnęło mnie zmęczenie tak wielkie, że zapragnęłam zwinąć się w kłębek na wilgotnych kafelkach i zasnąć.

Powstrzymywała mnie tylko świadomość, że zaledwie parę kroków stąd czeka ciepłe łóżko. Luis wytarł nas, wykorzystując falę mocy, po czym zaprowadził mnie do szerokiego, czystego łoża z ciemnoczerwoną jedwabną pościelą, w którym sypiał. Nigdy dotąd nawet nie dotknęłam jego łóżka, ale teraz bez wahania opadłam na miękki materac, wskoczyłam pod kołdrę i przesunęłam po chłodnym prześcieradle na środek, żeby przytulić się do Luisa. Oboje byliśmy ciągle ciepli, trochę wilgotni; nasze usta odnalazły się w powolnych, rozmarzonych pocałunkach, kiedy znów spleliśmy się ze sobą.

Luis w końcu roześmiał się, śmiechem z głębi piersi. Spojrzałam na niego pytająco.

- Czekam, kiedy nam jakiś kij spadnie na głowę - powiedział. - Rozumiesz?

- Jestem absolutnie pewna, że nie ma tu...

- Nie, chodzi mi o to, że ciągle nam ktoś coś przerywa, próbując na wszelkie sposoby nas wykończyć. Zdaje się, że za każdym razem, kiedy niewiele brakuje, żebyśmy to zrobili, ktoś się pojawia i usiłuje nam wszystko zepsuć. - Rozejrzał się. - Na razie nikogo nie ma. To chyba dobry znak.

Jeszcze raz go pocałowałam, rozkoszując się słodko--korzennym smakiem jego ust.

- Tak - zgodziłam się. - To jest bardzo dobry znak.

Nic nie przeszkodziło nam przez wiele długich godzin, aż wreszcie zasnęliśmy wtuleni w siebie, cudownie, delirycznie zmęczeni.

2

Tuż przed świtem rozległo się pukanie do frontowych drzwi.

Luis obudził się szybko, wyslizgnął z moich ramion i wyskoczył z łóżka, zanim zdołałam otworzyć oczy. W nogach leżała para niebieskich dżinsów. Wciągnął je, ani przez moment się nie zastanawiając, walcząc z suwakiem i guzikami, otworzył drzwi sypialni i wyszedł na korytarz.

Znalazłam wiszący na drzwiach garderoby gruby, czarny szlafrok, zawiązałam się paskiem i wyszłam za Luisem. Był już przy wejściu i sięgał ręką do klamki, kiedy znów rozległo się pukanie - szybkie i zdecydowane.

- Tak?! - krzyknął, nie otwierając drewnianych drzwi, i gestem kazał mi się odsunąć. - Kto tam?

- Policja, panie Rocha - odparł męski głos po drugiej stronie. - Proszę otworzyć.

- Chciałbym najpierw zobaczyć odznakę. - Luis leciutko uchylił drzwi.

Dojrzałam błysk mosiądzu w świetle lampy na werandzie. Luis skinął głową i zrobił krok do tyłu. Do środka wszedł umundurowany oficer, natychmiast mnie zauważył, obrzucił szybkim spojrzeniem od stóp do głów - oceniał mnie, bez cienia emocji, czysto analitycznie.

Emanowała z niego silna moc i kiedy rzuciłam na niego okiem w sferze eterycznej, upewniłam się, że był Strażnikiem. Jednym z nielicznych, którzy obrali tradycyjny zawód... ale domyślałam się, że dysponowanie mocami Ziemi musi dawać policjantowi znaczne korzyści. Jak choćby siłę i szybkość, a także umiejętność powalenia uciekającego podejrzanego za pomocą splątanej trawy czy bijących gałęzi drzew - nie brałam przy tym pod uwagę,

jak użyteczne mogą być moce Ziemi podczas poszukiwania podejrzanych czy oceny śladów przez nich pozostawionych. Teoretycznie Strażnik Ziemi był jak chodzące laboratorium, w czym przypominał dzinna, tyle że mógł działać tylko w ramach swoich ograniczonych mocy.

Jeżeli nawet choć trochę ucieszył się ze spotkania z nami, absolutnie nie dostrzegałam tego w jego zachowaniu, był chłodny i rzeczowy.

- Witaj, Strażniku Rocha - powiedział i wyciągnął rękę odwróconą dłonią do góry. Przez moment błysnął stylizowany symbol słońca, sygnatura Strażnika, rozpalony przez leciutką falę mocy, kolejną oznakę władzy; ja takiej sygnatury nie miałam, chociaż przecież mogłabym ją bez trudu otrzymać. Policjant przeniósł na mnie swoje zimne, pełne rezerwy spojrzenie. - Witaj, Cassiel. Porucznik Cardenas.

Najwyraźniej nie zasługiwałam na tytuł Strażnika, chociaż niewątpliwie wykonywałam tę pracę. Interesujące. Poczulałam się lekko urażona.

- A którą to organizację reprezentujesz w tym momencie? Wydział policji Albuquerque czy Strażników?

- Przysłała mnie Strażniczka Bearheart - wyjaśnił i to mi wystarczyło. - Chce, żebyście oboje przywieźli dziewczynkę na spotkanie z jej ludźmi i dokonali przekazania.

- Przekazania? - powtórzył Luis głosem dość nieprzyjaznym. - Co, do diabła, masz na myśli, jakiego przekazania?

Cardenas wzruszył ramionami.

- Po prostu przywozicie ją, przekazujecie, odjeżdżacie. Właśnie taki rodzaj przekazania. To chyba jasne.

Luis zrobił gwałtowny ruch. Mocno złapałam go za ramię, by przemówić mu do rozsądku, i powstrzymałam.

- Nie. Mamy już dość kłopotów z policją. - Chodziło mi o to, że on miał kłopoty, i Luis o tym wiedział; zauważyłam, że stłumił w sobie wściekłość, wziął głęboki

oddech i skinął głową, dając mi znak, żebym go puściła. Puściłam więc, lecz nie odsunęłam się zbyt daleko.

- Może nie wiesz - zaczął Luis, starając się, żeby jego głos brzmiał obojętnie - że moja bratanica ma dopiero pięć lat.

- Prawie sześć - sprostował Cardenas. - Rozumiem, co czujesz, ale nie masz wyboru. Ona musi pojechać do Strażniczki Bearheart. Nic się jej złego nie stanie.

- Nie.

- Wiesz, co mówisz?

- Wykluczone, żebym oddał Ibby.

- Nie będę się spierał - oświadczył Cardenas. - Po prostu przekazuję wiadomość, i tyle. Możecie z tym zrobić, co chcecie. Czeka na mnie mnóstwo roboty, więc nie będę dodatkowo waszym osobistym kurierem. Jeżeli chcecie odmówić Bearheart, sami do niej zadzwońcie.

Luis z uporem zaciskał szczękę. Nie zachowywał się rozsądnie, reagował emocjonalnie.

Postanowiłam wkroczyć do akcji w jego imieniu.

- A gdzie Strażniczka Bearheart chciałaby, żebyśmy przyjechali? - zapytałam. Kiedy Luis rzucił mi wściekłe spojrzenie, dodałam: - Nie zobowiązuje nas to do niczego, dowiemy się tylko, co miałyby być celem naszej podróży.

Musiał się z tym zgodzić, choć z oporem.

- W porządku - powiedział. - Ale dlaczego teraz? Ibby jest pod kontrolą. Czuje się świetnie.

Wcale nie czuła się świetnie i wiedział o tym, rozumiałam jednak jego gorące pragnienie, żeby ochronić dziewczynkę przed jeszcze większym stresem i nie dać jej bardziej skrzywdzić. Strażnicy nie cieszyli się najlepszą opinią, jeżeli chodzi o opiekę nad dziećmi, i zdawałam sobie sprawę, że to czyniło Luisa nieufnym i bardzo niechętnym. Z drugiej strony nie słyszałam nic złego o Marion Bearheart, a o jej zdolnościach uzdrowiciel-

skich mówiło się wyłącznie dobrze. Jeżeli ktoś miałby wyleczyć rany Ibby, to właśnie ktoś taki jak Marion.

- Spotkacie się w Nevadzie - poinformował policjant. - Kazano mi przekazać wam mapę. - Sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął starannie złożony kawałek papieru, wydruk komputerowy. Była to zwykła mapa stanowa, bez żadnych zaznaczonych kierunków czy miejsc. Podał ją Luisowi, a on nawet nie drgnął, żeby ją wziąć. Przeciągnęłam ręką po mapie, wykorzystując odrobinę mocy, dokładnie w momencie kiedy Cardenas powiedział: - To nie zadziała, już próbowałem. To jest... - Głos mu zamarł, bo pod wpływem mojego dotyku rozbrzmiała na niebiesko niewidoczna dotąd trasa. Szybko stłumiłam blask, zanim mapa coś ujawniła. Strażnicy zachowywali się tajemniczo w całej tej sprawie i świadomie stosowali różnego rodzaju zabezpieczenia. Ta mapa została specjalnie tak przygotowana, żebyśmy tylko my, Luis i ja, mogli z niej korzystać. Złożyłam papier.

- Dziękuję - powiedziałam stanowczo. - Coś jeszcze?

- Chyba nie - odparł Cardenas i skierował się do wyjścia.

Luis zatrzymał go przy drzwiach.

- Zaczekaj. Czy mówiła, dlaczego chce Ibby, czy w ogóle coś mówiła? Sądzi, że nie jesteśmy tutaj bezpieczni?

- Nie mam pojęcia. Tak jak wyjaśniłem, jestem tylko posłańcem. Jeżeli chcecie dowiedzieć się więcej, zadzwońcie do Bearheart. Nie wiadomo, czy odbierze, ale stoicie wyżej w hierarchii niż ja.

Luis rozważył wszystkie za i przeciw i w końcu skinął głową.

- Dobrze. Dziękuję.

- Nie ma za co. - Cardenas Strażnik zniknął i powrócił Cardenas policjant. - Przykro mi z powodu straty, jaką poniosłeś. Pracowałem nad sprawą morderstwa

twojego brata i bratowej. Paskudna historia. Słyszałem, że gang właściwie przestał działać. Lokalny *jefe* jakoś dziwnie zmiękł, postanowił znów żyć uczciwie i zająć się działalnością charytatywną. Z jego oczu można było wyczytać, że zna prawdę, i to mnie zmartwiło; Luis osobiście podjął pewne kroki, widziałam jakie. Manipulując umysłem przywódcy gangu, naruszył jedną z podstawowych zasad etycznych Strażników Ziemi. Szczęśliwie dla niego pojawiały się coraz to nowe zagrożenia i Strażnicy znajdowali się pod wielką presją, tak więc karanie członków własnej organizacji prawdopodobnie nie należało w tym momencie do priorytetów.

- To chyba nie najgorszy koniec dla takiej kanalii -oświadczył Luis. - Byłoby jeszcze lepiej, gdyby ta zmiana nastąpiła w nim, zanim podniósł rękę na moją rodzinę.

- Oczywiście - przytaknął Cardenas. - Na pewno byłoby lepiej, gdyby to się stało wcześniej. Jak się czuje dziewczynka?

- Dręczą ją koszmary - powiedziałam. - Ale chyba się przystosowuje.

- Tak to jest z dziećmi. Sam mam dwójkę. - Dotknął błyszczącego otoka czapki policyjnej. - Gdyby coś takiego przydarzyło się mojej rodzinie, też chyba bym sobie życzył, żeby w facecie, który to zrobił, zaszła taka zmiana. To znaczy, jeżeli nie mógłbym mu wpakować kuli w łeb.

Uświadomiłam sobie, co dawał Luisowi do zrozumienia: że chociaż wiedział o jego nielegalnej akcji - a co najmniej to podejrzewał - nie zamierzał złożyć doniesienia. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mogła być niebezpieczna, dopóki nie owiała mnie swoim chłodem, i to z bardzo bliska.

Luis się zdenerwował, ale skinął głową i otworzył drzwi. Cardenas pomachał nam na do widzenia i podszedł do policyjnego radiowozu czekającego przy kra-

wężniku. Patrzyliśmy za nim, aż odjechał. W ręce ciągle trzymałam kawałek papieru.

- Przyjrzyjmy się temu - powiedział Luis.

Rozłożyłam mapę i przeciągnęłam po niej ręką, żeby obudzić błyskające sygnały. Niebieska linia biegła wzdłuż dróg przez otwarty teren i kończyła się w opustoszałej okolicy oznaczonej symbolem słońca. Na mapie były granice, ale żadnych punktów odniesienia.

Luis gwizdnął.

- Co o tym sądzisz? Uniosłam brwi.

- Nic nie sędzę. - Nie miałam pojęcia, o czym on mówił.

- Strefa 51? - Nie zareagowałam, a jemu oczy się rozszerzyły. - Daj spokój, poważnie? Nie słyszałaś o Strefie 51? O Krainie Marzeń? - Kiedy pokręciłam głową, westchnął. - Muszę ci kiedyś zrobić wykład z popkultury. Otóż agenci ni stąd, ni zowąd polubili nas na tyle, żeby otworzyć wrota jednego ze swoich najbardziej strzeżonych obiektów. Strażnicy nigdy nie byli tam mile widziani; może chodzi o to, że zupełnie przestał im się podobać cały ten dziwaczny Kościół. Mieli już złe doświadczenia z podobnymi sektami.

Jego chwilowa fascynacja mapą osłabła. Odszedł parę kroków, wyraźnie się nad czymś zastanawiając.

- Co? - zapytałam. Nie mogłam nadażyć za jego skrótami myślowymi, za jego logiką, a może brakiem logiki, ale potrafiłam wyczuć zmiany jego nastroju: teraz stał się znacznie bardziej ponury.

- Strefa 51 to miejsce piekielnie dobrze zabezpieczone - powiedział. - Ale naprawdę nie mogę sobie wyobrazić, żeby rząd pozwolił Strażnikom tam osiąść. Jeżeli nas w ogóle tam wpuszczają, muszą mieć jakiś ukryty powód.

- Na przykład jaki? - spytałam.

Odwrócił się, długo mi się przyglądał, po czym pokręcił głową.

- Może chodzi o Ibby. Może chcą mieć te wszystkie dzieci tylko dla siebie. A może chcą ciebie, Cass.

- Mnie? - powtórzyłam, zaskoczona. - Dlaczego?

- Ponieważ federalni nigdy nie mieli prawdziwego dzinna, nawet się do żadnego nie zbliżyli na tyle, żeby móc go dorwać. A ty, ty jesteś bezbronna, i chyba kogoś takiego by chcieli. Nawet ze wszystkimi swoimi słabościami możesz im pokazać, co znaczy siła dzinna. Nie podoba mi się to. I nie mam też najmniejszego zamiaru narażać Ibby.

Nigdy nie myślałam o sobie jako o kimś bezbronnym i taka opinia zaskoczyła mnie znacznie bardziej, niżbym się tego spodziewała.

- Mogę z nimi walczyć - oświadczyłam.

- O tak, oczywiście, że możesz. Ale tego właśnie nie rozumiesz w ludziach, *guerida*; możesz zabić jednego albo pięciu, albo i dziesięciu, przyjdą jednak następni, i następni. Zapewniam cię, że w Strefie 51, jeżeli będą chcieli się do ciebie dobrać, to się dobiorą.

Niepokojące.

- W takim razie co chcesz zrobić? - zapytałam. Zamknął zamek w drzwiach.

- Dowiedzieć się, o co, do jasnej cholery, chodzi Marion, bo ja nie zamierzam na ślepo narażać Ibby ani ciebie na niebezpieczeństwo. Już nigdy więcej.

Marion Bearheart oddzwoniła dopiero po dwóch godzinach. Kiedy usłyszeliśmy sygnał telefonu, razem z Ibby jedliśmy płatki w kuchni. Luis gestem poprosił mnie, żebym nalała jej soku pomarańczowego i przysłała do niego do drugiego pokoju. Ibby przyglądała się nam. Zbyt wiele sobie uświadamiała, zbyt wiele przemyślała; zastanawiałam się, co, tak naprawdę, udawało się nam

przed nią ukryć. Pochyliłam się, aby ją pogłaskać po jedwabistych włosach i odgarnąć je z jej twarzy.
- To potrwa tylko jedną chwileczkę. Wypijesz sok? Obdarzyła mnie cudownym uśmiechem, którego nikt

by nie zapomniał.

- Wiem, że sok jest dla mnie dobry - odparła wymijająco.

- Obiecuj mi.

- Obiecuję - westchnęła, sięgnęła po szklankę i na dowód wypila potężny łyk.

Pocałowałam ją w czoło i wyszłam za Luisem.

Krażył po pokoju z bezprzewodowym telefonem przy uchu. Znałam ten jego szczególny sposób tłumienia niepokoju; oznaczało to, że jest bardzo zmartwiony i bardzo zły, ale że postanowił tego na zewnątrz nie okazywać. Jednak telefon ścisnął tak mocno, że knykcie mu pobieleły.

- Tak - mówił. - Tak, wiem, że dziecko potrzebuje pomocy, Marion, nie to miałem... - zamilkł, wyraźnie mu przerwano, jego ciemne oczy na moment zatrzymały się na mojej twarzy, kiedy przechodził obok mnie. - Ibby straciła matkę i ojca; to prawdziwy koszmar dla dziecka w jej wieku. Potem ci durnie zbyt szybko uruchomili jej moce. Nabili jej głowę kupą kłamstw o Strażnikach; powiedzieli jej, że nie żyję, wręcz pokazali, że nie żyję. Pokazali, jak Cassiel mnie zabiła. A teraz chcesz umieścić ją w jakimś obozie... Nie, cicho bądź i pozwól mi skończyć. Wszystko mi jedno, czy nazywasz to ranczem, czy obozem, szpitalem lub szkołą, na jedno wychodzi. Przeżyła już dość strachu i prania mózgu, Marion, wystarczy jej na całe życie. Ona potrzebuje domu i nie wyślę jej do żadnego takiego miejsca!

Marion była cierpliwa - i uprzejma - na tyle że pozwoliła mi dokończyć, już nie przerywając. Potem coś powiedziała, krótko i spokojnie, i Luis odłożył

słuchawkę. Stał przez chwilę ze zwieszoną głową, chowając twarz pod włosami - niezupełnie równej długości po pożarze, który przeżyliśmy - potem odwrócił się i wyszedł bez słowa. A ja za nim.

W kuchni nalał sobie kawy i popijał ją wolno, patrząc zmrużonymi oczami na Isabel. Dziewczynka jąta płatki. Spojrzała na niego z uśmiechem i Luis też się uśmiechnął. Wyglądało to niemal naturalnie.

- Ibby. Co byś powiedziała na wyjazd do szkoły? -zapytał.

Nie odpowiedziała natychmiast. Przyglądała mu się, a jej słodka twarzyczka nic szczególnego nie wyrażała; Ibby doskonale nad sobą panowała. W jej spokojnym spojrzeniu było niepokojąco dużo kalkulacji.

- Już nie lubię szkół - odezwała się w końcu.

- Wiem, *mija*, ale to dobra szkoła, pomogą ci tam. -Opadł na krzesło obok niej i ujął jej małą dłoń w swoją dużą rękę. - Nie mówisz tego, ale się boisz, tak? I cierpisz. Ciągle tęsknisz za *mami* i *papi*, wiem o tym.

Pod wpływem tych słów kryształowa skorupa jej sztucznego spokoju pękła. Ibby odwróciła wzrok i powiedziała, cichutko:

- Cały czas.

- Ja też - przyznał się Luis i pocałował ją w czubek głowy tak delikatnie, że omal mi serce nie pękło.

-Przykro mi, że ich już nie ma, że nie mogą ci powiedzieć, jaka jesteś dzielna i silna. Ale siła to nie wszystko. Ona nie daje ci szczęścia, prawda?

Uderzył w czułe miejsce, lecz było to coś, czego nie rozumiałam. Czemu siła nie miałyby czynić człowieka szczęśliwym? Czy to słabość dawałaby szczęście? Wszystko jedno, jak stawiałam pytanie, pozostawało ono dla mnie bez odpowiedzi. Podejrzywałam, że chodzi o coś z gruntu ludzkiego.

Ciemne oczy Ibby wypełniły się łzami.

- Nie - powiedziała jeszcze cichszym i jeszcze słabszym głosem. - To, że jestem silna, wręcz mnie zasmuca. Nie chcę krzywdzić ludzi. Nawet tych złych. Chcę tylko, żeby zostawili mnie w spokoju. Tego również nie potrafiłam pojąć. U dzinnów wszystko było znacznie prostsze. Dżinn miał sojuszników, przyjaciół, przeciwników i wrogów. Zachowanie jednostki wymuszało określoną reakcję, miarka za miarkę. Nie umiałam sobie wyobrazić sytuacji, w której względy etyczne powstrzymałyby mnie od zaatakowania tych, którzy chcieli mnie skrzywdzić. Nie mogło być mowy o sprawiedliwości, dopóki nie znalazł się ktoś, kto był gotów wyciągnąć miecz.

Jednak w Ibby widziałam coś jeszcze... coś, co zasiała w niej jej matka, Angela. Angela na pewno walczyłaby

o swoje dziecko na śmierć i życie, lecz potrafiła również wybaczać. Chciała znajdować w ludziach dobro, nawet kiedy było go w nich tyle, że z trudem dawało się je zauważyć, albo wręcz nie było go wcale.

Przekazała to szlachetne pragnienie swojej córce

i teraz ono właśnie stanowiło cieniutką, jakże drogocenną nić utrzymującą Isabel nad przepaścią, do której próbowali ją wrzucić nasi wrogowie. Chcieli jej użyć jako oręża, ale Ibby nie była niczym narzędziem.

Opadłam na krzesło naprzeciwko Ibby i Luisa i obserwowałam ich siedzących obok siebie. Widziałam w tym coś słodkiego, co miało własną siłę.

Nie wiem dlaczego, ale też wyciągnęłam rękę do Ibby i ujęłam jej lewą rączkę w obie dłonie.

- Twój wujek i ja będziemy za ciebie walczyć ze złymi ludźmi. Już nigdy cię nie skrzywdzą. Obiecuję. Obietnice nie przychodziły dzinnom łatwo; zgodnie z odwiecznym zwyczajem, kiedy składaliśmy formalną przysięgę, byliśmy nią związani. Kiedyś przysięga złożona przez dżinna związała całą naszą rasę i zostawiła nas na wątpliwej łasce ludzi. Powiedziałam to szczerze,

ale wiedziałam, że dotrzymanie takiej obietnicy wymaga niebezpiecznych poświęceń.

Nie żałowałam jednak tego zapewnienia, zwłaszcza gdy zobaczyłam, że głęboko zakorzeniony strach Ibby zaczął powoli ustępować. Pociągnęła nosem i się rozplakała. Puściłam jej rękę, kiedy Luis otoczył ją ramionami i posadził sobie na kolanach, kołysząc jak małe dziecko.

- Sza, *mija*, nic się nie stanie. Widzisz, Cass i ja czuwamy. Źli ludzie uciekną, jak tylko nas zobaczą. Odsunęła się, żeby spojrzeć na niego spod zmarszczonych brwi.

- Dlaczego?

- Co dlaczego, kaczuszko? - Delikatnie chwycił jej nos kciukiem i palcem wskazującym i zakwakał. Ibby nagle powróciła do swojego wieku, zachichotała i zarzuciła mu rękę na szyję.

- Dlaczego mieliby uciekać?

- Bo twój wuj jest bardzo groźny - odparłam. Luis prychnął.

- No tak, w ustach ciotki-Bogini Wojny to brzmi nawet śmiesznie. Jestem po prostu potwornie przerażający.

- Możesz być, jeżeli tylko zechcesz - stwierdziłam. Była to najprawdziwsza prawda. - Bałabym się ciebie, gdybyśmy znaleźli się po przeciwnych stronach.

Zaczął się śmiać, a potem zrobił dziwną minę.

- Ty naprawdę tak myślisz - powiedział.

- Tak. Gdybym była twoim wrogiem, prawdopodobnie też bym uciekła.

Wyciągnął rękę z dłonią zwiniętą w pięść. Spojrzałam na nią i lekko stuknęłam ją swoją.

- To ty wystraszyłabyś mnie na śmierć, Cass - oznajmił. - Gdybyś kiedyś postanowiła spaść na mnie jako anioł zemsty.

- W takim razie musimy spróbować nie wylądować po przeciwnych stronach - oświadczyłam z powagą. Ibby

znów zachichotała, jej śmiech był jak brzęczenie malutkich, srebrzystych dzwoneczków i wzbudził radość w moim sercu. - Wiesz, jestem młodsza niż Isabel, jeśli wziąć pod uwagę moje ludzkie życie. Myślę, że mogłabym pójść do tej szkoły i nauczyć się, jak lepiej wykorzystywać swoje moce. O to chodzi w tym szkoleniu, prawda?

Luis wydawał się zaskoczony, ale szybko zrobił pewną minę i pokiwał głową.

- Mogłoby to być dla ciebie trudne - stwierdził. - Mam na myśli, że lubisz przodować, Cassiel. A wyobrażam sobie sporą gromadkę dzieci, które byłyby w tym o wiele lepsze niż ty, rozumiesz.

Uniosłam brwi.

- Na przykład?

- No nie wiem. - Puścił oko do Ibby. - Może ta panienska tutaj.

- Jestem bardzo zdolna. Myślisz, że możesz uczyć się szybciej niż ja, Isabel? - spytałam.

Ibby odwróciła głowę i spojrzała na mnie.

- Gdybym tego chciała - odparła. - Uczę się szybko, szybciej niż wszyscy inni. Tak powiedziała Pani... Zamknęła się w sobie i wiedziałam, że popełniłam błąd, wprowadzając ją na ścieżkę wspomnień, które musiały przywołać wspomnienie Perły i czasu, kiedy była zamknięta na Ranczu.

Wiele z tego ciągle przed nami ukrywała.

Odwróciła główkę i zanurzyła twarz w miękkim materiale koszuli Luisa jak młodsze, bardziej wstydliwe dziecko.

- Nie chcę iść do żadnej szkoły - szepnęła, niemal zajęczała. - Tío, nie każ mi tam iść!

Znów ją pocałował i mocno przytulił.

- Nie, skarbie, nie każę - obiecał. Ton jego głosu zdradzał, jak bardzo go to boli. I niezależnie od tego, czy Ibby to wiedziała, czy nie, ja wyczuwałam, że kłamie. - Nie każę ci zrobić niczego, czego byś sama nie chciała zrobić.

Przeszył mnie gwałtowny chłód, chociaż rzadko reagowałam na zmiany temperatury, chyba że ekstremalne i nagle. Spojrzałam na niego uważnie. Poruszył ustami, mówiąc bezgłośnie, bardzo wyraźnie: nie teraz. Niemal niezauważalnie skinęłam głową.

Ze względu na Ibby postanowiłam pozostawić jego kłamstwo bez komentarza.

Przyjdzie na to czas.

Dzień minął bez szczególnych wydarzeń - w każdym razie nie wydarzyło się wiele poza normalnym rozgardiaszem, jaki powodowało wałęsające się po domu niespokojne dziecko Strażnik. Luisowi i mnie organizacja Strażników kazała dyżurować przy telefonie bez przerwy, ale, o dziwo, był to dzień bez nagłych przypadków, poza kilkoma prośbami o drobne naprawy w sferze eterycznej - w jednym miejscu należało zmniejszyć ciśnienie sejsmiczne, a w innym je zwiększyć dla zachowania równowagi.

Ten spokój wydawał się nienaturalny i to mnie martwiło.

Luis nie mówił o rozkazie od Marion Bearheart aż do wieczora, kiedy Ibby poszła się kąpać - tę czynność nadzorowałam ja, choć z korytarza, bo Isabel zaczynała nabierać kształtów i przechodziła przez okres wstydlivości. Kiedy zaczęła się pluskać w wannie i namydliła włosy, spojrzałam w stronę kuchni na końcu korytarza, gdzie Luis wyciągnął butelkę piwa, otworzył ją, po czym odwrócił się do mnie. Zajrzałam do łazienki. Ibby śpiewała coś po hiszpańsku i układała włosy pokryte pieniącym się szamponem w wymyślne fryzury.

- Okłamałeś ją - stwierdziłam spokojnie, ciągle na nią patrząc. Nie zwracała na nas najmniejszej uwagi. - Co ci powiedziała Marion przez telefon?

Luis wypił duży łyk piwa.

- Marion oświadczyła, że mogę ją przywieźć albo oni sami po nią przyjadą - odezwał się. - Tak czy ina-

czej, ma się tam znaleźć. Chciałem jej powiedzieć, żeby mnie spróbowała zmusić, ale obawiałem się, że zrozumie to dosłownie. Marion trochę taka jest. Nie daje wyboru.

- I będziesz z nimi walczył, kiedy po nią przyjdą? - spytałam. - Bo przecież wiesz, że Ibby będzie się opierać. Zbyt się boi, żeby się znów poddać.

- Wiem, że się sprzeciwi. Prawdę mówiąc, jeszcze nie zdecydowałem. - Był wyraźnie zmartwiony i bardzo poważny. - Nie mogę pozwolić, żeby ją znowu zabrali, nie na moich oczach. Do tego nie dojdzie. Ale jeżeli Ibby i ja będziemy się bronić, ktoś z nich zginie, a może ktoś z nas. A prawdopodobnie także niewinni ludzie w całej okolicy.

- Mało tego. Jeżeli Ibby zaczną walczyć, używając swej śmiertelnej siły, będzie to dowód, że mieli rację, twierdząc, że nie można jej zostawić samej wśród innych dzieci. I zniszczy to jej szansę na wolność w przyszłości. A ona zabije, jeżeli uzna, że jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Widziała już, jak umierałeś, nawet jeżeli to był fałszywy obraz. Nie pozwoli, żeby to się powtórzyło, nie będzie czekała z założonymi rękami.

Zamknął oczy i przyłożył zimną butelkę do czoła.

- Jezu, co za koszmar. Chyba powinienem zapytać, co ty zamierzasz zrobić?

- Tak jak ty jeszcze nie zdecydowałam. Ale nie podoba mi się pomysł, żeby spróbować zabrać ją siłą, nawet jeżeli uważają, że jest to w jej dobrze pojętym interesie.

- I to nas łączy.

- Nie chcę też patrzeć, jak któreś z was umiera - ciągnęłam, jak gdyby nic nie powiedział. - Sama też nie zamierzam umierać. Dość wysoko siebie cenię.

Roześmiał się.

- A to dopiero!

- Jestem kimś ważnym dla Strażników - stwierdziłam bardzo poważnie i z naciskiem. - Czy nie wypada przyznać, że jestem cenna? To coś złego?

- Nie, to nic złego, Cass. - Odstawił piwo, podszedł do mnie i położył mi ręce na ramionach. Prawa była zimna, a lewa ciepła, ale temperatura szybko się wyrównała; zapomniałam o tym, kiedy spojrzałam mu w oczy i dojrzałam w nich szacunek i determinację. - Może czasami lekko przesadzasz z pewnością siebie, ale nie ma w tym nic złego. Jesteś cenna. - Przesunął ręce wyżej, a jego głos stał się miękki i głęboki. - Bóg jeden wie, że nie potrafię powiedzieć, jak cenna jesteś dla mnie. Wiesz o tym, prawda? Czujesz to?

Położyłam dłonie płasko na jego piersi, ale nie po to, żeby go odepchnąć; cieszyłam się, dotykając jego torsu, czując bicie serca. Życie w całej jego dziwnej, skomplikowanej wspaniałości.

Luis był niepowtarzalny. Tak jak Isabel. Tak jak Manny i Angela.

I w tym momencie zrozumiałam, że decyzja została już za mnie podjęta - że nie mogę pozwolić, aby Luis

i Ibby walczyli beze mnie, czy to w dobrej, czy w złej sprawie. A przecież wiedziałam, że może to mieć straszliwe konsekwencje.

Może nadejść czas, kiedy wszyscy będziemy musieli się poddać.

Luis prawdopodobnie też to wiedział, ale bardzo mądrze nic więcej nie powiedział. Zamiast tego pocałował mnie, słodko i ciepło, nasze wargi i języki się odnalazły i poczułam, jak wzrasta we mnie napięcie, złociste, gorące, kiedy nagle usłyszałam głos Isabel:

- Tia Cassie?

Chociaż trudno w to uwierzyć, zupełnie o niej zapomniałam. Wyrwałam się z objęć Luisa, odwróciłam i zobaczyłam, że wypuściła wodę z wanny, owinęła się ręcznikiem i stała na wyłożonej płytkami podłodze, ociekając wodą. Jej oczy zrobiły się wielkie.

- Jesteś zakochana w wujku Luisie? - spytała.

Spojrzałam na Luisa, który też na mnie popatrzył, powstrzymując śmiech. Rozłożył bezradnie ręce.
- Hej, nie mnie zapytała! - zawołał. - Powodzenia. Przynajmniej w tym wypadku byłam zdecydowana powiedzieć prawdę. Uklękałam obok Isabel na jedno kolano, tak że nasze oczy znalazły się na mniej więcej tej samej wysokości.

- Tak. Bardzo kocham twojego wujka. Nie masz nic przeciwko temu?

Przekrzywiła lekko głowę, zastanawiała się; najwyraźniej nie spodziewała się tak bezpośredniej odpowiedzi. Sądząc z tego, że Luis zaczął się krztusić, on również tego nie oczekiwał.

- Chyba nie - odparła dość sucho. - Ale nie zasmucaj go. Nie będzie mi się to podobało, jeżeli zrobi się smutny przez ciebie.

Patrzyła na mnie z poważnym wyrazem twarzy, aż w końcu skinęłam głową z taką samą powagą. Luis mógł tego nie zauważyć, lecz w jej słowach kryła się groźba. Nadal we mnie wątpiła gdzieś w głębi swojej istoty; Perła, kiedyś moja siostra w świecie dzinnów, z jakiegoś niejasnego i niebezpiecznego powodu zadała sobie wiele trudu, żeby uczynić ze mnie czarny charakter w oczach Ibby, przedstawić mnie jako potwora i okrutną morderczynię, wypaczyć charakter dziecka, tak żeby podążało w kierunku wyznaczonym przez nią. Wiedziałam, że musi minąć dużo czasu, zanim Ibby zdoła po tym wszystkim dojść do siebie, nawet jeżeli, myśląc racjonalnie, będzie próbowała znów mi wierzyć. Ciągle nie wiedziałam, co Perła chciała osiągnąć, porywając i odmieniając dzieci, lecz wiedziałam jedno: stawały się potężne i niebezpieczne, kiedy się je rozzłościło.

Podtekst w słowach Ibby był zupełnie oczywisty: jeżeli go skrzywdzisz, ja skrzywdzę ciebie. I zamierzała spełnić tę niewypowiedzianą groźbę. Mogła nie chcieć

krzywdzić złych ludzi, jednak dla Luisa zrobiłaby wyjątek potwierdzający regułę... nawet jeżeli tą złą osobą byłabym ja.

Kiwnęłam głową, nie spuszczać oczu. Obie dobrze wiedziałyśmy, co ona miała na myśli i na co ja się zgodziłam. Ibby, usatysfakcjonowana, złapała swój blad różowy szlafroczek ozdobiony jaskrawymi postaciami z kreskówek i zamknęła drzwi, żeby się przebrać.

Luis przysłuchiwał się całej naszej rozmowie i teraz, kiedy na niego spojrzałam, zrozumiałam, że jemu również nie umknął żaden podtekst.

- *Dios* - szepnął. - Ona by cię naprawdę zaatakowała, gdyby musiała, prawda?

- Tak. Dla ciebie zaatakowałaby każdego. Jesteś wszystkim, co ma, Luisie.

- Nie. Ma też ciebie. Nawet jeżeli tak naprawdę jeszcze o tym nie wie.

Chciałam w to wierzyć, ale musiałam dokonać pewnych wyborów - na razie małych, ale w oddali czaiły się większe, jak burza wisząca w powietrzu. Każda zła decyzja mogła mieć katastrofalne konsekwencje, nie tylko dla mnie, ale dla wszystkich, których pokochałam w ludzkim świecie.

Realnie oceniając sytuację, zostałam tutaj przysłana przez dżinny, żeby przerwać tragiczny, niezrozumiały łańcuch wydarzeń sprowokowanych przez Perłę, a miałam tego dokonać, niszcząc słabe ogniwo w tym łańcuchu.

To ogniwo to ludzkie istnienie, z którego Perła czerpała moc.

Niewykluczone, że tym razem nawet właściwa decyzja doprowadzi do tego, że stanę się wcieleniem zła, którego tak bardzo bała się Ibby, zniszczy mój kruchy związek z jej wujem i skaże mnie na wygnanie i samotność.

Wybory.

Nie cierpiałam ich.

Poczułam erupcję mocy w łazience i zareagowałam odruchowo, traktując to jak atak na Isabel; z hukiem otworzyłam drzwi i wpadłam do środka. Ibby krzyknęła i szybko cofnęła się pod ścianę. Była w szlafroku, włosy miała suche i trzaskające energią. Zbyt dużą ilością energii. Ani w wannie, ani na podłodze nie było nawet kropli wody, ale w powietrzu unosiła się lekka woń spalonego materiału. Zatrzymałam się, Ibby zdążyła już jednak wyczarować kulę białego ognia, którą trzymała w dłoni. Wpatrywała się we mnie olbrzymimi, przerażonymi oczami i wiedziałam, że widzi coś, co ukazała jej Perla - jak zabijam jej wujka. To było kłamstwo, lecz nadal nie potrafiła wyrzucić tych obrazów z pamięci, a ja właśnie wywołałam wspomnienia swoją zbyt silną reakcją i gwałtownością.

Podniosłam do góry obie ręce, pokazując puste dłonie.

- Spokój, Isabel - powiedziałam jak najłagodniej. - Wybacz, że cię przestraszyłam. Niepokoiłam się o ciebie. Myślałam, że stało się coś złego.

Nie od razu stłumiła płomień; wciąż mnie obserwowała, nieufna i nieszczęśliwa, aż wreszcie Luis ukazał się w drzwiach.

- Przestań, Ibby - polecił.

Zamknęła pięść i ogień zgasł. Cudowną aurę po nim widziałam ciągle, kiedy przymknęłam oczy.

- Ja nic nie zrobiłam - wyrzuciła z siebie i jej wydęte usta zadrżały, jakby miała za chwilę wybuchnąć szloch. - Ona mnie przestraszyła! Nie zrobiłam nic złego!

- Użyłaś mocy - stwierdziłam. - Obiecałaś, że nie będziesz jej używać, chyba że w samoobronie i pod naszym nadzorem.

Jeszcze bardziej wydęła usta i na jej małej twarzy pojawiły się upór i stanowczość.

- Byłam mokra. Chciałam się tylko wysuszyć.

- Nie wolno ci tego robić, Ibby. - Luis ostrożnie obszedł mnie naokoło i stanął między nami. -

Obiecałaś

mi, kochanie. Obiecałaś, że nie będziesz używała mocy tylko dlatego, że tak jest łatwiej.

- Ale byłam mokra. Wy się tak wycieracie, widziałam.

- To prawda, ale my jesteśmy starsi. Starsi mogą robić wiele rzeczy, a dzieci nie powinny.

- Na przykład co?

- Na przykład pić piwa. Albo się całować. Albo używać mocy tylko dlatego, że się ją posiada. To niebezpieczne, Ibby. Możesz skrzywdzić siebie i możesz też skrzywdzić innych.

Pomyślałam, że jak na mężczyznę, który nie spodziewał się, że będzie musiał kiedykolwiek przeprowadzać takie rozmowy z dzieckiem, szło mu nieźle.

Jednak Ibby ciągle miała wątpliwości.

- Ale chciałeś, żebym uratowała tych ludzi z pożaru. Powiedziałeś, że powinnam to zrobić.

- I byłaś bardzo dzielna - wtrąciłam się, kiedy zobaczyłam wahanie na twarzy Luisa. - Tylko że wtedy byliśmy z tobą, mogliśmy ci pomóc i dopilnować, żebyś nie zrobiła sobie krzywdy. Nie powinnaś używać mocy na własną rękę.

- Myślicie, że jestem zła. - Twarz Ibby zmieniła się we wrogą maskę. - Tak powiedziała Pani.

Strażnicy uważają, że my wszyscy jesteśmy źli. Chcą nas ukarać i odebrać nam nasze wyjątkowe zdolności. A teraz wy też chcecie mi je odebrać. Wszystko chcecie mi odebrać.

- Nie - zaprzeczył Luis. - Chcemy, żebyś była bezpieczna. Nic więcej. Musisz mi zaufać, Ibby. Ufasz mi, prawda?

To, co mówił, brzmiało tak szczerze, tak ciepło - nie potrafiłam sobie wyobrazić, że ktokolwiek mógłby mu nie ufać, choć przez chwilę. Ibby zawahała się, aż wreszcie skinęła głową.

- Ufam ci. - Zauważyłam, że mnie ciągle nie wybaczyła. - Ale nie będziesz mnie zmuszał do wyjazdu do tej szkoły?

- Nie, nie zamierzam cię zmuszać - odparł. - I nie zamierzamy pozwolić im cię zabrać. No więc przestań się bać, dobrze?

- Okej. - Przez moment przestępowała z nogi na nogę, po czym podbiegła do Luisa i przytuliła się do niego. - Mogę teraz pójść obejrzeć film?

- Jeden, a potem do łóżka. Może ten o rybkach? Podoba ci się.

Natychmiast się rozpogodziła i kiwnęła głową. Uśmiechnęła się nawet do mnie, pokazując słodkie dołeczki w policzkach. Też się uśmiechnęłam, czując, że mój niepokój ustępuje. Poszła do siebie, podekscytowana perspektywą zabawy; zapomniała o strachu.

Nie zapomniała jednak wszystkiego. Wiedziałam o tym. Nie ufała mi.

I prawdę mówiąc, miała rację.

3

Kiedy wyciszyłam emocje, zdałam sobie sprawę, że w zasadzie nie ma wątpliwości, czy Ibby powinna, czy nie powinna wyjechać do ustronia Strażników albo może do szpitala lub szkoły, wszystko jedno, jak to chcieli nazywać. Nie wierzyłam, że w jej bardzo młodym wieku - zważywszy na stres i szkolenie, jeżeli wolno to tak określić, które los jej zesłał - można liczyć na to, że uda się ją nauczyć odróżniać dobro od zła, gdy chodzi o użycie mocy, nawet jeśli będzie się to odbywało pod naszym kierunkiem. W najgorszym razie, gdyby do tego doszło, Luis i ja moglibyśmy mieć poważne trudności z zapanowaniem nad nią, a utrzymywanie sytuacji zagrażającej życiu

obcych ludzi to bardzo zły pomysł. Zdolności Isabel były wybuchowe... dosłownie. Miała dar dysponowania mocami Ziemi, który wymagał czasu, aby się w pełni rozwinąć, ale widziałam już, jak go nadużywano, tak jak ognia, kiedy znalazł się w niewłaściwych rękach. Tymczasem wywoływanie ognia przychodziło jej przerażająco łatwo, a był to jeden z najbardziej zauważalnych i najbardziej przerażających talentów. Ludzie - a ja teraz również się do nich zaliczałam - szczególnie boją się pożaru. Wiedziałam, że wcześniej czy później Isabel nauczy się wykorzystywać te zdolności, żeby móc postawić na swoim. W końcu które dziecko w jej wieku by tego nie chciało?

Tak więc bez względu na to, co Luis powiedział i co obiecał - ja zresztą też - nie ulegało wątpliwości, że Isabel trzeba umieścić w bezpiecznym, odosobnionym miejscu do czasu, kiedy jej moce zostaną okiełznane i odpowiednio ukierunkowane. Będzie to oznaczało zdradę i zniszczy kruche zaufanie do mnie, lecz nic nie mogłam na to poradzić.

Nawet dżinny rozumieją, że odpowiedzialność za dziecko nie zawsze jest równoznaczna z byciem lubianym. Luis nie mógł podjąć takiej decyzji.

Ja mogłam.

Kiedy Isabel poszła spać, podałam Luisowi szklanekę wody - pił jej ostatnio za mało - a gdy sięgnął po kolejne piwo, zamknęłam lodówkę, prawie przytrząskując mu dłoń.

- Musi tam jechać - oświadczyłam. - Wiesz, że musi, niezależnie od tego, co ona o tym sądzi.

Niezależnie od tego, jak będzie ciężko. Nigdy byś sobie nie wybaczył, gdyby skrzywdziła siebie lub innych, dlatego że zbyt próbowaliśmy ją chronić.

Wziął szklanekę, obrócił ją w palcach i wpatrywał się w nią, nie reagując na moje słowa. W końcu wypił wodę jednym haustem, niemal się krztusząc, i podał mi puste naczynie. Dolałam wody.

- Obiecałem jej - powiedział. - Uważasz, że mam nie dotrzymać słowa?
 - Nie, to ja nie dotrzymam słowa. Nie będziesz ponosił za to żadnej winy.
- Luis spojrzał na mnie, marszcząc brwi.
- Tu nie chodzi o moje sumienie, Cass.
 - Chyba jednak chodzi i rozumiem to. Ale wiesz, że argumenty Marion są solidne. Ibby potrzebuje większej pomocy, niż my sami potrafimy jej zapewnić, lepszego szkolenia i ochrony. Jeżeli będzie wśród dzieci z podobnymi doświadczeniami, może jej to pomóc.
 - Ona nie chce tam jechać!
 - Ma dopiero sześć lat. Oczywiście, że nie chce jechać. Ale jedno z nas musi dokonać wyboru i zrobić to, co konieczne.
 - I to musisz być ty. Zawsze ty. - Oddał mi szklanę i odsunął się ode mnie ze spuszczoną głową. - No dobrze. Masz rację, wiem, że masz rację. Co dalej?
 - Musimy się do tego zabrać ostrożnie. Będzie z nami walczyła i niewykluczone, że okaże się to bardzo niebezpieczne. Ten dom może błyskawicznie ulec zniszczeniu.
 - Do diabła, zniszczymy całe sąsiedztwo, jeżeli coś źle pójdzie. - Westchnął. - Też o tym myślałem. Rozmawiałem z Marion. Jest nieugięta; albo w ciągu tygodnia przywieziemy Ibby, albo wyśle grupę egzekucyjną i wtedy zrobi się naprawdę cholernie nieprzyjemnie. Ale nawet jeżeli zgodzimy się sami odwiedzić Ibby, i tak może być fatalnie.
- Solidaryzując się z nim i chcąc mu wynagrodzić stracone piwo, sama wypiałam resztę wody.
- Nie mógłbyś jej zaskoczyć w czasie snu i zmienić jej odpoczynku w śpiączkę, tak żeby się nie obudziła? -zapytałam.
- Należało to do umiejętności Strażników Ziemi, lecz było trudne i wymagało ciągłego monitorowania,

żeby mieć pewność, że sztuczna śpiączka nie przejdzie w prawdziwą.

- Mógłbym - odparł i skrzywił się, nieszczęśliwy. - Nie, powinienem móc to zrobić, ale szczerze mówiąc, myślę, że ona jest teraz wyczulona na takie rzeczy. Szkolenie Perły było gruntowne. Obawiam się, że się obudzi albo kiedy będę to robił, albo kiedy będziemy w podróży, i wtedy rozpęta się burza. Nie potrafię utrzymać w stanie snu kogoś, kto walczy, nie narażając go na poważne niebezpieczeństwo. Ona ci tak naprawdę nie ufa, a nie możemy pozwolić, żeby przestała ufać również mnie. Jeżeli tak się stanie, nie wiem, jak należałoby zareagować, żeby się przed nami nie zamknęła. - Wypił trochę wody, bez entuzjazmu. - Sądysz, że uda ci się dotrzeć do niej na tyle szybko, żeby móc ją tam zabrać bez problemów?

Moje szanse na powodzenie były jeszcze mniejsze niż jego; pokręciłam głową.

- A jednak musimy to zrobić.

- Tak, wiem. - Luisa niepokoiło nie tylko ryzyko związane z trzymaniem jej tutaj albo przewiezieniem gdziekolwiek, myślał również o tym, że dziewczynka zapłaci za to zdrowiem psychicznym. - Cass, coś mi się zdaje, że to jest właśnie to, czego chce Perła. Pozwoliła nam uratować Ibby i przywieźć ją tutaj, do świata ludzi, gdzie może dokonać największych zniszczeń. Perła może wykorzystywać Ibby, żeby nas wszystkich trzymać w szachu, zmusić nas, żebyśmy pracowali dwa razy więcej, niż powinniśmy. A jeśli chce się posługiwać tymi dziećmi jak bombami zegarowymi?

Nigdy nie udało mi się dokładnie ustalić, jakimi motywami kieruje się Perła; zawsze trudno było przewidzieć, co zrobi, nawet kiedy nie byliśmy wrogami, całe wieki temu, w zupełnie innym świecie. Bywała okrutna dla samego okrucieństwa albo w jakimś konkretnym ce-

lu. Nie potrafiłam zgadnąć, o co jej chodziło, kiedy porywała Isabel. Ale miała plan; tyle wiedziałam. Postawiła sobie za cel zniszczenie dżinnów, cel szalony; oznaczało to w rezultacie zagładę świata jako takiego. Perła nienawidziła wszystkiego i to tak bardzo, żeby w swej ślepej wściekłości chcieć zmieść wszystko z powierzchni ziemi. Ludzi, dżinny, rośliny, niespożytą siłę życiową samej planety. Prawdopodobnie sama też zginie, ale może przetrwać na tyle długo, żeby patrzeć na nagą, dogorywającą skalistą kulę i śmierć życia na niej. Umrzeć ostatnia, to była jej definicja wygranej. Istniał stosunkowo prosty sposób, żeby ją powstrzymać, gdybym tylko miała odwagę dokonać takiego wyboru; oznaczałoby to zagładę Isabel, Luisa, wszystkich ludzi, z którymi dzieliłam tę dziwną, kruchą egzystencję - trzeba było zrobić coś w rodzaju przecinki przeciwpożarowej i dzięki temu odciąć Perłę od źródła mocy. Poświęcić jeden gatunek dla dobra planety... jeden gatunek z tak bardzo, bardzo wielu. Już to kiedyś zrobiono.

Ashan skazał mnie na śmiertelne ciało za odmowę wykonania rozkazów, i tak nieumyślnie przekonał mnie, że absolutnie nie chcę zagłady ludzkości. Byłam zdecydowana znaleźć inny sposób, byle pokonać moją ekssiostrę.

Tyle że ciągle jeszcze nie wiedziałam jaki.

- Cass? - Ręka Luisa zamknęła się na mojej, sprowadzając mnie z zimnych wyżyn spekulacji do cieplej, zadziwiająco słodkiej teraźniejszości. Natychmiast zaiskrzyło między nami, otworzyłam się na niego, co mnie zaskoczyło, i uświadomiłam sobie, że się uśmiecham. -Coś wymyślimy. Nie uciekaj tam.

Uniosłam brwi.

- Gdzie?

- Do tego zamkniętego, ponurego miejsca, gdzie zawsze uciekasz. Wcześniej czy później pójdziesz tam i nie wrócisz do mnie, a ja tego nie zniosę. Nie zniosę!

Wiedziała, o co mu chodzi; położyłam swoją drugą rękę na jego dłoni, składając niemą obietnicę. Zawsze będę wracać. Dla niego.

Rozwiązanie nasunęło się samo, w dziwaczny sposób. Następnego dnia osobiście zasugerowała je Ibby, coraz bardziej znudzona rzeczami, które ją interesowały kiedyś, przed porwaniem. Najpierw chciała oglądać filmy, potem czytać, w końcu kazała sobie opowiadać bajki. Zabawki jej zubożyły. Do południa zdołała doprowadzić Luisa do szału swoimi żadaniami, podczas gdy ja przyglądałam się, speszona, jak miotał się, żeby sobie z nią poradzić i nie stracić cierpliwości.

- Dość - powiedział, kiedy w napadzie złości, nadąsana, zrzuciła ze stołu na kuchenną podłogę grę, jakieś puzzle, które ostatnio układała. - Dość, Isabel. Przestań się zachowywać, jakbyś miała dwa lata.

- A ty przestań udawać, że cię to obchodzi! - krzyknęła. Skrzyżowała pulchne ramiona, opuściła podbródek i spiorunowała go wzrokiem; mnie też. Patrzyłam na nich z bezpiecznej odległości. - Nuda. Wszystko jest nudne. Traktujecie mnie jak małe dziecko.

- A co chciałabyś robić? - spytałam.

- Jechać gdzieś.

- Gdzie?

Westchnęła teatralnie.

- Gdziekolwiek!

Wymieniliśmy krótkie spojrzenia z Luisem. Nie wiem, o czym myślał, ale tak naprawdę nie musiałam tego wiedzieć. Chciałam go tylko poprosić wzrokiem, żeby się nie wtrącał.

- Miałabyś ochotę przejechać się ze mną na motocyklu? Zmarszczył brwi i powiedział bezgłośnie: Co ty wyprawiasz? Leciutko pokręciłam głową i ustąpił.

Ibby, niezależnie od tego, czy mi ufała, czy nie, rozpromieniła się natychmiast na myśl o czymś, co niosło w sobie ukryte niebezpieczeństwo.

- Tak! - Wiercąc się, zeskoczyła z krzesła i wybiegła.

- Co ty, do diabła, robisz, Cass? - spytał Luis, kiedy tylko nie mogła nas już słyszeć. - Nie zamierzasz chyba zawieźć jej...

- Nie - odparłam, wiedząc, o co pyta. - Nie bezpośrednio. Zabieram ją na lekcję pogładową.

- Dokąd?

- Nie spodoba ci się to. Lepiej, żebyś na razie nie wiedział.

- Chcesz, żebym z wami pojechał?

- Nie - odmówiłam najdelikatniej, jak potrafiłam. - Musimy być tylko we dwie. Przepraszam.

Prosiłam o duże zaufanie i widziałam, że stacza ze sobą wewnętrzną walkę. W końcu sztywno skłonił głowę.

- Okej - powiedział. Chciał jeszcze coś dodać, ale ostatecznie na tym poprzestał. - Babskie sprawy. Rozumiem.

Ibby wróciła. Nie zauważyłam, żeby jakoś przygotowała się na wycieczkę.

- Musisz się przebrać - oświadczyłam.

Była w bladuróżowej, kwiciastej sukience, która bardziej nadawała się na przyjęcie niż na jazdę motocyklem.

- Po co?

- Będziesz jechała motocyklem. Sukienka nie jest do tego odpowiednia.

- Dlaczego? - Ciemne oczy Ibby się rozszerzyły, a usta zacisnęły w niebezpiecznym uporze.

- Dlatego że sukienkę będzie ci podwiewał wiatr.

- I co z tego?

- To nie jest właściwe, żeby dziewczynce... - Nie mogłam wymyślić odpowiedniego wyjaśnienia i kiedy Luis się roześmiał, spiorunowałam go wzrokiem. - Po

prostu włóż spodenki, Ibby. - Chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, uświadomiłam sobie, że zależy mi na tym, żeby dziecko było odpowiednio ubrane. Ale by się dzinny śmiały.

Isabel, głośno tupiąc, z marsową miną, poszła się przebrać, a Luis zachichotał, pochylił się nade mną i pocałował mnie w czoło.

- Bardzo dobrze. Znakomicie - pochwalił. - Zaczynasz chwytać, co to znaczy być rodzicem.

Zmarszczyłam nos, na co znowu się roześmiał i znów mnie pocałował, tym razem w usta. Był to ciepły, wilgotny, cudowny pocałunek i żałowałam, że tak szybko się zobowiązałam do wyjazdu z Ibby. Na pewno dałoby się znaleźć coś, co zajęłoby dziecko przez godzinę... a może dwie.

Zdałam sobie sprawę, że wplątam palce w jego włosy, rozkoszując się pocałunkiem. Pasemka były jak ciepły jedwab i pamięć zmysłowa powiedziała mi, że dobrze byłoby poczuć, jak muskają moją skórę... gdzie indziej.

Luis odsunął się z westchnieniem.

- Później - obiecał i położył palec na moich wargach. - Szkoda, że muszę to powiedzieć.

- Też żałuję - zgodziłam się z nim.

Gdybym nadal dysponowała mocami dzinna, zatrzymałabym czas i stworzyła specjalne miejsce, kryjówkę dla nas dwojga. Moglibyśmy tam robić to, na co mielibyśmy ochotę, tak długo, jak by się nam podobało.

Dzinny lubią oddawać się przyjemnościom. Łatwo je skusić. Tęskniłam za tym.

Z drugiej strony korytarza dobiegł nas okropny hałas, jeszcze bardziej się od siebie odsunęliśmy i Luis pokręcił głową.

- Gang motocyklistów na metamfetaminie w sobotnią noc nie narobiłby tyle szumu co ona, wkładając spodnie - mruknął. - Isabel, lepiej, żebyś nie robiła tego, co myślę, że właśnie robisz! - krzyknął.

Spojrzałam na niego zdumiona.

- A co ona robi?

- Nie mam pojęcia - przyznał. - To bez znaczenia. Nauczyła mnie tego jej matka; dzieci zawsze zakładają, że wiesz, co robią, nawet jeżeli nie wiesz.

Tajemnice gatunku ludzkiego.

Isabel pojawiła się chwilę potem schludnie ubrana w niebieskie dżinsy i różowy, trykotowy top. Jej policzki miały taki sam kolor jak bluzeczka i zastanawiałam się, co takiego zrobiła, że aż tak się zarumieniła.

- Coś się rozbiło - wyjaśniła. - Ale to nie moja wina. Luis poszedł zobaczyć, co się stało, a ja zdjęłam z wieszaka swoją skórzaną kurtkę i malutką, kolorową kamizelkę Isabel wyszywaną w kwiaty z buźkami. Ibby uważała ją za skarb i wiedziałam, że kiedy z niej wyrośnie, bardzo to przeżyje; kwiatki wyszyła z delikatnością i czułością jej mama i dopóki Ibby będzie mogła ją nosić, będzie czuła związek z Angelą.

Nie tak dawno kupiłam dziecięcy kask. Nawet nie wiedziałam, że tak bardzo ucieszy mnie ten spontaniczny zakup. Swoją czaszkę naraziłabym na niebezpieczeństwo, ale główkę Ibby - nie. Pomachałyśmy Luisowi z podjazdu, podsadziłam Ibby na tylne siodełko, sama usiadłam okrakiem na motocyklu i włączyłam silnik; zaskoczył z warkotem i pomrukiem. Ibby otoczyła mnie ramionami i zapiszczała z radości. Jej kask udekorowany błyszczącymi postaciami Disneya mienił się w słońcu odcieniami jaskrawego różu.

Luis trzymał w rękach dwie połowy rozbitego wazonu, którymi zaczął żonglować, żeby nam pomachać. Omal jednej nie złapał, kiedy wysłałam do jego ucha nasze połączone moce Ziemi i stuknęłam w błonę bębnekową, tworząc wibrujący dźwiękowy przekaz: *Nigdzie się nie ruszaj. Muszę ją przekonać, żeby zrobiła to z własnej woli. Spakuj jej rzeczy, i nasze też. Bądź gotów.*

Pokiwał głową, niczego nie zdradzając wyrazem twarzy. A jednak odczułam jego niepokój, wręcz strach. *Cass, co ty do diabła wyprawiasz?* - pytał w myślach.

Zaufaj mi, odpowiedziałam. Skinął głową sztywno i bez przekonania. Zasłużyłam na jego zaufanie, wiedziałam o tym, ale tu chodziło o Isabel i Luis nie wybaczyłby mi, gdyby stała jej się krzywda.

Ja także nigdy bym sobie nie wybaczyła.

Ostrożnie wyprowadziłam motocykl na ulicę i stopniowo nabierałam prędkości, bardzo dokładnie stosując się do ograniczeń, o których informowały znaki. Isabel wierciła się za mną, podekscytowana.

- Trzymasz się? - spytałam.

- Tak! - krzyknęła i na dowód mocniej mnie ścisnęła.

- Na pewno?

- Tak!

- Świetnie.

Dojechałyśmy do skrzyżowania i zatrzymałam się na światłach. Kiedy zmieniły się na zielone, mocno dodałam gazu i victory z rykiem podjął wyzwanie, wyskakując na główną drogę. Isabel nie mogła spaść, bo na wszelki wypadek wykorzystałam sporą dawkę mocy Ziemi, żeby związać jej ręce wokół mnie. Nawet gdybyśmy się rozbiły - co było bardzo mało prawdopodobne - zostałyby wyrzucone w powietrze razem ze mną i ochroniłabym ją przed obrażeniami.

Wiozłam ją w konkretne miejsce. Nie urządziłam przejażdżki dla przyjemności, chociaż najwyraźniej Isabel tak ją właśnie odbierała; piszczała z radości i odwracała twarz do wiatru. Co do mnie, należało to uznać za manipulację z zimną krwią. Znowu pomyślałam o kategoriach, na które dżinny dzieliły wszelkie istoty - przyjaciele, sojusznicy, przeciwnicy i wrogowie. Z przyjaciela stałam się dla Isabel sojusznikiem i byłam na najlepszej drodze do przekształcenia się we wroga. W tym mo-

mencie czułam się jak ktoś między sojusznikiem a przeciwnikiem, tak mi się przynajmniej wydawało. Zastanawiałam się, jak Isabel oceni mnie potem.

Wyprawa była naprawdę cudowna. Kiedy tylko znalazłyśmy się na autostradzie, błyszczącej czarnej linii przecinającej pustkowie w kolorze ochry, po obu jej stronach otworzyła się przed nami chłodna, zimowa pustynia. Niebo nad naszymi głowami było bezchmurne, blade, jak to się często zdarza w tej części Ziemi. W oddali sępy leniwie zataczały kręgi. Czułam powolne pulsowanie otaczającego mnie świata - zwierząt, które szukały pożywienia, polowały, spały, kopulowały; roślin wiodących swoje ciche, niewidoczne życie w słońcu i cieniu; pyłków i nasion. W tym świecie każdy kogoś pożerał, po czym sam był pożerany.

Dotyczyło to wszystkiego i wszystkich z wyjątkiem dzinnów.

To był najwspanialszy dzień, jaki kiedykolwiek spędziłam z Isabel, szaleńczy kalejdoskop wydarzeń - jazda motocyklem, jedzenie w przydrożnych knajpkach, zakupy w dziwacznych, zaniedbanych sklepikach. Obie byłyśmy brudne od pyłu, zanim dotarłyśmy do miejsca, w które od początku zamierzałam ją dowieźć - niemal opuszczonego sklepu zoologicznego o nazwie Egzotyczni Ulubieńcy Mabel, w bardzo pustej okolicy, z dala od Albuquerque, gdzie góry ledwie majaczyły na horyzoncie. Pojedynczy budynek pokryty grubym, wypłowiałym tynkiem miał małe, okratowane okna i skrzypiący szyld szarpany wiatrem. „Wejź i zobacz dziewczynę-gada!” - bił z niego w oczy napis, byle jak namalowany czerwoną farbą.

Rozluźniłam więzy, którymi skrupowałam Isabel, i pozwoliłam jej zejść z motocykla; wyglądała na bardzo małą i zagubioną, kiedy tak stała w ręcznie uszytej kamizelce i kasku księżniczki Disneya. Jej tenisówki skrzyły się w słońcu.

- Dlaczego musimy tam wejść? - spytała. - Wygląda przerażająco.
- Trochę tak - zgodziłam się i wyciągnęłam rękę. - Chciałabym, żebyś poznała kogoś, kto tu mieszka.
- Kiedy się zawahała, dodałam: - Mają też lody.

Natychmiast się rozchmurzyła i wzięła mnie za rękę. W tym momencie ścisnęło mnie w żołądku, poczułam, jak coś mrocznego i lepkiego podchodzi mi do gardła - poczucie winy, a jednocześnie obrzydliwa pewność, że robię coś właściwego, niezależnie od tego, jak bardzo okaże się to nieprzyjemne dla nas obu.

Luis wścieknie się, kiedy się dowie.

Na parkingu stało kilka samochodów, między innymi zardzewiały furgon z olbrzymią, niezdarnie namalowaną podobizną kobiety z głową kobry. Czerwone litery krzyczały: „Zobacz kobietę-węża! Tylko u Mabel!”

Zauważyłam, że Ibby coraz bardziej się boi. Zostawiłam kask przy motocyklu, ale ona postanowiła nie zdejmować swojego. Trzymała mnie mocno za rękę lepką i spoconą dłonią.

Otworzyłam drzwi do sklepu. Zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy. Ibby wzdrygnęła się i cofnęła.

Spojrzałam na nią, potem ona na mnie, w końcu kiwnęła głową i uśmiechnęła się niepewnie.

Ten uśmiech sprawił, że się zawahałam, odwróciłam wzrok, weszłam jednak do środka, ciągnąc dziewczynkę za sobą.

Wewnątrz miejsce to wcale nie wyglądało jak gabinet strachu - było zaskakująco czyste i chłodne, a przyćmione światło jakimś cudem wydawało się kojące, a nie ponure. Pod wszystkimi czterema ścianami stały rzędy terrariów oświetlone barwionymi na niebiesko lampami fluorescencyjnymi i czerwonym blaskiem lamp grzewczych. W każdym terrarium znajdował się mały ekosystem, skrupulatnie konserwowany. Była tam pustynia

dla australijskich agam brodatych, które wygrzewały się zadowolone w piasku pod ciepłą lampą i kiedy przechodziłyśmy, przyglądały się nam, zaciekawione, przekrzywiając głowy. W innym terrarium wśród liści i kropli deszczu wylegiwała się chińska agama błotna; Ibby zatrzymała się i przypatrywała jaszczurce o jaskrawym szmaragdowym kolorze. Pisnęła z przerażenia, a jednocześnie z zachwyty, kiedy w następnym pojemniku wielki niebieski gekon oblizał własne oko - Ibby nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia - zaczął gonić świerszcza, który również zamieszkiwał terrarium.

Usłyszałam suchy szelest koralików.

- W czym mogę pomóc? - zapytał ciepły kobiecy głos.

Ibby pochłonięta odkryciem prawdziwej olbrzymiej iguany wyciągniętej na gałęzi na tyłach sklepu, niezamkniętej w żadnej klatce, nawet nie usłyszała pytania. Obok zwierzęcia znajdował się napis: „Tak, możesz mnie głaskać pod warunkiem, że będziesz miła”. Ostrożnie wyciągnęła rękę i musnęła palcami wielki łeb iguany z mocną szczęką, na co jaszczurka leniwie otworzyła złociste oko, po czym je znowu zamknęła. Ibby ją pogłaskała, a iguana podniosła głowę, prosząc o więcej. Dziewczynka zaśmiała się perliście; sprawiło mi to ból - w tym momencie poczułam, że jestem bliska zniszczenia tej niewinności, która w niej jeszcze pozostała.

Spojrzałam na kobietę. Przyszła z zaplecza; była w średnim wieku, wysuszona przez lata i słońce; w jej ciemnych włosach do ramion lśniły siwe pasemka. Na jej ramieniu siedziała agama brodata i przyglądała mi się z zuchwałym zainteresowaniem.

Wyciągnęłam rękę. Jaszczurka bez wahania przeskoczyła z ramienia kobiety do mnie, usiadła na mojej dłoni i dalej mi się przyglądała. Była lżejsza, niż się spodziewałam, i bardzo ciepła. Miała miękką, suchą skórę

i przekrzywiła łebek lekko zdziwiona, jakby zadając pytanie, którego nie potrafiłam usłyszeć.

- Cześć, koleżanko - powiedziałam do niej i delikatnie dotknęłam palcem jej głowy. Usadowiła się wygodnie na mojej dłoni, ale oddałam ją Mabel. Wzięła ode mnie jaszczurkę i uniosła brwi.

- Jesteś inna - stwierdziła. - Dżinn, tak? Kiedyś miałam dżinna, dawno temu, wielkiego faceta, przerażającego jak diabli. Naprawdę musiałam uważać na to, co robię, kiedy kręcił się w pobliżu. Między innymi dlatego wycofałam się z biznesu.

Chodziło oczywiście o „biznes” Strażników. Mabel była kiedyś Strażniczką Ziemi. Postanowiła dać sobie przytępić moce i wycofać się ze służby. Nie miałam wątpliwości, że ciągle zachowała silny wpływ na żywe stworzenia w sklepie; wszystkie były zdrowe i szczęśliwe, począwszy od węży przez jaszczurki do stawonogów, takich jak tarantule i skorpiony, zadziwiająco zadowolone z siebie.

- Na imię mi Cassiel - powiedziałam. - Przyjechałam tu, żeby przedstawić małą Isabel twojej przyjaciółce.

Mabel, do tej pory otwarta i przyjacielska, całkowicie zamknęła się w sobie. Poczułam, jak zmienia się atmosfera w całym sklepie. Iguana, którą Isabel ciągle głaskała, poruszyła się na gałęzi i podniosła na swoich mocnych, muskularnych nogach. Ukazało się, schowane dotychczas, jej duże, cętkowane podgardle, przez co zrobiła się jakby jeszcze większa; zaczęła kiwać łbem, wykonując szybkie, agresywne ruchy w górę i w dół. Iby cofnęła się, zdziwiona, lecz iguana patrzyła na mnie, nie na nią.

- Jeżeli chcecie zobaczyć dziewczynę-węża, kosztuje to pięć dolarów od osoby - oświadczyła Mabel. Jej słowa zabrzmiały obojętnie, pozbawione jakiejkolwiek emocji. Wyciągnęła rękę. Otworzyłam portfel i wsunę-

łam jej w dłoń dziesięć dolarów. Spojrzała mi w oczy. Jej były czarne, zimne, surowe. - Ona nie jest moją przyjaciółką. I robię to tylko dlatego, że ona tego chce. Gdyby wybór należał do mnie...

Ale najwyraźniej nie należał, bo pokręciła głową i podeszła do kołyszącej się w drzwiach zasłony z koralików Rozsunęła ją i odwróciła się.

- Ibby! - zawołałam i wyciągnęłam rękę. - Jest tu ktoś, z kim mamy się spotkać.

- Nie mogłabym zostać tutaj? - spytała cicho. -Podoba mi się ta iguana. Jest fajna.

- Nazywa się Darwin, to on, nie ona - poinformowała Mabel. - I rzeczywiście jest bardzo fajny. Może dzieciak powinien tu zostać.

- Musi to zobaczyć - odparłam.

Mabel popatrzyła na mnie, zaskoczona; widziałam, że nad czymś się zastanawia; w końcu kiwnęła głową.

- Dobrze. No, dobrze. Chodź, mała, twoja przyjaciółka już za ciebie zapłaciła. Darwin poczeka.

Obiecuję.

Isabel zmarszczyła brwi, jeszcze raz spojrzała na iguanę z autentycznym lękiem w oczach, ale jaszczurka znów położyła łeb na gałęzi, wyraźnie pokazując, że zgadza się z tym, co powiedziała Mabel.

Wzięłam Ibby za rękę i razem wyruszyliśmy na spotkanie z dziewczyną-wężem.

Pierwszą oznaką, że chodzi o coś niezwykłego, była krata na końcu korytarza - brama z zasuwą.

Mabel szła przodem, dzwoniąc kluczami. Otworzyła bramę i kiedy ją uchyliła, dał się słyszeć zgrzyt metalu. Powietrze było ciepłe i pachniało dzikim zwierzęciem.

- A teraz zasady - oznajmiła. - Dziewczyna-wąż znajduje się za szkłem. Nie dotykajcie szkła. Nie denerwujcie jej; trzeba ją potem uspokajać przez wiele dni. Nie próbujcie też z nią rozmawiać. Tylko popatrzcie i wyjdźcie. Okej?

- Okej - odparłam. Nie zamierzałam zastosować się do żadnej z tych reguł, ale nie musiałam informować o tym Mabel.

- Prosto i po lewej - wyjaśniła. Zasuwała za nami bramę i zarygłowała ją. - Poczekam tutaj. Choć powietrze było ciepłe i pachniało piżmem, poczułam, że przeszył mnie dreszcz. Isabel zareagowała tak samo.

Czy postępowałam właściwie?

Za późno, żeby zmienić zdanie. Tak jest najlepiej dla niej, powiedziałam sobie.

I miałam nadzieję, że się nie mylę.

Razem z Isabel weszliśmy w wąski ceglany korytarz zakończony łukiem, pod którym znajdowały się drzwi do dużego pokoju. Połowa tego pomieszczenia była zamknięta potężnym ekranem - ze zbrojonego szkła o grubości co najmniej dwunastu centymetrów. Po drugiej stronie pokoju zauważyłam jeszcze jedno drzwiczki bez klamki od wewnątrz, z otworem na tyle szerokim, żeby zmieściła się w nim taca z jedzeniem.

W środku pokoju na zniszczonej sofie, kiedyś koloru starego złota, leżała olśniewająco piękna młoda kobieta w wieku około dwudziestu lat. W jej twarzy o doskonałych proporcjach można było dostrzec coś egzotycznego, azteckiego; skóra połyskiwała głębokim, miedzianym odcieniem. Miała czarne oczy i równie czarne włosy spadające jak hebanowe fale na jej plecy.

Wyglądała na rozdrażnioną. Rozwalona na kanapie, naciskała guziki pilota skierowanego na duży płaski ekran telewizyjny po drugiej stronie pokoju. W końcu dała sobie z tym spokój i rzuciła pilot na mały stolik, gdzie wały się wielokrotnie przekartkowane czasopisma i puszki po napojach.

Ewidentnie miała szczególną słabość do dr. peppera.

- Co? - warknęła, wreszcie zwracając na nas uwagę. Jej głos dotarł do nas wyraźnie, ale z boku, z głośnika na ścianie. - Nigdy nie widziałyście dziewczyny-węża? *Vdmanos*, sieroty. Musicie coś dostać za swoje pięć dolarów.

Wyglądała jak najbardziej normalnie od pasa w górę, ubrana w stary, wypłowiały podkoszulek w takie same postacie z kreskówek jak kask Isabel. Jednak od pasa w dół jej ciało zmieniało się w muskularny, układający się w zwoje tułów węża - masywny, w jasno- i ciemnobrązowe oraz czarne wzory typowe dla grzechotnika. Łuska lśniła w świetle, a kiedy zwoje zaczęły się poruszać, zsuwać z sofy, zobaczyłam błysk białej kości na końcu ciała.

Miała długą grzechotkę i wkrótce rozległo się nieustające brzęczenie, jakby z tysięcy uli wyleciały zdenerwowane pszczoły.

Isabel wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami. Nic nie mówiła. W końcu spojrzała na mnie.

- Co się jej stało? - zapytała.

Dziewczyna-wąż roześmiała się, ostro, nieprzyjemnie, jakby ktoś wbijał nóż w kredową tablicę.

- *Mira*, toto mówi. A co myślisz, że mi się stało, mała suko? Zostałam przeklęta przez złą czarownicę. Co jeszcze? Tyle tylko, że to ja byłam tą złą czarownicą. -Przestała się śmiać i przerażająco szybko przysunęła się do szkła; jej górna połowa kołysała się nad masywnym, muskularnym cielskiem węża, kiedy się nam przyglądała, a zwłaszcza Isabel. W końcu spojrzała wprost na mnie. - Ty. Wyglądasz jak dzinn.

Wzruszyłam ramionami.

- Byłam dzinnem.

- To tłumaczy, skąd wiedziałaś o mnie. Nie ogłaszam się w książce telefonicznej. Nie przypuszczałam, że dzinny zwracają tak wielką uwagę na Strażników nieudaczników.

Nawet nie mrugnęłam, patrząc na nią; było w niej coś drapieżnego i prymitywnie strasznego.

- Dżinny nie zapominają takich nieudaczników jak ty - powiedziałam.

Sprawiło jej to chyba przyjemność, z jakiegoś dziwnego, niejasnego powodu. Znowu skupiła się na Ibby.

- A ty. Ty jesteś zupełnie taka sama jak ja w twoim wieku. Może trochę chudsza. No i ja byłam niższa. Ibby cofnęła się o krok, ale nie miałam zamiaru pozwolić jej uciec. Jeszcze nie. Próbowала się wyrwać, lecz wykorzystałam odrobinę mocy Ziemi i unieruchomiłam jej nogi w miejscu, gdzie stała. Dziewczyna-wąż przyłożyła swoje obie jak najbardziej ludzkie ręce do szkła, po czym rozpląszczyła na nim twarz - piękne rysy zmieniły się w coś dziwnego i monstrualnego. Odsunęła się i roześmiała, najwyraźniej zadowolona z zakłopotania, w które nas wprowadziła.

Ibby się trzęsła.

- Byłam taka bystra - ciągnęła dziewczyna-wąż. - Wszystko wiedziałam lepiej niż inni. Wierście mi, naprawdę byłam dobra i uczyłam się szybko. Miałam osiem lat i umiałam składać kości i leczyć choroby. Kiedy skończyłam dziesięć, potrafiłam sprawić, że zboże wyrastało z niepłodnej ziemi. Byłam pieprzonym cudem, tak, pieprzonym cudem. Wszyscy to mówili, wszyscy *curanderas*. - Uśmiechnęła się, ale bardzo nieprzyjemnie, a jej ciało skrzywiło się płynnie najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Hipnotyzowała i przerażała. Czułam, jak Isabel drży. - Umiałam zrobić wszystko. Każdemu! Dla każdego. Rozumiecie, jakie to uczucie?

Isabel nie przytaknęła, ja owszem. Dokładnie wiedziałam, jak to jest.

- No cóż, zdawało mi się, że umiem zrobić wszystko - oświadczyła dziewczyna-wąż. - Ale skąd można wiedzieć, dopóki się nie spróbuje? Tak więc chciałam się

przekonać, czy to prawda. - Zawahała się, przypatrując się mnie, a potem Isabel. - Na pewno chcecie, żebym wchodziła w szczegóły?

- Tak - odparłam.

Isabel nie odezwała się ani słowem.

- Cóż, zapłaciliście. - Dziewczyna-wąż wzruszyła ramionami. - Zaczęłam po troszku, ze zwierzętami, zmieniając je w inne. Niektóre zdechły, niektóre dostały wścieklizny. Ja jednak nie rezygnowałam, czemu nie, prawda? Zmieniałam psy i koty w niedźwiedzie i lwy, tylko na ogół niezupełnie mi się to udawało. Zostawał wielki bałagan, który zawsze trzeba było uprzątnąć i ukryć. Pomyślałam sobie, że już dość eksperymentów ze zwierzętami, więc przemieniłam dwójkę dzieci, sprawiłam, że w ciągu jednego dnia urosły na metr osiemdziesiąt. - Jej dziki, złośliwy uśmiech zgasł. - Powiedziały, że chcą wydorosnąć. Cóż, pomogłam im. Tyle że powiodło się nie lepiej niż z psami i kotami i był jeszcze większy bałagan do posprzątania. No i złapano mnie.

Znałam dalszy ciąg historii, część z udziałem dżinna -znały to wszystkie dżinny. Wydawało się, że dziewczyna-wąż nie ma ochoty opowiadać dalej albo może lubiła dozować napięcie. Cisza się przedłużała.

- I co potem? - przerwałam ją wreszcie.

- Potem *curanderas* przysłali dżinna, żeby mnie powstrzymał. Prawie wygrałam, wyobraźcie sobie. Zmieniłam się w olbrzymiego grzechotnika i go ukąsiłam, ale zdążył jeszcze wszystko zwrócić przeciwko mnie. Zabiłam go, zabiłam dżinna, możecie w to uwierzyć? - Roześmiała się i tym razem w jej ustach ukazały się wielkie białe kły, błyszczące i ociekające jadem. - Ale się zemścił. Uwięził mnie w takiej postaci. Nie na tyle człowiek, żeby żyć, i nie na tyle wąż, żeby umrzeć. Dziwoląg. A skoro już nadaję się do gabinetu osobliwości, to, do jasnej cholery, zamierzam na tym zarobić!

Kiedy skończyła, znów zapadła cisza, słychać było tylko suchy szelest poruszających się zwojów. I wtedy niespodziewanie odezwała się Ibby.

- Nie jest ci przykro? - spytała. - Z powodu tego, co zrobiłaś?

- Przykro? - Dziewczyna-wąż odrzuciła głowę do tyłu i spojrzała na Isabel wzrokiem, w którym wyczułam arogancję. - Dlaczego miałoby mi być przykro? Nie prosiłam o te moce. A ty co? Kupiłaś je w sklepie internetowym, *idiota*?

- Mnie byłoby przykro - odparła Ibby łagodnie - gdybym zrobiła to, co ty zrobiłaś. Mdliloby mnie. Nienawidziłabym samej siebie.

Coś jakby wściekłość wykrzywiło twarz dziewczyny-węża i przez głośnik znów dobiegło ostre, ostrzegawcze grzechotanie. Zwijającym się cielskiem uderzyła w szkło z taką siłą, że na jego powierzchni pojawiła się rysa. Mała, ale to coś oznaczało.

Uwolniłam Isabel z więzów. Pobiegła w najdalszy kąt pokoju, ciągle twarzą zwrócona w stronę dziewczyny-węża, jakby nie potrafiła odwrócić się plecami do tego, co widziała. Czułam to samo, nie dałam jednak tego po sobie poznać i się nie cofnęłam. Nie zamierzałam cofać się przed morderczynią dzinna.

- Nikogo już nie skrzywdzisz - powiedziałam, nie tyle do niej, ile z myślą o Isabel. - Jesteś zamrożona w tej postaci, nie masz żadnej mocy i nie możesz się zmienić ani w człowieka, ani w węża. Będiesz żyła, a potem umrzesz zawieszona między istnieniami. Między światami. - Tak jak ja, pomyślałam, ale przynajmniej mój los nie był tak tragiczny. - Strażnicy nie próbowali ci pomóc?

Dziewczyna-wąż się roześmiała.

- Próbowali, a jakże. Podawali mi środki uspokajające i kazali swoim najlepszym Strażnikom Ziemi spróbo-

wać mnie zmienić. Ale najwyraźniej ten dzinn był po prostu za dobry. To dopiero pech. Gdyby mnie przywrócili do normalnego stanu, unicestwiłabym ich wszystkich.

- Dlaczego? - Zadałam to pytanie, bo pomyślałam, że a nuż to osobliwe stworzenie da mi wgląd w umysł Perły, mojego wroga. Niezbyt obchodził mnie los dziewczyny-węża, tak jak jej nie obchodził los tych, których zniszczyła. Spotkała ją zasłużona kara za jej czyny, kara w stylu dzinnów. Powinna cierpieć.

- A dlaczego nie? - spytała i znów się roześmiała. Wyglądała w tym momencie bardzo ładnie i jednocześnie sprawiała wrażenie obłąkanej. - Nie pozwoliliby mi przecież robić tego, co bym chciała. Mówią, że nadużywałam mocy. A ja mówię, że nawet jeszcze nie zaczęłam jej na dobre używać. Ale prawdą jest, że mogli mnie zabić i nie zabili. Czyli chyba jestem im coś winna.

Zamilkła i tylko stała tam, kołysząc się do przodu i do tyłu, po czym nagle gwałtownie się odwróciła, kiedy otworzyły się stalowe drzwiczki z drugiej strony pokoju i wskoczył przez nie królik, niezdecydowany, przestraszony. Usiadł, żeby ocenić sytuację, niepewny, co sądzić o dziewczynie-wężu.

Poruszyła się błyskawicznie, łuski i kły zlały się w jedno, cała jej uroda zniknęła, zmaszana przez wściekłość. Jej koszmarna twarz nabrzmiała, szczęka rozwarła się, by pochwycić zdobycz, zanim królik zorientował się, jaką śmiertelną pomyłkę popełnił, ostatnią.

Odwróciłam się plecami, nie chcąc na to patrzeć,

i podeszłam do Isabel. Nie wyciągnęłam do niej ręki, wiedziałam, że nie chciałyby tego. Nie patrzyła na mnie, jej szeroko otwarte oczy obserwowały scenę za szkłem.

Kucnęłam, by zrównać się z nią wzrostem.

- Ibby, spójrz na mnie - poprosiłam.

Nie zrobiła tego od razu, lecz w końcu z oporami przeniosła wzrok na mnie. Spodziewałam się gniewu

w jej oczach, lecz go nie dostrzegłam. Dostrzegłam natomiast, bardzo wyraźnie, strach.

- Chciałaś, żebym to zobaczyła - szepnęła. -Chciałaś, żebym zobaczyła, do czego dojdzie, jeżeli będę robiła złe rzeczy. Jeżeli stanę się taka jak ona.

Powoli pokiwałam głową.

- To tylko jedna z możliwości - powiedziałam. - Ludzie nie są dzinnami. Dżinny rodzą się z mocą, są odpowiednio wychowywane i kształtowane. Ludzie są... delikatni, nawet ci najlepsi. A moc jest rzeczą trudną. Wypacza również najsilniejszych. Wiem, że wiele od ciebie wymagam, ale' jesteś zbyt zdolna, żeby nie zrozumieć, jak dużo ryzykujesz.

Obie popatrzyłyśmy na dziewczynę-węża, która połykała wierzgającą łapkę nieszczęsnego królika.

Uśmiechnęła się do nas, ukazując zakrwawione zęby.

Spodziewałam się, że Isabel ucieknie, ale nie. Obeszła mnie wkoło, zbliżyła się do szklanego ekranu i spojrzała dziewczynie-wężowi prosto w twarz. Ta z kolei zwinęła się, tak aby jej oczy znalazły się na tym samym poziomie, co oczy Ibby.

- Co? - spytała. - Jeszcze ci nie dość za twoje pięć dolarów, suko?

Isabel przełknęła ślinę, lecz jej głos brzmiał stanowczo.

- Chciałam się tylko dowiedzieć, jak ci na imię - powiedziała.

Po raz pierwszy zobaczyłam, że dziewczyna-wąż jest zaskoczona. W tym momencie nie wyglądała na wiele starszą od Isabel. Rysy jej twarzy natychmiast stężały.

- Dziewczyna-wąż. Właśnie nią teraz jestem -oświadczyła.

- Kim byłaś kiedyś? Przedtem?

- Dlaczego chcesz wiedzieć?

- Po prostu chcę. Proszę.

Prawdopodobnie po raz pierwszy ktoś o coś prosił dziewczynę-węża, od kiedy zamknęła się w tej klatce,

albo raczej została zamknięta. Przez chwilę milczała, słysząc jedynie poruszające się zwoje i suchy chrobot łusek.

- Esmeralda. Mój brat nazywał mnie Es - odparła wreszcie.

- Ja nie mam brata - powiedziała Ibby. - Ale moja *mami* mówiła na mnie Ibby. Dziękuję, Es.

- Za co?

Ibby wzruszyła ramionami.

- Po prostu dziękuję. - W akcie odwagi tak jasnym, że aż nie mogłam uwierzyć, że coś takiego widzę, Ibby położyła swoją małą rączkę płasko na szkle. - Mam nadzieję, że pewnego dnia poczujesz się lepiej, Es.

Dziewczyna-wąż - Esmeralda - długo wpatrywała się w Isabel dziwnym, wzburzonym wzrokiem, a potem wolno wyciągnęła rękę i przyłożyła ją do ręki Ibby; dzieliło je dwanaście centymetrów zbrojonego szkła.

- *Adios*, Ibby. Nie ufaj dżinnowi. Ona jest zimna jak ja - poradziła.

- Nie ufam nikomu. Tak naprawdę nikomu - szepnęła Ibby.

Esmeralda kiwnęła głową. Ibby też, po czym podeszła do mnie. Wstałam, a Isabel podała mi rękę.

Ujęłam jej dłoń.

- Jestem gotowa - powiedziała.

- Żeby wyjść?

- Żeby jechać do szkoły. - Spojrzała na mnie bardzo poważnie. - Czy nie tego chciałaś?

4

Iguana o imieniu Darwin rzeczywiście na nas czekała, kiedy wynurzyłyśmy się z zaplecza, co wyraźnie rozweseliło Isabel. Mabel przyglądała się nam spod zmarszczonych brwi. Naradziłam się z Isabel i zdecydowałyśmy, że iguana jest zbyt wielka i że zamiast niej zadowolimy się agamą brodatą. Wężę jako towarzysze zabaw nie interesowały Ibby.

Zatelefonowałam do Luisa, który odebrał po pierwszym dzwonku. Wydawał się zaniepokojony.

- Czy mógłbyś przyjechać furgonetką? - spytałam. -Mamy coś do zabrania.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Kupiłam Isabel zwierzątko. Zapanowała długa cisza.

- Czy to coś jadowitego? - zapytał w końcu.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- To... zaskakujące z twojej strony, no, no. Dobrze. Później mi to wyjaśnisz.

Dałam mu adres i zanim przyjechał, spędziłyśmy z Isabel całkiem przyjemną godzinę, zapoznając się ze zwierzętami korzystającymi z delikatnego ciepła resztek mocy Ziemi tkwiących w Mabel.

Pomyślałam, że Esmeralda znajduje się w najlepszym z możliwych miejsc; Mabel troszczyła się o wszystkich swoich podopiecznych, łącznie z dziewczyną, którą prawdopodobnie łatwo sprowokować do agresji. I chociaż Mabel czuła się nieswojo, wystawiając Esmeraldę na pokaz, Es wyraźnie to odpowiadało; uwielbiała widzieć na ludzkich twarzach niepokój i przerażenie.

Tym razem Esmeralda dostała chyba więcej za swoje pięć dolarów, niż się spodziewała, dzięki Isabel.

Mabel udzieliła nam wszelkich niezbędnych instrukcji co do opieki nad agamą i dała nam zapas żywności dla jaszczurki, którą Isabel natychmiast zdecydowała się nazwać Spike. Spike był na tyle oswojony, że w drodze do domu usadowił się w słońcu na kolanach Isabel i drzemał uszczęśliwiony z łebkiem opartym na jej dłoni.

Jednak Luis raz po raz rzucał i na Spike'a, i na mnie nerwowe spojrzenia.

- To nie była tylko wyprawa po zakupy - stwierdził. Ibby również poddała się ciepłu słońca i zasnęła z główką przechyloną na moje ramię. Nic nie wskazywało na to, żeby słyszała naszą rozmowę.

- Musiałam jej coś pokazać - odparłam. - Musiałam ją przekonać. Wydawało mi się, że to jedyny sposób.

- Wystraszyć na amen? Zastanowiłam się.

- Możliwe. I możliwe też, że właśnie przedstawiłam jej przyszłą sojuszniczkę, a w takim wypadku będziemy się mieli później nad czym głowić. Ale teraz myślę, że Ibby pojedzie do szkoły bez walki.

- Świetnie. Dzwoniła Bearheart. Ona wcale nie żartuje z tym ostatecznym terminem. Jak chcesz to zrobić? Niezbyt mi się podoba pomysł z wsadzeniem jej do samolotu, a Marion mówi, że już za późno, aby się spotkać w Strefie 51.

- Lepiej jedźmy samochodem. A poza tym wątpię, żeby wpuścili Spike'a na pokład.

Szkoła, którą założyła Strażniczka Bearheart, znajdowała się w Normandii w stanie Wyoming. W dzisiejszych czasach trudno by wskazać miejsce bardziej zasługujące na miano odludzia. Podróż była długa i trudna, zwłaszcza że nie mogłam sobie pozwolić na dłuższe odwrócenie uwagi od otaczającego nas świata; wrogowie czaili się w ciemnościach nocy, tropili nas i gdybyśmy

stracili czujność, ułamki sekund decydowałyby o życiu lub śmierci.

Mimo to doszłam do wniosku, że niełatwo znaleźć coś, co lubiałam bardziej niż jazdę na victory, kiedy czułam, jak droga znika mi pod kołami. Smagał mnie wiatr, paliło słońce, musieliśmy się schronić na prawie cały dzień przed ulewnym słońcem, a jednak coś we mnie uznało to włóczęgowskie życie za szalenie cudowne. Potem zaczął sypać śnieg, tworząc białe kurtyny i kryjąc świat pod gęstymi zaspami.

Podejrzewam, że dla jadących furgonetką Luisa i Isabel podróż była jedynie bardzo męcząca.

Kiedy w końcu dotarliśmy do Wyoming, uznałam, że to piękne miejsce, w surowy i cudowny sposób, w jaki mogą być piękne tylko rzeczy martwe. Zwłaszcza pod grubą pokrywą śnieżną robiło wrażenie odwiecznego i zdawało się sugerować, że ludzie są tu najnowszymi, lecz niekoniecznie mile widzianymi gośćmi. Podobał mi się charakter Wyoming.

Za Cheyenne Luis odebrał telefon; zobaczyłam, że został w tyle i mrugnął światłami - dawał sygnał, żeby zjechać na pobocze. Nie było to trudne mimo zwału śniegu; na drodze panował niewielki ruch. Podparłam motocykl na nóżkach i cofnęłam się do furgonetki Luisa - obserwowałam ciemność wokół nas, wypatrując jakiegokolwiek oznaki wrogich działań. W pobliżu nic bardziej niebezpiecznego niż królik nam nie zagrażało - chociaż i królika nie lekceważyłam.

Kiedy podeszłam do samochodu, Luis opuścił szybę i zakrył ręką głośnik telefonu. - FBI - szepnął. Skinęłam głową, bo te trzy proste litery wiele mówiły. FBI współpracowało ze Strażnikami, próbując zlikwidować kilka rozrzuconych po kraju obozów Perły, lecz ostatnio nie słyszeliśmy nic ani o ich sukcesach, ani

o porażkach. Luis słuchał, od czasu do czasu spoglądając na mnie albo na Ibby - znów spała, z plastikową klatką Spike'a na kolanach, tak żeby mógł w pełni korzystać z ogrzewania. To, co widziałam w oczach Luisa, nie napawało mnie zbyt dużą pewnością siebie.

- Tak - powiedział w końcu. - Przykro mi, ale jesteśmy w podróży. W tej chwili dość daleko od Albuquerque. Nie będzie nas co najmniej przez kilka dni - przerwał, żeby posłuchać, co mają mu do powiedzenia, i uśmiechnął się ponuro. - No cóż, jeżeli chcecie, możecie spróbować nas namierzyć, pamiętajcie jednak, że tropicie Strażników Ziemi. Nawet jeśli GPS coś wam wskaże, nas tam nie będzie. Nie powiem, dokąd jedziemy. Zadzwoń w drodze powrotnej. Więcej nie mogę zrobić. Okej. Dam znać.

Rozłączył się i rzucił telefon na deskę rozdzielczą furgonetki.

- Niech zgadnę - powiedziałam. - Agenci FBI chcieliby, żebyśmy ich informowali o każdym naszym ruchu.

- Najlepiej, żebyśmy się w ogóle nie ruszali. A że tak się nie da, zamierzają trzymać nas na smyczy. Biedacy. Chyba powinniśmy im wysłać kosz z prezentami. - Zaczął bębnić palcami w kierownicę, patrząc na drogę przed nami. - Rzecz w tym, że cholernie chcieli, abyśmy wrócili, z jakiegoś wyjątkowego powodu.

- Jakiego?

- Nie wiem i nie podoba mi się to. Niechętnie mówią o szczegółach przez telefon, są diabelnie ostrożni. Chcą nas o wszystkim powiadomić bezpośrednio, teraz, ale skoro to niemożliwe, jak tylko wrócimy.

Nie powiedział tego, lecz na pewno nie byłyby to dobre informacje; FBI zwracało się do nas tylko wtedy, gdy problem stawał się na tyle złożony, że ich agenci nie potrafili sami sobie poradzić.

Oznaczało to, że już teraz źle się działo i prawdopodobnie im dłużej nas nie będzie, tym sytuacja stanie się gorsza.

- Moglibyśmy się rozdzielić - zaproponowałam. - Ja pojechałabym do FBI, a ty do szkoły... Pokręcił głową, zanim zdążyłam skończyć.
- Wykluczone. Zostajemy razem. Uśmiechnęłam się lekko i odgarnęłam z twarzy swoje różowawe włosy, które lodowaty wiatr targał na wszystkie strony.
- Zazdrosny? - spytałam.
- Jak diabli. A jakże. Nie pozwolę żadnemu brudnemu agentowi położyć łap na twoich... walorach.
- Bezwstydnie wyszczerzył zęby. - Nie rozdzielamy się. *Clara?*
- *Clara* - odparłam. - Jedźmy więc.
- Całą noc, jeżeli okaże się to konieczne, ale zgodnie z GPS-em mamy jeszcze przed sobą nie więcej niż dwie godziny drogi - oświadczył Luis. - Pasuje?
- Zawsze. - Odwróciłam się, żeby pójść do motocykla. Luis wychylił się przez szybę i gwizdnął przenikliwie. Spojrzałam przez ramię.
- Powinniśmy potem zjeść obiad! - zawołał. - Coś gorącego. W moim pokoju, kiedy ona zaśnie.
- Może - powiedziałam, chociaż nie to w tym momencie poczułam w swoim ciele. Nie, moje ciało mówiło stanowcze „tak”.

Włożyłam kask, kopnięciem pobudziłam maszynę do życia i ruszyłam przed siebie.

Patrole Strażniczki Bearheart wychwyciły nas prawie sto pięćdziesiąt kilometrów przed miejscem, gdzie znajdowała się szkoła. Uświadomiłam sobie ich obecność, kiedy wyczułam zakłócenia w sferze eterycznej; badając ich przyczynę, zobaczyłam jaskrawy blask na tej płaszczyźnie istnienia, który mógł wytworzyć tylko Strażnik najwyższej klasy, będący u szczytu swoich możliwości. Na pewno mężczyzna, sądząc po sygnaturze mocy obda-

rzony zdolnością kontrolowania pogody. Towarzyszyły mu dwie inne osoby władające mocami Ziemi i ognia -razem tworzyli tradycyjną triadę Strażników - lecz dorównywały mu siłą.

Rzucili nam wyzwanie na drodze, atakując nas ścianą powietrza i śniegu; zmusili nas, byśmy zwolnili, a następnie się zatrzymali. Luis mógł przejechać przez wichurę, choć nie bez problemu; ja, na motocyklu, byłam znacznie bardziej narażona na niebezpieczeństwo. Gdybym wyczuła zagrożenie, walczyłabym, i to ostro, ale oboje spodziewaliśmy się, że Strażnicy wystawią patrole na obrzeżach swojego terytorium.

Tyle że nie aż tak daleko od strzeżonego obiektu. Doceniłam tę inicjatywę.

Zaparkowałam motocykl i zsiadłam, po czym podeszłam do Luisa, który wyskoczył z furgonetki. Ibby obudziła się i zaciekawiona wierciła się w szoferce. Chciała zobaczyć, co się dzieje, więc opuściła szybę.

- Uważaj, *tío* Luisie! - Zauważyłam, że mnie to ostrzeżenie nie dotyczyło.

Luis odwrócił głowę. Włosy, targane mroźnym wiatrem, spływały mu na ramiona jak czarna flaga.

- Zostań w samochodzie, Ib. Bez dyskusji - przykazał. Miał na sobie grubą parkę i teraz narzucił na głowę podszyty futrem kaptur.

Przytaknęła i zamknęła okno, a jej drobna twarzyczka zrobiła się bardzo poważna. Przycisnęła do piersi plastikową klatkę Spike'a, zaniepokojona.

Spojrzałam przed siebie i zobaczyłam trójkę Strażników - wyłonili się nie wiadomo skąd. Jeden z nich, prawdopodobnie Strażnik Ziemi, dysponował godną uznania techniką maskowania. Stali w grupie, nieruchomo, i robili wrażenie naprawdę bardzo kompetentnych; mężczyzna w środku, młody Strażnik Pogody, nie wydawał się na tyle dorosły, żeby się już golić. Oprócz niego

do patrolu należały jeszcze dwie kobiety, jedna niewiele starsza od swojego kolegi i druga siwowłosa - mogłaby być babką tej dwójki - władająca mocami Ziemi.

- Hej! - krzyknął Luis w stronę wiatru. - Możemy trochę przykręcić nawiew? Zaraz tu zeszywnięję z zimna!

Wiatr przycichł, a potem zmienił się w lekki, rześki podmuch. To, że Strażnik nie całkiem uciszył wiatr, coś mi o nim powiedziało - posiadał wielką moc, ale był raczej słabo wyszkolony. Nie reprezentował takiej klasy jak najsilniejsi ze Strażników - na przykład Joannę Baldwin - którzy potrafili rozpuścić wicher z niczego i zdusić ją jednym tchem; ciągle potrzebował punktu wyjścia i ułatwiał sobie zadanie, podtrzymując przepływ cząsteczek powietrza, choć w niewielkiej ilości. Tę słabość niewielu umiałoby dostrzec.

Nie musiałam o tym mówić Luisowi. Wiedziała, że też to zauważył; ta wiedza mogła nam się przydać.

- Dziękuję. - Luis uśmiechnął się i wyciągnął rękę, pokazując dłoń. Strażnicy zrobili to samo. Na każdej połyskiwał stylizowany symbol słońca, znak ich organizacji; widział go tylko ktoś obdarzony eterycznym superwzrokiem. Nie traciłam czasu na przedstawianie się. Nie mogli mnie pomylić z nikim innym. - No więc jak, zgoda?

- Mielśmy nadzieję, że przyjedziecie - powiedziała starsza kobieta, wysuwając się do przodu. Miała sympatyczną, pomarszczoną twarz i burzę miękkich, białych włosów; emanowało z niej coś tak uspokajającego, że z trudem utrzymywałam swój normalny dystans. Wiedziała, że to przejaw jej mocy, ale tak czy inaczej dysponowała potężną siłą i to w wyrafinowany sposób.

- Miło was poznać. Jestem Janice Worthing. To mój przyjaciel Ben, a to Shasa. - Shasa była młodą kobietą o ciemniejszej skórze i ostrzejszych rysach. Promieniowała nieufnością tak wielką jak spokój Janice Worthing. - Przestań ich piorunować wzrokiem, Shasa; zostali zaproszeni.

- Nie przeze mnie - mruknęła Shasa.

To ja stałam się obiektem jej szczególnej niechęci. Zrewanżowałam się więc - utkwiałam w niej spokojny wzrok, taki, przed którym wzdrygały się najpotężniejsze dżinny.

Ale nie ona. W efekcie zaczęła rzucać mi jeszcze groźniejsze spojrzenia.

Strażniczka Worthing najwyraźniej postanowiła nie poprawiać na siłę stosunków między nami.

Zrobiła krok do przodu, ciągle uśmiechnięta; promieniejąc spokojem i ciepłem, dodawała wszystkim otuchy. Uścisnęła dłoń Luisowi. Przypadkiem znalazła się w tym momencie bliżej furgonetki i Isabel, która ciągle patrzyła na nas przez szybę.

- O, witaj, skarbie. - Janice uśmiechnęła się do Ibby tak ciepło, że nawet mnie to rozgrzało. - Śliczna dziewczynka! Musisz być Isabel. Ja jestem Janice.

Ibby postawiła klatkę Spike'a na podłodze, otworzyła drzwi furgonetki i zeskoczyła na ziemię, uważnie wpatrując się w Janice.

- Nie uda ci się zmusić mnie, żebym cię polubiła, wiesz? - powiedziała w końcu. - Jestem na to za silna.

Janice zamrugła.

- Nie zamierzałam zmuszać cię do czegokolwiek, Isabel.

- O! Czyżbyś nie wiedziała, że to robisz?

- Co robie?

- Sprawiasz, że ludzie czują się bezpieczni, nawet kiedy to nieprawda. - Isabel obserwowała ją z zainteresowaniem. - Ale myślę, że to dobrze. Nieraz chciałam się czuć bezpiecznie, kiedy wcale bezpieczna nie byłam. Tak by było milej.

Janice pochyliła się i z powagą wyciągnęła do niej rękę.

- Mam nadzieję, że zawsze będziesz się czuła przy mnie bezpiecznie.

Ibby wzrokiem poprosiła Luisa o pozwolenie, po czym wielce formalnie podała jej rękę. Dostrzegłam, że wyraźnie się odprężyła - co mnie zaskoczyło, bo do tego momentu tak naprawdę nie zdawałam sobie sprawy, że głęboko w niej ciągle tkwił strach, niepokój, nieufność. Nie potrafiłam dać jej takiego poczucia bezpieczeństwa i zabolalo mnie to nieoczekiwanie mocno.

Zabolalo jeszcze mocniej, kiedy Janice otworzyła ramiona, a Isabel ją objęła. Dawna Ibby, ta, którą znałam na początku, była typem dziecka lubiącego się przytulać i chętnie dzielącego się swoją miłością bez zastrzeżeń; ta, którą wyrwaliśmy z rąk Perły, zachowywała się znacznie bardziej powściągliwie. Coś mnie zapiekło - zazdrość, uświadomiłam sobie. Chciałam rozbudzić w niej takie zaufanie, chciałam, żeby to ze mną czuła się tak bezpieczna.

Janice spojrzała na mnie swoimi jasnoniebieskimi oczami nad ciemną główką Ibby i zobaczyłam w nich zrozumienie i współczucie.

Poirytowana tym odwróciłam się, żeby otrzepać kurz z mojego skórzanego ubrania. Nie życzyłam sobie ani współczucia, ani zrozumienia. Niezupełnie wiedziałam, czego właściwie chcę. A przez to stałam się drażliwa.

- No to chyba w końcu nie będzie jednak problemu, Shasa - powiedział Luis i obdarzył ją swoim słynnym uwodzicielskim uśmiechem. - Przykro mi. Wiem, że nie mogłaś się już doczekać, żeby puścić pięści w ruch. Musi tu być strasznie nudno.

Uśmiechnęła się do niego, nie uwodzicielsko, lecz z czystą złośliwością.

- Następnym razem - oświadczyła i przesłała mu palcami pocałunek.

Ben odwrócił się i popatrzył na nią, unosząc brwi; zmierzyła go roziskrzonym wzrokiem i odeszła.

Tuż za zakrętem drogi czekał zaparkowany czarny SUV - stał się

widoczny, kiedy Shasa się do niego zbliżyła. Jak zrozumiałam, to ona, a nie Janice, posiadała zdolność maskowania. Niezwykle u Strażnika Ognia.

Ben podszedł do mnie Ben i wyciągnął rękę.

- Cześć. Ben Samms - przedstawił się. - Miło mi cię poznać, hm... - Szukał w myślach mojego imienia.

- Cassiel - podsunęłam i uścisnęliśmy sobie dłonie. - Tak, byłam kiedyś dzinnem, bo o to pewno spytasz.

Zaczerwienił się lekko, jakby zaskoczony, że spodziewałam się takiego pytania, po czym spojrzął na Luisa, który obserwował nas z zaciekawieniem.

- Strażniku Rocha - powiedział i skinął głową. Luis zrobił to samo. - Witaj. Miło cię poznać.

Słyszałem o tobie wiele dobrego.

- Dziękuję. Niezłą wicherę rozpełtałeś. To wymaga nie lada talentu.

- Dzięki. Pracuję nad tym.

Janice i Isabel przestały się obejmować, ale Ibby trzymała starszą kobietę za rękę i od dawna nie widziałam jej tak szczęśliwej. Kolejne ukłucie zazdrości, a po nim poczucie winy - miałam wrażenie, że coś się we mnie skręca.

- Powinniśmy ruszać - oświadczyła Janice. - Isabel, chcesz jechać z nami czy z wujkiem?

- Z wami - odparła Ibby. - Mogę zabrać ze sobą Spike'a? Potrzebuje ciepła.

- Spike'a? - spytała Janice. Spojrzała na Luisa i uniosła brwi.

- To jaszczurka - wyjaśnił i rozłożył dłonie, żeby ukazać jego wielkość. - Jest w porządku.

- Tak, oczywiście. Dobrze, leć po Spike'a - zgodziła się Janice.

Ibby wspięła się do furgonetki, wzięła klatkę i zapas żywności i pobiegła do czarnego suwa. Przez moment dostrzegłam skurcz bólu na twarzy Luisa, ale tylko przez moment, bo znów się uśmiechnął.

- W takim razie ruszajmy - powiedział. - Cass? Czas w drogę.

Byłam wdzięczna losowi, że mogłam znów wsiąść na motocykl. Tu wszystko wydawało się proste, liczyły się tylko rzeczy absolutnie podstawowe. Kiedy pędziłam przed siebie, przemykając przez świat jak cień, nie czułam się tak bardzo bezbronna wobec uśmiechu dziecka czy współczucia starej kobiety.

Albo wobec bólu Luisa, w którym - tak jak i w moim - czaiła się zazdrość i poczucie winy.

Mijaliśmy kolejne bariery ochronne Strażników, niektóre utworzone przez dzinny, aż dotarliśmy do szkoły w zaśnieżonej, cienistej dolinie okolonej zalesionymi wzgórzami. Przez dolinę płynął mały strumyk, kra błyszczała srebrzyście w świetle dnia; kończył się około piętnastu metrów od ogrodzenia otaczającego szkołę. Skojarzyło mi się z więzieniem. Płot miał sześć metrów wysokości; nad mocną metalową siatką ze zwisającymi soplami lodu poprowadzono drut kolczasty. Trudno by było nazwać ten widok dodającym otuchy, ale rozumiałam potrzebę zbudowania takiego ogrodzenia; służyło ochronie dzieci przed tymi, którzy chcieliby je skrzywdzić, zapobiegało jednak również ucieczkom, chociaż dzieci prawdopodobnie rozumiały to inaczej. Byłam ciekawa interpretacji Ibby i nagle ucieszyłam się, że jechała z Janice Worthing i korzystała z jej uspokajającego wpływu. To mogło zapobiec ewentualnym nieprzyjemnościom, przynajmniej chwilowo.

Ogrodzenie otworzyło się, żeby wpuścić nasz mały konwój; nie było żadnej bramy, po prostu metal zwinął się w harmonijkę - sprawiła to Janice albo inny Strażnik Ziemi. Kiedy przejechał ostatni pojazd - Luisa - płot się zamknął.

Luis otworzył łącze komunikacyjne w moim uchu. *Mira, szepnął, oby nie stracili wszystkich swoich Strażników Ziemi naraz. Byłby kłopot.*

Zwłaszcza gdybyś jednym z nich był ty, odpowiedziałam poważnie. Miałam nadzieję, że Marion Bearheart przemyślała to dokładnie; nie znałam jej na tyle, żeby ufać jej decyzjom. A tak naprawdę, nie ufałam nikomu, gdy chodziło o bezpieczeństwo moje albo tych, których kochałam. Zawsze trafiała do mnie słuszność ludzkiej zasady ograniczonego zaufania. Mogła się ona niektórym wydawać paranoiczna, lecz ja uważałam ją za absolutnie sensowną.

Miłą odmianę stanowiło przynajmniej to, że w środku nie było śniegu. Dla Strażnika Pogody to pewnie nietrudne zadanie stworzyć mikroklimat, żeby ochronić wszystkich znajdujących się na tym terenie od zimna. Wydawało się, że jest tu cieplej, ale w żadnym razie nie ciepło.

Właśnie zsiadłam z motocykla, czując w kościach i obolałym ciele każdy lodowaty kilometr drogi, kiedy otworzyły się drzwi frontowe szkoły i po pochylni zjechała kobieta na wózku inwalidzkim. Nabrała prędkości, po czym zręcznie zahamowała i zatrzymała się dokładnie przed nami. Bearheart. Wiedziałam, że została ranna podczas rebelii dzinnów, ale nie wiedziałam jak poważnie; gdy spojrzałam na nią ze sfery eterycznej, stało się dla mnie jasne, że już nigdy nie będzie chodzić. Niektórych organów w ludzkim ciele nie można odtworzyć, kiedy już raz zostały zniszczone, nawet jeśli ktoś ma talent uzdrawiania. W pewnym sensie łączyło to Strażniczkę Bearheart z Esmeraldą, dziewczyną-wężem.

Bearheart spojrzała na mnie swymi ciemnymi, błyszczącymi oczami.

- Nie musisz się nade mną użalać, dzinnie - powiedziała. - Cieszę się, że zwyciężyłam. Wielu moim przyjaciółom się to nie udało, po obu stronach.

- Nie użalałam się nad tobą - odparłam. - Zastanawiałam się, w jak bardzo trudnej sytuacji byś nas postawiła, gdyby doszło do walki.

Roześmiała się.

- Nie doprowadź do tego, żebym się przejechała po twoich stopach. Jestem cięższa, niż wyglądam i mogę nabrać niezłego rozpędu.

Była również jednym z najpotężniejszych Strażników Ziemi, jakich znałam osobiście, a przecież znałam ich tysiące. Była w zaawansowanym wieku średnim, miała długie, grube, czarne włosy poprzetykane licznymi srebrnymi nitkami, skórę koloru ciepłej miedzi i ostre rysy. Uświadomiłam sobie nagle jej podobieństwo do Strażniczki Ognia, którą spotkaliśmy na drodze, Shasy. Kształt nosa ich obu wskazywał na władcą naturę.

- Twoja... siostrzenica jest niesamowita - zaryzykowałam.

Zaskoczyło ją to, lecz przytaknęła.

- Shasa jest córką mojego brata. Trudny charakter, ale cholernie dobra Strażniczka. Śmieszne, większość ludzi uważa, że to moje dziecko.

- Nie jestem większością ludzi - stwierdziłam poważnie.

- Istotnie. Tak naprawdę zastanawiam się, czy w ogóle zaliczasz się do ludzi. Jesteś kimś innym.

Okazywała stanowczo zbyt dużo zrozumienia, żeby mi to odpowiadało. Skinęłam głową do Janice Worthing, kiedy wysiadła z suwa z Isabel.

- Ufasz tej kobiecie z Isabel?

- Jeszcze nie miałam przyjemności poznać Isabel, jestem jednak pewna, że nie ma takiego dziecka na świecie, którego nie powierzyłabym Janice Worthing. Jest najlepsza - Bearheart przerwała, przyglądając mi się. - Chyba że wiesz coś, o czym ja powinnam wiedzieć. Coś, czego nie podają oficjalne akty?

Pokręciłam głową. W rzeczywistości nic nie wzbudziło moich podejrzeń. Strażnicy przechwycili nas i eskortowali we właściwy sposób, i przypuszczałam, że ta

ogólna nieufność odzwierciedlała moje uczucia. Dopóki Isabel nie spojrzała z uwielbieniem na kogoś innego, nie zdawałam sobie sprawy, jak ważny jest dla mnie szacunek ze strony tego dziecka. Bez niej czułam się... jakby było mnie mniej.

- Chcę porozmawiać o tym, co wiesz - powiedziała Bearheart, najwyraźniej nieprzekonana moim milczącym zaprzeczeniem. - W moim biurze, za godzinę. Przyrowadź Strażnika Rochę, kiedy się już przekona, że nie organizujemy tu obozu pracy przymusowej ani że nie pozwalamy im biegać z nożyczkami. - Słaby, niezbyt wesoły uśmiech przemknął przez jej usta. - Nie żebym czyniła mu z tego zarzut. Strażnicy nie mogą pochwalić się specjalnymi osiągnięciami w wychowywaniu własnych dzieci. I ja się do tego przyczyniłam, czego bardzo żałuję. Ale nie możemy sobie teraz pozwolić na luksus zamartwiania się naszymi ewentualnymi przyszłymi złymi postępami. Mamy ich teraz o wiele za dużo.

Nacisnęła guzik na wózku i odjechała, żeby porozmawiać z Luisem, poznać Isabel i ogólnie rzecz biorąc, zająć się swoimi obowiązkami. Pomyślałam, że wiele mi o niej powiedziało to, że bez problemu odwróciła się do mnie plecami. Albo mnie bardzo nie doceniła, albo oceniła bardzo dokładnie. Ciekawe.

Kiedy wydawało mi się, że nikt mnie nie obserwuje, postanowiłam się przejść po terenie wokół szkoły, pozwalając napłynąć wrażeniom. Po pierwsze zauważyłam, że ogrodzenie, choć imponujące, niezupełnie odzwierciedla jakość tego, co się za nim znajduje. Sam gmach był wielki, od zewnątrz obity drewnem, ale wyczuwałam, że ma szkielet z cementu i stali, jak wojskowy bunkier. W oknach nie było krat, a bocznych drzwi, które mijałam, chyba nikt nie strzegł. Jak się okazało, nie były również zamknięte na klucz, bo kiedy znalazłam się po północnej stronie

budynku, jedne z nich się otworzyły i wybiegła przez nie dziewczynka w wieku około dziesięciu lat; wleciała niemal wprost na mnie. Natychmiast się cofnęła i zatrzymała gwałtownie, wpadając na chłopca, który ją gonił. Miał mniej więcej tyle samo lat co ona, ale był wyższy; otoczył ją opiekuńczo ramionami, po czym schował za siebie.

- Kim jesteś? Co tu robisz? - zapytał.

Był Strażnikiem Ognia, to wydawało się oczywiste. Widziałam i wyczuwałam energię zbierającą się wokół jego palców. Był gotów podjąć walkę. Doceniłam to.

- Nazywam się Cassiel. Jestem tu gościem. A ty?' Mój grzeczny ton musiał go uspokoić, bo zawahał się, po czym strząsnął ogień z palców i skinął mi głową. Tak jak Ibby był zbyt dojrzały na swój wiek.

- Mike. Mike Holloway - przestawił się. - Już o tobie słyszeliśmy.

Chyba każdy już o mnie słyszał. Ale co? Dziewczynka, rozgniewana, odepchnęła opiekuńczą rękę Mike'a.

- Jestem Gillian. - Podniosła podbródek, niemal rzucając mi wyzwanie, żeby... co? Przyznała się do tego, że jestem zła, zaatakowała, zaczęła toczyć pianę jak wściekły nornik?

- Przykro mi, że cię wystraszyłam, Gillian - powiedziałam z uśmiechem i lekko skinęłam głową.

- Nie przerażasz mnie - odpaliła szybko. - Nie tak łatwo mnie przerazić. Prawda, Mike?

- Prawda - odparł. Widziałam, że chciał ją objąć ramieniem, ale czuł, że nie byłaby z tego zadowolona.

- Gillian jest twardzielem. To włosy. Rudzielcy są zawsze twardzielami.

Gillian rzeczywiście miała ognistoczerwone włosy o połysku, który skojarzył mi się z błyszczącym nowością brązem. Zebrała je z tyłu w mały kucyk i związała w skomplikowany sposób kilkoma gumkami - chyba nie

udałoby się tego rozplątać bez wyrywania całych pukli. Dziewczynka była Strażniczką Pogody, widziałam jednak, że jej powierzchowna brawura skrywa paniczny strach przede mną. Było to dla mnie oczywiste, tak jak i musiało być dla Mike'a, niezależnie od tego, czy przerażało ją to, że po prostu mnie nie znała, czy też to, że kiedyś byłam dzin-nem. Mogła podnosić podbródek i zgrywać chojraka, ale bez wątpienia coś we mnie napawało ją trwogą.

Podobało mi się, że mimo to nie dawała się i stawiała mi opór.

- Jesteś nową nauczycielką? - zapytał Mike.

- Może. Na krótko. Jeszcze nie wiem. Zaraz porozmawiam ze Strażniczką Bearheart.

- Bo... - Przyglądał mi się z powątpiewaniem. -Potrzebujemy nauczycieli, którzy się nas nie boją. No wiesz, tego, co potrafimy robić.

- Ja się was nie boję.

- Jasne. - Mike nagle wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Ale nie widziałas jeszcze, na co nas stać.

- My też nie widzieliśmy, na co ją stać - wtrąciła się Gillian. Uderzyła Mike'a pięścią w ramię, tak mocno, że aż się skrzywił. - Chodź, czeka nas mnóstwo roboty.

Wbiegli z powrotem do środka przez ciągle otwarte drzwi i z hukiem je zatrzasnęli. Przyjrzałam się tym drzwiom, zamyślona. Nie miały klamek, żeby wejść, lecz najwyraźniej były otwarte od wewnątrz. Wyjście ewakuacyjne.

Ciekawe.

Koniec spaceru. Znowu znalazłam się przed frontową ścianą budynku, gdzie zobaczyłam Marion Bearheart i Luisa. Rozmawiali na ocienionej werandzie. Marion machnęła mi ręką niecierpliwie i wjechała do środka.

Stałam obok Luisa.

- Uznałabyś, że reaguję paranoicznie, gdybym powiedział, że mi się to wszystko nie podoba? - spytał.

- Tak - odparłam. - Ale mnie się też nie podoba.

- Wspaniale. Cieszę się, że nie jestem sam. - Szybko i ukradkiem pocałował mnie, kiedy mijałam go, idąc w stronę drzwi, za co go nagrodziłam zdziwionym spojrzeniem szeroko otwartych oczu, a potem oparłam go o ścianę i pocałowałam długo i gorąco. Nic dziwnego, przecież mieliśmy za sobą długą drogę, a nie bardzo potrafiłam sobie wyobrazić, że w tej szkole czeka nas noc pełna szalonej namiętności.

Znieruchomiał, zszokowany, po czym dołączył się ochoczo i poczułam na swoich wargach jego usta, ciepłe, miękkie i słodkie, a na plecach ręce. Wędrowały powoli w górę, kiedy się całowaliśmy. Ukoilo to jakieś dzikie pragnienie we mnie - nawet nie wiedziałam, że istniało, dopóki nie zaczęło się głośno domagać zaspokojenia. Luis w końcu westchnął w moje otwarte usta, przeciągnął językiem po moich wargach - co rozpałiło mnie jeszcze bardziej - i wreszcie się odsunął.

- Każemy czekać szefowej - szepnął.

- Nie - powiedziała Marion od drzwi. Podjechała bezgłośnie na swoim wózku i przyglądała się nam z rozbawieniem, tego byłam prawie pewna, a może i z odrobiną zazdrości. - Przypominacie szefowej, o co właściwie walczymy. Jak najbardziej popieramy przerwy na pocałunki. Ale teraz rzeczywiście każecie mi czekać, no więc ruszcie tyłki.

Odjechała błyskawicznie, a Luis podążył za nią, kręcąc głową i mamrocząc jakieś przekleństwa po hiszpańsku - nawet nie próbowałam ich zrozumieć.

Drzwi zasunęły się za mną, kiedy weszłam do środka. Zobaczyłam naszego sympatycznego Strażnika Bena. Stał w bocznej kabinie, prawdopodobnie kuloodpornej i ogniotrwałej, i naciskał różne guziki, uruchamiając środki bezpieczeństwa, które, czego byłam pewna, okazałyby się przykrą niespodzianką dla każdego in-

truza. A to, czego również byłam pewna, dotyczyło i nas, bo nie zaliczono nas jeszcze do członków kolektywu.

- Nie martwcie się - zawołała Marion przez ramię, znikając w kolejnych drzwiach. - Pobiorą próbki waszego DNA, kiedy skończymy rozmowę. Wszystkie drzwi będą stały przed wami otworem, chyba że uchylę to zarządzenie.

Fakt, że ktoś ciągle decydował o życiu lub śmierci, wcale mnie nie uspokoił, nawet jeżeli tym kimś była osoba tak łagodna, przynajmniej teoretycznie, jak Marion.

- Mogę prosić, żebyś wytłumaczyła, na czym polegają zabezpieczenia?

- Nie - odparła chłodno i bardzo stanowczo. - Nie rozmawiam o środkach bezpieczeństwa z nikim poza tymi, którzy pełnią służbę. Tylko ja znam wszystkie zabezpieczenia i chciałabym, żeby tak zostało.

- A jeżeli coś ci się stanie? - spytał Luis.

- Przyjacielu, jeżeli coś mi się stanie, będziecie mieli znacznie większe problemy niż liczba stanowisk ogniowych w ścianach. - Obrzuciła nas szybkim spojrzeniem. - Nie jestem idiotką. Tak to przygotowałam, żeby informacja była dostępna, gdybyście jej potrzebowali. Ale postawiłam sobie za cel do tego nie dopuścić. Jasne?

- Jasne. Ale nie podoba mi się to.

- Nikt nie mówi, że musi ci się podobać. Dlatego wolałam, żebyście przekazali dziewczynkę w umówionym miejscu i odeszli; wszyscy zainteresowani chcą uchylać decyzje wszystkich innych dla dobra dzieci. Obowiązuje tu hierarchia służbowa i musicie albo się jej podporządkować, albo wyjechać.

Było to kategoryczne i pachniało władzą absolutną. Wymieniliśmy z Luisem spojrzenia, wzruszyliśmy ramionami i poszliśmy za Marion.

Przez chwilę przyglądałam się holowi wejściowemu: urządzone ciepło, drewniana boazeria, wygodne fotele

i kanapy. Wyczuwałam jednak aurę nowości. Ten budynek nie stał długo, a jeżeli nawet, to przystosowano go do nowych celów i na nowo umeblowano.

Zauważyłam, że nie ma tu żadnych okien, i szybkie sprawdzenie w sferze eterycznej powiedziało mi, że to nie tyle hol, ile forteca. Każdy, kto dotarł aż tutaj, mógł zostać uwięziony w tym pomieszczeniu o grubych żelbetonowych ścianach i bezpiecznie zlikwidowany.

Nie włączyły się jednak alarmy, a stalowe drzwi przeciwpożarowe nie opadły, żeby nas zamknąć.

Przeszliśmy do pokoju, który służył za coś w rodzaju sali konferencyjnej, z wielkim owalnym stołem i kilkoma krzesłami z tego samego kompletu. I z oknami, tyle że ze szkła zbrojonego i z eterycznymi zabezpieczeniami. Tu też wszystko wydawało się dość nowe. Marion wjechała w lukę po usuniętym krześle i gestem pokazała, żebyśmy usiedli naprzeciwko niej. Na stole stała misa z owocami. Luis sięgnął po jabłko, rzucił mi je, po czym wziął sobie banana i zaczął go obierać, podczas gdy Marion w milczeniu utkwiała w nas wzrok i poddawała nas ocenie. Luis zdawał się nie przejmować tym ani trochę. Bardziej zajmowały go brązowe plamki na skórcie.

Wzięłam z niego przykład, ugryzłam kruche jabłko i przeżuwałam smaczny, twardy miąższ z apetytem.

Marion prychnęła.

- No tak, oboje jesteście twardzi, rozumiem. Szczęśliwie dla mnie, cała moja zawodowa kariera to zgniatanie twardszych orzechów niż wy, moje dzieci, więc darujmy sobie ten teatr. Dziękuję, że przywieźliście dziewczynkę. Zaoszczędzi to wszystkim stresu, a zwłaszcza małej Isabel...

- Ibby - przerwałam jej. - Ona woli, żeby ją nazywać Ibby.

- Dopilnuję, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli. Chcemy, żeby czuła się tu bezpiecznie, jak u siebie w do-

mu. - Na stole przed nią leżała szara tekturowa teczka. Marion otworzyła ją i zajrzała do środka. Były tam zdjęcia; na jednym z nich szczerbata Isabel śmiała się radośnie. Była też fotografia rodzinna przedstawiająca Manny'ego, Angelę i Isabel, ich ostatnie wspólne zdjęcie, zrobione na krótko przed zastrzeleniem Manny'ego i Angeli. Rozpoznałam je, bo Luis nosił takie samo w portfelu, a jeszcze jedna odbitka, oprawiona w ramkę, stała na kominku u niego w domu.

- Kiedy dokładnie pojawiły się pierwsze oznaki talentu dziewczynki? - spytała Marion. Luis ugryzł banana i pokręcił głową. - Czy jej matka lub ojciec kiedykolwiek sugerowali, że ich zdaniem Isabel przejawia jakieś...

- Nic z tych rzeczy - stwierdził Luis zdecydowanie. - Ibby była normalnym dzieckiem, słodkim, wspaniałym, aż do momentu, kiedy została porwana z domu swojej babci. To, co jej zrobili, zmieniło ją w to... To nie jest normalne.

- Jestem tego świadoma.

- Tak? Jesteś świadoma tego, że każdego dnia brali te dzieci na swoje upiorne testy? Że te, którym się nie powiodło, zostały wyrzucone i skazane na śmierć lub na życie, jakie wiodą małe zwierzątka? Że Ibby postanowili zatrzymać, a kiedy dotarło do nich, że nie uda im się sprawić, by uwierzyła, że jej nie kochamy, wdarli się do jej umysłu i kazali jej myśleć, że nie żyję, że Cass mnie zabiła? Pokazali jej to, Marion. Pokazali, jak się spalam na popiół, dziecku w jej wieku, które widziało już śmierć obojga swoich rodziców. - Luis rzucił na stół w połowie zjedzonego banana, usiadł wygodnie na krześle i skrzyżował ramiona. - Jezu, co w niej zostało normalnego? Chciała się bronić. Chciała odwetu. Więc nie tylko pozwoliła im siłą uruchomić swoje moce, ale pracowała nad nimi. Z własnej woli. Była śmiertelnie przerażona. A do czego to doprowadziło? Narodziła się piekielnie

potężna Strażniczka, niewykształcona, o wiele za młoda, żeby sobie poradzić z mocą.

Marion pozwoliła mu dokończyć, nie odzywając się ani słowem, po czym zajrzała do teczki.

- Przykro mi, że tyle przeszła - przyznała. - Żałuję, że nie mogę zapewnić, że będzie jej z czasem łatwiej, naga prawda jest taka, że nie będzie. Z tego miejsca są tylko trzy drogi: nauczy się kontrolować swoje moce, uśpimy je albo stanie się samotnikiem. - Marion tego nie powiedziała, ale istnieje jeszcze czwarta opcja: śmierć. Oboje z Luisem doskonale zdawaliśmy sobie z tego sprawę.'

- Nie stanie się samotnikiem - oświadczył. - Potrafi się kontrolować.

- Bądź rozsądny. Ona ma sześć lat. Nikt nigdzie nie potrafi się kontrolować w tym wieku, a zwłaszcza gdy chodzi o taki rodzaj mocy, jaki się u niej ujawnił. Byłoby inaczej, gdyby przestała z niej korzystać natychmiast, kiedy tylko wydostała się spod władzy Perły, ale nie przestała, prawda? Od chwili opuszczenia Rancza używała mocy regularnie.

- Pod naszym nadzorem, tak. A co mieliśmy zrobić? Udawać, że ich nie posiada? Chciała się zachowywać jak Strażniczka, tak jakby tego pragnął jej ojciec. Nie zamierzam mówić dziecku, że nie powinno pomagać, kiedy może uratować komuś życie.

- Ale w ten sposób doprowadziłeś do jej bezpośredniego kontaktu, a właściwie konfliktu, z dziećmi, z którymi szkolono ją na Ranczu. Sądysz, że to był dobry pomysł?

Luis nie odpowiedział, po części dlatego, że coraz bardziej się denerwował, a po części, tak to odczuwałam, ponieważ wiedział, że Marion ma rację.

- Z całym szacunkiem, Strażniczko, ale tylko nieliczni potrafią skutecznie przeciwstawić się tym dzieciom - wtrącałam się. - Czy nie dlatego założyłaś tę szko-

łę? Żeby zająć się najniebezpieczniejszymi i jednocześnie najlepiej się zapowiadającymi?

Uśmiechnęła się, lecz nie spojrzała na mnie.

- Sądysz, że nasz program jest tak prosty?

- Przecież nie wykorzystujesz ich do innych celów. -Poczułam bardzo nieprzyjemny ucisk w żołądku i ogarnęła mnie wściekłość. - Te dzieci zostały już dostatecznie wykorzystane.

Tym razem popatrzyła na mnie, spokojne i wprost.

- Nie zamierzam indoktrynować ich w żaden sposób -oświadczyła. - Zamierzam je tylko nauczyć, jak prawidłowo używać własnej siły i mocy i jak je oceniać. Ale ostatecznie zostaną wykorzystane, Cassiel, albo zabite, nie łudź się. Może nie zdajesz sobie sprawy, jak tragiczna stała się sytuacja Strażników. Dzieją się różne rzeczy, poza Perłą; straciliśmy o wiele więcej Strażników i dzinnów, niż mogliśmy sobie pozwolić. Tak więc w końcu te dzieci będą musiały walczyć. Moim zadaniem jest zagwarantować, że będą walczyły dobrze i po właściwej stronie. - Luis chciał coś powiedzieć, ale mu nie pozwoliła. - Nie myśl, że mi z tym dobrze, mój drogi, bo nie. To są dzieci. Nasze własne. Powinny być kochane i ochraniane, a już je skrzywdzono. A ostatecznie one mogą być jedyną naszą nadzieją. Brzmiało to niewesoło, lecz czułam, że Marion mówiła z głębokim przekonaniem.

- Ci Strażnicy, którzy poszli za Joannę Baldwin i przywódcą nowych dzinnów, Davidem, co się z nimi stało? - spytałam.

- Nie wiem. Nikt nie wie. Nie ma z nimi kontaktu od dawna i nie wygląda to dobrze. Musimy poważnie liczyć się z możliwością, że nie wrócą, a to olbrzymi cios. Niewykluczone, że śmiertelny. Wstrząsające - najlepsi i najmądrzejsi nie tylko ze Strażników, ale również z dzinnów, prawdopodobnie już zginęli, gdzieś daleko na morzu.

- Ilu zostało?

- Strażników? Poza tymi tutaj około pięćdziesięciu, rozrzuconych po Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Ameryce Południowej. W Europie i Azji może działać jeszcze ze dwustu. Niezbyt wielu, do tego doszło. Większość z nich jest w dodatku śmiertelnie przerażona i na ogół od początku były to talenty gorszej kategorii. - Uśmiechnęła się lekko, lecz bardzo ponuro. - Oczywiście nie licząc tu obecnych. Musiałam stoczyć ciężką walkę z Lewisem, żeby mi pozwolił was zatrzymać. Lewis był przywódcą organizacji Strażników i bez wątpienia najpotężniejszym jej członkiem.

- No tak, kiedy ty opowiadałaś o tym, jak przyjdzie nam zginąć, oczywiście musiałem się zacząć martwić, że nikt mi nie schlebia - mruknął Luis. - Ale poważnie, to wszyscy? A co z dżinnami?

- Ci od Ashana w ogóle się z nami nie komunikują, więc nie mamy pojęcia o ich sile albo czy w ogóle zechcą ruszyć palcem, żeby nam pomóc. Zwolennicy Davida pracują z nami i od dawna tylko oni trzymają wszystko w ryzach, ale niewielu jest takich, na których można naprawdę liczyć. Są dżinnami. Trudno zakładać, że zechcą robić to zawsze, nie wiadomo nawet, czy pomogą nam jutro. - Spojrzała na mnie. - Bez obrazy.

- Nie obrażam się - powiedziałam. - Bo masz rację. Dżinny w końcu znudzą się problemami Strażników. Niewiele zrobiliście przez ostatnich kilka tysięcy lat, żeby zasłużyć na nasze zaufanie lub szacunek. Gdybym ciągle była dżinnem, zignorowałabym was tak samo jak Ashan. Chyba stawiałam sprawę zbyt uczciwie, zważywszy na spojrzenie, jakim obrzucił mnie Luis. Wzruszyłam ramionami. Mówiłam prawdę.

- Co z Ibby? - spytał. - Chcę wiedzieć, jak zamierzasz jej pomóc. I wolałbym usłyszeć wszystko, a nie tylko pozytywy...

Nagle w pokoju dała się wyczuć zmiana nastroju, delikatna, lecz wyraźna. Marion poruszyła się na swoim wózku inwalidzkim i spojrzała do tyłu w stronę drzwi - otworzyły się z hukiem bez żadnego, nawet grzecznościowego pukania.

- Lepiej chodźcie! - zawołał Ben. Młody Strażnik nie mógł złapać tchu, tak się denerwował, że jego aura niemal skwierczała. - To Isabel. Zaczęło się.

Przeszliśmy przez szereg drzwi, z całą pewnością równie solidnych, jak drzwi więzienne, ale ledwie to zauważałam, a wiem, że na Luisie nie zrobiły najmniejszego wrażenia. Nic nie robiło na nim wrażenia - ani liczba pokoi, ani ludzie, których mijaliśmy. Skupił całą uwagę na Isabel.

Przyznaję, że niewiele się od niego pod tym względem różniłam.

Wózek Marion błyskawicznie nabierał prędkości, więc szybko zostawiła nas w tyle.

- Usunąć się! Na bok, ludzie! - wrzeszczała. Musiała się na jej drodze znajdować jakaś grupa, skoro Marion podniosła taki krzyk, ale zanim dotarliśmy do zatoru, już go nie było, wszyscy rozpierzchli się po kątach. Jak przez mgłę widziałam szepczące dzieci i starszych pocieszających je Strażników, a potem elektryczny silnik Marion zwolnił obroty i wózek zatrzymał się z poślizgiem. Razem z Luisem dogoniliśmy ją w kilka sekund. Marion zablokowała wejście do pokoju, prawdopodobnie w jakimś celu.

Pomieszczenie, które widzieliśmy przez drzwi, było nieduże, ale wygodne - pojedyncze łóżko, mała toaletka z lustrem, komoda w rogu, telewizor, gry, zabawki. Pokój dziecięcy, jeszcze anonimowy, właściciel nie wycisnął na nim piętna swojej osobowości. Nowy dom Isabel. Plastikowa klatka Spike'a z jego maleńką pustynią

stała na jednym ze stolików, a jaszczurka przyglądała się temu, co działo się w pokoju, z zuchwałym, chłodnym zainteresowaniem.

Ibby leżała na podłodze obok łóżka zwinięta w kłębek, czarne włosy zasłaniały jej twarz. Całe ciało trzęsło się, szlochała spazmatycznie. Obok niej siedziała Janice. Próbowwała pocieszyć dziewczynkę, ale za każdym razem, kiedy chciała jej dotknąć, Isabel wzdrygała się i wrzeszczała. Strach w tym krzyku rozdzierał mi serce, jakby wbijano we mnie haki.

Niewiele myśląc, chwyciłam kierownicę wózka Marion, odsunęłam go, po czym wpadłam do pokoju, wzięłam Ibby w ramiona i zaczęłam ją kołysać.

Znów wrzasnęła, walcząc ze mną. Wstrzymałam oddech, czując, że przez ten krzyk coś się we mnie złamało - jakby z ostrym trzaskiem pękły lody na rzece - nie kość, coś bardziej niezbędnego do życia, bardziej efemerycznego.

Gdybym była człowiekiem, powiedziałabym, że to złamane serce.

- Sza - szepnęłam, trzymając ją mocno i ciągle kołysząc. - Cicho, Ibby. Jestem tutaj. Nikt cię teraz nie skrzywdzi. Cichutko.

Osunęła się na mnie jak mokra lalka. Dyszała spazmatycznie, dławiąc się od płaczu.

- Boli - wydusiła; było to raczej tchnienie, cień dźwięku. - Boli mnie w środku i nie chce przestać, Cassie. Błagam, zrób coś, żeby przestało!

Poczułam chłód. Spojrzałam na Janice, której pomarszczona twarz wyrażała wielki smutek, po czym skupiłam się znów na Ibby i używając superwzroku, oznaczyłam eteryczne emanacje jej ciała i ducha. Płonęła tak jasnym blaskiem, że wydawał się przepalać moje wewnętrzne oczy. Nie mogłam rozróżnić kolorów, widziałam tylko niekontrolowany pożar mocy, jego krwawe jądro miało barwę jaskrawego szkarłatu.

Coś złego się działo, bardzo złego. Widziałam już kiedyś, jak cierpiała, ale nie tak strasznie.

- Sza - powtórzyłam i pocałowałam ją w czoło. Ono również płonęło nienaturalną gorączką. - Cicho, kochanie, jesteś teraz bezpieczna. Nie pozwolę, żeby ktoś cię skrzywdził.

Płakała tak długo, że wydawało się to wiecznością, ale w końcu poczułam, że gorączka zaczęła spadać i jej umęczone drobne ciało uspokoiło się w moich ramionach. Zapadła w otępiały sen. Niezdrowy sen. Spojrzałam w bok i zobaczyłam Luisa. Przykucnął obok mnie ze wzrokiem utkwionym w Ibby, śmiertelnie blady. Marion za nim miała ponurą minę, Janice też. Zauważyłam, że Janice pokręciła głową w odpowiedzi na bezgłośnie pytanie przykutej do wózka inwalidzkiego Strażniczki.

Starsza kobieta wyciągnęła rękę do Ibby. Zawahałam się.

- Pozwól, że ją zabiorę - powiedziała spokojnie. -Przez jakiś czas będzie spała. Mogę jej pomóc.

Nie wyczuwałam w tej kobiecie nic poza pełnym smutku współczuciem i w końcu pozwoliłam jej zabrać Ibby z moich ramion. Boleśnie brakowało mi jej ciepłego ciężaru, choć źródła tego bólu nie potrafiłam zdefiniować; chciało mi się krzyczeć, zdusiłam jednak w sobie to pragnienie. .

Luis objął mnie; czuł to, co ja. Popatrzył na Marion.

- Co się, u diabła, wydarzyło?

Marion jeszcze raz wymieniła spojrzenia z Janice, podczas gdy starsza kobieta układała Ibby w łóżku i otulała ją kołderką.

- Musimy porozmawiać - oświadczyła Marion. -Tędy.

Poprowadziła nas przez kolejne pokoje i korytarze, tym razem poruszając się powoli i zatrzymując od czasu do czasu, żeby uśmiechem dodać otuchy zaniepokojonym dzieciom i Strażnikom.

- Wszystko w porządku - zapewniała. Wiedziałam, że kłamie, ale nie było najmniejszego sensu kwestionować tego, co mówiła, zwłaszcza tu, przy tych, których próbowała ochraniać.

Dała sobie spokój z udawaniem, jak tylko zamknęły się za nami drzwi sali konferencyjnej. Luis nie wahał się ani chwili.

- Co się, u diabła, wydarzyło? - powtórzył pytanie i zamiast usiąść, jak prosiła, stał nad nią, zmuszając ją, aby spojrzała mu prosto w twarz. - Co jej zrobiliście?

Wjechała na swoje miejsce bez cienia zakłopotania.

- Pewnie zauważyłeś - powiedziała - że większość ludzi jest teraz wyższa ode mnie. Proszę, usiądź.

Wiem, że się denerwujesz, ale to niczemu nie pomoże.

Był zły, lecz nie bezduszny - chociaż ja chciałam taka właśnie być; odsunął krzesło od stołu, odwrócił je tyłem i usiadł okrakiem naprzeciwko Marion, z ramionami skrzyżowanymi na oparciu. Zrobiłam to samo; usiadłam obok na wszelki wypadek, gdybym z jakiegoś powodu musiała mu udzielić wsparcia.

Nie przypuszczałam jednak, że dojdzie do walki; miałam nadzieję, że nie dojdzie.

- No więc - zaczął Luis. - Co zrobiliście Ibby? Marion westchnęła.

- Chyba nic. Twojej bratanicy, jak wszystkim dzieciom w tej szkole, siłą otwarto kanały przewodzące moc, komórki nerwowe, które nie były rozwinięte ani dojrzałe na tyle, żeby przenosić takie sygnały, jakie generuje moc Strażnika. Bardzo rzadko młodzi, potencjalni Strażnicy przejawiają jakieś zdolności przed wiekiem dojrzewania, podstawowe znaczenie ma tu poziom rozwoju. Te dzie-

ci... - zamilkła i pokręciła głową. - Nie podoba mi się, że muszę to tak ująć, ale to kliniczny przykład gwałtu z zimną krwią i ma to konsekwencje. Próbuje tutaj naprawić szkody im wyrządzone. Ich systemy nerwowe są ciągle niedojrzałe, słabe, a moc, która przez nie płynie, nazbyt wielka. Musimy ją powstrzymać na czas leczenia. Twojej bratanicy założymy ograniczniki, by kontrolować przepływ mocy. W najbliższej przyszłości nie będzie z dziewczynki żadnego pożytku, dla nikogo, aż do chwili kiedy zostanie na tyle uleczona, żeby móc samodzielnie sobie radzić.

Luis milczał, wstrząśnięty. Właśnie mu powiedziano, bez ogródek, coś, z czego już niejasno zdawał sobie sprawę, lecz teraz wyraźnie to sobie uświadomił. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Co się jej stało tu i teraz? - Tylko to mu przyszło do głowy.

- Właśnie widziałeś pierwsze objawy tego, że mechanizmy obronne w jej organizmie podjęły walkę z tym, co jej zrobiono. Te cykliczne reakcje, kiedy się już złączą, są bardzo niebezpieczne, zarówno dla Ibby, jak i dla wszystkich wkoło, bo w rzeczywistości walczy ona z samą sobą. - Marion się zawahała.

- Obawiam się, że będzie gorzej. Dużo gorzej.

Luis przełknął ślinę.

- Jak dużo gorzej?

Marion przyglądała się nam obojgu twardym, a zarazem smutnym wzrokiem.

- Te dzieci są jak flary drogowe - odparła. - Palą się gorącym płomieniem, bardzo szybko i właściwie bez kontroli. Kiedy ich organizm zaczyna walczyć z sobą samym, wypala się bardzo szybko. Przykro mi, ale im więcej mocy wykorzystywała twoja bratanica, tym bardziej niszczyła swą zdolność regulowania jej przepływu... Pomyśl o tym jak o rozwoju potencjalnie śmiertelnej

alergii. W tempie, w jakim się u niej rozwija, nawet gdyby Ibby unikała oczywistych błędów, i tak umrze przed osiągnięciem dojrzałości. Jej ciało po prostu nie potrafi utrzymać poziomu przepływającej przez nie mocy, a organizm, instynktownie walcząc z niesprawnością, będzie doznawał coraz większych zniszczeń, nieodwracalnych. Będzie się sam zjadał, żeby przetrwać, i w pewnym momencie nie będzie już dłużej zdolny do życia.

Poczułam się... pusta. Zapadłam w stan wewnętrznego odrętwienia, ale jednocześnie gdzieś z oddali docierało do mojej świadomości, że zostałam zraniona, chyba'poważnie. Ibby umierała. Powoli, o tak. To Perła, moja siostra, zamąciła jej w głowie, wypaczyła ją i nawet teraz zdalnie zabijała dziecko krok po kroku, pomалу, okrutnie.

- Nie - zaprotestowałam. - Nie, to nie może być prawda.

- Widzieliście, co się zdarzyło przed chwilą - ciągnęła Marion życzliwie. - Prawda jest taka, że to się będzie zdarzało coraz częściej: fale agonii przechodzące przez jej ciało, reakcja systemu, który nie potrafi sobie skutecznie poradzić z przewodzeniem mocy, wywołująca ból nie do zniesienia i wyniszczająca układ nerwowy. Napady będą tym częstsze, im częściej pozwoli się jej używać mocy albo się ją o to poprosi, aż wreszcie ten stan stanie się chroniczny. - Marion robiła teraz wrażenie zmęczonej, zaczynała mieć tego dosyć. - To dlatego prosiłam was, żebyście ją tu przywieźli. To jedyna nadzieja, która jej pozostała. Niestety wygląda na to, że chyba za długo czekaliśmy, żeby móc liczyć na coś, co można by uznać za prawdziwy powrót do zdrowia.

Luis wziął mnie za rękę. Ciepło jego ciała trochę mnie uspokoiło, aż do momentu, kiedy spojrzałam na jego twarz i zobaczyłam paniczny strach, taki jak mój.

- Możesz ją uratować? - zapytał. Nawet nie mrugnęła.

- Nie wiem - odparła. - Musi minąć trochę czasu, zanim zdołam właściwie ocenić szkody, jakich doznała. Przekazuję wam tylko swoje wstępne wrażenie. Jeżeli Ibby zacznie ze mną walczyć, będzie gorzej i straci siły dużo szybciej. Jeżeli zechce ze mną współpracować, to pewnie uda mi się przedłużyć jej życie. Chciałabym móc dać wam więcej nadziei, ale muszę mówić prawdę. Dlatego ważne jest, żeby została tutaj, Luisie. Bez interwencji trzeba liczyć się z prawdopodobieństwem, graniczącym z pewnością, że stracimy ją, nim upłynie rok. I nie dość tego, ryzykujemy jeszcze, że pociągnie ze sobą bardzo, bardzo wiele niewinnych istnień... - przerwała. - Nawet jeżeli spełni się najlepszy z możliwych scenariuszy, i tak jest raczej niewielka szansa, żeby dożyła wieku dojrzałego. Przykro mi.

Horror.

Poczułam spiętrzającą się w Luisie falę wściekłości i przerażenia; gwałtownym ruchem odsunął krzesło, wstał, odszedł od stołu i zaczął martwym wzrokiem spoglądać przez jedno okno. Cały się trząsał, bliski łez albo użycia przemocy; mogło dojść i do jednego, i do drugiego. Ani to, ani to na nic by się tu nie przydało.

Nie musiałam nawet patrzeć na Luisa, żeby wiedzieć, że się zgadzamy. Odezwałam się cicho w imieniu nas obojga.

- Co możesz dla niej zrobić?

- Istnieją pewne metody leczenia. Razem z Janice zastosujemy je wobec Ibby, tak jak wobec wszystkich dzieci, u których pojawiają się takie reakcje. To trochę potrwa i nie mogę wam obiecać, że będzie bezbolesne, ale Ibby zyska na czasie. To najlepsze, co możemy jej dać. Czas. - umilkła, a potem dodała: - Przydałaby mi się wasza pomoc. Wyszkoleni Strażnicy Ziemi są tutaj bezcenni.

Oboje z Luisem odpowiedzieliśmy jednocześnie.

- Tak, oczywiście - zgodził się.

A ja sprzeciwiłam się równie stanowczo:

- Nie.

Spojrzeliśmy na siebie. Jego twarz wyrażała szok i niedowierzanie, moja pewnie też.

- Nie możemy jej tak po prostu opuścić, Cass! A niech cię diabli!

- Nie uratujemy jej, zostając tutaj - odparłam. - Może jest już za późno, żeby w ogóle ją jeszcze uratować. Możemy natomiast, a nawet musimy powstrzymać Perłę, zanim okaleczy i zabije kolejne dzieci. Pozostanie tutaj prawdopodobnie złagodzi twoje poczucie winy, ale nic nie da.

Spojrzenie Luisa zrobiło się zimne jak lód.

- Nic nie da? Słuchaj, ja wiem, że nie jesteś człowiekiem, ale mogłabyś chociaż przez chwilę poudawać...

- Zaczekajcie - powiedziała Marion i pochyliła się nad stołem, tak jakby chciała fizycznie znaleźć się między nami. - Cassiel chyba ma rację. Nie wiadomo, co tu właściwie należy uznać za bardziej słuszne. Jestem egoistką; według mnie zatrzymać was tutaj to lepszy pomysł. Ale nie mogę zaprzeczyć, że jest sens w tym, co mówi Cassiel. Ty też nie zaprzeczysz, Strażniku Rocha, jeżeli zechcesz popatrzeć na to obiektywnie.

Nie był w nastroju, żeby cokolwiek analizować obiektywnie, ja też nie. Zaślepiła mnie wściekłość z powodu tego, co stało się z Isabel, a Luis czuł to samo. Po prostu nasze instynkty pchnęły nas w innych kierunkach.

On chciał bronić. Ja - atakować.

- Czy ty w ogóle masz jakiś plan? - zapytał. Utkwiłam w nim wzrok, bez słowa. - Nie masz, prawda? Zamierzasz stąd wybiec i co dalej? Biegać w kółko i krzykiem zmusić Perłę, żeby walczyła fair? Weź się w garść, Cass. Ona nie musi z tobą walczyć. Ona, do jasnej cholery, wygrywa.

- Będzie ze mną walczyła - stwierdziłam. - Jeżeli nienawidzi mnie choć po części tak bardzo jak ja jej, to nie przepuści okazji, żeby zadać mi ból.

- Ona już ci zadaje ból. Chyba że nie odczuwasz czegoś takiego - wybuchnął Luis. - Czy aby tak nie jest?

Wstrzymałam oddech. Dotknął mnie do żywego.

- Nie, czuję ból. Ale po prostu nie mogę tego puścić płazem. Wiesz o tym.

- Nie możesz wyruszyć bez pieprzonego planu, Cassiel. To głupie. To samobójstwo.

Marion chrząknęła, kiedy oboje zamilkliśmy.

- W porządku. Wstrzymajmy się przez jakiś czas - zaproponowała. - Cassiel, zostań z nami kilka dni.

Przez ten czas razem zdecydujemy, co najlepiej zrobić. Zgoda?

Miałam ochotę trzasnąć drzwiami, wybiec z pokoju, wsiąść na motocykl i odjechać, a potem poszukać jakiegoś sposobu, jakiegokolwiek sposobu, żeby się zemścić za Isabel, ale coś mnie powstrzymało.

Dumna, zagniewana, a jednocześnie bezradna twarz Luisa.

- Dobrze - powiedziałam. - Dopóki nie ułożymy planu. Ale nie mogę tu zostać na zawsze.

- Nie proszę cię o to - odparła Marion.

Za to Luis prosił. Chociaż bardzo mądrze nie na głos.

5

Nie spodziewałam się, że przyjdzie mi pracować z dziećmi. Z Isabel, owszem, lecz ją zawsze traktowałam jako szczególny przypadek pod wieloma względami - była pierwszym dzieckiem, które spotkałam po tym, jak przyjełam ludzką postać, a do tego dzieckiem wyjątkowym, słodkim, serdecznym. Bardzo ją polubiłam i zdawałam sobie sprawę, że to dla mnie coś niezwykłego. Niewiele rzeczy naprawdę lubię, a jeszcze mniej ludzi.

Teraz niemal z dnia na dzień musiałam stanąć oko w oko z gromadą dzieci i poproszono mnie, żebym się o nie z oddaniem troszczyła. Byłam Strażnikiem Ziemi, a co najmniej okaleczonym dzinnem dzielącym moce ze Strażnikiem Ziemi, więc taki rodzaj związku powinien być dla mnie naturalny, a jednak z moją naturą jakoś się nie zgadzał. Luis potrafił współczuć. Ja nie... Lecz im więcej dzieci spotykaliśmy w szkole, tym jego współczucie stawało się większe, a to wpływało na mnie i moją wrodzoną rezerwę zaczynała zastępować litość.

Już wcześniej poznałam Mike'a i Gillian - najstarsze dzieci w szkole; wkrótce się dowiedziałam, że byli oni wśród pierwszych porwanych przez Perłę i pierwszych, na których eksperymentowała. Mike chyba poradził sobie z tym najlepiej - w każdym razie doznał najmniejszych długotrwałych szkód - ale i tak miał poważne problemy z nagłymi napadami paraliżującego bólu i paniki. Gillian była w znacznie gorszym stanie, zdarzały się jej ataki paranoi prowadzące do niekontrolowanego demonstrowania mocy - a to stanowiło potencjalnie śmiertelne zagrożenie dla każdego w jej pobliżu. Mike jako naturalne przeciwieństwo Gillian - Strażniczki Pogody - powstrzymywał ją, równoważył jej moce, a ona miała podobny wpływ na niego, lecz Gillian była przerażająco wrażliwa, a Mike, mimo swojego stoickiego spokoju i siły, ciągle był chłopcem - którego zbyt wcześnie zmuszono, żeby stał się mężczyzną.

Reszta była w gorszym stanie. Elijah, mały czarnoskóry Amerykanin o pięknym, rozdzierającym serce uśmiechu, miał skłonność do nagłych ataków epilepsji, a wtedy jego nienaturalnie silne moce Ziemi oddziaływały na wszystkich wokół. To połączenie w najlepszym razie wywoływało podobne napady, a w najgorszym prowadziło do nieodwracalnych uszkodzeń organów wewnętrznych u innych dzieci. Miał stałego towarzysza -

Strażnika, który monitorował jego stan i starał się zażegnawać ataki, ale stawały się one coraz częstsze.

Mały Sanjay nie mówił i jego niewypowiedziana wściekłość znajdowała ujście w eksplozjach ognia, kiedy zaczynał zbyt intensywnie odczuwać frustrację.

A wcale nie były to najtragiczniejsze przypadki.

Janice, która oprowadzała nas po szkole, niezmiennie roztaczała wokół siebie ciepło i niosła ukojenie; rozumiałam teraz, jak bardzo to ważne. Nawet Sanjay, mimo gniewu i urazów, wydawał się spokojniejszy w jej obecności. Lecz Janice nie mogła być wszędzie. Uświadomiłam sobie, że w całej placówce mieszkało raptem czterech Strażników Ziemi, więc tylko dwóch z nich mogło pełnić służbę jednocześnie - dyżurowali na zmianę. Wreszcie dotarło do mnie, dlaczego Marion chciała, żebyśmy zostali. Nie chodziło tylko o Isabel - myślała też o wszystkich innych podopiecznych, którzy mieli tak niewielkie szanse na długie życie. Miała nadzieję, że zmienię zdanie.

Kiedy zapoznaliśmy się ze szkołą i ludźmi, podano nam szybki, prosty posiłek; jedząc, zastanawiałam się nad przyszłością tych dzieci. Jeżeli Marion uda się pokierować ich stanem psychiczno-fizycznym, mogą się stać przydatnymi Strażnikami i żyć w miarę normalnie tak długo, jak pozwolą im na to ich okaleczone ciała. Ale to nie oznaczało wyleczenia. Zaczynałam rozumieć, że nie ma dla nich lekarstwa. Marion Bearheart była najlepszą, najbardziej wyspecjalizowaną żyjącą Strażniczką Ziemi. Skoro ona nie mogła zagwarantować dzieciom zdrowia, to w ogóle nie było to możliwe.

Isabel zadano śmiertelne rany. Tyle że zabijały ją one bardzo powoli. Ta myśl budziła we mnie chorą, zabójczą wściekłość, doprowadzała do szaleństwa. Zapragnęłam wyrwać się z tych ścian, ruszyć w drogę, rzucić się w ciemność i dokonać zemsty w jak najbardziej krwawy sposób.

Ale Luis miał rację. Potrzebowałam planu, prawdziwego, solidnego. Dżinny są istotami subtelnymi, znanymi z umiejętności przechytrzenia ludzi, odgadywania ich zamiarów... ale ja miałam przechytrzyć i odgadnąć zamiary ducha dżinna, i to bardziej doświadczonego w opracowywaniu strategii, czym ja nigdy nie zawracałam sobie głowy. Byłam zbyt potężna, żeby tego potrzebować. W końcu to Gillian, rudowłosa Gillian, podsunęła mi pomysł, chyba bezwiednie. Pijąc kakao, siedzieliśmy z Mikiem, jej nieodłącznym towarzyszem, w jednym z wygodnych, spokojnych szkolnych pomieszczeń przeznaczonych do użytku wspólnego. I o dziwo, Gillian opowiadała o Perle; nieliczne dzieci w ogóle ją wspominały, a jeżeli już, to posługiwały się eufemizmami - na przykład nazywały ją Panią.

Żadne nie odpowiedziało na moje pytanie, kiedy spytałam, jaka była Perła, żadne oprócz Gillian.

- Podobna do ciebie - stwierdziła. Mike złapał ją za rękę, prawdopodobnie próbując ją ostrzec, dając znak, żeby milczała, ale go odepchnęła. - Mam na myśli, że była ładna. I wyjątkowo zimna.

- Ona nie chce przez to powiedzieć, że ty jesteś zimna - wtrącił się Mike. - Tylko...

- Nie taka jak my - dokończyła Gillian. - I właśnie że chciałam powiedzieć zimna. Nie mów mi, czego chcę.

- Nie powinnaś o tym rozmawiać.

- Dlaczego? - Gillian odrzuciła na plecy swoje czerwone włosy gestem, którym właściwie rzuciła Perle wyzwanie, żeby się pokazała i zaatakowała. - Nienawidzę jej. Pani! Próbowała mnie zmusić, żebym ją kochała, ale ja nigdy jej nie kochałam. Nienawidziłam jej wtedy i naprawdę nienawidzę teraz.

- To ważne, Gillian. Jak często ją widywałaś? - zapytałam.

- Widywałam? - Zamyśliła się, a potem pokręciła głową. - Prawie nigdy. Ale zawsze tam była, rozumiesz? Czuło się ją przez cały czas.

- Ale przecież się pokazywała.

- Tylko parę razy. I wyglądała... dziwnie. Jakby była z wosku czy coś w tym rodzaju, nie jak zwykły człowiek. To było tak upiorne, że dostawałam gęsiej skórki. -Gillian zastanawiała się przez kolejne kilka sekund. -Kiedy tam była, kiedy była właśnie taka, wszystko rzeczywiście wydawało się inne - dodała.

- Inne?

- Jakby... czegoś brakowało. Jakby nas nie widziała, chyba że patrzyła na kogoś wprost. Czy to ma jakiś sens?

Miało i poczułam nedorzeczne podniecenie. Jeżeli wszechmoc Perły zmniejszała się, kiedy przyjmowała fizyczną postać, choćby tak ułomną, jak to opisywała Gillian, to istniały sposoby, żeby ją zwieść. Żeby zadać jej ból.

- Kiedy przybierała ludzką postać? - spytałam. Gillian po raz pierwszy spojrzała na Mike'a; pokręcił głową w milczeniu. - Proszę. To ważne. Muszę to wiedzieć.

- Powiem. - Oznajmiła Mike'owi.

- Pamiętasz, co mówiła: że będzie wiedziała.

- Trudno, wszystko mi jedno. - Gillian popatrzyła mi prosto w oczy. - To było po rozbudzeniu naszych mocy. Kiedy pojawiał się ktoś, kogo uważali za wyjątkowego, przybywała, żeby go zobaczyć.

Czasami coś nam pokazywała. Czasami.

- Na przykład co?

- Niełatwo to wytłumaczyć. Chyba pokazywała nam przyszłość. I przeszłość. I pokazywała, jak zginęli nasi rodzice, przekonywała, że ona jest wszystkim, co nam pozostało. - Mięsień drgnął w napiętej szczęce Gillian. - Ale nie była wszystkim. Mieliśmy siebie. - Znow trzymała Mike'a za rękę, a jej knykcie pobierały. - Zawsze mieliśmy siebie.

Kiwnęłam głową i zakończyłam rozmowę. Wyczuwałam, że nawet Gillian, chociaż odważna i rozgniewana, już dalej się nie posunie. Mike odciągnął ją ode mnie. Zostawili mnie samą, żebym mogła się zastanowić nad tym, co usłyszałam.

- Pojawia się w obozach. Pojawia się jako istota cielesna - wymamrotałam do siebie, kiedy drewno w kominku spaliło się na popiół i zapadła noc, głęboka i zimna.

Jeżeli udałoby mi się dostać do jednego z nich, jeżeli udałoby mi się do niej zbliżyć, mogłabym ją zabić, kiedy przyjęłaby ludzką postać, albo przynajmniej poważnie zranić. Gillian podsunęła mi myśl: powiedziała, że Perła w ludzkiej skórze nie jest tak wszechmocna. To oznaczało, że nie potrafi utrzymać obu stanów jednocześnie - może być albo energią, albo ciałem.

Ciało jest wrażliwe. Wiedziałam to lepiej niż ktokolwiek inny.

Czekałam aż do następnego dnia, żeby porozmawiać z Luisem. Właśnie kończyliśmy posiłek - w milczeniu. Nasi przewodnicy zostawili nas samych; bez wątplenia chcieli dać nam możliwość przetrwania wszystkich informacji, jakich dotychczas nam dostarczyli, chociaż nie miałam złudzeń co do tego, że nasza rozmowa dociera do niepowołanych uszu, tak mechanicznych, jak i autentycznych.

- Zamierzam powiedzieć coś, co ci się pewnie nie spodoba.

Chrząknął i pociągnął łyk diet coli.

- To mi dopiero nowość. Ciągle to robisz.

Pozwoliłam, aby na chwilę zapadła cisza, na tyle długa, żeby przestał się uśmiechać; zauważyłam, jak się napina, przygotowuje na to, co miałam mu do powiedzenia.

- Nie zostanę tu.

Znieruchomiał i spojrzał mi w twarz. Nie potrafiłam w tym momencie stwierdzić, co myśli, ale wiedziałam,

co czuje: ten sam narastający gniew, który nosił w sobie, od kiedy zrozumiał, jak bardzo skrzywdzono Isabel. Ten gniew powodował nami obojgiem, podobnie jak potrzeba działania. Różnica między nami polegała na tym, że inaczej definiowaliśmy działanie.

- Dlaczego?

- Ponieważ moja walka nie toczy się tutaj. Czy mogłabym się tu przydać? Tak. Ale mogłabym się przydać wszędzie, w szpitalu, w strefie wojny lub klęski żywiołowej. Tymczasem moim obowiązkiem jest odnaleźć Perłę i powstrzymać ją. Nie mogę tego zrobić z tej szkoły.

- Myślisz, że ja nie chcę stąd prysnąć i nasycić się zemstą? Chcę, i to już, do jasnej cholery! Ale nie mogę zostawić Ibby, żeby sama musiała przez to przechodzić. I ty też nie możesz. Na tyle cię znam. Przełknęłam ślinę.

- Mylisz się. Mogę.

To, co powiedziałam, było złe i brutalne, nie chciałam jednak, żeby pozostały jakieś wątpliwości; bałam się gwałtowności jego reakcji... ale nie po raz pierwszy Luis mnie zaskoczył.

Spojrzał na swój talerz, wziął chips i zjadł go powoli, zamyślony.

- Wiesz, że te dzieci potrzebują naszej ochrony - powiedział. - I naszej pomocy. Isabel potrzebuje naszej pomocy.

- Te dzieci są niewypałami Perły, Luisie. Wyrzutkami, odpadami. Ona im nie zagraża; to, że wypuściła je w świat, gdzie szerzą zamęt i absorbują siły najlepszych Strażników, działa tylko na jej korzyść.

Rzuca nam rannych i umierających pod nogi, żeby nas spowolnić. Nie widzisz tego?

- Nie. Widzę dzieci, które potrzebują pomocy - powtórzył. - A kim ty jesteś, do jasnej cholery, żeby je nazywać niewypałami? - Rozzłościłam go albo raczej wskazałam mu ujście dla jego złości. Siebie. -

One wykazują

się większą odwagą, wstając każdego dnia i stawiając czoło światu, niż ty będziesz kiedykolwiek miała okazję w całym swoim życiu. Nazywasz Ibby niewypałem? Odpadem?

A jakże. To właśnie zrobiłam.

- To nie jest ocena osobista...

- A co to jest, do diabła?! - Odepchnął talerz, poderwał się i zaczął krążyć po pokoju, rzucając mi gniewne spojrzenia, ponury i wściekły. - Ty zimna suko. Potrafisz siedzieć tu i mówić mi takie rzeczy?! Zawsze wiedziałem, że w środku jesteś jakąś kosmitką, ale do ciężkiej cholery, myślałem, że ci na nas zależy.

- Zależy mi. Kocham Ibby. I kocham ciebie. Ale znam swoją powinność i tutaj jej nie spełnię, robiąc to, co tu trzeba robić. Tu można jedynie opatrywać śmiertelne rany.

Zaśmiał się ostro, nieprzyjemnie.

- Miłość. Tak myślałem, że wcześniej czy później z tym wyskoczysz. Zawsze ranisz tych, których kochasz? No więc pieprz się, to nie miłość, to egoizm. Nie potrzebujemy cię. Jeżeli chcesz wziąć nogi za pas, to zabieraj stąd swój tyłek i zjeżdżaj. Nie ma co tego przeciągać. Ibby będzie bez ciebie lepiej. I mnie też.

Byłam przygotowana na to, że będzie bolało, lecz nie aż tak. Nie tak, jakby ktoś wyrywał mi wnętrzności i palił je żywcem. O dziwo, nie był to jednak wyłącznie ból - również gniew. Miałam rację i Luis to wiedział - nie mógł jednak tego słuchać.

Zobaczyłam w nim słabość. Był tylko człowiekiem. W pokretny sposób ułatwiło mi to zadanie.

- Jeżeli mnie tu nie chcesz, to nie ma żadnego powodu, żebym została, prawda?

- Żadnego - odparł. Jego wzrok zrobił się twardy jak obsydian. Bez śladu zniknął mężczyzna, którego jeszcze wczoraj całowałam. Mężczyzna, który mnie obejmował

i pokazał mi słodycz ludzkiego życia tak, jak sobie nawet tego nie wyobrażałam. Mężczyzna, który sprawił, że się w nim zatraciłam.

Ten mężczyzna był złudzeniem, duchem, a teraz odszedł.

Z trudem zapanowałam nad głosem.

- W takim razie wyjeżdżam jutro - oznajmiłam. - Nie mogę dłużej zwlekać.

- Tak, wiem, masz swoje przeznaczenie i inne brednie - burknął lekceważąco. - Zbyt ważne sprawy, żebyśmy my, mali ludzie, mogli stanąć ci na drodze. Zwłaszcza takie niewypały i odpady.

Dotknął mnie tymi słowami, ale trafił w sedno. Im dłużej tkwiłam tutaj, wikłając się w beznadziejną walkę tych dzieci, tym więcej zła mogła wyrządzić Perła. Musiałam się z nią zmierzyć i to szybko, zanim zdoła wprowadzić w życie jakiś plan, nad którym pracowała. Dotyczył on dzieci Strażników, ale wiązał się też z dżinnami i chociaż Strażnicy mieli się teraz przed nią na bacznosci, dżinny były zbyt pewne siebie. Zawsze zbyt pewne siebie.

Wszystko to, mimo że było prawdą, nie czyniło mojej decyzji mniej okrutną, a nie przychodziło mi do głowy, co można by jeszcze powiedzieć, żeby było nam łatwiej. Luis nie zamierzał pogodzić się z niczym poza całkowitym podporządkowaniem się jego życzeniu pozostania z Ibby; a ja nie mogłam ulec, choć bardzo pragnęłam, żeby oboje byli szczęśliwi. Toczyliśmy wojnę i należało przeprowadzić selekcję rannych, niezależnie od tego, jak bardzo to bolało.

- Jak zamierzasz utrzymać się przy życiu? - zapytał obcesowo. - Potrzebujesz mnie, Cass, chyba że ni stąd, ni zowąd udało ci się jakoś podłączyć do dżinnów, o czym nic mi nie wiadomo. - Zdumiewające, ale rzadko rozmawialiśmy o mojej... ułomności, o tym, że nie mogłam dostać się do sfery eterycznej, jak to robiły dżinny, i bezpośrednio stamtąd pobierać energii życiowej.

Było to upośledzenie, o którym nie chciałam pamiętać - a które jemu dawało niewypowiedzianą władzę nade mną.

Utkwiłam w nim stanowcze spojrzenie.

- Zamierzam utrzymać się przy życiu w ten sam sposób jak dotychczas - odparłam. - Naprawdę chcesz powiedzieć, że odetniesz mnie od swojej energii? Że skażesz mnie na śmierć?

Otworzył usta i zaraz je zamknął. Czuję, że chciał się na mnie rzucić, ale nawet teraz nie mógł tego zrobić. Nie mógł. Wiedział, jakie podejmuję ryzyko i jak wielką ma nade mną władzę. Lecz wiedział też, że mnie nie zatrzyma ani groźba, ani czynem.

Gdyby mnie odciął od swojej energii, wyrządziłby mi krzywdę, osłabiłby mnie, zmusił do znalezienia innych źródeł... nie zmieniłby jednak mojej decyzji.

- Nie - odparł. - Nie zrobiłbym tego. Wiem, o co toczy się gra. Ale nie masz racji, Cassiel. Nie masz racji, ruszając za nią w pogoń w ten sposób.

- A ty nie masz racji, chowając się. Bo ta walka musi objąć Perłę. Ona już nią nas objęła i będzie nam ciągle zadawać nowe rany, aż wreszcie nie będziemy mogli walczyć dalej. Muszę wyjechać. Proszę, zrozum.

Rozumiał. Po prostu nie potrafił się do tego przyznać, a to sprawiało, że bez sensu wpadał we wściekłość.

- W takim razie powinnaś wyjechać natychmiast - oświadczył. - Teraz mogę wytłumaczyć Ibby, dlaczego ją porzuciłaś jak szczenię w schronisku dla zwierząt, ale nie uda mi się to, jeżeli zostaniesz jeszcze parę dni i dopiero potem znikniesz. Tego nie będę umiał wytłumaczyć w żaden sposób.

- Uważasz, że jestem okrutna, ale to...

- Nie - powiedział spokojnie, lecz w tym słowie był mrozący jad. - Nie, nawet nie próbuj mnie przekonywać, że masz rację. Ja to wiem. Doskonale wiem, do jasnej

cholery, nie mogę ci jednak z tego powodu wybaczyć. Nie prosz mnie o to, bo gdybyś ją kochała, nie odeszłabyś od nas. - Ciągłe się wściekał, ale w końcu głos mu się załamał; wyczuwałam, że jego gniew to teraz tylko cienka skorupa, pod którą znajduje się studnia bez dna wypełniona smutkiem. Tak jak Ibby nigdy nie pogodził się ze stratą Manny'ego i Angeli i tak jak Ibby ciągle mnie o to winił, gdzieś głęboko w sobie. Nie chciał, lecz winił.

A jednak pragnął, żebym została. Z nim. Pragnął tego tak bardzo, że w jego oczach zalśniły łzy. Ukrył je, odwracając się do mnie plecami.

Łamałam mu serce, i sobie też, i w żaden sposób nie uleczyłam tej rany. Lepiej zostawić ją otwartą, pozwolić, żeby wraz z krwią wypłynęła również trucizna... Jeżeli to w ogóle możliwe.

Lecz czy to nie zabije nas obojga?

Wstałam, wyszłam z pokoju i natknęłam się na Marion.

- Wyjeżdżam jutro - oznajmiłam. - Co jest do roboty dziś wieczorem?

Zmarszczyła brwi, potem przeniosła wzrok ze mnie na Luisa, który ze spuszczoną głową ciągle siedział w sali konferencyjnej.

- Ojej! - jęknęła, jej głos wyrażał ogrom zrozumienia i smutek. - Och! Nie jedzie z tobą.

- Nie.

- Przykro mi. To na pewno trudne.

Mnie też było przykro, odczuwałam to głęboko i boleśnie, ale nie mogłam się już wycofać.

- To teraz bez znaczenia. Chcę pomóc, dopóki mogę. - Chciałam po prostu coś zrobić, by uciec od czarnej dziury dojmującego bólu, która tworzyła się we mnie, kiedy byłam blisko Luisa.

- Dobrze, roboty nie brakuje - powiedziała. - Chodź.

Marion Bearheart była wspaniała, no i nieprawdopodobnie niezmordowana; powinna być wyczerpana, ale nawet w sferze eterycznej przez następnych kilka godzin nie mogłam dojrzeć najmniejszego śladu jej przemęczenia. Ja zdecydowanie męczyłam się szybko, ponieważ delikatność tego, co Marion robiła podczas swych sesji z dziećmi, wymagała ode mnie niezwykłego wysiłku, podobnie jak dość rozrzutne wykorzystywanie mocy Ziemi. Moim zadaniem było jedynie wzmacniać i koncentrować moc, którą posługiwała się Marion - pełniłam funkcję pielęgniarki asystującej chirurgowi posługującemu się najcieńszym laserowym skalpelem - a poza tym pomagałam utrzymać dzieci w stanie uspokojenia polekowego. Lecz minęła zaledwie połowa pierwszej sesji z Sanjayem, kiedy zorientowałam się, że muszę pobrać energię od Luisa... albo od kogoś innego. Lepiej od kogoś innego. Nie wiedziałam, czy moc Luisa, aż tak na mnie złego, w moim organizmie nie zmieni się w toksynę. Obiecał, że mnie od siebie nie odetnie, ale to nie oznaczało, że nasz związek się nie zmienił - bo zmienił się wyraźnie.

W końcu jednak nie musiałam prosić o pomoc. Marion spojrzała na mnie, odrywając się na moment od tego, co robiła, i kiedy nasze oczy się spotkały, bez wahania wyciągnęła rękę. Chwyciłam ją za palce i poczułam, jak zalewa mnie cudowna fala mocy, cieplej i niematerialnej jak światło słoneczne; wniknęła w każdą moją zgłodniałą komórkę i przywróciła mi siły w zaledwie kilka sekund. Marion była naturalnym kanałem przewodzącym moc Matki prawie bez oporu i to, czego doświadczyłam, miało w sobie coś niesamowitego. Było bliskie mocy dzinnów. Wyraziłam wdzięczność i uznanie lekkim pochyleniem głowy. Marion się uśmiechnęła i znów zabrała do pracy. Położyłam obie ręce na cieplej, spoconej główce Sanjaya - nie po to, żeby go przytrzymać, lecz żeby mu dodać otuchy przez zwykły kontakt

z drugim człowiekiem - i poczułam, że napięcie w jego ciele złagodniało. Dzieci łakną dotyku, nawet bardziej niż dorośli.

Fakt, że ludzie z takim wahaniem zbliżali się do Sanjaya, dodatkowo go przykro obciążał. Mieli rację, bojąc się go, lecz to nie oznaczało, że z tego powodu łatwiej znosił samotność.

Dwie godziny później Marion westchnęła, zdjęła ręce z nieruchomego ciała chłopca i pokręciła głową.

- Na razie nie mogę nic więcej zrobić - powiedziała. - Powinno to zmniejszyć częstotliwość i dotkliwość ataków, ale nie potrafię im zapobiec; z czasem, stosując odpowiednie zabiegi, powinniśmy umieć zredukować napady prawie do zera, ale większym problemem jest kontrolowanie mocy i zamknięcie do niej dostępu. To nie będzie łatwe. Założyłam pewne blokady, dopóki jednak układ nerwowy nie zregeneruje się choć trochę, nie odważę się w pełni zablokować kanałów. Przez jakiś czas Sanjay ciągle będzie niebezpieczny. Najgorsze, co mogłoby się wydarzyć, to użycie przez niego mocy świadomie; zniweczyłby wszystkie nasz dotychczasowe osiągnięcia.

Przeciągnęła się w ramionach, starając się rozluźnić mięśnie, a Ben, wciąż na służbie, przyszedł odprowadzić dziecko do pokoju. Mógł po prostu przetoczyć łóżko ze śpiącym na nim chłopcem, ale zamiast tego wziął go w ramiona i zaniósł. Byłam zadowolona; Sanjay potrzebował kontaktu, i to bardzo. Wiedziałam, że nawet śpiąc, poczuje, że ktoś go kocha na tyle, żeby zaryzykować takie zwykłe ludzkie zbliżenie.

- Dobrze. Chyba dość na dziś. Nie chcę, żebyś pracowała przy Isabel - powiedziała Marion, kiedy sprawdziła grafik na ścianie. - Kolej na nią. Nadal zamierzasz nas opuścić po wschodzie słońca?

- Tak.

- Więc idź spać i śpij szybko. Zostało ci tylko około dwóch godzin, a potrzebujesz snu, bez względu na to, co na ten temat sądzisz.

- Mogłabym pomóc z...

- Nie, nie mogłabyś. - Marion zatoczyła półkole wózkiem, aby znaleźć się twarzą do mnie. - Żołnierze uczą się spać, gdy tylko mają okazję; kto wie, kiedy znów trafi ci się wolna chwila. Chodzi o to, że wybierasz się w drogę sama, a obie wiemy, z jakim ryzykiem się to dla ciebie wiąże. Jesteś cennym nabytkiem dla Strażników pracujących w terenie, ale potrzebujesz energii, żeby istnieć. To twoja słabość. Szkoda, że Luis z tobą nie jedzie. Chcesz, żebym z nim porozmawiała?

Pokręciłam głową.

- On nie zostawi Ibby, bez względu na to, co mu powiesz. Nawet gdyby ci się udało go przekonać, gdyby wyjechał teraz, zatrulibyśmy sobie życie. - Niewykluczone, że już je nieodwracalnie zatrulałam.

- No tak - zgodziła się Marion. - Przyznaję ci rację. Lubię Rochę, ale ma pewne problemy, z którymi musi się uporać.

- Czyż nie każdy je ma? Uśmiechnęła się i nie odpowiedziała.

- Powinam się z nim pożegnać? - Spytałam o to wprost, bo, szczerze mówiąc, miałam mętlik w głowie od tego wszystkiego, od zalewającej mnie w tej chwili ogromnej fali emocji. Nie widziałam Luisa od momentu, kiedy się pokłóciliśmy i tak bardzo zraniliśmy nawzajem, lecz bez przerwy o nim myślałam i cierpiałam z powodu bólu, który sobie zadaliśmy. - Czy to byłoby... miłe?

- Nie dla ciebie - odparła Marion. - Ale tak, to chyba właściwe.

- A z Isabel?

- Ona śpi. Nie budziłabym jej, możesz jednak do niej zajrzeć.

A gdyby się obudziła, co wtedy? Jak bym się wytłumaczyła, żeby nie poczuła się zdradzona, że bym nie zobaczyła rozczarowania na jej twarzy? Okłamałabym ją, chcąc oszczędzić sobie przykrości? Naga prawda wyglądała tak: kiedy wyjadę, Ibby uzna mnie - podobnie jak Luis - za zdrajczynię, za nikczemnika, za którego skrycie i tak mnie uważała. Ale ja sama musiałam się z tym uporać; nie mogłam tu zostać, nie mogłam pozwolić, żeby moje uczucia stanęły mi na drodze do spełnienia obowiązku.

Czy to oznaczało, że jestem zimna? Pewnie tak, z ludzkiej perspektywy. Tyle że nie powinnam o tym myśleć w tych kategoriach, jeżeli miałam zapobiec koszmarom, które zobaczyłam tutaj, w tej szkole.

- Cassiel? - Marion uniosła brwi.

- Najpierw odpocznę - zdecydowałam. Wyszłam, ale choć padałam z nóg ze zmęczenia, nie chciałam skorzystać z okazji i się przespać. Błąkałam się po szkole, obserwując dzieci: spały, bawiły się, uczyły. Przeważnie wyglądały normalnie, tak jak Isabel, kiedy oglądała filmy albo grała w gry. To napady niepoohamowanej złości były niebezpieczne - albo strach nie do opanowania. Te uczucia rozbudziła w dzieciach Perła - a może były one zupełnie naturalne, dopóki nie zostały skojarzone z przerażająco silnymi mocami, które również rozbudziła Perła. Zobaczyłam Mike'a, był jak zwykle z Gillian jako jej opiekuńczy cień; zobaczyłam Elijaha o pięknym, olśniewającym uśmiechu, którym czarował swych wychowawców, dopóki znów nie spowiłyby go ciemne chmury i dopóki lęk nie sprawiłby, że trudno sobie będzie z nim poradzić. Stałam w rogu, przyglądając się, lecz nie biorąc udziału w ich zajęciach, kiedy do pokoju weszła Shasa, zauważyła mnie i skierowała się w moją stronę. Myślałam, że może zechce mi dokuczyć, ale tylko oparła się o ścianę obok mnie i skrzyżowała ręce.

- Pewnie się zastanawiasz, gdzie są ich rodzice - zagadnęła.

Nie zastanawiałam się dotychczas, lecz teraz, kiedy o tym pomyślałam, rzeczywiście mnie to zainteresowało. Luis był tak opiekuńczy wobec Isabel - czy to nie normalna cecha ludzi troszczyć się o swoje potomstwo?

Wzruszyłam ramionami. Shasa podbródkiem wskazała Elijaha.

- Sieroty - powiedziała. - Wszystkie sieroty. Każde z nich. Ich rodzice zginęli podczas rebelii džinnów albo w wypadkach, burzach, pożarach, trzęsieniach ziemi... zwykły los Strażnika, wiadomo. Ale faktem jest, że każde dziecko, na którym Perła autentycznie skupiła uwagę, było sierotą, tak jak twoja Ibby. Nigdy się nie zastanawiałaś dlaczego?

Zastanowiłam się nad tym teraz.

- Ponieważ łatwiej wypaczyć dziecko, które nie ma korzeni - odparłam. - Nikt się o nie nie troszczy. Nikt nad nim nie czuwa. Nikt o nie nie walczy.

- O, wierz mi, my się troszczymy - zapewniła Shasa. - Czuwamy. Walczymy. I jeżeli kiedykolwiek spotkam się z tą suką, dam jej do zrozumienia, że jesteśmy społecznością, my Strażnicy. Trzymamy się razem. - Spojrzała na mnie z ukosa. - A może ty jej to powiedz, kiedy ją znów zobaczysz. Ode mnie.

- O tak. Wy tłumaczę jej to dokładnie.

- Czy to prawda, że ona jest jednym z was? Z džinnów?

- Już nie. Ale ja też już nim nie jestem, formalnie rzecz biorąc.

- Skoro tak mówisz... - Raczej nie zrobiło to na Shasie wielkiego wrażenia. - Moja ciotka cię lubi. Ale ci nie ufa. Chyba nikt ci tak naprawdę nie ufa. Nawet twój Strażnik.

- Co czują do ciebie? - spytałam.

Roześmiała się.

- Mniej więcej to samo. Nie bardzo zabiegam o to, żeby być lubianą. Nigdy nie widziałam w tym sensu.

Prawdopodobnie tę jedną cechę miałyśmy wspólną. Po chwili Shasa odepchnęła się od ściany i podeszła do Elijaha; chłopiec nie mógł się zdecydować, czy się śmiać, czy płakać, lecz kiedy ją zobaczył, jego twarz po prostu się rozjaśniła.

Najlepiej zdać się na osąd dziecka. I nie zważać na opinie innych.

- Shasa - powiedziałam, kiedy wzięła Elijaha na ręce. - Wkrótce wyjeżdżam.

- Tak, słyszałam. Wydam przyjęcie z ciastkami i balonikami. Ale ciebie nie zaproszę.

- Uważaj na nie. Na nie wszystkie.

Spojrzała na mnie, trzymając roześmianego Elijaha na biodrze, i zmarszczyła brwi.

- Chcesz mi coś powiedzieć? Coś, o czym powinnam wiedzieć?

- Nic konkretnego, gdyby tak było, zostałabym. Ale... to zbyt łatwy cel. To miejsce. I te dzieci.

- Tak - odparła Shasa. - Wiem. Wszyscy to wiemy. Ale izolowanie ich od siebie nic im nie dawało.

Razem mogą przynajmniej pomagać sobie wzajemnie. Nie mamy wielkiego wyboru.

Rozumiałam to oczywiście, lecz nie potrafiłam rozwiać dręczących mnie gdzieś w głębi wątpliwości, które zrodziły się, gdy tylko zobaczyłam to miejsce. Leżało z dala od linii geomantycznych, będących częścią sieci mocy eterycznych; to one dały Perle punkty oparcia i pozwoliły jej utworzyć obozy dla swych własnych trefnych zwolenników. Żadne jasne znaki nie na to, że ludzie Perły mają choćby słabą świadomość tej lokalizacji, a jednak...

A jednak.

Nie mogłam czekać, żeby walka przeniosła się tutaj, ryzykować życie tak wielu delikatnych istnień. Musiałam zaatakować pierwsza i to bardzo, bardzo agresywnie.

Oznaczało to, że muszę porzucić Ibby i Luisa i zniszczyć to wszystko, co udało mi się ciężką pracą zbudować.

To bolało.

O Boże, jak bardzo bolało.

Poszłam do Luisa pożegnać się. Jego drzwi były zamknięte; zapukałam. Usłyszałam szelest pościeli. I nic... Zapukałam mocniej i przekreśliłam gałkę. Zamknięte na klucz.

Prychnęłam. To był tylko zdawkowy gest - Luis doskonale wiedział, że zamek mnie nie powstrzyma, jeżeli zechcę wejść do środka. Roztrzaskałam go i naprawiłam, jak tylko drzwi puściły, a potem zamknęłam je za sobą. W pokoju było ciemno, lecz po chwili rozległo się kliknięcie i zamigotała lampka nocna, oświetlając wpatrującego się we mnie Luisa opartego na poduszkach.

Nie wyczuwałam żadnych jego emocji. Odciał się ode mnie. Pozostał jedynie cichy szmer łączącego nas kanału komunikacyjnego, lecz nie docierało stamtąd nic, co zdradziłoby mi jego uczucia.

- Przyszłaś zrobić wielką scenę? - spytał. - Przykro mi, ale już nie gram w tym przedstawieniu.

Myślałem, że właśnie wyjeżdżasz.

- Wyjeżdżam.

- Więc jedź.

- Wyjadę. Chciałam się najpierw zobaczyć z tobą.

- No cóż, nie chcę o tym rozmawiać. Zamknięte drzwi nic dla ciebie nie znaczą?

- Znaczą, że jesteś zły.

- Tak, do jasnej cholery, jestem zły. *Christo*, kobieto, a co według ciebie powinienem czuć, chciałabyś, żebym

tańczył i śpiewał na szczycie góry? A jak myślisz, jak będzie się czuła Ibby, kiedy jej powiem, że nas porzuciłaś?

- Myślę, że będzie jej bardzo przykro - odparłam. -Zwłaszcza jeżeli jej nakłamię, mówiąc o pobudkach, które mną kierowały.

Usiadł, koc zsunął się po jego nagiej klatce piersiowej. Wydawało się, że ciemne cienie płomieni wytatuowanych na jego obu ramionach pochłaniają światło. Kiedy się odezwał, jego głos był niski i brutalnie ostry.

- Lepiej tak nie mów, *chica*. Lepiej nie nazywaj mnie kłamcą, bo to ty odchodzisz, nie ja.

- Jeżeli jej powiesz, że porzucam was oboje, to skłamię - stwierdziłam. - Skłamię przed sobą i przed nią, a to niewybaczalne. Nie odwracam się do was plecami z powodu jakiegoś drobnego nieporozumienia. Walczę za was.

- Nigdy cię o to nie prosiłem!

- Nie musiałeś. Walczę za was, bo to mój obowiązek. I walczę, ponieważ cię kocham, Luisie, i ponieważ kocham Ibby; nie zniosę, żeby ktoś was znów skrzywdził. I będę was zawsze kochała, niezależnie od twoich uczuć. Bo to jest przekleństwo dzinny; nie odkochujemy się, tak jak odkochują się ludzie. To dlatego tak rzadko w ogóle decydujemy się kochać. Myślałam, że o tym wiesz. - Zabrakło mi tchu i zrobiło mi się niedobrze. Do pewnych słabości dzinny nie lubiły się przyznawać, a ta była najgorsza. Stałość naszych uczuć.

Chciałam to skończyć. Chciałam, żeby wyciągnął do mnie rękę, kochał mnie, przebaczył mi.

Potrzebowałam tego, bo wiedziałam, że już nigdy, przenigdy nie będę umiała myśleć o nim zwyczajnie jak o przyjacielu, sojuszniku czy ludzkiej istocie, którą można wykorzystać i o niej zapomnieć. Stał się dla mnie kimś ważnym i posiadał moje serce.

Luis mógł zapewne porzucić to, co zbudowaliśmy. Ja jako dzinn nie. Ból już zawsze odbijałby się echem w pustych miejscach po nas.

Odwróciłam się, żeby wyjść. Chyba miałam nadzieję, że mnie zatrzyma, powie coś lub zrobi i że nastąpi między nami cudowne, kojące duszę pojednanie.

I rzeczywiście odezwał się, bardzo cicho.

- Cassiel.

Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że toczy walkę wewnętrzną, lecz nie potrafiłam tego w pełni pojąć.

- Cass, robisz to, co musisz. Wiem o tym. Nie podoba mi się to i nie zgadzam się z tobą, ale wiem. I ja też coś muszę zrobić. Coś, co tobie się nie spodoba.

Poczułam, że marszczy mi się czoło.

- To znaczy?

- Po naszej rozmowie... podjąłem pewne kroki, na wszelki wypadek. Dla dobra Ibby.

- Nie rozumiem. Jakie kroki? Pokręcił głową.

- Nie zgodziłabyś się ze mną. Lepiej, żebym ci nie mówił. Po prostu pamiętaj, że nie zrobiłem tego dla siebie. Zapamiętaj tylko tyle.

Uświadomiłam sobie, że nie zamierzał się do niczego przyznać, nie wprost. Przyjrzałam mu się, ciągle marszcząc brwi, i skinęłam głową.

- Uważaj - powiedziałam. - Uważaj na siebie i na nią. I na nich wszystkich.

On też kiwnął głową - bez słowa pociechy, zrozumienia, podziękowania. Dopiero kiedy odeszłam, czując palące brzemie własnego bólu, zdałam sobie sprawę, że w istocie wcale się z nim nie pożegnałam.

Wierzyłam jednak, że i tak zrozumiał, co miałam na myśli.

6

Na długo przed świtem uruchomiłam kopnięciem motocykl i jego warkot rozległ się na ogrodzonym terenie wokół szkoły. Marion wstała, żeby mnie pożegnać, ale Luis się nie pokazał. Czułam się... niespełniona. I głęboko winna, chociaż nie obarczałam się odpowiedzialnością za to, że poczucie obowiązku pchnęło mnie w takim właśnie kierunku. Musiałam działać, żeby ocalić jego i Ibby. Nie mogłam postąpić inaczej.

Liczyłam tylko na wyrozumiałość Luisa, lecz najwyraźniej nie potrafił mi tego ofiarować. Miałam nadzieję, że kiedyś przynajmniej mi wybaczy.

Obejrzałam się przez ramię na Marion; siedziała na werandzie na swoim wózku inwalidzkim, jak zawsze czujna. Nie wydawała się zmęczona, a przecież tempo pracy musiało ją ścinać z nóg.

- Raczej nie zdołam ci tego wyperswadować - stwierdziła. - Choć zdajesz sobie sprawę, że mogłabyś tu zrobić wiele dobrego.

- Wszędzie mogę zrobić wiele dobrego. Wiesz, że mam rację - odparłam, przekrzykując maszynę. - Powiedz Luisowi... - Nie wiedziałam, co mu powiedzieć, co zechce zaakceptować.

Marion ewidentnie wiedziała, bo skinęła głową.

- Powiem mu. On cię kocha, wiesz? I dlatego jest mu jeszcze trudniej. To dumny mężczyzna i chce być z tobą.

- Ja też tego chcę - wymamrotałam, lecz nie byłam pewna, czy mnie usłyszała. - Pilnuj się, Marion.

- Zawsze. Przeżyłam już wiele lat. Przeżyję jeszcze kilka, obiecuję. - W geście pożegnania wyciągnęła rękę otwartą dłońią do góry.

Kiedy odwróciłam głowę i znów spojrzałam przed siebie, zobaczyłam, że w ogrodzeniu powstał kształtny otwór dla mojego motocykla, łuk przypominający wejście do starego kościoła. No cóż, w pewnym sensie było to miejsce święte. Azyl.

Miałam nadzieję, że takim pozostanie do chwili, kiedy zdecyduję się wrócić.

Otwór zamknął się za mną, usłyszałam tylko trzask mocy i poczułam jej żar; zanim się znów obejrzałam, całą szkołę spowity mgły. Nie było nic widać, żadnych świateł, tylko las, pusty, nijaki, przykryty grubą warstwą śniegu. Nigdy bym nie odnalazła tego miejsca, chyba że zadałabym sobie trud i oznaczyła lokalizację w sferze eterycznej. Trochę mnie to uspokoiło, ale nie całkiem. W żadnym razie nie całkiem.

Gdy znalazłam się na drodze, ciągle przejezdnej, choć stanowiła wyzwanie nawet dla moich umiejętności jako kierowcy, włączyłam telefon komórkowy umieszczony w kasku i zadzwoniłam do Bena Turnera, mojego kontaktu w FBI w Albuquerque.

- Wracam - poinformowałam.

- Jezu Chryste, Cassiel, wiesz, która godzina?

- Przed świtem.

- Do jasnej cholery, jest trzecia w nocy. Nie wstaję o takiej porze. Nawet się nie kocham z żoną o takiej porze. Co dzieje się aż tak ważnego?

- Jadę do ciebie - powtórzyłam cierpliwie. - Powinnam być na miejscu jutro rano. Gdzie mam się udać? Zapadła złowroga cisza.

- O trzeciej w nocy chcesz wiedzieć, gdzie masz się udać jutro?! - odezwał się w końcu.

- Lubię być przygotowana - odparłam. Lubiłam również zmieniać życie agenta Turnera w piekło; załazł mi za skórę kilka razy, całkiem niedawno, i ciągle należa-

ły mu się ode mnie różnego rodzaju drobne, acz wymyślne przykrości.

Lecz poza tym mówiłam poważnie. Naprawdę lubię być przygotowana.

- Ktoś telefonował do Luisa parę dni temu - ciągnęłam. - Ktoś z FBI bardzo chciał, żebyśmy zawrócili z drogi i zdali sprawozdanie. Wiesz po co? To byłeś ty?

- Nie. Co więcej, o tej porze w ogóle mnie to nie obchodzi.

- Dowiedz się - powiedziałam. - Muszę wiedzieć, co się dzieje.

Zaklął i się rozłączył. Uśmiechnęłam się lekko w tajemniczej szarości poranka i pomyślałam, że porachunki zostały troszkę wyrównane - miałam jednak w zanadrzu jeszcze wiele, bardzo wiele nieprzyjemności dla agenta Turnera. Szczęśliwie dla niego, dzinny są bardzo pomysłowe.

Przestałam się uśmiechać, kiedy próbowałam sobie wyobrazić, co mogło być aż tak przerażające, że FBI zdecydowało się domagać naszej obecności.

Spodziewałam się, że kiedy opuszczę Luisa i Isabel, będę wzburzona. Nie spodziewałam się jednak, że tak bardzo się to we mnie zaogni, niczym niezagojona rana. Wmawiałam sobie, że nie są mi potrzebni; moja zależność od Luisa była, w początkowym okresie, czysto praktyczna, lecz mogłam czerpać moc od każdego Strażnika, czy by tego chciał, czy nie. Nie miałam żadnej potrzeby ograniczania własnej swobody poprzez komplikacje, jakie niósł ze sobą związek emocjonalny, czy to z Luisem, czy z dzieckiem. Nie zostałam wysłana na Ziemię, żeby zaspokajać swoje zachcianki.

Ashan, rzucając na mnie klątwę, skazując mnie na życie w ludzkim ciele, nie zamierzał zrobić ze mnie prawdziwego człowieka, chciał mi dać lekcję, uzmysłwić, na jakie ryzyko i poniżenie narażam się, nie wypełniając swoich obowiązków dzinna.

A jednak rezygnacja z tego dziwnego, jakże cennego związku bolała. Bolała tak bardzo, że po dwóch godzinach jazdy, kiedy słońce ukazało się nad drzewami w całej swej złocistoczerwonej krasie, nie mogłam już tego znieść. Świat się nie zmienił. Ja tak.

Zjechałam na pobocze wąskiej, ciągle jeszcze ciemnej drogi, zerwałam z głowy kask i ruszyłam biegiem przed siebie. Musiałam poczuć, jak pracują mi mięśnie, jak moje ciało głośno protestuje, lecz nawet to nie wystarczyło, żebym się uspokoiła. Zatrzymałam się bez tchu i padłam na kolana.

Wezbrała we mnie wściekłość i z najgłębszego zakątka mojej istoty wyrwał się pierwotny krzyk - zawylałam z bólu, tak żeby mnie usłyszał cały kosmos. Rozszarpało to na strzępy poranną ciszę, odbiło się echem od kamieni i nieba. I ciągle nie wystarczało.

Usiadłam na ziemi i przycisnęłam czoło do kolan; moimi ramionami wstrząsały dreszcze, kiedy z rozdzierającym bólem falami wypływał ze mnie smutek. Pragnęłam znaleźć się w objęciach Luisa.

Pragnęłam ciepła uśmiechu Isabel. Pragnęłam ich poczuć, choć odrobinę, zamiast tego... zimna. Tej samotności.

Ale byłam samotna. Prawdę mówiąc - zawsze samotna; nawet wśród dzinnów, moich braci i sióstr.

A teraz byłam samotna tutaj, na tym świecie, z którym nic mnie nie wiązało oprócz konieczności.

Jakie to zimne, konieczność.

W końcu mój lament ucichł, ale ból wcale nie zelżał; po prostu zmęczenie i ośpienie sprawiały, że nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Musiałam jechać dalej, wiedziałam o tym bardzo dobrze, mimo to dokonałam prawdziwego wysiłku woli, aby podnieść się, oczyścić z pyłu i dojść z powrotem do motocykla na poboczu. Na siodełku leżał kask i kiedy pomyślałam o włożeniu go na głowę, czarna wściekłość skręciła mi wnętrzności. Nie

byłam jakimś tam człowiekiem, żeby potrzebować tej marnej ochrony. Cisnęłam kask na ziemię i kopnęłam go mocno; potoczył się między drzewa.

Wsiadłam na victory i już miałam go uruchomić, gdy za plecami usłyszałam głos.

- Nigdy nie myślałem, że potrafisz płakać, Cassiel. A tym bardziej że możesz mieć na to ochotę. - Słowa te dobiegły z tyłu; odwróciłam się i zobaczyłam dzinna -siedział, a raczej leżał na gałęzi nad moją głową. Piękny dzinn o ludzkiej - tylko zewnątrz - postaci; miał skórę szarą jak burzowe chmury, włosy spływały mu złocistymi falami na nagie ramiona. Zresztą cały był nagi -i doskonały jak grecka rzeźba, każdy mięsień jego ciała został odmalowany pędzlem mistrza.

Oczy dzinna lśniły żywym, ciepłym, fiołkowym blaskiem i rzucały własne światło w ciemnej okolicy.

Nazywał się Raszid i kiedyś skorzystałam z jego pomocy. Nie zaryzykowałabym nazwania go sojusznikiem, bo zachowanie sojusznika potrafiłam przewidzieć w granicach rozsądku; Raszid był mną zafascynowany, ale fascynacją sroki uwielbiającej błyskotki. Mógł mi pomóc, lecz równie dobrze dokuczyć, dla zwykłej zabawy. W przeszłości jednak rzeczywiście okazał się przydatny i tylko dlatego teraz nie ukarałam go za to, że mnie zaskoczył, i nie zламаłam pod nim gałęzi, wykorzystując moc Ziemi w przyływie złego humoru. Widział, jak płakałam - to dostateczny powód, żeby go nie lubić, mimo całej jego nagiej wspaniałości. A był... naprawdę wspaniały.

- Czyżby ubranie stało się aż tak niemodne? - spytałam. - Ostatnio się tym nie interesowałam.

Uśmiechnął się znacząco.

- Słyszałem, że zaczęłaś... doceniać męską figurę. Miałem nadzieję, że może i moją docenisz - wyznał.

- Nic z tego - odparłam. - Coś jeszcze?

Przewrócił się na bok, zsunął z gałęzi i wylądował sprężysto na gołych, doskonale kształtnych stopach Ciagle nie zwracał sobie głowy okryciem się i muszę przyznać, że jego męskość wystawiona na pokaz kiedy do mnie podchodził, była... imponująca. Oczywiście tylko pod względem formalnym.

- Tak - powiedział. - Pomyślałem sobie, że chciałabyś wiedzieć, że Perła porwała nową grupę dzieci Jej zwolennicy uderzyli w Denver i teraz wiozą jeńców furgonetką w kierunku skupiska mocy.

Przestałam snuć teoretyczne rozważania o wspaniałości jego figury i całą uwagę skupiałam na jego twarzy. Nie było w niej ludzkiego oburzenia, jedynie chłodne i osobliwe rozbawienie.

- Gdzie?

- Gdzie są teraz? Czy gdzie jest cel ich podróży?

- Cel - wyjaśniłam i włączyłam silnik.

- O nie, nie zdążysz na czas. Jadą szybko i dotrą na miejsce za niecałe sześć godzin. Tobie zajęłoby to hm ze dwadzieścia, nawet gdybyś zmusiła siebie i swoją maszynę do maksymalnego wysiłku. Kiedy już znajdą się na linii mocy, Perła będzie mogła je przetransportować gdziekolwiek zechce. Nigdy ich nie odnajdziesz.

Sfrustrowana, omal nie warknęłam.

- To po co mi to mówisz?

Uśmiechnął się, szczerząc zęby; wydały mi się ostrzejsze niż przedtem.

- Pomyślałem, że może z wdzięcznością przyjąłabyś moją pomoc.

- A jak niby zamierzasz pomóc, ty bezużyteczny nagi głupcze?

- Opanuj się, Cassiel - zbeształ mnie, lecz ciągle się uśmiechał. - Mogę ich oczywiście spowolnić. A nawet spróbować uwolnić te dzieci. Ale to kosztuje.

Targowanie się było elementem stylu życia dzinnów, co wcale nie sprawiło, że w tej chwili je aprobowałam. Potrzebowałam przyjaciela, a nie najemnika. Swoich przyjaciół jednak zostawiłam i teraz miałam tylko Raszida.

- Nie patrz tak na mnie - powiedział i pochylił się nad kierownicą motocykla, opierając podbródek na dłoni. - Nie chcesz uratować tych dzieci? Czy nie jesteś tą bohaterską Cassiel, o której tak dużo słyszałem?

- Ile? - warknęłam.

- Proste. Chcę, żebyś oddała mi przysługę. W żadnym razie nie wykracza to poza twoje możliwości, a co najlepsze, bardzo pasuje do twojej osobowości. Tak więc sądzę, że uznasz spełnienie mojej prośby za prawdziwą przyjemność.

Zacisnęłam zęby.

- Nie będę z tobą kopulować jak jakieś leśne zwierzę. Nie obrażaj nas obojga taką propozycją.

Postarał się wyglądać jednocześnie na zaszokowanego i zachwyconego.

- Czy śmiałybym o to prosić? No, teraz bym mógł; miło z twojej strony, że umieściłaś to w menu dostępnych opcji. Ale nie, zapewniam, że moja prośba nie ma nic wspólnego z reprodukcją, ludzką czy jakąkolwiek inną. Wręcz przeciwnie.

Rzucił cień na naszą rozmowę zamierzony cień. Zmarszczyłam brwi i wpatrywałam się w Raszida, lecz ani na jego twarzy, ani w nieludzkich, fiołkowych oczach nie mogłam niczego wyczytać.

- To znaczy?

- To znaczy, że chciałbym, żebyś dla mnie zabiła człowieka - powiedział i przestał odgrywać komedię.

Przynajmniej w tej sprawie był śmiertelnie poważny. -Sądzę, że stać cię na to, że wręcz to lubisz.

Właściwie się nie mylił, ale nie zamierzałam dać mu satysfakcji, przyznając rację.

- Kogo miałabym zabić?
- Nie znasz go. To nie ma z tobą nic wspólnego.
- A dlaczego nie zabijesz go sam?
- Bo dobiłem targu gdzie indziej i teraz jestem... skrępowany. Ale to nie oznacza, że nie mogę poprosić kogoś, żeby się tym zajął w moim imieniu. Dla ciebie to chwila, Cassiel, i jeżeli to zrobisz, uwolnię te twoje niewinne dzieci ze szponów złego dzinna. Co ty na to? Wydaje mi się, że odniesiesz z tego same korzyści.

W porównaniu z innymi targami ten wydawał się niezły, lecz istniały pewne niewiadome, więc czułam niepokój. Nie mogę powiedzieć, żeby wstrzymywało mnie sumienie; moje sumienie nie było ludzkie, chociaż czasem lubiłam udawać. Rozważałam morderstwo w przeszłości i ciągle o tym myślałam. Nie postępowałam w ten sposób

- a przynajmniej zazwyczaj tego nie robiłam - ponieważ tak często wiązało się to z komplikacjami. Tym razem również mogły one wystąpić, chociaż zadanie wydawało się takie proste.
- Jak daleko jest ta nieszczęsna osoba? - spytałam.
- Szczęśliwie dla ciebie tylko godzinę jazdy stąd, jeżeli nie będziesz oszczędzała koni mechanicznych. Rozbił namiot w lesie. Nie musisz mu nawet patrzeć w oczy, wystarczy mi zwykły wypadek. Może jakaś ładna lawina kamieni albo mogłoby go zgnieść drzewo. Wolałbym coś bolesnego i powolnego, ale zrób to według własnego uznania.

- Nazwisko.

Raszid machnął lekceważąco ręką.

- Niepotrzebne ci to do niczego.
- Może i niepotrzebne, ale chcę je znać. Uniósł brwi, a potem je zmarszczył.
- Już powiedziałem: nie znasz go.
- To Strażnik? - Cisza. Jak on, zmarszczyłam brwi.
- Chcesz, żeby został zabity Strażnik. W takich niebez-

piecznych czasach, kiedy ludzie potrzebują każdego, kto może im pomóc?

Raszid zupełnie przestał odgrywać komedię, zniknęła też cała jego uroda, kiedy spiorunował mnie wzrokiem. Gniew sprawił, że zaostrzyły się kontury jego twarzy, a kości widoczne pod skórą również zdawały się mieć ostre krawędzie.

- Tego trzeba zabić. Zabił džinna.

Istnieją sposoby, żeby zabić džinna, lecz niewiele, a tylko nieliczne leżą w zasięgu możliwości człowieka, nawet Strażnika. Kiedy to się zdarza, koniec džinna jest przerażający, umiera powoli i w męczarniach.

- Jak?

- Czy to ma jakieś znaczenie? Ten džinn nie żyje. Dżinn, który przeżył tysiące ludzkich pokoleń i był wart więcej niż rzeka ludzkiej krwi i góra ludzkich kości. Dżinn, który był moim dzieckiem. - Ostatnie słowo wysyczał, jakby para uszła z samego jądra Ziemi. - Ten Strażnik trzymał go kiedyś w butelce. Potem, kiedy go wypuścił, rozkazał mu walczyć z iiritem, na śmierć. Dla zysku. Mój syn zginął dla pieniędzy. Powiedz mi, że powinienem okazać litość, Cassiel. Powiedz mi to.

Nie mogłam. Długo w milczeniu obserwowałam twarz Raszida, wyobrażając sobie, jak to jest wiedzieć, że własne dziecko zostało pożarte żywcem przez stworzenie, które istniało, ponieważ zabiło innego džinna. Raszid musiał to czuć. Połączony z synem mocą i krwią, musiał czuć każdą sekundę jego śmierci.

- Dlaczego teraz? - zapytałam. - Dlaczego tutaj? Miałeś chyba wiele miesięcy, żeby dokonać zemsty. Twarz Raszida znów się zmieniła, zmiękła, jej kontury stały się miłe dla oka.

- O, próbowałam. Miał jeszcze jedną butelkę i jeszcze jednego džinna, którego mógł torturować i niszczyć według uznania. Targował się i zgodził ją otworzyć pod

warunkiem, że go nigdy nie skrzywdzę. Zawarłem z nim taki układ. - Znow uśmiechnął się złośliwie, lecz tym razem było w tym uśmiechu coś mrocznego, a okrutne rozbawienie zdawało się jeszcze bardziej rozświetlać jego błyszczące oczy. - Przystałem na to, żeby uratować niewinne życie.

Powinnaś to zrozumieć, Cassiel. Nie obiecałem jednak, że nie znajdę innych, którzy go skrzywdzą. Typowe działanie w stylu džinna; umowa jest rzeczą świętą, ale džinn potrafił obejść każdy układ z człowiekiem - albo podważyć, albo się przez niego jakoś przebić. Zbyt długo doskonaliliśmy swoje umiejętności, a z natury jesteśmy pokrętni i podstępni. Na tym po części polega nasz urok.

- Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? - spytałam.

Raszid mógł mnie okłamywać z najróżniejszych powodów, znanych tylko jemu; nie istniały żadne normy, które nie pozwalałyby nam kłamać, żeby osiągnąć cel. Jeżeli nie zadam właściwego pytania, będzie to mój problem, nie jego. A Raszid potrafił opowiadać bajki, nawet niezłe.

Czułam jednak, że akurat ta opowieść może być prawdziwa.

- Przysięgnę - odpowiedział natychmiast. - Trzy razy. Na cokolwiek, co uznasz za odpowiednie.

Była to otwarta przysięga, bardzo potężna w naszym świecie. Zastanowiłam się przez sekundę i skinęłam głową.

- Przysięgnij na Matkę. - Żaden džinn nie mógłby przysiąc na Matkę i nie traktować tego poważnie. - Przysięgnij, że każde słowo, które wypowiedziałeś w czasie naszej rozmowy, było prawdziwe pod każdym względem.

Również się zastanowił; prosiłam o coś trudnego i jeżeli skłamał, choćby w najmniejszym szczególe, nie mógł złożyć takiej przysięgi. Zbyt wielkie groziły za to konsekwencje.

- Dobrze. Przysięgam na Matkę i na krew Matki, że każde słowo, które wypowiedziałem w czasie naszej dzi-

siejszej rozmowy, było prawdziwe. Nie kłamałem. Czy to wystarczy?

- Przysięgnij trzy razy - poleciłam. Nie było już nic bardziej wiążącego. Ku memu zdziwieniu zrobił to bez mrugnięcia okiem. - Jeżeli spełnię twoją prośbę, dogonisz tych, którzy porwali dzieci w Denver, zatrzymasz ich i oddasz dzieci rodzinom albo przynajmniej doprowadzisz je do miejsca, z którego zostały zabrane?

- Przysięgam. Jeżeli ten Strażnik umrze, ocalę twoje dzieci. Tylko ja to mogę zrobić, Cassiel. Ale nie zacznę działać, dopóki on nie umrze.

To wydawało się uczciwe.

- Zgoda - powiedziałam.

- Zgoda - powtórzył Raszid. - Umowa została zawarta.

Pochylił się i zebrał otaczające go cienie. Kiedy na nim osiadły, utworzyły czarny garnitur z materiału śliskiego jak jedwab, okrywając go perfekcyjnie skrojonym ubraniem. Na jego stopach uformowały się buty, super-modne, wypastowane, piękne. Dodał do tego krawat jakby utkany z promieni księżyca, marzeń i diamentów. Pasował do stroju idealnie.

- Następnym razem potargujemy się o coś bardziej intymnego. - Teraz uśmiechnął się pożądliwie.

-Poczekam tutaj, aż zrobisz swoje.

- Gdzie on jest?

W odpowiedzi stworzył w powietrzu mapę - połyskujące, złociste linie z krwistoczerwoną gwiazdą oznaczającą miejsce pobytu mojej przyszłej ofiary. Miał rację, znajdowało się o godzinę drogi stąd. Nawet się nie oglądając, dodałam gazu, pochyliłam się do przodu i pędem ruszyłam, aby wypełnić swoją misję.

Nie chciałam być zabójcą, ale czasami trzeba zrobić coś nieprzyjemnego, żeby nie dopuścić do czegoś, co jest wprost nie do pomyślenia. Kolejne dzieci wynaturzone,

zniszczone i umierające - to właśnie coś nie do pomyślenia.

Moje zadanie to zaledwie nieprzyjemne zwalczanie szkodników.

Oznaczająca mnie biała kropka poruszała się w równym tempie po mapie, w miarę jak kilometry znikają pod oponami mojego motocykla. Obok drogi leżały zwały śniegu, ale było bezchmurnie. Słońce toczyło się po niebie, a vision sunął jak rekin wśród cieni; w prześwitach między drzewami jego srebrzysty korpus połyskiwał jak ostrze noża. Moje włosy falowały na lodowatym wietrze i słyszałam świst powietrza muskającego nieosłoniętą skórę. Sięgnęłam zmysłem Ziemi do drzew i wyczułam powolny, stały przepływ siły, jasne iskry życia odbywające własne podróże, duże i małe. Już od dawna tak się nie czułam. Wolna jak dzinn.

A to przyniosło ze sobą poczucie winy i smutek. Po niespełna godzinie moja biała kropka zaczęła się szybko zbliżać do czerwonej; zwolniłam, żeby uważniej przyjrzeć się drodze i lasowi. Po wschodniej stronie szosy odkryłam w sferze eterycznej falowanie - wskazywało na obecność Strażnika. Strażnika Pogody. Mężczyzny w średnim wieku. Jego eteryczna sygnatura była dla mnie zamazana, bo ograniczało mnie ludzkie ciało; gdybym była prawdziwym dzinnem, odczytałabym jego przeszłość, poznałabym prawdę o tym, co opowiedział mi Raszid, usłyszałabym szepty, które miały już towarzyszyć Strażnikowi po wieczne czasy. Pewne czyny pozostawiają ślady. Ten, który opisał Raszid, musiał zostawić krzyczące, krwawe smugi.

Martwiło mnie, że nie potrafiłam czytać tych znaków - teraz, jako człowiek.

Zjechałam motocyklem na pobocze i wyłączyłam silnik; w ciszy dźwięki otaczającego mnie świata nabrały

ciężaru i głębi: śpiew ptaków, słodki, nieprzerwany; mokry, głuchy odgłos topniejącego śniegu spadającego z gałęzi; szelest drzew w ciągłym ruchu, walczących o władzę, pozycję, światło, o byt; cichsze odgłosy gryzoni i innych ssaków wiodących swoje nieistotne życie.

Z oddali, przez drzewa, dobiegła mnie całkowicie nieodpowiednia w tej głuszy muzyka Beach Boysów.

Zostawiłam moją maszynę i poszłam dalej na piechotę; omijałam grube gałęzie między pniami. Tam gdzie stopniał śnieg, leżała na ziemi warstwa gnijących liści, gruba i gąbczasta, w powietrzu unosił się intensywny sosnowy zapach rozkładających się szczątków roślinnych. Wyczułam węża - sunął ospale po liściach w stronę słońca, skręciłam więc, żeby na niego nie wpaść.

Wtem, zupełnie nagle, znalazłam się na polanie skapanej w złocistym, porannym słońcu. Pośród otaczających ją drzew stał krzywo naciągnięty, ciemnozielony, płócienny namiot. Na polanie rosła nienaturalnie gęsta, zielona trawa; właściciel namiotu usunął ją częściowo i przygotował krąg pod palenisko, które otoczył kamieniami. W ognisku pozostał tylko popiół i przygasający po nocy żar. Poła namiotu była podniesiona, a na pasiastym kocu przed nim siedział po turecku mężczyzna w grubej flanelowej koszuli w czerwono-niebieską kratę, puchowej kamizelce i bardzo znoszonych, rzadko pranych dżinsach oraz wysłużonych butach turystycznych. Jego szpakowate włosy nieczęsto widywały fryzjera i miał trzydniowy zarost, w którym połyskiwały w słońcu srebrne nitki.

Pił coś, z czego unosiły się w chłodne powietrze smugi gorącej pary, a kiedy wynurzyłam się spośród drzew, zamarł, nie zdążywszy przełknąć, i utkwiał we mnie wzrok.

Był jak na człowieka dość atrakcyjny, chociaż zniszczony wpływem czasu - wokół oczu i w kącikach ust rysowały się zmarszczki. Pomyślałam, że długo i często przebywał na świeżym powietrzu, bo miał szorstką

i bardzo opaloną skórę. Czułam jego zapach z miejsca, w którym się znajdowałam, intensywną mieszaninę potu, skór i niepranego ubrania.

Odstawił kawę - ją też teraz poczułam.

- Cześć. Zgubiłaś się? - Przyciszył stojące obok niego urządzenie, z którego właśnie przestały płynąć piosenki Beach Boysów; teraz leciała muzyka jakiegoś innego zespołu, ale nie potrafiłam odgadnąć jakiego. Nie mógł nie zauważyć mojego egzotycznego wyglądu - jasnych, ufarbowanych na różowo włosów, białej skóry, jaskrawej, niezupełnie ludzkiej zieleni moich oczu. Jego twarz nabrała surowego wyrazu, lekko zbladł, lecz ręce położył na kolanach, mową ciała dając do zrozumienia, że się tym nie przejmuje. - Czemuż to zawdzięczam wizytę dzinna?

Nie musiałam z nim rozmawiać; misja powierzona mi przez Raszida nie wymagała, żebym w ogóle знаła mężczyznę, który popełnił takie zbrodnie przeciwko moim braciom i siostram. Schyliłam jednak głowę i przedstawiłam się.

- Nazywam się Cassiel.

- Miło mi cię poznać - kłamał w żywe oczy. - Rick Harley. Strażnik Pogody. Jeżeli szukasz dzinna, to akurat teraz z żadnym nie pracuję.

- Nie szukam dzinna. Szukam ciebie - oświadczyłam bez żadnego szczególnego nacisku czy groźby. Miał niebieskie oczy, ale nieco przyblakłe, już bez szafirowego blasku młodości. Nadużywał alkoholu i to było widać, świadczyło o tym drżenie rąk i jego ciało. - Uczestniczyłeś w jakichś pertraktacjach z udziałem dzinna?

Wyglądał teraz upiornie i ponuro. Wokół jego ust i oczu pokazały się blade plamki, a mięsień w szczęcie drgał.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział. - Jeżeli to wszystko...

- O śmierci dzinna - odparłam. - Wiesz, o czym mówię, i to bardzo dobrze. Zakłóca ci to sen. Sprawia, że za

dużo pijesz. Przez to odciąłeś się od rodziny i przyjaciół i ukryłeś tutaj, w dziczy. Zżera się poczucie winy.

Nic na to nie odpowiedział. Patrzył na mnie, jakbym była aniołem śmierci, który przyszedł tu w ten piękny, słoneczny poranek, żeby mu zabrać duszę... Rzeczywiście nim byłem. Mężczyzna wydawał się wyjątkowo opanowany i zrezygnowany.

- Rick, przysłano mnie tu, żeby cię zabiła. To nie mój wybór, ale to sprawiedliwe; twoja śmierć przysłuży się wyższemu celowi i uratuje niewinne istoty. To cena, którą muszę zapłacić, aby zapewnić im bezpieczeństwo.

- Po co mi to mówisz? - spytał i w końcu jego usta wykrzywiły się w ponurym, cierpkim uśmiechu. - Myślisz, do jasnej cholery, że przez to poczuję się lepiej? Że będę szczęśliwy, kładąc głowę pod topór, dlatego że ni stąd, ni zowąd mam umrzeć w słusznej sprawie?

- Mogłoby tak być - powiedziałam. - Nie umrzesz na próżno. Umrzesz z honorem, tak jak powinien umrzeć Strażnik. Śmiercią odpokutujesz swoje życie i błędy, które popełniłeś.

- Pieprz się. - Wstał, chwiejąc się na nogach. Uświadomiłam sobie, że już jest pijany, tak rano. Uszy mu poczerwieniały, lecz spojrzenie miał spokojne, skupione, i był przerażony. - Wiedziałem, że jeden z was po mnie przyjdzie, że to się kiedyś stanie. W porządku, pieprz się. Wiem, że nie wygram, ale nie zamierzam się poddać. Może mnie zabijesz, a może nie, ale jestem cholernie pewny, że dam ci taki... Nie zdążył dokończyć. Jego głowa eksplodowała w chmurze czerwonych oparów. Zszokowana, dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że ktoś do niego strzelił, z daleka. Ktoś wpakował kulę dużego kalibru w głowę Ricka, rozrywając ją jak dojrzały melon. Ciepła ciecz opryskała mi twarz i pochłapała mój biały skórzany

strój, a sekundę potem znów usłyszałam dudniący trzask strzału karabinowego.

Nie zastanawiałam się, zareagowałam odruchowo - rzuciłam się na ziemię i przetoczyłam w bok w tym samym momencie, w którym martwe ciało Ricka Harleya padło na trawę. Kolejna kula trafiła w piach, gdzie jeszcze przed chwilą stałam. Usłyszałam trzeci strzał - chybiony o kilka centymetrów. Udało mi się schować za namiotem; zatrzymałam się, oddychając ciężko, i wtedy fakty zaczęły przemykać przez mój mózg z prędkością światła.

Po pierwsze, zostałam tu przysłana przez Raszida, żeby zabić człowieka.

Po drugie, nie tylko mnie tu przysłano.

Po trzecie, i najważniejsze, wcale nie oczekiwano, żebym wykonała zadanie.

To była pułapka zastawiona nie na Harleya, lecz na mnie.

Raszid nie był już moim sojusznikiem. Stał się przeciwnikiem i sprzedał mnie moim wrogom.

Potwierdziło się to, kiedy zza drzew, z miejsca, z którego strzelano, rozległ się bardzo ludzki głos.

- Wyłaź, Cassiel. Darujemy ci życie, jeżeli poddasz się bez walki.

7

Nie było wszakże takiej możliwości, żeby się poddać, bo wiedziałam, że musieli to być pobratymcy Perły i że mieli rozkaz zabić mnie, jeżeli w ogóle nadarzyłaby się taka okazja. Inaczej nie oddaliby tych strzałów, które już oddali - ani chwilę potem nie strzelaliby do mnie przez namiot, dziurawiąc go tak, że przez otwory przedzierało się jaskra-

we światło słońca, tworząc oślepiające plamy w zacienionym miejscu, gdzie się ukryłam. Ostatnia kula świsnęła niewiele więcej niż dwa centymetry od mojej głowy.

Zamknęłam oczy, odcinając się od tego wszystkiego, i przeniosłam się do sfery eterycznej, aby ocenić sytuację. Było ich czterech - jeden, prawdopodobnie strzelec, zajął pozycję w lesie za namiotem.

Drugi skradał się powoli przez listowie, okrążając polanę po mojej lewej ręce, a trzeci wspinał się na drzewo, chcąc uzyskać właściwy kąt i strzelić do mnie z góry.

Czwarty, którego bałam się najbardziej, wyszedł z ukrycia i biegł szybko w moim kierunku od prawej strony, gdzie nic mnie nie osłaniało. Kiedy mnie otoczą, zginę - to nie ulegało wątpliwości. Na pewno wszyscy byli uzbrojeni. Potrafiłam kontrolować broń, ale tu grało zbyt wiele czynników, a to nie pozwalało mi wykorzystać moich umiejętności.

Rozważyłam różne opcje - nie było ich wiele - po czym podjęłam jedyną sensowną decyzję.

Rozmiękczyłam ziemię pod moimi butami, zmieniając ją w sypki, drobny piasek, i szybko zapadłam się najpierw po kolana, a następnie po biodra. Wstrzymałam oddech, kiedy piasek zasypywał moje piersi, i na koniec, gdy moje ciało całkowicie zanurzyło się w ziemi, zamknęłam oczy i przestałam oddychać przez nos.

Nie byłam Strażniczką Pogody, żeby stworzyć sobie coś w rodzaju komory tlenowej, ale ziemia - i to, co się w niej kryło - mi sprzyjała; ciągle obserwowałam super-wzrokiem pozycje moich wrogów i cicho płynęłam przez piasek, przedzierając się przez kamienie, jak rekin przez fale. Wyczułam dwóch ludzi - szybko zajmowali stanowiska - a potem, kiedy nie znaleźli mnie tam, gdzie się spodziewali, ich niepokój i konsternację. Wiedziałam, że zyskam na czasie, bo założą, że jakimś sposobem udało mi się uciec do lasu.

Ten, który się wdrapywał na drzewo, popełnił śmiertelną pomyłkę. Przesłałam moc przez twardą, sprężystą korę, budząc w drzewie pragnienie i głód, i wkrótce gałęzie zaczęły się skręcać w poszukiwaniu słońca. Jeżeli to zauważył, musiał to przypisać wyłącznie wiatrowi. Zatrzymał się na chwilę i wtedy małe młoda gałązka oplótła mu się wokół stopy. Potem kolejna. A potem jeszcze jedna, unieruchamiając kolana. Kiedy się zorientował, co się dzieje, było już za późno. Kora z zawrotną szybkością narastała wokół jego ciała. Zamknęła się na twarzy i zagłuszyła krzyki przerażenia; po chwili przestał się szarpać.

Dotarłam do bezpiecznego, ocienionego miejsca pod jego drzewem i wynurzyłam się z ziemi na tyle, żeby móc szybko zaczerpnąć powietrza. Smakowało cudownie i walczyłam z chęcią łykania go łąpczywie, haustami, musiałam się kontrolować, by któryś mnie nie usłyszał. Zachowywałam spokój. Zostało mi już tylko trzech wrogów, lecz każdy z nich miał dobry punkt obserwacyjny i byłoby mi trudno ich zlikwidować, gdybym wyszła z ukrycia.

Ale uświadomiłam sobie, że nie musiałam aż tak się ukrywać, kiedy dokładniej przyjrzałam się ich eterycznym sygnaturom. Nie było między nimi żadnego Strażnika; zwykli ludzie, łowcy - co by wystarczyło, gdybym nie została ostrzeżona i nie podjęła natychmiastowego działania.

Kiedy jednak mogłam się przygotować, tak naprawdę nie mieli żadnych szans. Zabiłam dwóch kolejnych - po prostu wyciągnęłam rękę i zatrzymałam ich serca. Nie wiedzieli, jak odeprzeć taki atak, i padli, nie wydając dźwięku. W pewnym sensie żałowałam tego, bo naprawdę lubię uczciwą walkę. Ale bardziej, znacznie bardziej, lubię wygrywać.

Ostatniego oszczędziłam; nie zdawał sobie sprawy, że w niespełną minutę stracił przewagę i nasze szanse

się wyrównały. Znowu zanurzyłam się w piasek i płynęłam, unikając tej części polany, gdzie przesiąkała do ziemi krew Ricka. Wyłoniłam się w miejscu, w którym padł jeden z łowców; ciągle kurczowo trzymał w ręce bezużyteczny już karabin.

Wyskoczyłam z ziemi i złapałam strzelbę, po czym przyklęłam i wycelowałam.

Zabójca Ricka zauważył ruch i próbował się odwrócić, ale byłam szybka i chociaż nie należałam do ekspertów od broni palnej, tak naprawdę tego nie potrzebowałam; jego klatka piersiowa stanowiła dostatecznie łatwy cel - trafiłam go wysoko po lewej stronie między sercem a ramieniem.

Prawdopodobnie w płuco, może obok albo wręcz w główną tętnicę. Karabin zatrzęsł się w moich dłoniach, uderzając mnie w ramię. Odrzuciło mnie razem z nim, lecz trzymałam go w gotowości, kiedy mój przeciwnik, chwiejąc się na nogach, usiłował podnieść własną broń. Nie udało mu się, wymknęła mu się z rąk i upadła w trawę.

Po chwili kolana się pod nim ugięły i osunął się na klęczki. Szukał strzelby, ale nawet gdyby zdołał ją chwycić, z zadaną mu przeze mnie raną w piersi nie oddałby strzału. Poderwałam się i podeszłam do niego, nadal trzymając broń tak, żeby móc bez problemu wystrzelić. Stałam nad nim.

Tak jak Rick Harley był w średnim wieku, lecz na tym podobieństwa się kończyły. Miał gładką skórę - świadectwo domowego życia w czystości, tuczającej diety i korzystania z masażu i zabiegów pielęgnacji twarzy. Innymi słowy, wyglądał na zamożnego. Jego drogi karabin lśnił; ubranie pochodziło ze znanych domów mody, a buty wydawały się prawie nowe. Emanowała z niego nijakość i wyniosłość, co sprawiło, że miałam ochotę wpakować mu jeszcze jedną kulę, w bardziej bolesne miejsce.

- Nazwisko - powiedziałam i przytknęłam mu lufę do gardła. - Proszę.

Przełknąłem ślinę; poczułam drzenie przez metal i drewno.

- Errol Williams. Jesteś jednym z nich. Jednym z demonów.

- Można by tak powiedzieć, a nawet że jestem gorsza niż demon - odparłam i uśmiechnęłam się znad ciepłej, długiej, stalowej lufy. - Skąd się tu wzięłaś?

- Nie muszę ci niczego wyjaśniać - oświadczył - Nie możesz tknąć mojej duszy.

- Nie? Takiś tego pewny? - Przekrzywiłam głowę jakby zdziwiona. Errol okazał się rozsądnym mężczyzną. Przestał się odzywać. - Zostałeś wysłany przez Kościół - stwierdziłam. - Kościół Nowego Świata. Kto ci powiedział, gdzie będziemy?

Podał nazwisko, które nic mi nie mówiło, lecz nie oczekiwałam łatwych rozwiązań. W końcu, jakkolwiek dotarła do niego ta informacja, to Raszyd wykonał proste, lecz podstawowe zadanie sprowadzenia mnie do tej samej co oni doliny we właściwym czasie.

Wiedzieli, że zamierzałam wyjechać ze szkoły. Jakimś sposobem, choć zdawało się to niemożliwe, wiedzieli. A to oznaczało, że wiedzieli o szkole - i o Luisie, i o Ibby. Oznaczało to również, że mieli kogoś w środku w samej szkole, albo wśród patrolujących teren. Musiał to oczywiście być ktoś, kogo Strażnicy znali i komu ufali.

Nie uśmierciłam mojego niedoszłego zabójcy. Zostawiłam go tam, nagiego, samego, bez broni ani jakiegokolwiek ochrony przed żywiołami. Przedtem przywiązałam go do drzewa; nadgarstki skrepiłam mu liną którą znalazłam w jego plecaku. Miał w nim starannie spakowany podręczny zestaw do krepowania rąk i nóg i do mordowania: zwiniętą linę, szeroką taśmę klejącą, plastikowe kajdanki, noże i pistolety. Przeznaczone dla mnie, jak podejrzewałam. Głupcy.

Zarzuciłam plecak na ramię, zastanawiając się nad tym człowiekiem. Nagi, utracił całą aurę grozy i cechy, które posiadał w ubraniu.

- Wiesz, że mogłabym cię zabić tak jak twoich kolegów? - powiedziałam.

Kiwnął głową, przypatrując mi się bardzo uważnie. Nie mógł mówić. Wykorzystałam kawałek jego taśmy i zakleiłam mu usta. Z czasem pewnie ją poluzuje, ale na razie nie musiałam słuchać jego kłamstw i protestów.

- Niewykluczone, że już niedługo pożałujesz, że tego nie zrobiłam - dodałam.

Przewiesiłam sobie przez piersi strzelbę i przeszłam przez polanę, gdzie stał poszarpany przez kule namiot Harleya. Minęłam jego stygnące zwłoki i zanim ruszyłam dalej, zatrzymałam się, aby dogasić żar w ognisku.

Przystanęłam na skraju polany i wydałam z siebie głos przywołujący okoliczne drapieżniki.

Przeważnie były to drobne zwierzęta - lisy i rysie - ale w głębi lasu żyło też kilka niedźwiedzi i wataha wilków.

Może przyjdą sprawdzić, czy nie czeka na nie łatwy posiłek. A może nie. I tak dałam mu większe szanse, niż on dał Harleyowi. Albo mnie.

Dotarłam do swojego motocykla i zastanowiłam się, co zrobić z karabinem. Była to dobra broń, ale podejrzewałam, że podróżowanie ze strzelbą przewieszoną przez piersi nie zaskarbiłoby mi przychylności policji drogowej. Z pewnym żalem wyjęłam kule i wrzuciłam strzelbę w leśne poszycie. Szybki impuls mocy zachęcił krzaki, żeby się rozrosły i ją zakryły. Długo, może nigdy, nikt jej nie odnajdzie.

Zatrzymałam kule, bo mogły się kiedyś przydać. Włożyłam je do wewnętrznej kieszeni plecaka, który umieściłam wygodnie na ramionach, po czym sięgnęłam do swojej skórzanej kurtki i wyciągnęłam telefon.

Numer Luisa miałam zaprogramowany. Nacisnęłam przycisk; telefon zadzwonił pięć razy, po czym nagrany głos Luisa - ciągle ciepły i przyjacielski, przynajmniej w tym wirtualnym kontakcie - poprosił, żeby zostawić wiadomość.

- Uważają na siebie – powiedziałam. - Ktoś w szkole a bo blisko niej ma dzinna i prawdopodobnie pracuje dla Perły Wpadłam w pułapkę, kiedy wyjechałam -Zastanawiałam się, czy nie zapewnić go, że ze mną wszystko w porządku, ale wydało mi się to oczywiste skoro tak go teraz informowałam. - Znajdź zdrajcę To jedyny sposób, żeby ochronić dzieci. Szukaj kogoś z butelką... - Moj telefon eksplodował z trzaskiem gdy spaliła się jego wewnętrzna elektronika.

- To się na nic nie zda - usłyszałam głos za moimi plecami. Wyrzuciłam bezużyteczny szkielet telefonu zsiadłam z motocykla i stanęłam twarzą w twarz z dzinnem. Raszid wyglądał tak samo, jak wtedy gdy go ostatnio widziałam, elegancko i oryginalnie, ubrany w nieprzejrzyste, ruchome cienie. Lecz już się nie śmiał -twoje ostrzeżenia na nic się nie zdadzą.

- Skłamałeś. Przysiągłeś na Matkę i skłamałeś

- Nie me skłamałem. Każde słowo, które powiedziałem, było prawdą. Strażnik był winny. I chciałem go widzieć martwym.

- Ale posłałeś mnie w zasadzkę. Wiedziałeś, że ludzie Perły tam się zaczają.

- Taki był plan, żeby ich wyciągnąć z ukrycia I wierzyłem, że uciekniesz bez niczyjej pomocy.

- Wierzyłeś?

- Miałem nadzieję, może to właściwsze słowo Tak, miałem nadzieję, że uciekniesz. I tak się stało

-Przypatrywał mi się przez chwilę. - Zabiłaś tych, którzy cię zaatakowali. Zabiłaś bez większego żalu

- Nigdy nie czuję większego żalu. To spuścizna po byciu dzinnem - oznajmiłam. - Nie czułabym również

większego żalu, zabijając ciebie, zważywszy na okoliczności.

- Nie jestem twoim wrogiem. Postawiono mnie w takiej sytuacji, że nie mogłem odmówić wysłania cię w to miejsce ani ci pomóc, kiedy już tam się znalazłaś. Rozumiesz?

Rozumiałam. Dżinny są po swojemu konsekwentne i przewidywalne; złożywszy zobowiązanie, robimy dokładnie to, co nam kazano. Pomógłby mi, gdyby potrafił znaleźć sposób, żeby to zrobić.

- Nie wywiązałam się ze swojej części umowy - powiedziałam. - Nie zabiłam Harleya.

- Ale i tak nie żyje. - Raszid wzruszył ramionami. - Uznaję, że osiągnęłaś cel, jak się to mówi. I jestem gotów spełnić swoje zobowiązanie wobec ciebie. Przypuszczam, że ciągle chcesz, żeby uratować te dzieci.

- Tak. Będę jednak chciała jeszcze czegoś, żeby wyrównać rachunki między nami. - Lekko pochylił głowę w milczącej zgodzie. - Chcę nazwiska osoby ze szkoły, która przekazała informację o tym, kiedy wyjeżdżam. To nie mogło zostać zorganizowane bez uprzedzenia. Ty oczywiście mógłbyś zrobić swoje; możesz się przenosić, gdzie sobie tylko życzysz. Ale ludzie Perły musieli zostać na mnie nasłani, a to wymaga zgrania terminów.

- Mądra Cassiel - pochwalił Raszid i westchnął. - Nie mogę ci tego powiedzieć.

- Nie mogę powiedzieć - powtórzyłam. - Czy: nie, nie powiem ci?

Nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Po prostu patrzył na mnie tymi dziko błyszczącymi oczami, pozbawionymi wyrazu jak oczy ptaka. Zaczęło mnie ogarniać złe przeczucie.

- Czy ta osoba ma butelkę, w której jesteś uwięziony? - spytałam.

Brak odpowiedzi, co samo w sobie było odpowiedzią. Ktoś w obozie Strażników miał butelkę i znalazł sposób,

żeby uwięzić w niej prawdziwego dzinna. Nie sądziłam, że to ciągle jeszcze możliwe, nie po śmierci Jonathana i zerwaniu ślubów, które czyniły nas bezsilnymi w zamierzonych czasach, ale najwyraźniej wszystko się zmieniło. Znowu byliśmy bezsilni - co, o dziwo, mogło się przydać w walce z Perłą. Dzinna, który znajduje się pod opieką pana, trudniej zabić; dzinn w butelce jest niemal niezniszczalny, chyba że jego pan posunie się do ostateczności. Kiepska to rekompensata za niewolę, ale nie mogłam zaprzeczyć, że od czasu do czasu ratuje to życie dzinnów.

- Czy wyraziłeś zgodę, żeby cię uwięziono? -> spytałam. Zadałam ważne pytanie; niektóre dzinny pozwalały się uwięzić z jakichś sobie tylko znanych powodów. Nie rozumiałam tego, ale respektowałam, bo było to legalne.

Raszid wyszczerzył zęby.

- Nie. Nie wyraziłem zgody. - A zatem uwięziono go podstępem. Wpadł w zasadzkę i został pokonany. Jego niesamowite fiołkowe oczy zapłonęły ogniem bezsilnego gniewu. - Nie mogę ci pomóc, Cassiel.

- Wiem. - Wolność uwięzionych dzinnów jest niezwykle ograniczona, jeżeli ich panowie wiedzą, jak właściwie wyznaczyć granice, co właściciel Raszida ewidentnie potrafił. - Kiedy znajdziesz się z powrotem w szkole, ostrzeż Luisa. Zostawiłam mu wiadomość, ale nikomu innemu tam nie ufam. Powiedz mu tylko, że jest wśród nich zdrajca. Możesz to zrobić?

- Mogę. - Wzruszył ramionami. - I tak na nic się to nie zda.

- Zrób to. Dziękuję.

- A więc ty nie wracasz? Nawet wiedząc to, co wiesz?

Pokręciłam głową.

- Wyjechałam z określonych powodów, a teraz to dla mnie jeszcze ważniejsze. Luis znajdzie zdrajcę. Ja muszę jechać dalej.

- A jeżeli nie znajdzie? - zapytał Raszid. - Jeżeli otrzymam rozkaz zabicia tych dzieci, nie będę miał wyboru. Nie chcę tego zrobić.

- Wiem. Ale znam Luisa. Będzie bronił Isabel bez wahania, niezależnie od ceny, którą przyjdzie mu zapłacić. Jeżeli znajdziesz jakikolwiek sposób, żeby to opóźnić, jeżeli zdołasz wykorzystać słabości swojego pana, zrób to. Jeśli dasz Luisowi szansę, uwolni cię. Na pewno.

Raszid pochylił głowę.

- Skoro tak mówisz. - Nie wydawał się przekonany.

- Zamierzasz dotrzymać słowa? Zamierzasz uratować porwane dzieci?

Nagle olśniewająco się do mnie uśmiechnął.

- Tak. Działaj ostrożnie, Cassiel. Miej oko na innych. Twój przyjaciele niekoniecznie są twoimi przyjaciółmi.

Ponieważ spośród wszystkich dzinnów najbliższym mu było do kogoś, kogo mogłabym uznać za przyjaciela, uważałam, że ostrzegam mnie niepotrzebnie, ale skinęłam głową. Cienie zawirowały wokół niego, niczym żywe tatuaże układając się w czarną arabeskę na tle skóry, po czym Raszid zniknął.

Odszedł.

Nie wątpiłam, że spełni swoją obietnicę. A to oznaczało, że dzieci są bezpieczne.

Ogólnie rzecz biorąc, tego ranka wygrałam.

A jednak było to zwycięstwo pozorne, gdyż Raszid, mimo że wydawał się jak najbardziej wolny, dostał się w istocie w niewolę wbrew swojej woli - i stanowił potencjalnie śmiertelny oręż przeciwko tym, których kochałam.

Ale nie mogłam zawrócić. Nie mogłam.

Jechałam przez cały dzień i dużą część nocy, minęłam granicę wiecznego śniegu, aż dopadło mnie takie

zmęczenie, że nie mogłam kontynuować podróży. Przespałam się zwinięta w kłębek na posłaniu z liści i igieł sosnowych, przed zimnem chroniła mnie warstwa leśnej ściółki. Nie najlepszy odpoczynek, ale zrobił swoje. Obudziłam się, kiedy zaczęły śpiewać ptaki, załatwiłam fizyczne potrzeby - w końcu przestało mnie to przerażać - i umyłam twarz i ręce w tak zimnym strumieniu, że zaczęłam drżeć i poczułam mrowienie w palcach. Wypiłam tyle wody, ile się we mnie zmieściło, wróciłam do motocykla i rozpoczęłam kolejny, długi dzień jazdy.

W południe zauważyłam przed sobą blokadę drogową na autostradzie, zwolniłam więc, żeby zorientować się w sytuacji. Sprawa wydawała się prosta - przewrócona ciężarówka z naczepą, której zawartość wypadła na drogę i zablokowała połowę pasów ruchu. Niestety ładunkiem były żywe zwierzęta - bydło, prawdopodobnie przeznaczone na smutny koniec w rzeźni. Część zwierząt w tym wypadku dokonała żywota wcześniej, niż planowano; inne wałęsały się bez celu, dezorientowane i przerażone. Niektóre były ranne i kulejąc lub leżąc, ryczały z bólu.

Mogłam bez problemu okrążyć to miejsce i jechać dalej, ale coś mi na to nie pozwalało. Ranni ludzie nie budzili we mnie szczególnej litości, chyba że byli niewinnymi świadkami konfliktu; ludzie mają burzliwą i krwawą przeszłość i równie burzliwą i krwawą teraźniejszość. Krowy natomiast, nie z własnej winy, wydają się od urodzenia skazane na ciężkie życie i paskudny koniec.

Lubiłam krowy.

Zaparkowałam motocykl, minęłam dwie ciężarówki, które również się zatrzymały, i podeszłam do naczepy. Jacyś ludzie pomagali spędzić wystraszone zwierzęta. Mnie bardziej poruszył widok tych, które leżały ranne na drodze, z trudem oddychając. Przyklękłam obok wielkiej krowy ze złamaną prawą nogą; wyprostowałam ją i nastawiłam.

Kosztowało mnie to więcej mocy, niż gdybym zajęła się innym zwierzęciem; przy tak wielkim nacisku na kość jakikolwiek błąd sprawiłby, że uleczony odcinek znów by się złamał, możliwe, że poważniej. Krowa, kiedy poczuła, że ból ustąpił, próbowała wstać, ale przytrzymałam ją, aż nabrałam pewności, że skutecznie jej pomogłam. Potem z wysiłkiem się podniosła, mrugnęła do mnie swoimi ciepłymi, naiwnymi oczami i otarła nozdrze o moje piersi w geście, który można by uznać za sympatię. Poklepałam ją po łbie, wprawiona w dziwnie dobry nastrój.

- Nie uratowałam cię - powiedziałam. - Sprawiałam tylko, że już cię nie boli. - Dla krowy nie ma takiej drogi, która nie kończyłaby się na jakimś stole; ta, której pomogłam, była kiedyś krową mleczną, lecz czas, kiedy produkowała mleko najwyższej jakości, minął, i farmer niewątpliwie postanowił uwolnić się od obowiązku kupowania dla niej siana.

W swojej ufnej głowie przechowywała wspomnienia - dziecka, które karmiło ją smakołykami; słońca grzejącego jej skórę; miękkiego, słodkiego smaku trawy i czystej wody z domieszką ostrych mleczy; bólu rodzenia; przyjemności, jaką odczuwała, kiedy padał na nią deszcz; opieki nad cielątkiem; chwil, kiedy czas, żywioły albo ludzie odbierali jej potomstwo.

Miała dobre życie, jak na krowę.

Jeszcze raz poklepałam ją po łbie.

- Uciekaj - szepnęłam. - Teraz. Uciekaj. Spojrzała na mnie zdziwiona tak, jak to u krowy możliwe, bo wprowadziłam do jej umysłu obraz niebezpieczeństwa - krążących wokoło wilków na polowaniu. Odsunęła się nerwowo, po czym z wdziękiem błyskawicznie się odwróciła i potruchtała przed siebie, coraz szybciej i szybciej, aż natknęła się na kierowcę ciężarówki, który machając rękami, chciał ją wystraszyć i zagonić do prowizorycznej zagrody.

Biegła dalej. Mężczyzna gwałtownie odskoczył, a krowie udało się dobiec do trawy na poboczu szosy, po czym zniknęła w lesie.

Podeszłam do następnego rannego zwierzęcia.

Uciekaj.

W tym jedynym momencie mogły poczuć wolność. A to być może choć trochę wynagrodziło krzywdy, które wyrządziłam na tym świecie... i choć trochę mi ulżyło, bo czułam się uwięziona we własnym życiu.

Uciekaj.

Przez chwilę żałowałam, że sama nie mogę tego zrobić. Ciągle jeszcze nie rozstrzygnęłam wewnętrznego sporu: biec za Perłą... czy wrócić do Luisa. Wiedziałam, co nakazuje logika, konieczność, ale wciąż prześladował mnie obraz Raszida.

W szkole znajdował się dzinn kontrolowany przez człowieka, którego motywów postępowania nie znałam. I Raszid miał rację... mogło się zdarzyć wszystko. Istocie tak potężnej jak Raszid niełatwo się sprzeciwić lub ją kontrolować, byłoby to trudne nawet dla Marion. Jeżeli nie zdawała sobie sprawy z problemu...

Nie. To nie był mój problem. Przekazałam informację na komórkę Luisa, co więcej, Raszid obiecał powiedzieć mu o tym. Zrobiłam, co mogłam.

Miałam już odjechać z miejsca wypadku, kiedy usłyszałam wrzask przerażenia i bólu - nie głos cierpiącego rannego zwierzęcia, lecz człowieka. Krzyk kobiety.

Kuśtykając, wydostała się z jednego z rozbitych samochodów, z zakrwawionym dzieckiem na rękach. Isabel.

Natychmiast uświadomiłam sobie, że to nie moja Ibby - to było niemożliwe - ale przerażenie wywołało instynktowną reakcję. Zanim prawda dotarła do mojego umysłu, już biegłam w stronę kobiety. Opadła na kolana, ciągle trzymając w ramionach bezwładne cia-

ło dziewczynki w wieku Ibby; podobnie jak Ibby miała ciemne, lśniące włosy i skórę o miedzianobrazowym odcieniu. Była ubrana w niebieską koszulkę z nadrukiem „Księżniczka”, z motylkami i tęczą. Coś takiego podobałoby się Ibby.

- Niech mi ją pani da! - zażądałam. Kobieta, młoda, zszokowana, nie zareagowała. Miała złamaną nogę i, jak mi się zdawało, wstrząśnienie mózgu. - Proszę mi pozwolić ją wziąć!

Czas naglił; dziecko wykrwawiało się bardzo szybko - krew tryskała z przeciętej tętnicy udowej; był to jedyny uraz, jakiego doznało, lecz śmiertelny, i trwało to już stanowczo zbyt długo. Złapałam dziewczynkę i położyłam ją na jezdni, koncentrując całą swoją wolę i siłę na jej chudym, słabnącym ciele.

Ktoś mnie chwycił i odciągnął. Policja; chcieli dobrze, nie rozumieli jednak, co robią. Krzyknęłam, przywołałam moc Ziemi i wprawiłam jezdnię w falowanie; stracili równowagę, a ja rzuciłam się z powrotem do dziewczynki. Ratownicy medyczni ustawiali wokół nieruchomego dziecka swoje skrzynki i sprzęt. Daremnie; na ich pomoc było za późno, dużo za późno.

Zostało jej kilka chwil, w najlepszym razie. Jedyna jej nadzieja we mnie, pomyślałam.

Coś mnie uderzyło w plecy, wbiło się ostro i całe moje ciało drgnęło gwałtownie, kiedy poraził mnie prąd elektryczny. Mięśnie odmówiły mi posłuszeństwa i upadłam twarzą na gorącą, poplamioną krwią szosę. Usłyszałam metaliczne tykanie paralizatora, a kiedy się skończyło, dokładnie pośrodku pleców poczułam kolano przyciskające mnie do ziemi, gdy tymczasem moje mięśnie skręcały się w milczącym bólu.

Ale gorsze, dużo gorsze, było to, na co patrzyłam. Ratownicy uklękli przy dziewczynce, zbadali jej puls i wymienili spojrzenia - jasno mówiły, że ich wysiłki

pójdą na marne. Stwarzali pozory, lecz z miejsca, gdzie leżałam unieruchomiona przez policję, czułam, że... dziewczynka umiera.

Ciągle jeszcze mogłam ją ocalić...

A potem wydała ostatnie tchnienie i odeszła.

Nie stawiałam dłużej oporu. Kiedy dziecko umarło, policjanci przestali się mną interesować, zwłaszcza gdy matka ocknęła się z odrętwienia i powiedziała im, że próbowałam pomóc. Zwykły impuls mocy - nauczyłam się tego od Luisa - wystarczył, żeby mnie puścili, chociaż i tak nie od razu odeszłam. Przyglądałam się, jak ratownicy wsuwali ciało dziewczynki do karetki, i próbowałam zrozumieć, co czuję. Niewytłumaczalną stratę, na pewno. Ale jeszcze coś... strach, najprawdziwszy strach.

Mogłam stracić Ibby równie łatwo. Nagle wróciły do mnie słowa Raszida z taką siłą, że poczułam, jak ten strach targa mi wnętrzności. „Jeżeli otrzymam rozkaz zabicia tych dzieci, nie będę miał wyboru”. Zrozumiałam, że nie mogę jechać dalej, wiedząc to, co wiem. Ktoś ukrywał się w szkole, blisko Isabel i Luisa. Mogłam toczyć każdą walkę, jaką uważałam za konieczną tu, na zewnątrz, ale tę tam musiałam wygrać.

Właśnie wyraźnie ujrzałam, co się stanie, jeżeli jej nie wygram. Zapowiedź tego, co nadejdzie.

Wsiadłam na motocykl, dodałam gazu i ruszyłam z powrotem drogą, którą niedawno przemierzyłam; liczyłam na to - nie, modliłam się o to, żeby nie przybyć za późno.

Zostało mi jeszcze do przejechania ponad trzysta kilometrów, kiedy nastąpił atak w postaci gęsto padającego deszczu. Nie była to zwykła nawałnica, tyle wyczuwałam, ale nie będąc Strażniczką Pogody, cel tej ulewy uświadomiłam sobie za późno: kiedy ze stromego wzgórza po mojej lewej stronie zaczęła się błyskawicznie zsuwać ogromna lawina błota. Nie spodziewałam się czegoś

takiego i chociaż tę lawinę tworzyła oczywiście ziemia, nad którą miałam kontrolę, działała też woda. Potężna moc wody uderzyła we mnie z siłą pędzącego pociągu, zepchnęła z szosy razem z victory i porwała z rykiem zgrzytających kamieni, ziemi i złości.

Ześlizgnęłam się z motocykla i próbowałam poruszać się z falą, lecz wzburzone, gęste błoto krępowało moje ruchy, niezdarne i powolne. Nie mogłam utrzymać nad nim głowy i po kilku chwilach bezsensownego machania rękami pozwoliłam sobie zanurzyć się i sięgnęłam po moc...

...I uświadomiłam sobie, że niemal się wyczerpała. Poświęciłam tyle mocy, ile mogłam, żeby spowolnić lawinę, to jednak nie wystarczyło. Walczyłam, żeby wydostać się na powierzchnię - kaleczyły mnie spadające kamienie - i wynurzyłam się zaplątana w czarne korzenie, które trzymały mnie od dołu, jakbym tkwiła w ciężkiej, włóknistej klatce. Udało mi się wykonać szybki wdech, zaczerpnąć powietrza, zanim fala znów mnie wciągnęła.

Brak tlenu i panika szybko odebrały mi siły i straciłam orientację w tym, gdzie się znajdowałam i ile minęło czasu. Wiedziałam tylko, że muszę się uwolnić, i to szybko, albo już nigdy nie odetchnę świeżym powietrzem.

Machając ręką, natrafiłam na coś ostrego i poczułam ukłucie skaleczenia, które zagłuszyło ogarniającą mnie desperację. Moje palce zamknęły się wokół tego przedmiotu - kawału metalu długości przedramienia o ostrej jak brzytwa krawędzi. Złapałam go z całej siły i wykorzystałam do rozcięcia korzeni oplatających moją głowę i szyję; cięłam na oślep, aż poczułam, że puściły i odpłynęły z falą. Wyczułam skałę pod nogami i używając ostatnich, gasnących iskierki mocy, wydobyłam się z błota. Udało mi się wydostać na grzbiet fali i wtedy zobaczyłam swoją jedną, jedyłą szansę - lawina niosła mnie w stronę grubej, zwisającej gałęzi.

Wbiłam metal w gałąź i wydając z siebie pierwotny krzyk, z wielkim wysiłkiem wyciągnęłam nogi z błota. Oplotłam je wokół konaru i powoli, z trudem wczołgałam się na potężne drzewo - moje schronienie. Drżałam, byłam przemarznięta i pokryta skorupą zeschniętej mazi, tak grubą, że ledwie się poruszałam, dźwigając na sobie ten ciężar. Trwało to chyba całe wieki, ale wreszcie przestałam dygotać, gdy tymczasem pode mną mokra, wsysająca fala zwolniła i zmieniła się w rozlewisko stojącego błota. Na powierzchnię wypłynęły różne rzeczy: pocięte i połamane rośliny, nie do rozpoznania; smutne, ubłocone martwe zwierzęta, które znalazły się w potrzasku. Dostrzegłam jakiś metaliczny połysk i żeby się tam dostać, zsunęłam się w błoto sięgające piersi.

Victory był zakopany pod powoli gęstniejącym mułem, ale koła wydawały się nieuszkodzone i udało mi się go postawić. Częściowo go wypchnęłam, częściowo wyciągnęłam na płyciznę, a potem na suchy ląd. Ciągłe padał ulewny deszcz, ale tym razem z korzyścią dla mnie, bo splukiwał z mojego ciała i z motocykla grubą, ważącą chyba z tonę warstwę czarnej ziemi.

Nie wiedziałam, czy vision może jeszcze w ogóle funkcjonować po tak ciężkiej próbie; początkowo wydało się to niemożliwe; próby odpalenia silnika kończyły się bezsilnym charkotem. Zaczynałam już myśleć, że trzeba będzie go zostawić, choć przepełniało mnie to smutkiem, ale spróbowałam jeszcze raz, bez większego przekonania, i maszyna zakaszłała, podjęła walkę i wreszcie ryknęła triumfalnie.

Wsiadłam na motocykl i pochyliłam się, kładąc policzek na kierownicy.

- Dziękuję - szepnęłam. - Dziękuję.

Victory zamruczał chrapliwie... nieidealnie, ale z determinacją równą mojej.

Sprowadziłam go ze wzgórza, znalazłam ścieżkę i ruszyłam dalej.

Nie śmiałam zbliżyć się do szkoły z tego samego kierunku co poprzednio; byłoby dla mnie lepiej, gdyby moi wrogowie myśleli, że mnie zlikwidowali. Prawdę mówiąc, uratowały mnie łut szczęścia i upór, ale nie mogłam ryzykować kolejnego spotkania. Nie miałam mocy.

Tylko głupiec pakowałby się bez niej w niebezpieczeństwo. Musiałam pobrać energię; pytanie tylko skąd lub od kogo.

Odpowiedź - oczywista i łatwa: od Luisa, tyle że teraz nasz związek nie był ani oczywisty, ani łatwy i nie wiedziałam, czy zareaguje... lecz przecież nie zerwał połączenia między nami, ciągle pulsowało i szemrało głęboko we mnie. Szukając w sferze eterycznej lepszej, mniej oczywistej drogi do celu, wysłałam również - bardzo ostrożnie - sygnał po łączącej nas linii: nie słowa, lecz puknięcie w przewód telegraficzny.

Otrzymałam w odpowiedzi pojedynczy znak, też bez słów. Poczułam wielką ulgę, prawie przestałam oddychać; musiałam się najpierw uspokoić, żeby móc się zastanowić, co dalej. Byłam zbyt słaba, żeby siłą rozszerzyć połączenie po mojej stronie, a także zbyt słaba, żeby komunikować się z nim bezpośrednio, szeptem, co tak często robiliśmy przedtem. Mogłam tylko wysłać sygnały, jak ktoś uwięziony pod gruzami, z nadzieją że Luis sam z siebie podejmie działanie.

Moja błona bębenkowa zatrzepotała w szczególny sposób i usłyszałam głos Luisa.

Co ci się stało?

Naprawdę nie mogłam mu odpowiedzieć. Zamiast tego, znów puknęłam w połączenie. *Jesteś ranna, zgadywał.*

Przesłałam kolejne pojedyncze puknięcie. *Jeden raz na tak, dwa razy na nie, dobrze? Tak.*
Czego potrzebujesz, do diabła, nie możesz mi odpowiedzieć, tak? Nie masz mocy? Strzał w dziesiątkę.
Tak, przekazałam sygnał.
Trzymaj się, powiedział, ale nie takiej reakcji oczekiwałam. Jesteś blisko szkoły? Tak.
To przyjedź. Dam Marion znać, że wkrótce tu będziesz.
Nie! Podkreśliłam to, pukając mocniej, dwa razy, a potem jeszcze dwa, dla pewności. *Nie!*
W porządku. Rozumiem. Dostałem twoją wiadomość o zdrajcy. Chcesz, żebym do ciebie przyszedł?
Nie.
To czego chcesz, chica, do jasnej cholery?
Skupiłam się i puknęłam w nasze połączenie, miarowo, pięć razy.
Potrzebujesz mocy, tak, rozumiem, powiedział po kilku sekundach. No więc przyjedź do szkoły.
NIE! Tym razem znów wysłałam dwa puknięcia, jak najmocniejsze, i groźnie mruknęłam z zawodu.
Dobrze. To ja przyjdę do ciebie. Ustaliłem twoją pozycję w sferze eterycznej. Będę za pół godziny.
Niezależnie od tego, ile razy pukałam ani jak mocno, odmówił dalszej rozmowy. Zacisnęłam zęby z frustracji. Jechałam na swoim motocyklu pod górę, wąską, krętą ścieżką. Zbliżałam się do szkoły od południa, lecz w dużej odległości od właściwej drogi; wiedziałam, że wkrótce powinnam się natknąć na pierwsze linie obronne zabezpieczające granice. Wychodząc mi naprzeciw, Luis ryzykował życie, ale i tak jego szanse na przetrwanie były większe niż moje, gdybym postanowiła przyjechać do szkoły. Musiałam się z nim spotkać w połowie drogi.

Ciągle jeszcze nie dotarłam do linii obronnych - tak się przynajmniej wydawało - kiedy na szczycie grani pojawił się Luis. Na początku nic nie powiedział; ja też nie, lecz wrzuciłam na luz, po czym zgasiłam silnik i ustawiłam maszynę na nóżkach. Zejście z grani było bardzo strome; nie schodziłabym tamtędy, Luis jednak tak właśnie zrobił; kopnięciem odłamał gruby kawał skały, usiadł na nim i zjechał jak na desce surfingowej po nierównym zboczu, na którym tu i ówdzie leżały płyty śniegu, po czym zatrzymał się ślizgiem tuż przede mną.

Strażnicy Ziemi. Ale pokazówka.

- No więc, wróciłaś - stwierdził.

- Musiałam - odparłam. - W szkole jest zdrajca z dżinnem na swoje rozkazy. Nikt nie jest bezpieczny i nikomu nie można ufać. - Kiwnął głową, nie odwracając wzroku od mojej twarzy. - Nie wyglądasz na zaskoczonego.

- Nie. - Spojrzał na grań i uświadomiłam sobie, że nie jesteśmy sami.

Stał tam Raszid; niezwykle poważny w swoim czarnym garniturze. Splótł ręce i wpatrywał się z góry we mnie z kamienną twarzą i tak intensywnie, że poczułam się bardzo, ale to bardzo bezbronna. Jeżeli nie potrafiłam sobie poradzić z atakiem zwykłego Strażnika Pogody, to jakie szanse miałam w starciu z dżinnem?

- Wróciłaś - powtórzył Luis. - Nie myślałem, że wrócisz, Cass. Naprawdę nie myślałem. - A potem niemal szeptem dodał: - Tak mi przykro. Powiedziałem ci, że nie spodoba ci się to, co zrobiłem.

Raszid zeskoczył z grani i wylądował niespodziewanie obok Luisa. Luis ledwo na niego spojrzał. W żadnym razie nie był zaskoczony.

Powoli zaczęłam sobie uświadamiać prawdę, a ona całkowicie zmieniła postać rzeczy. Luis nie był zaskoczony obecnością Raszida... bo wiedział, że dżinn tu był.

Wiedział dlaczego.

A mogła to wiedzieć tylko jedna osoba.

Utkwiłam wzrok w Luisie. Po chwili sięgnął do kieszeni i wyjął małą, grubą buteleczkę zatkaną zwykłym gumowym korkiem. Podniósł ją, tak żebym zobaczyła, po czym schował z powrotem.

- Ty. To ty masz Raszida - wydusiłam.

- Tak.

- Zanim wyjechałam?

- Tak - Luis mówił cicho, lecz zdecydowanie. - Kiedy mi powiedziałaś, że wyjeżdżasz, pojawił się z wiadomością od jakichś innych Strażników. To był dar niebios, Cass. Nie mogłem ryzykować, że Ibby zostanie pozbawiona ostatniej linii obronnej. Po to go mam.

- Zniewoliłeś Raszida. - Robiło mi się niedobrze, czułam się zagubiona i zdradzona. - Wiedząc to, co wiesz, zrobiłeś to, siłą.

Luis miał na tyle przyzwoitości, że nie patrzył mi w oczy.

- Nie byłem pewien, czy to się uda - przyznał. - Ale musiałem mieć coś w rezerwie. Nie mogłem polegać na tobie. Sama mi to powiedziałaś, wprost.

Prawda. Nie sądziłam jednak, że weźmie to tak dosłownie.

- Nie zamierzasz zwrócić się przeciw Strażnikom ani przeciw szkole. Dlaczego więc?...

- Opracowaliśmy strategię z Marion. Wiedzieliśmy, że nas opuścisz; musieliśmy wykurzyć nieprzyjaciół z najbliższej okolicy. Chciałem cię ostrzec, próbowałem cię ostrzec. - Luis wydawał się skrepowany i niechętnie mi to tłumaczył; natomiast Raszid uśmiechnął się i podjął temat.

- Twój wierny kochanek usiłuje powiedzieć, że najpierw Marion nakazała Strażnikowi Harleyowi zająć pozycję w lesie. Kiedy wyjechałaś, Luis rozkazał mi, żebym ciebie również tam wysłał.

Spodziewał się, że Harley,

tak łatwy cel, na pewno ściągnie na siebie wrogów. - Wzruszył ramionami. - Przyznaję, że to ja wymyśliłem umowę o zabicie Strażnika Harleya. Ale nie musiałaś zabić go sama. Nic złego się nie stało.

- Zamknij się - warknął Luis i odkorkował butelkę. Raszid spojrział na niego z nienawiścią.

- Chwileczkę - powiedział. Jego głos pozostał jednak łagodny. - Ona musi to wiedzieć.

- Co? - spytałam.

- Nie możesz mu wierzyć - uprzedził mnie Luis.

- To ty nie możesz mu wierzyć - sprostowałam. - On nie ma żadnych powodów, żeby mnie okłamywać. Raszidzie?

- Dzieci z Chicago. Wiem, dokąd je wieziono.

- To bez znaczenia, Perła mogłaby je przerzucić gdziekolwiek...

Uśmiechnął się, w żadnym razie nie przyjacielsko.

- Byłem skrupulatny. Ostateczny cel ich podróży znajdował się w New Jersey.

Mogłam mu wierzyć lub nie, a Luis ewidentnie nie, lecz coś w spojrzeniu Raszida skłoniło mnie, żeby mu zaufać. Powoli skinęłam głową.

- Dziękuję.

- Nie dziękuj mi. Wykończ sukę. Po to tu jesteś, nie dla tych doczesnych bzdur.

Luis stracił panowanie nad sobą, niemal widziałam, jak coś się w nim załamało.

- Do butelki, Raszid. Już.

Raszid rozciągnął się, aż stał się rzadką, czarną mgiełką i wpłynął do naczynia. Luis gwałtownie wcisnął korek i włożył butelkę z powrotem do kieszeni.

- Powtarzam, nie możesz mu wierzyć. Miał cię ostrzec, zanim cię tam wysłał. Powiedziałem mu, żeby to zrobił, ale tego nie nakazałem. Nie przypuszczałem, że to konieczne. Sądziłem, że jest twoim przyjacielem.

- Sojusznikiem - poprawiłam. - I nie było to skierowane przeciwko mnie, tylko przeciwko tobie. Ja byłam w tym wszystkim nieistotna. A poza tym myślałam, że to ty jesteś moim przyjacielem. A ty mnie wykorzystałeś.

- Musiałem. Musieliśmy być pewni, że złapiemy wszystkich zwiadowców Perły.

- Wysłałeś mnie w ciemno. Znając moje szanse.

- Tak, rzeczywiście - powiedział cicho. - A co, myślałaś, że jesteś jedynym twardzielem w zespole, Cass? Jedyną, która potrafi podjąć trudną decyzję? Zrobiłem to, co musiałem, a musiałem chronić szkołę i znajdujące się tutaj dzieci. Wierzyłem, że ty zrobisz to, co konieczne, żeby się obronić. Nie przypuszczałem, że z tego powodu tu wrócisz.

Zacisnęłam zęby.

- Wróciłam tu, żeby ocalić ciebie.

- Teraz to wiem. - Postąpił krok do przodu. - I przykro mi. Przykro, że nie dość ci ufałem, ale naprawdę myślałem, że Raszid cię ostrzeże. Naprawdę.

Wzięłam głęboki wdech.

- Daj mi butelkę.

- Nie mogę. Potrzebujemy go. Jest dla dzieci ostatnią deską ratunku.

- Tylko pod warunkiem, że nie stracisz nad nim kontroli, a już raz cię wywiódł w pole, Luisie.

Rządzenie uwięzionym dzinnem to coś, co nawet starszyzna Strażników robi ostrożnie. Nie wolno ci oczekiwać, że ktoś taki jak Raszid po prostu pozwoli sobie rozkazywać. Uwolnij go. Pomoże ci z własnej woli.

Luis pokręcił głową.

- Nie mogę na to liczyć. Życie zbyt wielu ludzi jest zagrożone, to zbyt ważne. W szkole nie ma zdrajcy, Cass. Kontroluję dzinna. Zostawmy to, dobrze?

Patrzyłam na niego długo, ponuro, w końcu odwróciłam się, żeby wsiąść na motocykl. Czulałam się zbruka-

na, w środku i na zewnątrz. Oszukana w sposób, jakiego bym się nigdy nie spodziewała.

- Zaczekaj. - Luis pochylił się nad kierownicą victory, nie pozwalając mi uruchomić silnika. -

Potrzebujesz mocy, zanim odjedziesz. Pozwól mi przynajmniej tyle zrobić.

Nienawidziłam go. Nienawidziłam za to, że się zaoferował. Lecz przede wszystkim nienawidziłam siebie, że się na to zgodziłam. Luis wziął mnie za rękę i przez moje ciało przelała się znana mi, gorąca fala energii, uzdrawiająca, niezawodna. Przysięgłabym, że mężczyzna władający taką mocą nie mógłby mnie zdradzić ani oszukać... a jednak.

Myśl, że go tak bardzo źle oceniłam, budziła we mnie odrazę i przerażala.

Kiedy tylko uznałam, że pobrałam wystarczającą ilość energii, wyrwałam rękę i wprowadziłam motocykl na wąską drogę, aby wrócić tam, skąd przyjechałam.

- Wszystko w porządku? - zapytał Luis. Ciepło w jego głosie sprawiło, że poczułam się jeszcze bardziej zdradzona i oszukana. - Cassiel...

- Zastanów się nad tym. Jeżeli nie jesteś zdrajcą, to kto wywołał lawinę błotną, która omal mnie nie zabiła?

Milczał.

- Uważaj na siebie - dodałam. - I na Raszida. Zdradzi cię, jeżeli tylko będzie mógł. - Ledwie się powstrzymałam od powiedzenia tego, co czułam: I zasłużyłbyś na to.

Ponieważ, chociaż tak właśnie myślałam, kochałam go, o Boże, naprawdę go kochałam. Co za hańba. Wrzuciłam bieg i odjechałam z rykiem silnika.

8

Wiele godzin później zatrzymałam się, żeby zatankować benzyny i zjeść coś w przydrożnej restauracji. Jedzenie okazało się pyszne, choć unikałam wołowiny ze względu na moje najnowsze przyjaciółki z ciężarówki wiozącej bydło. Dochodziła szósta rano i z wielką przyjemnością zatelefonowałam do mojego przyjaciela z FBI.

- Dzień dobry, agencje Turner - powiedziałam, okazując o wiele więcej radości, niżby należało. - Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

- No nie. Przykro mi, że cię zawiodłem, Cassiel.

- Za nic nie chciałabym sprawić ci kłopotu.

- Myślałem, że dzinny nie kłamią.

- A któż ci to powiedział?

- Hm, słuszna uwaga. Gdzie jesteś?

- W Adobe Bowl, restauracji pod Albuquerque. Wiesz, gdzie to jest?

- To niedaleko stąd. Zostań tam. Przyjadę.

- Czekam. - Rozłączyłam się bez jakiegokolwiek konwencjonalnego pożegnania; z doświadczenia wiedziałam, że zbija to rozmówcę z tropu i frustruje. Lubiłam, kiedy Turner był sfrustrowany; miał wtedy skłonność zdradzać więcej, niż zamierzał.

Zamówiłam ciastko i kawę i delektowałam się nimi, gdy tymczasem ziemia w promieniach wschodzącego słońca nabierała intensywnych kolorów - góry zrobiły się purpurowe, pogórze ciemnozielone, a równiny mieniły się ochrą i złotem. W rogu restauracji cicho grał telewizor nastawiony na kanał informacyjny. Jedna z wiadomości dotyczyła porwania dzieci w Denver, które zostało udaremnione w Chicago przez roztropnego obywatela. Wszystkie dzieci odzyskano i zapewniono

im bezpieczeństwo, a porywacze albo zginęli w strzelaninie z policją podczas akcji, albo uciekli.

Obława trwała.

Powątpiewałam w możliwość odnalezienia ciał tych, którzy „uciekli”. Raszid nie był w zbyt dobrym nastroju i kiedy skończył odgrywać „roztropnego obywatela”, musiał odebrać swoją zapłatę.

Dzieci były bezpieczne. Kiedy to usłyszałam, odczułam chłodną satysfakcję, a może nawet szczęście; ale nawet tę satysfakcję wymazała następna wiadomość o makabrycznym odkryciu ofiar strzelaniny w lesie - dwaj mężczyźni zmarli z przyczyn pozornie naturalnych, a trzeciego rozerwały na strzępy dzikie zwierzęta.

Luis dostał to, czego ode mnie chciał. W pełni mu się opłaciło.

Nie odnaleźli tego, którego zamknęłam żywcem w środku drzewa, ale i on na pewno nie żył.

- Makabra - powiedział Turner, z porcelanową filiżanką kawy w ręce, wsuwając się do boksu naprzeciwko mnie. Był chudym, nijakim mężczyzną i jak zwykle miał na sobie coś, co uznałam za mundur FBI: ciemny garnitur, gładki krawat, białą koszulę. Był również Strażnikiem, wprawdzie niezbyt potężnym, ale przynajmniej dobrze wyszkolonym. Wątpię, żeby jego szefostwo w FBI o tym wiedziało. - Jaki to placek?

- Smaczny - odparłam.

Westchnął, zawołał kelnerkę i wskazał na ciastko.

- Taki sam poproszę, chyba że jest z wiśniami. Nie lubię wiśni.

- Kokosowy. Odpowiada panu?

- Bardzo. - Sącząc kawę, skupił uwagę na mnie. Niedawno brał prysznic; końcówki włosów opadających mu na szyję były ciągle ciemne i wilgotne, a twarz wydawała się świeżo ogolona. Dla kontrastu, koszulę miał wymiętą i przybrudzoną, a jego garnitur też dawno nie

widział pralni. - Dobrze przebiegła ci podróż? - Spojrzał przez ramię na telewizor. - Przejeżdżałaś obok tego miejsca z martwymi facetami?

- Chyba pamiętałabym coś takiego.

Turner na tyle nabył już doświadczenia w rozmowach ze mną, żeby rozpoznać wymijającą odpowiedź, kiedy taką usłyszał, i przez moment myślałam, że może będzie chciał dążyć temat, ale postanowił tego nie robić, gdy kelnerka postawiła przed nim talerzyk z zamówionym kawałkiem ciasta.

- Jestem pewien, że należało ich zabić - oznajmił.

- To takie zwyczajowe wytłumaczenie, nawet jeżeli nie pochodzi się z Teksasu.

- Sądziłam, że badasz takie sprawy.

- Morderstwo nie należy do przestępstw - federalnych - wyjaśnił - szczęśliwie dla ciebie. Natomiast porwania, tak, i dlatego śledziłem tę sprawę z Denver, aż do momentu, kiedy cudem wszystko obróciło się przeciw porywaczom. Dzieciom nic się nie stało, kolejny cud, zważywszy że wokół nich latały kule. Nawiasem mówiąc, choć nie powinno to dotrzeć do mediów, wszyscy dorośli zamieszani w ten spisek byli albo świeżo nawróconymi wyznawcami Kościoła Nowego Świata, albo najemnymi mordercami, płatnymi mięśniakami. A wszystkie dzieci dziećmi Strażników. Czy coś ci o tym wiadomo?

- Nic, co mogłoby ci się przydać. Ale nie wezwaliście mnie z powodu tych porwań.

- Nie była to pierwotna przyczyna - zgodził się i delektując się ciastem, zastanawiał się, co jeszcze mi wyjawić. - Powiedziałaś, że FBI chciało, żebyś przyjechała w związku z jakimś śledztwem.

Tymczasem federalni nie prowadzą żadnego śledztwa. Chcą z tobą przekonsultować pewne hipotetyczne scenariusze.

- Przekonsultować - powtórzyłam, marszcząc brwi.

- Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.

- Musiałem trochę pogrzebać, żeby się tego dowiedzieć, więc oczekuję sowitej nagrody. Chodzi o to, że jacyś jajogłowi w Quantico zajęli się gdybaniem, a w szczególności tym, co mogłoby się zdarzyć, gdyby popsuły się nasze stosunki ze Strażnikami, i chcieliby, żebyś wyraziła swoją fachową opinię o tym, jakie jest prawdopodobieństwo, że FBI i innym agencjom rządowym uda się opanować sytuację. Szczerze mówiąc, pomyśl, że w ogóle mogły istnieć jakieś scenariusze, zgodnie z którymi ludzie by przeżyli, nie wspominając nawet o wygranej, gdyby z jakiegoś powodu wszczęli wojnę ze Strażnikami - a tym bardziej z dzinnami - był śmiechu wart. Mimo to spójrzałam na agenta Turnera ze stosownym zainteresowaniem, a w każdym razie chciałam, żeby tak to wyglądało.

- Chętnie przekazałabym swoją opinię - oświadczyłam. - Ale w tej chwili nie mam czasu na takie rzeczy.

- Obawiam się, że mają na to gotową odpowiedź: będziesz musiała znaleźć czas. To dlatego zaproponowałam ci spotkanie tutaj, a nie w moim biurze. Zamierzają, hm, domagać się twojej natychmiastowej pomocy. Rozumiesz?

Tak mi się wydawało. Skończyłam placek, nie spiesząc się z odpowiedzią.

- Uważasz, że aresztują mnie i zmuszą, żebym im pomogła.

- Myślę, że spróbują. Słuchaj, nie zgadzam się w osiemdziesięciu procentach z tym, co teraz robią Strażnicy, ale to samo mógłbym powiedzieć o FBI. Chyba dlatego nikt nigdy nie mówi mi wszystkiego. Strażnicy mi nie ufają, a moi koledzy z pracy tym bardziej. Oficjalnie twierdzą, że nie masz obowiązku im pomagać, założę się jednak, że jeżeli odmówisz, przypomną ci, nie przebierając w słowach, że jesteś teraz obywatelką Stanów Zjednoczonych, i znajdą jakieś ustawy, na które się powołają, aby mieć pewność, że nigdzie się

nie ruszysz, dopóki ci nie odpuszczą - przerwał i zlizął z widelca krem kokosowy. - Znam cię na tyle, żeby wiedzieć, że zatrzymanie cię, kiedy właśnie chciałybyś być gdzie indziej, to naprawdę beznadziejny pomysł. Tak więc, żebyś nie zniszczyła skrzydła budynku rządowego i żebyś nie została potem umieszczona na liście osób najbardziej poszukiwanych, razem ze wszystkimi Strażnikami, których kiedykolwiek spotkałaś, trzeba, żebyś stąd wyjechała. Szybko.

To wiele wyjaśniało, łącznie z tym, dlaczego początkowo władze chciały, żeby Luis przywiózł Ibby i mnie do miejsca, które kontrolowały... do Strefy 51. Chodziło im o mnie i najwyraźniej nie zamierzały zmienić zdania.

Dałam znak kelnerce, żeby przyniosła mi jeszcze jedną kawę i - po należyтым zastanowieniu się - jeszcze jeden kawałek placka. Kiedy patrzyłam, jak Turner je swoje ciasto, moje kubki smakowe zapragnęły dokładki.

- A co z tobą? Będą wiedzieli, że ze mną rozmawiałeś.

- O tak, będą wiedzieli. Faktem jest jednak, że nie dowiedzą się o czym, a formalnie rzecz biorąc, ja i tak znam zbyt mało szczegółów, żeby cię ostrzec. Moja wersja będzie taka, że próbowałem cię namówić, żebyś do nich przysła, ale nie chciałaś mieć z tym nic wspólnego. Powiedziałaś, że wybierasz się do Meksyku.

Uniosłam brwi.

- A gdzie naprawdę się wybieram?

- Gdziekolwiek, byle nie do Meksyku. Słuchaj, wszystko mi jedno. Nie chcę wiedzieć. - Turner skoncentrował się na swoim placku i już na mnie nie patrzył. - Wiem, o co idzie gra. Musisz dojechać tam, gdzie właśnie jedziesz, i położyć temu kres. Nie obchodzi mnie, czy będziesz działać po naszymu, czy po swojemu. Widziałem, co Perła zrobiła tym dzieciom. Ty też. - Nagle rozejrzał się wokoło, marszcząc brwi. - A gdzie twój cień?

- Kto?

- Przecież wiesz. Wielki, wysoki facet, twardziel z tatuażami?...
- Luis ma inne zobowiązania - odparłam chłodno. -Nie angażuje się w to, co teraz robię.
- Hm. - Turner, zamyślony, przeżuwał ciasto. -Założyłbym się, że nigdy nie widziałem was osobno.
- Przegrałbyś.
- Nie ja jeden.

Kelnerka przyniosła moją drugą kawę i ciastko; wsunęłam jej większy banknot, niż należało, płacąc za nas oboje.

- Margaret - powiedziałam. Popatrzyła na mnie, zaskoczona, a ja skoncentrowałam wzrok na jej zmęczonych, zgaszonych, zielonych oczach. - Margaret, nie było nas tutaj. W ogóle nie pamiętasz, żebyś nas obsługiwała. -Pieniądze miały służyć uspokojeniu mojego przyjaciela z FBI. W rzeczywistości posłużyłam się impulsem mocy, choć wykorzystywanie jej w taki sposób przez Strażnika było nielegalne. W umyśle kelnerki nasze twarze rozmazały się i stały niewyraźne. - Reszty nie trzeba.

Uśmiechnęła się lekko i odeszła, jakby nigdy nic. Szybko zjadłam placek, delektując się każdym kęsem, i duszkiem wypiłam kawę.

- Słońce weszło. Powinieneś już iść, bo spóźnisz się do pracy - zauważyłam.

Spojrzał na zegarek.

- Ciągle mam jeszcze dużo...

- Ben. Nie, nie masz. Musisz już iść, teraz. Jestem pewna, że czeka cię papierkowa robota. Po prostu zapomnij, że mnie dzisiaj widziałeś.

Skrepowałam go swoim spojrzeniem i mocami. Źrenice jego oczu rozszerzyły się; wyczułam, że myśli o tym, że trzeba iść do pracy, i zastanawia się z roztargnieniem, dlaczego przyszedł aż tutaj, żeby zjeść na śniadanie kawałek zwykłego placka.

Zanim znów się skoncentrował, wysunęłam się z boksu i wyszłam na zalaną gorącym, porannym słońcem drogę. Nie minęło dziesięć sekund, a siedziałam na motocyklu. Odjechałam.

Straciłam kolejnego sojusznika. Co gorsza, prawdopodobnie ściągnęłam na siebie przeciwnika o bardzo określonych możliwościach... cały ludzki system organów ścigania, który mógł z łatwością wywierać na mnie presję z racji swojej wielkości i zasięgu. Nie byłam dzinnem, żeby wymknąć się niezauważeniu, byłam człowiekiem - potężnym, ale kruchym. Można mnie było zranić, uwięzić i zabić.

Trudno. Zaryzykowałabym wszystko, a nawet więcej, żeby uzyskać pewność, że Perła nie skrzywdzi kolejnego dziecka, tak jak skrzywdziła Isabel.

Tylko takie zadanie przed sobą postawiłam.

Pierwszy postój zrobiłam przed sklepem z mapami w Albuquerque. Sprzedawano w nim szczegółowe, laminowane ilustracje każdego skrawka Stanów Zjednoczonych. Kupiłam komplet dokładnych map drogowych i zestaw z oznaczeniami topograficznymi oraz kolorowe markery. Włożyłam to wszystko do plastikowej tuby, zarzuciłam ją na plecy i ruszyłam na swoim motocyklu w stronę autostrady międzystanowej. Było w zasadzie wszystko jedno, jaki obiorę kierunek, byle tylko oddalić się od Albuquerque i dojechać w końcu do jakiegoś większego miasta, tak więc wybrałam drogę najszerszą i najprostszą, i dodałam gazu. Wiatr smagał mnie po twarzy tak, że straciłam czucie w skórze, a moje niesforne włosy zamarzły i zeszywniały. Po wielu godzinach jazdy zauważyłam spokojny, nierzucający się w oczy motel; wydawał się czysty. Na parkingu stały tylko dwa pojazdy - zdezelowany pikap, prawie na pewno należący do pracownika, i zakurzony, ciemnoczerwony sedan z rejestracją innego stanu i zabawkami dla dzieci za tylną szybą.

Zapłaciłam za pokój. Był dokładnie taki, jakiego potrzebowałam - zwykły, schludny, bez żadnych luksusów, których oczekiwało wielu podróżnych. Kupiłam w automacie butelkę wody, usiadłam z mapami przy wąskim, starym stole i wprowadziłam na nie wszystkie znane mi dane.

Potem wzniosłam się do sfery eterycznej i skoncentrowałam na najbliższym obozie Perły. Znajdował się w Kolorado i był już dawno opuszczony, wymarły i zamknięty, tak że w fizycznym świecie nie pozostał po nim najmniejszy ślad. W eterze nie tak łatwo jednak wymazać plamy. Ciągle unosiła się nad nim ciemność; zwróciłam swoje niematerialne ciało w tym właśnie kierunku i wpadłam w rozedrganą chmurę.

Uderzyło mnie gorąco, zapach zgnilizny i nienawiść; nawet cień tego miejsca sprawił, że poczułam się słaba, wyczerpana - ale zdobyłam to, czego potrzebowałam, choć kontakt trwał tak krótko. Poznałam smak szaleństwa Perły.

Musiałam teraz sprawdzić informację Raszida... informację, która mogła być kłamstwem, prowadzić w zasadzkę, narazić na bezsensowną stratę czasu albo -i w to wierzyłam - dać wielką szansę, żeby wykończyć Perłę raz na zawsze.

Tropienie w eterze jest proste dla dzinnów, bo to ich pierwotna siedziba, środowisko, w którym tryskają energią, gdzie czują się najlepiej. Dla ludzi drzwi do eteru są zamknięte. Strażnicy mają tam wstęp, lecz ograniczony i nawet najzdolniejsi z trudem odczytują subtelności tego świata; ludzkie zmysły, choćby i spotęgowane, nie chwytają sensu tego, co dzinn ze swojej natury rozumie.

Ale ja miałam przewagę - byłam jak ślepiec, który pamięta, co znaczy widzieć. Potrafiłam interpretować to, co odbierałam wzrokiem, w sposób niedostępny dla większości Strażników.

W eterze odległość nie stanowi przeszkody; moja au-toprojekcja mogła łatwo się przemieszczać, niezależnie od praw rządzących światem naturalnym. Kolejny postój zrobiłam sobie w Kalifornii, gdzie Perła założyła drugi obóz, o którym się dowiedzieliśmy. Podobnie jak ten w Kolorado, został już zamknięty i opuszczony, ale ślady rysowały się tu wyraźniej. Nie śmiałam podejść bliżej. Drgająca nad nim czerń ostrzegała, że może mnie pochłonąć. Zbyt dobrze pamiętałam los mojego przyjaciela Gallana - pierwszego dżinna, który zbyt się zbliżył do orbity Perły i został zniszczony. Całkowicie zniszczony - wyeliminowany ze świata, wymazany. Istnieją sposoby, żeby zabić dżinna, ale ten uważałam za najgorszy.

Nad obozem w Kalifornii wciąż unosił się niewyraźny czarny cień sięgający aż do sfery eterycznej. Zanikał, zmieniając się w cieniutką nitkę. Podążyłam za nim, wyczulona na to, żeby się z nim przypadkowo nie zetknąć. Wokół mnie w zagmatwanych kształtach rozbłyskiwały i kołysały się światła, to pokazywały się, to znikwały w olśniewającej neonowej powodzi. Znajdowałam się na obszarze bogatym w ludzką historię, począwszy od starożytnych plemion, które tu niegdyś mieszkały, przez napływ imigrantów powodowanych żądzą zdobycia ziemi i złota, aż po współczesnych poszukiwaczy sławy i fortuny na tym niegościnnym obszarze. Dżinny trudniej było zauważyć niż Strażników - Strażnicy lśnili migotliwym blaskiem, ale dżinny, subtelniej sze, wołały zlewać się ze swoim naturalnym środowiskiem.

Wszystkich ich unikałam, pędząc za gasnącym śladem wpływu Perły na świat. Gdzie jesteś, siostrze? Nic się urwała, zniknęła w szarym dymie.

Przepadła.

Szukałam czegokolwiek, bardziej zmęczona, niż powinnam. Nie było śladu Perły ani żadnego Strażnika lub dżinna. Znajdowałam się w całkowicie pozbawionym

cech charakterystycznych terenie o uspokajającej, perłowej barwie muszli.

No tak, szybowałam nad oceanem. Olbrzymia część powierzchni Ziemi pokryta wodą ma własną eteryczną energię, lecz niewiele wyróżników; ludzie ją przemierzają, niemal nie zostawiając trwałych śladów. Gdybym była dzinnem, zobaczyłabym wokół siebie cudowną głębię i różnorodność życia, ale Strażnicy nie są tak spostrzegawczy.

Zgubiłam Perłę na morzu.

Oznaczyłam to miejsce i otworzyłam oczy na doczesny świat, ciągle utrzymując się w sferze eterycznej, po czym nałożyłam na siebie te dwie rzeczywistości i odnalazłam na mapie punkt, w którym ślad Perły zniknął. Zrobiłam tam grubą, czarną kropkę, a następnie narysowałam linię z zatechłego obozu w Kalifornii do miejsca, gdzie zostawiła ostatni ślad.

U wybrzeży Florydy.

Podróżowanie w eterze męczyło mnie i szybko zużywałam energię otrzymaną przed opuszczeniem szkoły. Powinnam była zaczerpnąć mocy od Turnera, mojego przyjaciela i wroga z FBI, zwłoka mogła mnie kosztować więcej, niżbym zyskała. On sam nie należał do szczególnie potężnych.

Cóż, ogólnie rzecz biorąc, nie miałam wielkiego wyboru. Byłam odcięta od władających wielką mocą Strażników, przyjaciół, do których mogłabym się normalnie zwrócić o pomoc - Lewis Orwell i Joannę Baldwin, niemal równi sobie pod względem mocy i wpływów, zabrali większość ważnych Strażników na morze. Zamierzali powstrzymać Strażnika samotnika - niewykluczone, że coś gorszego - który próbował wywiercić dziurę między wszechświatami i zacząć siać zniszczenie. Minęło już sporo czasu, od kiedy wyjechali, a dzienniki telewizyjne złowieszczo milczały.

Oczywiście wiedzielibyśmy, gdyby im się nie udało. A w końcu monotonna cisza niekiedy zapowiada sukces - i tak cieszyliby się z niego tylko Strażnicy.

Niezależnie jednak od tego, czy czekał ich sukces, czy porażka, jedno było pewne: moi najpotężniejsi sojusznicy nie mogli mi teraz pomóc. Moje niewielkie możliwości stawały się coraz mniejsze.

Ciągle bez problemu mogłam pobrać moc od Luisa, nie nawiązując z nim rozmowy, bo wciąż istniało połączenie między nami. Całą sobą sprzeciwiałam się tej konieczności, lecz przede wszystkim jestem istotą praktyczną.

Wiedziałam, że nie powstrzymałby mnie, ale nie chciałam zachowywać się jak pasożyt - wykorzystywać go tylko po to, żeby móc istnieć. Nawet mając w pamięci to, co zrobił, żeby zawieść moje zaufanie. Z wahaniem dotknęłam łącza, ale nie otrzymałam odpowiedzi. Szarpnęłam mocniej, próbując otworzyć kanał powolnego przepływu, który zawsze istniał między nami, lecz Luis mnie zablokował.

Nie miałam wyboru, musiałam wziąć telefon i do niego zadzwonić, tymczasem nie potrafiłam ot tak po prostu nacisnąć guzika i nawiązać kontaktu... Nie chciałam z nim rozmawiać, naprawdę nie chciałam, a z drugiej strony jakaś część mnie pragnęła usłyszeć jego głos. Zastanawiałam się, czy on czuje taki sam gniew, ból, potrzebę i pożądanie, wszystko to zwinięte w niebezpiecznie kolczasty kłębek. Wielka niewiadoma. Był teraz powściągliwy, bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Luis odebrał po trzecim dzwonku, lecz nic nie powiedział. Przez chwilę trwała cicha wojna, zakłócana tylko trzaskami na linii, aż wreszcie tę ciszę przerwałam.

- Jestem już blisko znalezienia drogi do Perły, ale wyczerpuje mi się moc. Pomożesz mi?

Milczał przez kilka długich sekund.

- Oczywiście - oświadczył w końcu.

- Dlaczego po prostu nie pozwoliłeś mi pobrać tego, czego potrzebuję?

Tym razem milczał dłużej, a kiedy się odezwał, wydawał się znużony.

- Może chciałem usłyszeć twój głos. Upewnić się, że wszystko u ciebie w porządku.

Bardzo poruszona tymi słowami, na kilka sekund odsunęłam telefon od ucha, próbując uporządkować zalewające mnie uczucia. Wzięłam głęboki wdech.

- Czuję się świetnie - powiedziałam.

- To dobrze. Naprawdę.

- Zapewne. - Wcale się tak nie czułam, nie teraz, słysząc jego oddech, jego głos, wiedząc, jak bardzo dzieli nas odległość i emocje. - Luisie...

- Tak?

Nie potrafiłam zmusić się do tego, aby mu przebaczyć ani nawet przyznać, że rozumiem decyzje, które podjął. Podziwiałam jego bezwzględną determinację, ale rany ciągle zbyt mocno krwawiły.

- Co u Isabel?

- Lepiej - odparł. Wyraźnie poczuł ulgę, kiedy zmieniliśmy temat na mniej kontrowersyjny. - Adaptuje się, a ataki opanowujemy; Marion uważa, że robimy szybkie postępy. Ibby pomaga przy Elijahu; on lubi ją bardziej niż kogokolwiek innego.

- Ale miała kolejne ataki.

- Tak, jeden. Nie tak poważny jak ten pierwszy.

- Zastanawiałeś się choć przez chwilę nad tym, co ci powiedziałam? O możliwości, że ktoś w szkole działa przeciw wam? - Nie rozmawiałam z nim o lawinie błotnej, a przecież nie była zjawiskiem normalnym, nie o tej porze roku. Została sprowadzona na mnie przez Strażnika Pogody, na tyle subtelnego, że potrafił zrobić coś takiego, nie odkrywając za szybko kart.

- Rozglądałem się, ale nikogo nie mógłbym wskazać palcem. Może jednak to był przypadek, Cassiel. Dotknęło mnie, że użył mojego pełnego imienia, chociaż jego głos pozostał spokojny i neutralny. Przyzwyczaiłam się, że nazywa mnie Cass. Złościłam się, kiedy pozwalał sobie na to ktoś inny, ale w jego ustach wydawało się to... zaszczytne. I ciepłe.

- Nie sędzę - odparłam. - Więc uważaj na siebie, błagam. I chroń Isabel.

- Robiłbym to lepiej, gdybyś została.

- Nie mogłam. Wiesz o tym.

Jego głos stał się tak ostry, że kaleczył.

- Wybrałaś, Cass. Damy sobie radę bez ciebie. Przykro mi, ale tak to wygląda. Twoje wola. - Milczał przez moment, a ja walczyłam z impulsem, żeby zaprotestować, powiedzieć, że niczego nie wybrałam, nie to, nie to rozdzielenie, złość i poczucie straty. Wybrałam jego i Ibby, chciałam ich kochać, więc wiele ryzykowałam. Obowiązek pchnął mnie w innym kierunku i posłuchałam wezwania tylko dlatego, że gorąco pragnęłam zapewnić im bezpieczeństwo. To Luis podjął nieodwołalną decyzję, żeby nadużyć mojego zaufania, i byłam pewna, że częściowo w ten sposób się mścił.

- Powiedz mi tylko, że z Ibby wszystko w porządku -poprosiłam i zamknęłam oczy. Poczułam się nagle bardzo znużona i bardzo samotna. - I że z tobą też.

Kiedy znów się odezwał, jego głos był cichszy, bardziej miękki.

- Nie sądziłem, że może cię interesować, co się ze mną dzieje.

- Sama nie wiem - przyznałam się. - Ale mówiłam ci: dzinny nie odkochują się tak łatwo. I naprawdę się o ciebie troszczę, nawet jeżeli wołałabym, żeby tak nie było.

- Uff! - sapnął. - Proszę cię, Cassiel. No tak, powinienem był powiedzieć ci o tych facetach czekających

tylko, żeby podążyć twoim tropem. Zamierzałem, kiedy przyszedłeś do mojego pokoju, ale... Zdarzają ci się takie momenty, kiedy żałujesz, że czegoś nie zrobiłaś, żałujesz całą sobą? Mnie tak. Powinienem był cię ostrzec. Nie chciałem, żeby ci się coś stało.

Przepraszał, lecz nie tego oczekiwałam.

- A Raszid? - spytałam. - Uwolniłeś go?

- Cass...

- Nie ma więc o czym gadać. Nie mogę ci ufać, jeżeli trzymasz niewolnika wbrew jego woli.

Luis odchrząknął, zażenowany, i zmienił temat.

- Gdzie jesteś?

- Daleko. - Jego głos słyszałam teraz słabo, dochodził jakby z dużej odległości, zanikał; coś działo się z łączem. - Ale nigdy zbyt daleko od ciebie, gdybyś mnie potrzebował.

- Potrzebuję cię. Cass? Przepraszam za to, co powiedziałem przed twoim wyjazdem. Nie mówię, że to nie była prawda, nie musiało jednak być tak ostre. Nie chciałem tego. Nie chciałem cię zranić.

- Wiem. I przykro mi, że moja decyzja do tego doprowadziła, ale nie widziałam innej możliwości.

Czasami trzeba coś poświęcić dla wyższych celów.

- A to coś, to my - stwierdził znów z chłodnym dystansem. - Nawet jeżeli naraża to Ibby na niebezpieczeństwo.

- Próbuję ocalić Ibby. I wszystkich innych. Ale nie mogę tego zrobić stamtąd, wiesz o tym. - Znów zaczynaliśmy spór o sprawy delikatne, wkraczaliśmy na krętą, stromą ścieżkę i wiedziałam, czym to się skończy: bólem. - Czuwaj nad nią, błagam.

- Ja na pewno będę nad nią czuwał. - Jeżeli położył w tym choćby minimalny nacisk na „ja”, chyba mogłam mu to wybaczyć. - Skoro potrzebujesz mocy, weź ją. Rozłączam się.

Zakończył rozmowę bez żadnych formułek grzecznościowych. Nabierał złych nawyków, prawdopodobnie uczył się ode mnie.

Ja także nauczyłam się wiele od niego, również tego, jak gorzka może być zdrada. Tak więc wydawało się to po prostu sprawiedliwe.

Zamknęłam oczy, uspokoiłam umysł i sięgnęłam do naszego łącza. Było cienkie, lecz wciąż silne, zbudowane na zaufaniu i doświadczeniu; nasze ostatnie nieporozumienia nadszarpnęły tę nić, lecz jej nie przerwały. Z czasem się ją wzmocni... jeżeli przeżyjemy.

Coś osobliwego pojawiło się w tym, co robiłam; poczułam jakiś dziwny, ukryty niepokój; narastał we mnie, w miarę jak pobierałam moc od Luisa. Nie było to aż tak intymne jak dotychczas, bardziej przypominało wzorcową transakcję. I chyba dobrze; pociągało za sobą mniej komplikacji dla nas obojga.

Ale kiedy moc wnikała we mnie, gęsta i złocista jak płynne światło słoneczne, uświadomiłam sobie, że myślę o jego twarzy, ustach, ciele, skórze... o wszystkim tym, co stało się teraz dla mnie niedostępne z mojego własnego wyboru.

I to znów bolało.

Nie wiem, co czuł Luis ani co myślał, lecz jak tylko mogłam sobie na to pozwolić, przerwałam przepływ energii między nami. Po tym kontakcie poczułam się niespokojna i wzburzona gdzieś bardzo głęboko, w jądrze każdej komórki. Pragnęłam... czegoś. I nie śmiałam tego czegoś zdefiniować.

Znów spojrzałam na mapy i na siatkę czarnych punktów, którą powoli tworzyłam. Zazaczyłam wszystkie miejsca zidentyfikowane przez FBI jako lokalizacje ośrodków Perły albo skupiska osób podejrzanych o bycie jej zwolennikami; ich lista się wydłużała. Mogłabym zbliżyć się do każdego z tych miejsc w sferze eterycznej,

ostrożnie dysponując energią. Byłaby to rozsądna metoda, lecz ja wierzyłam Raszidowi. Może miałam rację, a może nie, ale mu wierzyłam. Jeżeli Perła zaplanowała, żeby te dzieci zostały dowieszone do niej, do New Jersey, to tam prawdopodobnie obecnie odbywało się szkolenie - i tam można ją było zobaczyć w postaci cielesnej, a więc w jakiś sposób bezbronną.

Udałam się prosto do obozu w New Jersey. Tak jak w poprzednich wypadkach, unosiły się nad nim rozedrgane, toksyczne, rzadkie eteryczne opary, tym razem jednak wyczuwałam je mocniej niż przedtem - i jednocześnie te opary chyba wyczuwały mnie. Zatrzymałam się tuż przed rozmytymi, wirującymi kształtami, które spowijały ten obszar, choć wydawało mi się, że nie mogę przestać się do nich zbliżać.

Opary wyciągały ku mnie swoje macki.

Szybko odepchnęłam od nich swoje eteryczne ciało, lecz ledwie uchwytna, drgająca, ciemna smuga zdążyła mnie musnąć i przeszył mnie czarny, zimny ból. To nie powinno się być zdarzyć; nic nie powinno móc mnie zaatakować na poziomie eterycznym, nie w tej postaci. Odczułam to jak mrozący szok elektryczny, straciłam panowanie nad sytuacją i uciekałam, powodowana paniką, której nawet ja nie mogłam w pełni zrozumieć.

Coś tam było. Coś żywego. Wygłodzonego. Nie Perła, lecz jej uosobienie. Awatar czekający na nieostrożnego dzinna lub Strażnika. Chłód, który poczułam, miał żerować na mnie jak nasłana przez nią pijawka i wyssać całą moją energię eteryczną... wszystko to, co pobrałam od Luisa, a co zasilalo komórki mojego ludzkiego ciała. Zrodziło się coś nowego i naprawdę groźnego, jeżeli mogło atakować Strażników, nie tylko dzinny.

Perła nabierała coraz więcej siły, a ja na to pozwoliłam. Działo się to, o czym Ashan kiedyś mi powiedział; czerpała moc z ludzi i ze Strażników i jeśli ktoś lub coś

jej wkrótce nie powstrzyma, stanie się dość potężna, żeby zniszczyć również wszystkie dżinny - była jak żarłoczna, czarna dziura pożerająca wszystko, czego dotykała.

Poeksperymentowałam odrobinę z drgającą czarną mgłą, próbowałam się dowiedzieć, co sprawiało, że się zbliżała, a co ignorowała. Ta niebezpieczna gra wymusiła na mnie kontakt z oparami niejedną raz. Zanim skończyłam swoje śledztwo i zebrałam dość informacji, znów niebezpiecznie wyczerpałam rezerwy mocy - ale było warto.

Wiedziałam wystarczająco dużo, żeby przekazać ostrzeżenie.

Znów zadzwoniłam do Luisa, aby go o wszystkim powiadomić, podać lokalizację i podzielić się spostrzeżeniami; miał to przekazać Marion. Do niej należało skoordynowanie wysiłków Strażników i ostrzeżenie dżinnów, tych, które ciągle jeszcze chciały z nami rozmawiać. Luis sam napomknął o mocy, za co byłam mu wdzięczna; nie chciałam stale prosić. Tym razem przepływ energii był silniejszy, a obrazy i pragnienia, które rozbudził, wyraźniejsze.

Nie mogłam tego przeżyć wspólnie z Luisem, ulżyło mi jednak, kiedy z pewnym wahaniem powiedział:

- Chcesz, żebym się nie rozłączał? Mam trochę wolnego czasu. Mógłbym wznieść się z tobą i rzucić na to okiem, zorientować się, z czym masz się zmierzyć.

Nie potrafiłam oprzeć się chęci zobaczenia go, nawet w formie eterycznej, a ton jego głosu wskazywał, że chciał przynajmniej trochę załagodzić konflikt. Udałam, że się waham, zanim powiedziałam: tak, z nadzieją że nie usłyszał, jak rozpaczliwie tego pragnęłam; jeżeli to wyczuł, był na tyle miły, że powstrzymał się od komentarza. Znów nie nastąpiły żadne pożegnania, lecz zostawiłam telefon włączony, a kanał komunikacyjny otwarty i wzniosłam się do sfery eterycznej. Telefon komórkowy mógł bardzo się przydać, bo ludziom trudno rozmawiać

w eterze, a dezorientujące i niezamierzone nuty pojawiały się nawet wtedy, kiedy dżinny rozmawiały ze sobą w tym królestwie energii i pragnień.

Odnaleźliśmy się bez problemu; nasze połączenie służyło jako drogowskaz. Z zawrotną prędkością leciałam do Luisa przez eter - ojczyznę dżinnów, ale środowisko pogmatwane i wyjątkowo niedostępne dla ludzkich zmysłów. Czułam coraz intensywniejsze wibracje między nami, aż ujrzałam go pędzącego w moim kierunku z taką samą jak moja niecierpliwością. Zwolniliśmy i już po chwili unosiliśmy się tuż obok siebie. Biła od niego łagodna, złocista poświata z miedzianymi błyskami w kształcie płomieni na ramionach. Większość Strażników zmieniała postać w sferze eterycznej, ale nie Luis; pozostał sobą we wszystkich najważniejszych aspektach. Ciągle zastanawiałam się, jak on widzi mnie tutaj, w tym miejscu. Tego sama nie mogłam zobaczyć.

Rozmowa była prawie niemożliwa, możliwy był jednak przepływ uczuć między nami. Luis wyciągnął do mnie rękę i kiedy mnie dotknął, spostrzegłam, że palce mojej prawej dłoni świecą srebrzystym blaskiem, a lewej przybrały odcień zmatowionej miedzi, bo połowa mojego lewego ramienia została wymieniona, stworzona na nowo w metalu w świecie fizycznym, lecz z wykorzystaniem mocy dżinnów. Nie miało to dla mnie znaczenia; czułam wszystko, nawet dotyk, choć chyba trochę mniej wyraźnie. Zwykle w ogóle o tym nie pamiętałam.

Natomiast w sferze eterycznej kontrast był uderzający.

Bliskość Luisa upajała mnie, ale wiedziałam, że nie możemy pozostać w tym miejscu; potrzebował odpoczynku, a jego czas był ograniczony. Otaczało go szare migotanie świadczące o ukrytym zmęczeniu.

A jednak dołączył do mnie, mimo wszystko. I wiedziałam, bo to czułam, że znajdował równie dużą przyjemność w przebywaniu ze mną, jak ja w przebywaniu z nim.

Trzymałam go za rękę, kiedy wystrzeliliśmy w górę parabolicznym łukiem, przecinając mgły i światła; unikaliśmy kontaktu z niewyraźnymi postaciami innych Strażników załatwiających własne sprawy i dzinnów, które ukazywały się w formie upiornie migoczących ogników. Przedarliśmy się w dół, w kierunku konkretnego czarnego punktu; na płaskim obrazie świata, na mojej mapie, znajdował się obok Trenton w New Jersey.

Znów ta sama czarna, rozedrgana kurtyna, lecz tym razem podniosła się wyżej i wirowała z większą siłą niż poprzednio. Wydawało się, że porusza się jak bezgłośnie płonący ogień, że sięga aż po sklepienie świata eterycznego w górze i po świat fizyczny w dole - rozpalone, czarne drzewo mocy. Ze wszystkich przejawów wpływu Perły, które do tej pory widziałam, ten zatrwał najbardziej. Moc w nim zawarta - porażała.

Co więcej, wyglądało na to, że ma świadomość.

Ona jest tutaj. Może jeszcze nie przyjęła fizycznej postaci, lecz na pewno tu koncentrowała energię, tu się przygotowywała.

Coś we mnie zareagowało na jej obecność pewnego rodzaju tęsknotą, ale i paniką. Zatrzymałam Luisa, tak żebyśmy się unosiliśmy w bezpiecznej odległości od słupa mocy. Snopy wielobarwnego światła trzaskały w jego wnętrzu, błyskawice niewiele mające wspólnego z logiką burzy. Jak przez mgłę usłyszałam w realnym świecie głos Luisa w telefonie.

- Sami nie damy sobie z tym rady, Cass. To zdecydowanie przekracza nasze możliwości.

Miał rację, ale pozostawało faktem, że nie było nikogo, do kogo można by się zwrócić o pomoc. Marion nie mogła zostawić dzieci, a większość potężnych Strażników wezwano do opanowania kryzysu na morzu. Perła doskonale wybrała moment ataku. Wiadomo było, że Ashan

nie nakaże starym dzinnom walczyć z nią, a David już wyznaczył swoim dzinnom inne zadania: pomagały one Strażnikom w likwidacji bieżących zagrożeń. Byliśmy zupełnie sami i w istocie bezsilni.

- Odejdź - powiedziałam głośno w realnym świecie. - Uciekaj. Nie wolno mi cię narażać.

- Nie możesz tego zrobić sama. Jeżeli ona jest aż tak potężna, zniszczy cię w parę sekund. Wiesz o tym.

- A twoja pomoc wydłuży tylko nasze życie o kolejne parę sekund! Lepiej, żebym dokonała tego sama. Ibby potrzebuje cię bardziej niż ja.

- Myślisz, że tak po prostu się wycofam i cię tu zostawię? To ty odchodzisz, Cass. Nie ja.

W sferze eterycznej jego świecąca postać odwróciła się do mnie i nasze ręce się połączyły.

Poruszaliśmy się powoli, niczym we śnie, porwani przez prądy mocy. Obok nas wirował ogień czarnej nienawiści Perły, a z popiołu tysiąca spalonych dzinnów wydobywał się w eterze dym.

- Nie odejdę. Ibby potrzebuje nas obojga - oznajmił Luis w fizycznym świecie. - Nie możesz walczyć z Perłą. Nie sama, Cass. Nie teraz. Błagam, nie rób tego.

- To nasza największa szansa na to, żeby ją powstrzymać. Przykro mi.

Rozłączyłam się.

W tym momencie rozedrgany ogień w toksycznych kolorach przestał sięgać w górę do sklepienia świata dzinnów; nagle wyskoczyły z niego długie, cienkie wici i zaczęły przerażająco szybko płynąć w naszą stronę. Pomyślałam, że do tej pory znajdowaliśmy się w bezpiecznej odległości, lecz to się właśnie zmieniło.

Teraz to coś sięgało po nas.

Zbliżało się bardzo, bardzo szybko.

Próbowałam odepchnąć Luisa w bezpieczne miejsce, ale trzymał się z uporem, którego się nie spodziewałam.

Zamiast oderwać się ode mnie, przyciągał mnie bliżej i bliżej... i zamiast spleść się w fizycznym uścisku, nasze eteryczne ciała nasunęły się na siebie.

Połączyły się, zapadając się w siebie nawzajem, tworząc jedno serce, jedną duszę, jeden umysł.

Eksplozja mocy, która nastąpiła wskutek tego zespolenia, była bezgłówna i jasna jak gwiazda.

Uświadomiłam sobie, że kołyszające się wokół nas, trujące smugi cienia wysłane przez Perłę nie mogą nas tknąć. I nie będą mogły nas tknąć, dopóki to olśniewające światło nie zagaśnie między nami, w nas.

Przywarłam do Luisa w sferze eterycznej; moc, którą wytwarzaliśmy, rosła i ryczała coraz bardziej ogłuszająco; odbijała się echem i wywoływała fale rozchodzące się we wszystkich kierunkach.

Odparła wymierzony przeciwko nam atak, a następnie wstrząsnęła kolumną mocy Perły, uderzając głucho w jej środek.

Słup Perły zadrżał i niemal zupełnie się rozproszył.

Płomień - czyżby sama Perła? - ściągnął się gwałtownie w wyrazisty, czarny snop wirujących cieni, a potem w kulę, która skurczyła się, tworząc maleńki punkcik ciemności...

I pognęła przez eter, pozostawiając za sobą upiorne drganie mocy, które widziałam już w innych miejscach.

To w ten sposób Perła przemieszczała się między swoimi obozami. Właśnie zmusiliśmy ją do wycofania się w pośpiechu.

W realnym świecie zadzwonił mój telefon. Otworzyłam go po omacku, ciągle dzieląc uwagę między dwa królestwa istnienia.

- *Mądre*. - Głos Luisa drżał. - Czujesz to? Co to, do diabła, jest?

- Nie wiem. - Ciągłe zespoleni w sferze eterycznej, odczuwaliśmy coś... niewiarygodnego. Chciało mi się płakać, tak było to piękne, i krzyżeć, i uciekać od intymności tego

przeżycia. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam, nawet wśród dzinnów. Było w tym coś... złego, a jednocześnie wydawało się tak uzależniająco dobre. - Puść mnie.

- Nie mogę - szepnął Luis z bardzo daleka. - Nie mogę cię puścić. Nigdy cię nie puszcę. Nie dociera to do ciebie? Boże, Cass, wszystko jedno, co się wydarzy, wszystko jedno, co czujemy... to jest dobre. Ta prawda rozbrzmiała echem między nami z zapierającą dech oczywistością, równie bolesna, jak piękna; nie powinniśmy doznać takiego połączenia, nie na tym poziomie. To było zarezerwowane dla dzinnów; ludzie nie potrafią kontrolować czegoś tak potężnego.

Znów próbowałam się oderwać, ale nie mogłam. Chciałam... chciałam pozostać w tym zespoleniu z nim właśnie tak potężnym, intymnym, na zawsze.

Światło między nami zamigotało i nagle uświadomiłam sobie, że to on generował całą moc, a to bezdennie go wyczerpywało. W tym stanie godził się na to. Nie odzywał się w nim instynkt samozachowawczy, Luis nie odczuwał strachu. Nie mógł, kiedy byliśmy zbyt ściśle scaleni, żeby odróżniać samych siebie.

Musiałam to zakończyć. Szybko.

Kosztowało mnie to więcej wysiłku niż cokolwiek przedtem w moim życiu, ale rozerwałam nas - ból był niesamowity, niszczył tak komórki ciała, jak i dusze. Na płaszczyźnie fizycznej usłyszałam w telefonie krzyk Luisa i własny, równie rozdzierający. W sferze eterycznej, kiedy nasze zespolone ciała rozdzieliły się, wylały się z nas czarne fale cierpienia; zaczęły wokół nas wirować smużki naszych eterycznych bytów, które się od nas oderwały, najpierw w jaskrawych, a potem gasnących kolorach. Pasemka szybko ostygły, zrobiły się popielatoszare i odleciały.

W telefonie Luis złowieszczo milczał, a w eterze jego postać znieruchomiała i unosiła się bez celu na

widocznych i niewidocznych prądach mocy. Barwy jego ciała, normalnie tak żywe, zblakły i stały się pastelowe.

Był ranny.

A może umierał.

Ja też ucierpiałam, ale nie aż tak bardzo; widziałam miejsca na moim eterycznym ciele, z których ciągle lśniącoymi strumieniami wypływała energia. Skupiłam się, by ten proces zatrzymać, i powoli, mozolnie strumienie zmieniały się w strużki.

Zerwałam kontakt ze sferą eteryczną i siła grawitacji mojego fizycznego ciała gwałtownie zaczęła ściągać mnie z powrotem na ziemię; była to oszałamiająco daleka droga wśród światła gwiazd i fal koloru, spadanie z nieba...

Wyprostowałam się na krześle w motelu, z trudem łapiąc powietrze. Ciągle trzymałam telefon, lecz dobiegały z niego tylko trzaski i odległy hałas.

- Luis? - zawołałam. - Luis, odezwij się, jeżeli mnie słyszysz!

Nic. Dotarł do mnie jeszcze większy hałas, jakieś głosy, a potem szelest, kiedy ktoś podniósł telefon.

- Cassiel? - Głos Marion. Pełen rezerwy.

- Wszystko z nim w porządku?

- Jeszcze nie wiem, ale jest zupełnie zamroczony. Fizycznie nie doznał żadnego urazu, zdążyłam się jednak w ostatnim czasie dobrze przyjrzeć Luisowi i jeżeli cierpi, to mamy prawdziwy problem. Co się stało?

Nie chciałam jej powiedzieć. Było coś przerażającego i osobistego w tym, co zrobiliśmy; wydawało się, że to coś zakazanego, chociaż, o ile wiedziałam, nie istniały żadne zwyczaje ani prawa zabraniające czegoś takiego.

Z drugiej strony zakazy tworzone dopiero, kiedy ktoś wymyślił kolejną perwersję.

- Połączyliśmy się w sferze eterycznej - wyjaśniłam w końcu, ostrożnie dobierając słowa. - Nie mówię: dotknę-

liśmy się. Połączyliśmy się. Staliśmy jedną całością. To go zabijało; musiałam nas rozdzielić. -

Milczała. - Słyszałaś

o czymś takim? Widziałas, jak się to odbywa? - spytałam.

- Nie słyszałam, żeby to się zdarzyło ludziom - odparła. - Były bardzo nieliczne przypadki z udziałem człowieka

i dzinna, ale musi istnieć silna więź, żeby w ogóle próbować. Może między dzinnami coś takiego się dzieje?...

- Nie. Nie sądzę, że doświadczają czegoś takiego. Czy ja go zabiłam, Marion? Czy ja...

- Nie, nie jest martwy. Ranny, ale nie martwy. Nie zadrećzaj się, zajmijmy się nim tutaj. -

Odchrząknęła. -Może nie powinniście...

- Tak - zgodziłam się. - Może nie powinniśmy. Już nigdy.

Rozłączyłam się i, zamyślona, wpatrzyłam w pustą ścianę naprzeciwko mnie. Dżinny nie mogą łączyć się ze sobą w eterze tak jak Luis ze mną - w każdym razie nie robią tego; to chyba możliwe wyłącznie między Strażnikami a dzinnami... choć w gruncie rzeczy nawet nie byłam dzinnem, tylko jego pozostałością.

Dziwne, ja pierwsza odkryłam, że to intymne, okrutnie piękne połączenie może się zrealizować między dwojgiem ludzi w eterze - a jeśli coś takiego przydarzyło się tylko mnie? Może była to jedna z tych niezwykłych właściwości charakterystyczna jedynie dla mnie, byłego dzinna; może Ashan celowo pozostawił mi taką umiejętność, żeby mi pomóc obronić się przed Perłą w sferze eterycznej. Nie wykluczałabym tego. Ashan prowadził bardzo długą i bardzo niejasną grę; manipulował mną od samego początku. Jeżeli miał to być jakiś rodzaj broni, który chciał, żebym dopiero odkryła, to był on niebezpiecznie nęcący.

Wyglądało na to, że potrafię obronić się przed najgorszymi atakami Perły w sferze eterycznej. Jedyne, co należało zrobić, to zabić Strażnika, który mi towarzyszył.

Oparłam obolałe czoło na dłoniach i spokojnie uzmysłowiłam sobie, jak bardzo nienawidzę Ashana, tego zadowolonego z siebie, nieczulego łajdaka, mojego duchowego brata.

Wyjechałam następnego ranka, kiedy tylko upewniłam się, że doszłam do siebie po przygodach w sferze eterycznej... Miałam nowy cel podróży. Znajdował się daleko, po drugiej stronie kraju, ale był to pierwszy trop, który powinien doprowadzić mnie do Perły.

Najpierw musiałam dojechać do Trenton w New Jersey, ale trzeba było to zrobić tak, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi FBI - agenci najprawdopodobniej pilnie mnie szukali. A łatwo mnie było dostrzec... wysoka, chuda, karnacja albinosa, zielone oczy oraz dłoń i przedramię z miedzi.

Niezupełnie przeciętny wygląd, zwłaszcza kiedy w białym skórzanym stroju motocyklowym siedziałam na lśniącej victory.

Musiałam się przeobrazić w innego człowieka.

Tego ranka, żeby wykonać swoje pierwsze zadanie, stanęłam przed lustrem i skoncentrowałam się bardzo, bardzo mocno na zmianie swojego wyglądu, analizowałam każdą cechę z osobna. Oczywiście najłatwiej zmienić włosy. Powoli je przyciemniłam i z białych z różowymi pasemkami stały się czarne i gładkie, jakbym miała na głowie czapkę. Skórę dużo trudniej zmienić, więc zdecydowałam się tego nie próbować. Widziałam ludzi o podobnej karnacji, którzy osiągnęli ten efekt za pomocą kosmetyków, i chociaż zwracali na siebie uwagę, uznałam, że będę mieściła się w stereotypie i niełatwo będzie mnie rozpoznać po kolorze skóry.

Kiedy uporałam się z włosami, poszłam do taniego, obskurnego sklepu z używanymi rzeczami, gdzie znalazłam obcisłą, czarną bluzkę z długimi rękawami, wysłużoną czarną kurtkę, czarne nylonowe bojówki z wielkimi

srebrnymi suwakami i absurdalnie wielkimi kieszeniami. Gdy do tego stroju dobrałam równie zniszczone długie buty, wyglądałam... inaczej. Stałam przed lustrem i przyjrzałam się sobie krytycznie.

- Czegoś tu brakuje - powiedział sprzedawca, starszy mężczyzna z kaprawymi oczami, którego przygarbił wiek i utrata masy kostnej. Nieliczne włosy, które mu pozostały, były brudnoszare. Sterczały jak grzywa lwa, niemyte od jakiegoś czasu. - Mam tu coś. Proszę poczekać.

Odszedł, powłócząc nogami, szybko jak na niego, i wrócił po kilku minutach z czarnym kołnierzem motocyklowym nabijanym srebrnymi ćwiekami i naszyjnikiem. Kiedy przełożyłam łańcuch naszyjnika przez głowę, łypnęła na mnie oczodołem wykrzywiona grymasem srebrna czaszka ze skrzydłami.

Podobała mi się.

Kołnierz dobrze układał się na szyi, był na tyle luźny, że mi nie przeszkadzał i musiałam przyznać, że dzięki tym dwóm dodatkom cały komplet wpadał w oko, a jednocześnie zupełnie nie pasował do opisu kobiety poszukiwanej przez FBI.

Pozostawał jeszcze jeden problem. Victory.

- Jeżeli panu zapłacę, czy przechowasz pan tutaj mój motocykl? - zapytałam. - Ale nie wolno go panu sprzedać. I moje stare ubranie?

Zmrużył oczy i spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Za ile?

- Tysiąc dolarów za przechowanie tego wszystkiego. Może pan umieścić na tych rzeczach ceny, ale pana w tym głowa, żeby nikt tego nie kupił. - Obdarzyłam go niepokojącym uśmiechem, którego nauczyłam się od najlepszych. - Bardzo bym się zmartwiła, gdyby nie było ich tutaj, kiedy wrócę.

- Tysiąc - powtórzył, tak jakby nigdy przedtem nie słyszał tego słowa. Widziałam w jego oczach, że powoli

coś mu zaczynało świtać w głowie, wschodziło słońce chciwości, którego promieniami były dolary. - Tak, oczywiście, panienko, mogę to zrobić. Na jakie nazwisko?...

- Jane Smith.

- Musi pani zapłacić gotówką, panienko. Otworzyłam plecak i wyjęłam kopertę.

- Tysiąc pięćset - powiedziałam. - Za ubranie, które właśnie kupiłam, i za pańskie usługi. Proszę zrozumieć, że nawet jeżeli zabierze pan te pieniądze i ucieknie, znajdę pana. Jestem bardzo dobra w wymierzaniu sprawiedliwości, kiedy ktoś próbuje mnie oszukać.

Jabłko Adama podskoczyło w jego wychudłej szyi jak piłeczka golfowa uwieczona w gumowym wężu. Kiwnął głową.

- Nawet bym o tym nie pomyślał - skłamał. - Będę pilnował pani rzeczy jak własnych. Nawet lepiej.

- Doskonale. - Kiedy próbował wziąć kopertę, przytrzymałam ją. - To również zapłata za pańskie milczenie.

- Nigdy o niczym nie słyszałem - zgodził się i złapał pieniądze. - Postawię ten motocykl z tyłu, umieszczę na nim cenę dziesięć tysięcy dolarów. W życiu nie powstała tu noga kogoś, kto kiedykolwiek widział dziesięć patyków.

Brzmiało to jak rozsądny plan. Dopóki na victory będzie się zbierał kurz, dopóki on będzie mógł tylko marzyć o otwartej przestrzeni, ja będę znacznie mniej rozpoznawalna.

W ostatniej chwili dokupiłam jeszcze parę czarnych skórzanych rękawiczek z wyciętymi palcami, by ukryć większą część mojej dziwnej lewej dłoni. Kilka dużych srebrnych kółek na rękę jeszcze bardziej odwracało uwagę od skóry koloru miedzi. Kiedy podziwiałam ostateczny efekt i pomyślałam, że te koła mogą bardzo się przydać, gdybym musiała komuś wymierzyć cios, usłyszałam hałas na parkingu. Sprzedawca zbladł i czmychnął na tyły sklepu.

Ruszyłam w stronę drzwi. Zanim do nich doszłam, do środka wepchnął się olbrzymi, ponaddwumetrowy mężczyzna. Całe te dwa metry - w każdym razie tyle, ile było widoczne - miał pokryte jaskrawymi tatuażami, głównie czerwonymi i niebieskimi. Jego ogolonej głowy nie zdobił kask, lecz skrzydlaty smok z wykrzywioną paszczą, która otwierała się tuż nad nosem. Czarną, skórzaną kurtkę, porozdzieraną i porysowaną, znaczyły łaty i plamy po farbie. Byłam niemal pewna, że to morderca. Niektórzy ludzie po prostu wydzielają w eterze taki smród.

Ledwie na mnie spojrzał, podchodząc do lady.

- Hej, stary, masz na składzie jakieś nowe dzinsy?! - ryknął. Jego dzinsy były obryzgane jakąś ciemną substancją, prawdopodobnie olejem silnikowym albo krwią. A że szczegóły mnie nie interesowały, wyszłam na parking.

Przed sklepem stał lekko pochylony wielki, czarny, chromowany harley-davidson; na wietrze powiewały przymocowane do kierownicy skórzane frędzle.

Uśmiechnęłam się.

Naprawę, czasami to takie proste.

Harleya stworzono dla zastraszania, nie dla komfortu; podskakiwałam na każdym wyboju drogi, ale dawał mi cudowną wolność. Zanim wyruszyłam, zatelefonowałam do Marion. Stan Luisa właściwie się nie zmienił; wprawdzie udało się naprawić uszkodzenia fizyczne - uleczyć obrażenia wewnętrzne - lecz Luis ciągle nie odzyskał przytomności. Marion uważała, że śmiertelne niebezpieczeństwo mu nie grozi.

Ja natomiast sądziłam, że grozi. Paradoksalnie to ja ostrzegałam go przed zdrajcą w szkole, a potem sama go skrzywdziłam, nie oznaczało to jednak, że zdrajca nie wykorzysta wielkiej szansy i nie spróbuje usunąć Luisa z drogi teraz, kiedy on jest nieprzytomny.

Po długim zastanowieniu podzieliłam się moimi przemyśleniami z Marion. Ku memu zdziwieniu, już wiedziała.

- Luis mi powiedział - oznajmiała. - Nie jestem pewna, czy w to wierzyć, ale zgadzam się, że moment, kiedy zsunęła się na ciebie lawina błotna, był bardziej niż przypadkowy. Mam oczy i uszy otwarte, Cassiel. Wierz mi.

Wierzyłam, w przeciwnym razie w ogóle bym z nią o tym nie rozmawiała.

- Telefonowali do mnie z FBI - ciągnęła tym samym tonem. - Mówią, że miałaś się stawić na spotkanie w Albuquerque. Są trochę poirytowani, że im się wymknęłaś.

- Trochę?

- Okej, to ich wersja. Podejrzewam, że wychodzą z siebie, uganiając się za tobą. Zakładam, że się zabezpieczasz, łącznie z maskowaniem telefonu.

- Tak.

- Zuch dziewczyna. Naprzód więc. Zadzwoń, kiedy coś zmieni się u Luisa.

- A Ibby? - Bałam się odpowiedzi, ale Marion zareagowała szybko i ochoczo.

- Dziewczynka radzi sobie dobrze. Boi się teraz o swojego wujka, ale poza tym się adaptuje. To słodki dzieciak. Ataki ustały, przynajmniej na razie.

Błysnął mi promyk nadziei.

- Czy to znaczy, że może wyzdrowieć? Milczenie Marion było przygnębiającą zapowiedzią słów, które miały paść.

- Nie - odezwała się w końcu. - Nie to miałam na myśli. Uraz Ibby jest głęboki, sięga do szpiku kości. Znaczy to, że mogę ją ustabilizować i przedłużyć jej życie, ale nie potrafię jej uleczyć. Jeżeli użyje mocy, nawet tyle nie odważę się obiecać.

Wiedziałam o tym, lecz przez chwilę poczułam całkowicie nedorzeczny przyływ nadziei. Zostało mi to

odebrane - i bolało, bardzo. Wiedziałam, że cud się nie zdarzy, a jednak... A jednak.

- Muszę jechać - stwierdziłam.

- Nie musisz - zaprzeczyła Marion. - Mogłabyś wrócić. Wróc. Ibby i Luis...

- Muszę jechać - powtórzyłam. Poczułam w środku chłód; nie wolno mi pozwolić, żeby mnie odwiodła od mojej decyzji, pomyślałam. Nie teraz, kiedy zobaczyłam, jak niewiele brakowało, by Perła zdobyła moc, jakiej potrzebowała.

Przede mną wiele kilometrów drogi - nie czas na dyskusje.

Po trzech dniach jazdy z krótkimi przerwami na sen na kempingach dotarłam do miejsca, gdzie wyczułam wcześniej obecność Perły. Jak się spodziewałam, był to ogrodzony, strzeżony teren w lesie otoczony przez agentów i obserwatorów federalnych. Co ciekawe, nie zleciała się tam prasa. FBI udało się jak dotąd utrzymać blokadę informacyjną i należało to uznać za imponujące osiągnięcie, bo z Kościołem Nowego Świata kojarzono już przypadki śmierci i innych aktów kryminalnych.

Ale teraz miałam dylemat. Nie istniała żadna realna możliwość, żebym przeszła niepostrzeżenie obok obserwatorów federalnych i dostała się do obozu, a nawet gdyby mi się to udało, i tak wiadano by, że jestem intruzem. Musiałam przeprowadzić spokojne, dokładne rozeznanie, a to wymagało wtopienia się w otoczenie na tyle, na ile pozwoliłoby na to moje przebranie. Mogłam spróbować zamaskować swoją obecność, ale w tym wykazywałam się zadziwiającym brakiem umiejętności - Luis był o wiele, wiele lepszy - i nigdy nie potrafiłam utrzymać tego stanu przez dłuższy czas. Na pewno nie na tyle długi, żebym weszła do obozu niewypatrzona przez

argusowe oczy wartowników Perły, czy to zwierząt, czy ludzi.

Nie da się wejść, nie współpracując z FBI.

Tak więc podjechałam harleyem do przyczepy kempingowej stojącej kilometr dalej na wiejskiej drodze, wzniesając tumany pyłu i strasząc owce bezlitosnym rykiem motocykla. Zaparkowałam, podeszłam do drzwi i zapukałam. Zgodnie z napisem na samochodzie był to wóz przedsiębiorstwa robót telekomunikacyjnych, lecz mężczyzna, który ostrożnie otworzył, nie wydawał mi się prawdziwym robotnikiem. Nie za dobrze się czuł w swoim szarym kombinezonie i powątpiewałam, czy naprawdę ma na imię Earl.

- Nazywam się Cassiel - przedstawiłam się. - Podobno poszukuje mnie FBI. Chcę pertraktować.

Nie wiadomo, czego oczekiwali, ale na pewno nie tego. Mężczyzna długo wpatrywał się we mnie.

Zdjęłam rękawiczkę z lewej ręki, poruszyłam swoimi miedzianymi palcami przed jego twarzą, zacisnęłam je w pięść i znów wyprostowałam.

- Zakładam, że kazano wam szukać kogoś z metalowym ramieniem - oznajmiłam. - To o wiele pewniejsze niż większość znaków szczególnych.

Spojrzał przez ramię na kogoś w furgonetce.

- Hm, proszę chwilę poczekać - powiedział i zamknął drzwi.

Czekałam cierpliwie; włożyłam rękawiczkę i skrzyżowałam ramiona. Dzień w New Jersey był ładny, choć wilgotny. Owce pasły się na wzgórzach - zapomniały już o tym, jak wystraszyły się mojego motocykla. Zastanawiałam się, czy wiezione na rzeź krowy, które uwolniłam, odnalazły wolność, słodką trawę i długie życie. Pewnie nie. Życie rzadko jest tak proste, nawet dla lirów.

Po długich, lecz spokojnych kilku minutach drzwi znów się otworzyły i wychylił się Earl.

- Proszę do środka. - Powiedział to grzecznie, ale raczej mnie nie zapraszał. Jego ton wskazywał na to, że słowo „proszę” było zwykłą formalnością.

Przyszłam tu z własnego wyboru, pozwoliłam mu więc na tę odrobinę iluzji władzy i wykonałam polecenie.

W środku zastałam czterech agentów w szarych kombinezonach z popularnymi na wsi imionami wyhaftowanymi z przodu pod logo firmy, tak niewyraźnym, że nie do odczytania. Trzej trzymali w rękach broń, pistolety na wyposażeniu FBI, niezwykle skuteczne z bliskiej odległości - gdybym im pozwoliła na luksus oddania strzału.

- Proszę usiąść. - Earl wskazał biurowe krzesło, z którego, sądząc po ciepłej poduszce, dopiero co podniosła się czyjaś tylna część ciała. W przyczepie FBI znajdowały się tylko rzeczy najniezbędniejsze, ale przynajmniej krzesła były stosunkowo wygodne, a w rogu parzyła się kawa. - Nadzorujący akcję agent specjalny Rostów już tu idzie, żeby z panią porozmawiać. Dopóki nie przyjdzie, proszę spokojnie czekać.

Nie znałam agenta specjalnego Rostowa, ale nie wątpiłam, że okaże się równie skuteczny i kompetentny, jak wszyscy inni przedstawiciele FBI, których spotkałam. Nie miałam najmniejszej ochoty na pogawędkę i zamiast tego przyglądałam się po kolei pracownikom w przyczepie. Nie znalazłam nic szczególnie interesującego, ale jednemu z nich, kobiecie, nie spodobało się moje spojrzenie.

- Co? - warknęła.

- Nic nie robi, Andy - powiedział mężczyzna siedzący obok niej. Oboje mieli za zadanie obserwować rząd monitorów, a on ani na chwilę nie odrywał wzroku od ekranów. - Skup się. Ona nie jest naszym problemem.

Zastanawiałam się, co było ich problemem, więc również skoncentrowałam się na monitorach.

Oczywiście pokazywały obóz, prezentowany niezwykle drobiazgowo

ze wszystkich możliwych kątów, zarówno z daleka, jak i z bliska. Ludzie za ogrodzeniem poruszali się spokojnie, w sposób, który wskazywał, że mają jakiś cel. Niektórzy pracowali w polu, rękami i motykami. Kilka kobiet w pastelowych strojach wieszało wyprane ubrania na sznurku rozciągniętym między drzewami, inne zajmowały się praniem na tarze w kilku wielkich baliach i wyżymaniem. Kolejna grupa przygotowywała posiłek. Przyglądałam się im, jak najzwyczajniej rozmawiali ze sobą, siekali warzywa i wrzucali je do garnka.

Mężczyźni, kobiety i oczywiście dzieci. Wszyscy czuli się chyba bardzo dobrze w swoim małym światku.

Zazdrościłam im tego, trochę.

Nagle drzwi przyczepy otworzyły się - nikt nie zapukał - i wtoczyło się do środka jeszcze trzech mężczyzn. Pierwszy z nich, niższy niż większość agentów federalnych i potężniejszy, był bez wątpienia najwyższy rangą. Miał prawdopodobnie około pięćdziesięciu lat i choć wyglądał na łagodnego, z całą pewnością taki nie był. Uśmiechał się i emanowało z niego ciche zadowolenie. Zdradliwe. Wydawało mi się, że posiada odrobinę mocy Ziemi, coś podobnego jak Janice Worthing, ale oczywiście na dużo niższym poziomie. Musiało mu się to bardzo przydawać w zdobywaniu zaufania i uzyskiwaniu zeznań.

- Agent specjalny Rostów - stwierdziłam. Zlekceważyłam dwóch pozostałych, a on również nie zadał sobie trudu, żeby ich przedstawić. - Nazywam się Cassiel.

Uśmiechnął się uspokajająco i gestem poprosił o krzesło. Jeden z osobników obserwujących monitory wstał i popchnął w jego kierunku swój fotel na kółkach; tylko ktoś bardzo bystry dostrzegłby irytację na jego twarzy, zanim pokrył ją uległym uśmiechem. Rostów najwyraźniej oczekiwał posłuszeństwa i otrzymywał to, czego wymagał. To wiele mówi o stylu jego dowodzenia, pomyślałam.

Usadowił się w fotelu naprzeciwko mnie, z łokciami na udach i rękami zwisającymi luźno. Swobodny i zrelaksowany.

- Cassiel - powtórzył. - Miło mi panią poznać. Krążą o pani najróżniejsze historie. Czy któraś z nich jest prawdziwa?

- Wszystkie. Zwłaszcza te, które mówią, że jestem niebezpieczna.

- Zaryzykuję - odparł. Jego uśmiech zachęcał mnie, żebym się dała wciągnąć w jakieś konspiracyjne knowania, ale nie odpowiedziałam uśmiechem. - No więc. Połowa agencji przewraca wszystko do góry nogami, szukając pani, a pani po prostu się tu pojawia. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

- Konieczności. Muszę się dostać za ogrodzenie.

- Za ogrodzenie - powtórzył i wyprostował się w fotelu. Oparcie cicho skrzypnęło na znali protestu. - W jakim celu?

- Jeżeli się panu wydaje, że przetrzyma mnie pan tutaj, rozmawiając ze mną, aż dostanie pan odpowiedź od swoich zwierzchników, mogę już teraz powiedzieć, jaka będzie: aresztować i odesłać do Quantico. Nie musi pan znać mojego celu, bo to panu obojętne; w każdym razie nie jest pan skłonny mi wierzyć i nie pomoże mi pan dostać się do środka. Zgadza się?

Zamrugnął i część jego łagodnej, budzącej zaufanie aury znikła. Teraz, kiedy stał się podejrzliwy, bardziej mi się podobał.

- Chyba tak - przyznał. - Nie mam żadnego powodu, żeby pani pomagać, i całe mnóstwo, żeby zrobić to, co każe mi moje szefostwo. Chciałbym pójść na zasłużoną emeryturę za kilka lat. Proszę mi więc powiedzieć, co takiego powinienem zrobić dla pani i dlaczego. Przekonać mnie do tego.

Ściągaliśmy na siebie spojrzenia techników przy monitorach i Rostów musiał to zauważyć; nie spuszczał

mnie z oka, błyskawicznie pstryknął palcami i wskazał monitory.

- Patrzeć przed siebie, moi państwo. Zawsze przed siebie.

Rozległ się pomruk na znak zgody. Uniósł brew i spojrzał na mnie wyczekująco.

- Wie pan, że Kościół Nowego Świata jest zamieszany w porwania dzieci - zaczęłam. - I w morderstwa.

- Jakaś część. Ale to podgrupa. Przeważnie działają legalnie i dlatego nie podejmujemy akcji, choć ich obserwujemy. Brak dowodów na to, że ten obóz to coś innego niż zgromadzenie ludzi, którzy postanowili odrzucić nowoczesne życie. Nie zamierzam dać się zwariować z powodu jakichś niby-amiszów. Nic nie zrobię, dopóki nie otrzymam dowodów, że w środku dzieje się coś, co wymaga interwencji.

- Tam jest coś złego - oświadczyłam. - Albo było, do niedawna. Muszę wejść do środka, żeby się dowiedzieć, co planują, bo mogę pana zapewnić, że coś planują. Perła nie przybyłaby tutaj, gdyby nie planowali.

- Perła - powtórzył. - Kto to taki, do diabła, ta Perła?

- Nie zobaczycie jej na swoich monitorach. Może ją pan uważać za... przywódcę duchowego.

Wywiera wpływ na innych w podobny sposób, jak potrafią to robić Strażnicy. Znalazła chętnych słuchaczy w Kościele Nowego Świata, ludzi, którzy przestali ufać nowoczesnemu światu, a także Strażnikom, kiedy dowiedzieli się o ich istnieniu. Perła użyła swojego wpływu i sprawiła, że coraz bardziej boją się i was, i nas, i wycofują z życia jeszcze bardziej radykalnie.

Nie pokazał po sobie, czy zgadza się ze mną, czy nie.

- A co z dziećmi?

- Wierzą, że je ratują. Resocjalizują. Uważają, że Strażnicy je okaleczą albo zabiją. Niech pan nie da się zwieść. Zwolennicy Perły naprawdę wierzą, że ratują

świat, a nie że go niszczą. Dlatego fanatycy są tak niebezpieczni. Są ślepi na wszystko z wyjątkiem własnych, z góry przyjętych przekonań.

- Nie mówi mi pani nic nowego, już się o tym wszystkim dowiedzieliśmy od zatrzymanych - powiedział. - I?

- I jeżeli Perła była w obozie, a zapewniam pana, że była, niedawno, to może wrócić, zwłaszcza jeśli ma tu jakieś niedokończone sprawy. To nasza największa szansa, żeby ją złapać, jeżeli zdecydujemy się współpracować.

Nie spuścił wzroku.

- Panienko, my jesteśmy FBI. Nie współpracujemy z cywilami, kiedy prowadzą śledztwo, chyba że to my prowadzimy śledztwo, a oni współpracują z nami.

- Wiem. - Uśmiechnęłam się szeroko. - Uważam jednak, że możecie zrobić dla mnie wyjątek.

- Albo mogę skuć panią kajdankami i przekazać do Quantico, dokładnie tak, jak mi każą.

- Nie zrobi pan tego, jeżeli chce pan żyć - powiedziałam cicho. Zauważyłam, że agenci zeszywnieli i kilku sięgnęło po broń. Rostów nie zadał sobie tego trudu. - Proszę zrozumieć, że groźby nie są moją ulubioną metodą, ale nie mogę stracić tej szansy; Perła tu była i twierdzę, że wróci.

- Radzę pani nie próbować ze mną pustych gróźb.

- Mogę zabić was wszystkich tutaj, zatrzymując wam serca, i żaden nic na to nie poradzi. To na pewno nie jest pusta groźba. Czy to jasne?

- Tak - odparł Rostów.

Był szybki; wstał, wyciągając jednocześnie pistolet, odbezpieczył go i oddał trzy strzały, jeden za drugim. Prosto w moją głowę.

9

Klik, klik, klik.

Nie byłam Strażniczką Ognia, lecz nie musiałam nią być, żeby uszkodzić kule w pistolecie. W ciągu ostatnich kilku sekund w ich nabojach zastąpiłam proch, zmieniając jego skład chemiczny, podobną, ale obojętną substancją, która nie mogła wystrzelić, niezależnie od tego, ile razy pociągnano by za spust.

Oczy Rostowa się rozszerzyły, ale przyjął szok ze spokojem, a jego ludzie byli dobrze wyszkoleni. W tym ciasnym pomieszczeniu opadli mnie ze wszystkich stron... a raczej próbowali. Ale znajdowaliśmy się w metalowej przyczepie, a ja byłam Strażniczką Ziemi. Metal, rozpływając się, zalewał im stopy, unieruchamiał ich, zwalając z nóg i przytwierdzając do podłogi tam, gdzie padali.

Nikogo nie zabiłam.

Nie musiałam.

Rostowa nie skrępowала metal, z premedytacją. Przesunął się razem z fotelem o kilka centymetrów i zatrzymał na nodze jednego ze swoich dwóch asystentów, przyklejonego do ściany grubą metalową taśmą.

- Nie musiałam być taka miła - powiedziałam. - Rozumiemy się teraz? Dotarło do ciebie, dlaczego nie należy mnie denerwować?

Pokonałam go i wiedział o tym. Popatrzył na pistolet w swojej ręce, zabezpieczył go i schował do kabury szybkim, płynnym ruchem.

- Czego chcesz? - spytał oschłym i rzeczowym w tej chwili tonem. Skończył już z przekonywaniem lub uspokajaniem mnie. - Jeżeli skrzywdziłaś któreś z nich...

- Stłuczenia - przerwałam mu. - Ty natomiast próbowałeś wpakować mi trzy kule w głowę, agencie Rostów,

więc według mnie nie masz żadnych podstaw, żeby spodziewać się z mojej strony zbyt wielkiej powściągliwości. Chcę, żebyś mi powiedział, w jaki sposób ludzie wchodzą do obozu i z niego wychodzą.

- Nie robią tego - warknął.

- Muszą. Niemożliwe, żeby byli całkowicie samowystarczalni. Jeszcze nie.

Zawahał się.

- Sprowadzają nowych członków i zapasy żywności raz w miesiącu - wyjaśnił. - Jeden z nich wyjeżdża małą furgonetką po ludzi i prowiant.

- Skąd pochodzą nowi członkowie?

- Kościół ma na zewnątrz swoich wysłanników prowadzących rekrutację. Czasem ich łapiemy, ale nieczęsto. Stworzyli tajną sieć szlaków, po których przerzucają nowo nawróconych z jednego miejsca do drugiego. Punkty zbiórki ciągle się zmieniają; nie wiemy, gdzie będzie następny.

- Ale wiecie, gdzie jeżdżą po żywność?

- To też się zmienia. Nie rozszyfrowaliśmy, jak składają zamówienia; prawdopodobnie przez kogoś na zewnątrz, bo monitorujemy telefony, częstotliwości komórkowe, Internet i tak dalej. Śledzimy ich, kiedy wyjeżdżają, ale nie potrafimy ich wyprzedzić. Podśluchy, które udało nam się przemycić, zostały niemal natychmiast przechwycone i zniszczone.

Liczyłam na więcej informacji, ale czegoż się właściwie spodziewałam - że Perła pozwoli prowadzić swoją nową bazę równie byle jak, jak tę w Kalifornii? Nie, uczyła się na błędach, na bank.

- Czy udało się wam wprowadzić do środka jakiegoś tajnego agenta? - spytałam.

- Jeszcze nie - odparł bez zmrużenia oka. Nie potrafiłam stwierdzić, czy kłamał, czy nie; nie wykluczałam, że mówił prawdę. Ale nigdy nie zaszkodzi podtrzymać reputacji

osoby o nadnaturalnej przenikliwości; chwilę milczałam, po czym obdarzyłam go szelmowskim uśmiechem.

- Kłamca. Macie kogoś w środku. Kogo? - powiedziałam wreszcie.

Między jego brwiami ukazała się niewielka zmarszczka.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Przecież mówię, że nie mamy.

- Jestem Strażniczką Ziemi. Rozpoznamy kłamstwo, kiedy je słyszymy. Proszę, nie obrażaj mnie, nie blefuj.

Przez długą chwilę myślałam, że to on przejrzał mój blef, ale pokręcił głową.

- Mieliśmy kogoś, jeszcze dwa dni temu.

- Co się stało dwa dni temu?

- Nasza agentka wyszła przez bramę obozu i kiedy mnie odnalazła, oświadczyła, że uświadomiła sobie błędy swojego życia i że opuszcza firmę, i tam wróciła. - Spojrzał na monitory i wskazał jeden z nich z widokiem pola i ludzi z motykami pracujących w słońcu. - Tu. To ona.

- Jesteś pewien, że nie próbowała jeszcze głębiej wniknąć w to środowisko albo lepiej zabezpieczyć swojej przykrywki?

Usta Rostowa ułożyły się w prostą, ponurą linię.

- Znam Stephanie - powiedział. - Znam ją od dawna. I twierdę, że to nie była gra, poza tym, do jasnej cholery, to nie była Stephanie. Do obozu weszła wspaniała agentka; osoba, która przyszła tu z informacją, że rzuca pracę, była głęboko wierząca. Przekabacili ją. Czuję to tutaj. - Uderzył się ręką w brzuch.

Przekonał mnie. Nie miał powodu kłamać w tej sprawie, a jego twarz wyrażała autentyczny ból.

- Nienawidzę tracić ludzi, ale wolałbym już tracić ich w jakiś uczciwy sposób, a nie dlatego, że zostali poddani praniu mózgu i wciągnięci do sekty.

- Zdajesz sobie sprawę, że do tej pory powiedziała im już wszystko, co wiedziała, o tobie, o twojej akcji tutaj, wszystko, co mogłoby się im przydać.

Jego spojrzenie stało się obojętne i twarde.

- No, no. Zadziwiające, ale wyobraź sobie, że pomyślałem o tym. Jakimi jeszcze szokującymi rewelacjami chciałabyś się ze mną podzielić, Strażniczko?

- Jeżeli mi pomożesz dostać się do środka, przekażę ci informacje z własnej woli.

Zmarszczył brwi.

- Z własnej woli. To znaczy, kiedy będziesz chciała.

- Właśnie.

- Jak?

Uśmiechnęłam się lekko i szeptem poruszyłam jego błonę bębenkową. *Po prostu mogę*, a on podskoczył ze zdziwienia i zakrył ręką lewe ucho.

- Co, u diabła?

- Umiejętności Strażnika - wyjaśniłam. - Nie będziesz mógł mi odpowiedzieć, ale ja mogę do ciebie mówić z całkiem dużej odległości, pod warunkiem że odnajdę cię w sferze eterycznej.

- Zamierzam udawać, że ta końcówka ma jakiś sens -mruknął - bo początek podobał mi się bardzo. Problem w tym, że jesteś rozpoznawalna, może nie jako dzinn, ale nie wyglądasz na kogoś, kto chciałby zostać nowym wyznawcą.

- Dam sobie radę.

- Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę ze swojej arogancji, moja panno?

- Tak. A ty zdajesz sobie sprawę ze swojej? - Jeden z agentów FBI przytwierdzony metalową taśmą do ściany przyczepy zachichotał. Nawet nie mrugnęłam. -Uwolnię twoich ludzi, jeżeli obiecasz, że zachowacie się fair wobec mnie. Jeżeli nie, to chyba powinieneś pomyśleć o zainwestowaniu w jakiś sprzęt spawalniczy.

Rostów zastanowił się nad tym wszystkim - wyraźnie bardzo pragnął mi powiedzieć, żebym sobie poszła do diabła, lecz w końcu skinął głową, niechętnie.

- W porządku - zgodził się. - Ostatnie, czego bym teraz chciał, to wkurzyć Strażników. Uwolnij ich. Obiecuję, że będziemy grzeczni.

Nie wydawało mi się to dostatecznie konkretną definicją współpracy, nie w rozumieniu dzinna, lecz miałam wrażenie, że był ze mną szczery. Wyciągnęłam do niego rękę i po chwili wahania Rostów mocno uściśnął mi dłoń.

W tym momencie uwolniłam jego ludzi. Niektórzy stracili równowagę i padli na podłogę przyczepy; inni chwycili za broń.

- Dość! - warknął Rostów, ciągle ściskając moją rękę. - Opuścić broń. Nie jestem pewien, czy wasze pistolety wypaliłyby skuteczniej niż mój, a nie potrzebujemy tu już więcej wrażeń.

Agenci uspokoiли się i zajęli swoje miejsca. Zauważyłam, że zrobili to tak, aby mieć dobrą pozycję strzelecką, gdyby to okazało się konieczne. Nie miałam nic przeciwko temu. Zamierzałam przywrócić im zdolność oddania strzału, lecz dopiero po opuszczeniu przyczepy.

- A teraz powiedz mi, jak wprowadzisz mnie do obozu. - Spojrzałam Rostowowi w oczy.

- Nie potrafię tego zrobić.

- Potrafisz. Już wybrałeś kolejnego agenta i masz zamiar umieścić go w środku w ciągu najbliższych paru dni.

Musiałam go docenić - tym razem nie pozwolił mi się zaszokować.

- Nie wiem, skąd ci takie rzeczy przychodzą do głowy, ale to nie...

- Musi tak być - stwierdziłam - bo w przeciwnym razie twoje szefostwo domagałoby się od ciebie jakichś działań, a tu, w twoim, jak rozumiem, centrum dowodzenia panuje spokój i cisza. Żadnych telefonów z żąda-

niami. Żadnego napięcia. Tak więc masz plan i właśnie jesteś w trakcie wprowadzania go w życie. Za naszymi plecami dały się słyszeć szepty agentów, a Rostów wpatrywał się we mnie posepnie, bez słowa.

- Proszę tylko o szansę - odezwałam się po chwili. -Wprowadź mnie w taki sam sposób, w jaki wprowadzasz swojego agenta. Mogłabym służyć za wsparcie i niewykluczone, że to zdecyduje o sukcesie lub porażce albo

o życiu lub śmierci. Proponuję pomoc. Przyjmij ją.

- Tak jak powiedziałem... - Wzruszył ramionami. -Nie za bardzo wtapiasz się w otoczenie.

Zamknęłam oczy i skoncentrowałam się na swoim fizycznym ciele. Zabrało mi to mnóstwo energii - więcej niż mogłam sobie bezkarnie pozwolić - lecz powoli, starannie zmieniałam najpierw włosy z czarnych na krótkie, brązowe o szarawym odcieniu, a potem karnację na taką, jaką mieli ludzie w tych okolicach. Twarz przeobraziłam w twarz kobiety, która zwróciła moją uwagę wiele miesięcy temu w Albuquerque - ani ładną, ani brzydką, zupełnie niewpadającą w oko, po prostu ją zapamiętałam z myślą o przyszłości. Zmniejszyłam swój wzrost i zmieniałam fakturę tkanin, z których uszyto moje ubrania, w coś nijakiego, absolutnie bez stylu. Po chwili zastanowienia dodałam im szorstkości, pokryłam kurzem i brudnymi plamami i sprawiłam, że śmierdziały starym jedzeniem, dymem i potem.

Wyglądałam jak jeden z tysięcy biedaków walczących o byt, żyjących na skraju ubóstwa, których można spotkać w każdym mieście.

Otworzyłam oczy i spojrzałam wprost na Rostowa.

- Czy teraz się wtapiam? - spytałam.

Takiego mężczyznę jak on niełatwo zaskoczyć, ale tym razem niewiele brakowało - oczy miał rozszerzone, usta lekko otwarte; zamknął je gwałtownie, kiedy zauważył, że inni na niego patrzą. Ale niepotrzebnie się

denerwował. Wszyscy jego ludzie byli wytrąceni z równowagi, i to znacznie bardziej.

- Powinno chyba wystarczyć - mruknął. - Możesz, no, robić to, kiedy zechcesz?

Uśmiechnęłam się lekko. Nie wyobrażał sobie, ile mnie to kosztowało. Wyczerpałam niebezpiecznie moc, lecz chodziło mi właśnie o taki efekt. Uważałam, że było to warte swojej ceny.

- Nie - powiedziałam krótko. - Zaufasz mi?

- Nie - odparł Rostów. - Ale masz rację, że mojemu agentowi przyda się wsparcie. Nie muszę ci więc ufać, tyle że akurat teraz możesz się nam cholernie przydać.

- Wprowadzisz mnie.

- Będę to zalecał. Mam szefów, moja panno. Kłamał. Może nie w kwestii szefów - na pewno ich miał - ale konieczności przedstawienia im sprawy do zatwierdzenia. Raczej po prostu potrzebował czasu na zastanowienie. Mogłam to zrozumieć i uszanować, więc skinęłam głową na zgodę.

Wszyscy się wyraźnie odprężyli, Rostów też.

- Dobrze. Langston. - Wskazał palcem jednego z agentów. - Podaj pani kawę albo coś innego do picia.

- Wodę - powiedziałam. -1 przydałoby się jakieś odosobnione miejsce, jeżeli takie macie.

Wodę mi podali, ale zapewnienie prywatności okazało się bardziej problematyczne. W końcu wyszłam ze stojącego pośród drzew wozu, usiadłam na trawie i oparłam się plecami o wysoki mocny dąb, którego korzenie sięgały głęboko tak w ziemię, jak i w przeszłość. Mogłam tam zapaść w lekki, uspokajający trans i nawiązać połączenie z Luisem przez sferę eteryczną.

Spał. Śnił. Widziałam to w stonowanej niebiesko-ści i purpurze jego eterycznych barw oraz w sposobie, w jaki unosiło się wprowadzone w stan nieważkości cia-

ło. Jego sny ukazywały się jako niewyraźne wiry kolorów; krwistoczerwone, białe i czarne jak noc płamy. Sny Luisa nie były spokojne.

O dziwo, płonął w nich ogień - niemal fizyczny, przepalający go na wskroś. Objawiało się to w postaci upiornego migotania wokół jego ciała. Przypomniały mi się błyski, które widywałam od czasu do czasu na jego tatuażach. Nie był Strażnikiem Ognia, a mimo to żył w nim ogień.

Ibby dysponowała zarówno mocami Ognia, jak i Ziemi. Zawsze myślałam, że to najświeższy nabytek w genetycznym dziedzictwie rodzinnym, ale może w jakimś niewielkim stopniu przyczynił się do tego również Luis.

Dotknęłam go w sferze eterycznej i przez nasz kanał komunikacyjny tchnęłam w niego spokój i jasność. Sny trwały uparcie, lecz po chwili złagodniały i przybrały cieplejsze, bardziej przyjazne barwy. Poszerzyłam łącze i zaczęłam czerpać moc od Luisa.

Sny pociemniały i poczułam, jak jego ciało, eteryczne i fizyczne, rzuca się, próbując stawiać opór, nie godząc się na pobór energii. Zwolniłam przepływ; drżałam, niezaspokojona w potrzebie, ale tylko tyle mógł mi dać bez bólu, a nie chciałam przysparzać mu cierpienia. Kiedyś opisał uczucie towarzyszące przesyłaniu mi mocy jako krwawienie; nic dziwnego, że zmaćniło to jego już i tak niespokojny sen.

Jego moc sączyła się powoli przez nasze łącze, wypełniała mnie. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo osłabłam, dopiero kiedy znów nabrałam sił. To było niebezpieczne - jakże łatwo można przecenić swoje możliwości, a potem okazać się niesprawnym w krytycznym momencie. Byłam teraz sama i mimo że Luis chciał mi pomagać, nie zawsze mogłam liczyć na to, że uzna moją misję za priorytetową albo że będzie silny, kiedy będę go potrzebowała. Musiał mieć moc, żeby leczyć i ochraniać dzieci

w szkole, tak samo jak ja musiałam ją mieć, żeby realizować swój plan.

Odważyłam się pobrać dość dużo, a potem unosiłam się powoli z Luisem w sferze eterycznej. Kiedy znajdował się w tym stanie, było w nim coś bezbronnego, coś czystego i wzruszającego. Nie chciałam zostawić go jego snom i koszmarom, lecz ja również miałam własne kosmary, z którymi musiałam się zmierzyć.

Sama.

Wróciłam do przyczepy FBI i zobaczyłam, że Rostów rozmawia z mężczyzną średniego wzrostu z niedbale obciętymi, rudawymi włosami i gęstymi brwiami. Jego skóra, zbyt często wystawiana na słońce, była pomarszczona, przedwcześnie postarzała. Miał lodowate, zielone oczy, zaskakujące w tej opalonej twarzy, i szorstkie ręce pokryte bliznami. Wyglądał jak robotnik i tak też był ubrany -w zniszczony dżinsowo-płócienny kombinezon. Jego znoszone, popękane buty zostały załatane zwykłą, srebrną taśmą. Miał brudne paznokcie i nierówne, żółte zęby.

- To ona? - zapytał. Rostów kiwnął głową.

- Cassiel - przedstawił mnie. - Musimy ci nadać imię mniej wpadające w ucho. - Klepnął jednego ze swoich operatorów komputerowych po ramieniu. - Jen, załatw jej dobre dokumenty, może być notowana za jakieś drobne występki: kradzież, wandalizm, coś w tym rodzaju. Coś, co łatwo zapamiętać.

Agentka Jen skinęła głową, pochyliła się nad klawiaturą, a potem wyszła z wozu. Po chwili wróciła z kopertą i pokwitowaniem, które kazano mi podpisać. W kopercie znalazłam dowód tożsamości wystawiony w stanie Arizona oraz okresowy bilet autobusowy na nazwisko Laura Rose Larkin. Była tam też kartka ze szczegółowymi informacjami o przeszłości Laury - imiona rodziców, adresy, daty urodzenia, szkoły, do jakich uczęszcza-

ła, miejsca zamieszkania, koledzy i popełnione przestępstwa. Wydawało się to bardzo wiarygodne. Rostów ruchem głowy wskazał papier, który trzymałam w ręce.

- Naucz się tego na pamięć - polecił. - Masz na to noc, ale musisz być absolutnie na bieżąco, kiedy jutro wyślemy ciebie i Merle'a do obozu. A propos, to właśnie Merle. Jesteś w dobrych rękach. To najlepszy z naszych.

Merle się nie uśmiechnął. Robił wrażenie ponuraka. Nie potrafiłam w ogóle wyczuć jego emocji; przypuszczałam, że jeżeli był, jak na to wyglądało, profesjonalnym tajnym agentem, to dawno temu przekonał się, jak mogą szkodzić uczucia.

- Lepiej naucz się tego porządnie - poradził. - Podobno ci faceci przesłuchują dość gruntownie. Pomylisz się, to szybko się ciebie pozbędą.

- Nie pomyłę się.

- Dobrze. - Merle spojrzał na Rostowa. - Jest pewna siebie. Trzeba jej to przyznać.

- Jeżeli coś schrzani, nie idź razem z nią na dno - odpowiedział mu jego szef. - Uwolnij się od niej. Nie znasz jej, po prostu wylądowaliście w jednym miejscu. Ciebie też to dotyczy. Nie znasz go. Nic was nie łączy.

- W takim razie nie powinniśmy tworzyć jej teraz - stwierdził Merle i skinął mi głową. - Cześć. - Wyszedł, trzaskając drzwiami, a ja uniosłam brwi i popatrzyłam na Rostowa.

- Naucz się tego - polecił. - Nie oczekuj, że Merle będzie chronił twój tyłek. Jesteś tam, żeby dawać mu wsparcie, a nie odwrotnie. Zrozumiano? A teraz idź się przespać. Jen zaprowadzi cię do twojego łóżka. Obudzimy was za kilka godzin i rozwiąziemy. Masz wysiąść z autobusu w Trenton. Tam dostaniesz dalsze wskazówki. Merle'a zobaczysz dopiero, kiedy spotkają się z wami werbownicy. Jasne?

A jakże. Niepotrzebne pytanie, ale potwierdziłam skinieniem głowy. Agentka Jen wstała od komputera i zaprowadziła mnie ścieżką przez las na polanę, gdzie rozbito mały namiot w kamuflażu. Blisko linii drzew stał namiot-latryna.

- Reguły - powiedziała, odchylając połą mieszkalnego. - Nie rozmawiaj z nikim. Nie dotykaj niczego, co znajduje się poza twoją pryczą. Jeżeli chrapiesz, bądź przygotowana, że ktoś może cię chcieć udusić we śnie. Chwile prywatności zdarzają się nam rzadko, więc cenimy sobie to, co mamy. Podobała mi się agentka Jen, jej bezpośredniość. Podała mi talerz z owocami, pokrojoną wędliną i chlebem, butelkę wody, niepotrzebnie pokazała latrynę i zaprowadziła do wąskiej, porządnej pryczy z cienką poduszką i lekkim kocem. Posiliłam się, po czym przez dwie godziny czytałam w kółko materiały, które mi dano. Kiedy już upewniłam się, że zalecenia są dla mnie tak naturalne jak wszystko inne w moim nienaturalnym życiu, wyciągnęłam się na moim pościeliu, owinęłam kocem i zasnęłam - nie chrapiąc - zanim nadszedł kolejny agent, żeby zająć swoją pryczę.

Następnego ranka obudzono mnie wcześniej, kiedy niebo jeszcze nie pojaśniało, i wepchnięto do zardzewiałego pikapa kierowanego przez milczącego Latynosa w zniszczonym, słomkowym kapeluszu. Po dwóch godzinach jazdy w ciemnościach dowiózł mnie do wyludnionego dworca autobusowego.

- Następny autobus - powiedział i były to pierwsze słowa, które ze mną do tej pory zamienił. Wręczył mi jakieś pogniecione, zwinięte banknoty, miękkie od ciągłego używania, i garść monet. - Wsiądź w Trenton. Odszukaj chłopaka, blondyna, w bluzie z kapturem, na-

ćpanego, leżącego na ławce, z deskorolką i plecakiem. Obudź go. Powie ci, gdzie masz się udać. To tyle. Odjechał, zanim zdążyły się zatrzasnąć drzwi pikapa. Kiedy mnie tam zostawił, w oślepiającym świetle przed zamkniętym dworcem autobusowym, nieoczekiwanie poczułam się osamotniona i narażona na niebezpieczeństwo. Czekałam, spacerując, żeby nie zmarznąć, aż z sapaniem pneumatycznych hamulców nadjechał autobus. Weszłam do środka, zapłaciłam kierowcy, po czym skuliłam się - tak jak pozostali pasażerowie - na pluszowym, zniszczonym siedzeniu. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi; gdy rozejrzałam się wokół siebie, zobaczyłam pełno ludzi pochłoniętych własnymi sprawami, zupełnie niezainteresowanych moimi.

Układało się doskonale.

Kiedy dojechaliśmy do Trenton, wstawał świt. Znalazłam śpiącego deskorolkarza - wyglądał na zbyt młodego, żeby pracować w FBI. Spojrzał na mnie gniewnie szklistymi oczami, po czym wymamrotał adres. Powtórzyłam go, a on przekreślił się na bok i najwyraźniej znowu zasnął. Na ścianie dworca autobusowego wisiała mapa i za jej pomocą znalazłam wskazane miejsce, prawie dwa kilometry stamtąd. Poszłam pieszo, z rękami w kieszeniach i spuszczoną głową, gdy tymczasem miasto zaczynało budzić się do życia. Sprawiałam wrażenie kobiety w potrzebie, biednej i trochę zdesperowanej, i wkrótce uświadomiłam sobie, że właśnie to znakomicie izolowało mnie od przechodniów.

Pod podanym adresem znajdował się obskurny bar kawowy. Nie poinstruowano mnie, co mam robić. Za resztkę pogniecionej gotówki zamówiłam najmniejszą i najtańszą kawę, usiadłam w rogu i popijałam ją wolno, doskonaląc technikę gapienia się przed siebie tępym, znużonym wzrokiem.

Nadal to robiłam, gdy do baru weszła kobieta w drogim kostiumie i zamówiła kawę. Spodziewałam się, że kiedy tylko ją dostanie, wypije i odejdzie szybko jak prawie wszyscy przed nią, ale ona podniosła teczkę i podeszła do mnie zdecydowanym, pewnym krokiem. Usiadła, otworzyła teczkę, wyjęła kopertę i przyglądała mi się, sącząc kawę. Miała jasnobrażowe oczy i spokojną twarz o regularnych rysach.

- Jak się nazywasz? - spytała.

- Laura. Larkin. Cześć.

- Przyjechałaś z daleka, Lauro? Skinęłam głową.

- Z Arizony.

- Naprawdę? - Lekko podmuchala kawę. - A skąd?

- Z Tuscon.

- Gdzie mogłaś tam o nas usłyszeć? Wielka niewiadoma. Wzruszyłam ramionami.

- Gdzieś w okolicy.

- W okolicy czego?

- W Kalifornii - odparłam. Pomyślałam, że to bezpieczny strzał; było to dość blisko Arizony i istniało prawdopodobieństwo, że usiłując znaleźć jedzenie i schronienie, mogłam się tam znaleźć. - Chyba gdzieś koło San Diego.

Przyglądała mi się przez kilka sekund i zdałam sobie sprawę, że ta kobieta posiada dar przenikliwości, prawie taki jak Strażnicy.

- Mieszkasz pod gołym niebem? - spytała. - Na ulicy?

- Radzę sobie.

- Nie o to pytam.

- Straciłam swoje ostatnie mieszkanie. Zwolnili mnie z pracy. Nie z mojej winy.

Popijała kawę.

- Coś w tobie jest, Lauro - odezwała się w końcu. - Coś... wyjątkowego.

Nie chciałam w tym momencie być wyjątkowa, ani trochę. Zastanawiałam się, co takiego powiedziałam lub zrobiłam, co mogło wywołać takie wrażenie, ale się nie domyśliłam. Jednak zamiast pozwolić mojemu niepokojowi wyjść na jaw, zmusiłam się do udawania, że potraktowałam te słowa jako zachętę. Ludzie zawsze chcą czuć się wyjątkowi, lepsi od innych. To cecha zakorzeniona w ludzkim DNA i moja reakcja zdawała się zadowalać kobietę, która uśmiechnęła się lekko.

- Tak. Coś bardzo wyjątkowego - powtórzyła. - Co potrafisz?

- Hm... gotować - odparłam. Życiorys Laury Rose Larkin zawierał i takie szczegóły; miałam nadzieję, że nikt nie poprosi mnie od razu, żebym to udowodniła. - I jestem dobra w tym, czego nikt nie lubi: w praniu, w sprzątanii, w takich rzeczach.

- Nie boisz się pracy?

- Nie, tylko tak jakoś mi się nie wiedzie. Zresztą jak wielu ludziom.

- O, wątpię, że jesteś jak inni - stwierdziła. - Do nas należy znalezienie tego, co sprawia, że jesteś inna. Wydobycie twoich talentów. Każdy ma jakiś talent. Nauczyła nas tego Perła.

Perła uczyła tego, co mogło jej się przydać, mówiąc najogólniej; żerowała na ludzkim pragnieniu bycia kimś innym, wyjątkowym i powoli, ale konsekwentnie wypaczała to pragnienie, tworząc z niego własne narzędzie.

Ale skinęłam głową.

- Chcę się uczyć - powiedziałam.

- I nie masz gdzie pójść. - Odwróciłam wzrok, obracając w dłoniach swoją pustą filiżankę. Kobieta wyciągnęła rękę i poklepała mnie po ramieniu. - To żaden wstyd. Są u nas różni ludzie; tacy jak ja, po prostu niezadowoleni z życia, które podobno jest tak wspaniałe; zagubieni

i samotni; a nawet kilkoro wnoszących do naszej społeczności swoje szczególne uzdolnienia, bo wierzą w sprawę. Wszyscy jesteśmy wyjątkowi i równi.

Wyczuwałam, że nie wierzyła w to, co powiedziała, i że nigdy nie uwierzy; uznała, że jest ważniejsza i że ma prawo mówić do mnie, jakbym była zagubionym dzieckiem, które należy ratować. Uważaj, przypominałam samej sobie. Laura Rose potrzebuje pomocy.

Tej części mnie, która uparcie pozostawała Cassiel, wcale się to nie podobało.

- No więc - mówiła dalej, dopijając kawę - oto, 'co zrobimy. Napisz swoje nazwisko i numer ubezpieczenia społecznego na zewnętrznej stronie koperty i weź to, co jest w środku. Skontaktujemy się z tobą.

Podawała mi pióro. Z trudem wykaligrafowałam „Laura Rose Larkin” i numer, który podało mi FBI, starając się, żeby moje pismo było tak koślawe, jak tylko to możliwe, ale ciągle czytelne. Skinęła głową, wzięła ode mnie pióro i wysypała zawartość koperty.

Telefon komórkowy, nieduży i tani. Mały zwitek banknotów. Czystą wizytówkę z numerem zapisanym długopisem - nie numerem telefonu, jakimś numerem pięciocyfrowym.

- Z tego telefonu nie da się dzwonić do nikogo. Można tylko odbierać - wyjaśniła. - Kiedy do ciebie zatelefonują, podaj ten numer z tyłu wizytówki.

Spojrzałam na nią, kiedy zamykała teczkę.

- Co mam teraz robić?

- Co chcesz. Znajdziemy cię.

Zostawiła filiżankę i wyszła na jasne, poranne słońce. Obserwowałam ją przez okno - zatrzymała taksówkę i natychmiast odjechała.

Telefon, czego byłam niemal pewna, działał jak urządzenie naprowadzające. Zastanawiałam się, czy nie wywołać w nim zwarcia, ale wydawało się to niemądre,

zważywszy na okoliczności. Tak więc włożyłam pieniądze, telefon i wizytówkę do kieszeni i zaczęłam przemierzać ulice, czekając, aż do mnie zadzwonią.

Trwało to dwa dni; spałam wtedy w tanich motelach i jadłam najtańsze jedzenie; mimo oszczędnego gospodarowania pieniądze nie na długo starczyły i mój żołądek burczał niezaspokojony, kiedy zastanawiałam się nad ostatnim dolarem, który miał mi zapewnić przetrwanie nocy. Starannie rozważałam opcje: czy wybrać tłuszcz, czy cukier, czy jedno i drugie, gdy dotarł do mnie nowy dźwięk; dochodził z mojej kieszeni.

Komórka.

Wyciągnęłam telefon, nacisnęłam odpowiedni przycisk i usłyszałam rzeczowy głos.

- Numer identyfikacyjny, proszę. Wyrecytowałam go z pamięci. Krótka cisza, a potem znowu odezwał się ten sam głos.

- Idź prosto na dworzec autobusowy w Trenton, tam gdzie przyjechałaś, i czekaj. Ktoś przyjdzie. Było ciemno i zimno. Mogłabym pogrubić materiał swojego płaszcza, ale pomyślałam, że pewnie jestem fotografowana i obserwowana. Cokolwiek, co wykraczałoby poza normalność, zostałyby zauważone.

Pozbyliby się mnie, jak powiedział Rostów.

Na dworcu autobusowym ludzie spali na krzesłach i ławkach albo włączyli się bez celu. Przed dworcem stała zaparkowana mała furgonetka i jakiś mężczyzna kiwnął na mnie palcem, odsuwając tylne drzwi. W środku siedziało czworo ludzi, wśród nich Merle; popatrzył na mnie obojętnie, ja na niego też. Zająłam miejsce naprzeciwko niego. Kierowca zamknął drzwi, usiadł za kierownicą i powiózł nas w ciemność. Nikt się nie odezwał.

- Telefon. - Nie zauważyłam tego wcześniej, ale ktoś siedział obok szofera; i ta osoba odwróciła się teraz

do mnie z wyciągniętą ręką. Kobieta z baru kawowego. Dziwne, powinnam była ją zauważyć. Kolejny raz poczułam znamienne mrowienie mocy: no tak, zamaskowała swoją obecność. Znalazłam telefon i podałam go jej wraz z wizytówką. Wrzuciła je do torby. - Załóż pas, Lauro.

- Aha. - Zapięłam pas, gdy tymczasem furgonetka mknęła w nieznane.

Ku memu zdziwieniu nie zawiozła nas do obozu obserwowanego przez FBI, lecz do starego budynku na obrzeżach miasta, niepokojąco odosobnionego - bałam się nie tyle o siebie, ile o pozostałych, wyłączając Merle'a, który zachowywał kamienną twarz. Nasi towarzysze, jak się wydawało, naprawdę bali się o swoje bezpieczeństwo.

Czy aby nie mieli racji?

- Do środka - rozkazał kierowca i gwałtownym ruchem otworzył drzwi frontowe.

Zalał nas oślepiający blask i zostaliśmy szybko wepchnięci do budynku, zanim nasze oczy zdążyły przyzwyczać się do światła. Merle, na przedzie, zamarł nagle w bezruchu i podniósł ręce w geście poddania. Chwilę potem zobaczyłam dlaczego; w pokoju stało dwóch mężczyzn, każdy w rogu, z wymierzonymi w nas pistoletami.

Dużymi pistoletami.

- Siadać - rozkazał kierowca. Wepchnął ostatnią kobietę do pokoju, zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz.

Merle usiadł na jednym z czterech porysowanych krzeseł, ja obok niego, a blisko nas jeszcze dwoje naszych towarzyszy rekrutów.

- Ktoś z was jest szpiegiem - rzucił kierowca, potężny mężczyzna przechadzający się przed nami. Z trudem skupiłam się na jego twarzy. Uświadomiłam sobie, że znów zniknęła mi z oczu kobieta w kostiumie.

Była gdzieś tutaj; czułam jej obecność. Mogłam łatwo przebić się przez jej osłonę, postanowiłam jednali poczekać. Nikt nie odpowiedział, więc powtórzył:

- Ktoś z was jest szpiegiem wysłanym przez rząd. Daję ci jedyną szansę: przyznaj się, a puścimy cię wolno.

Co za ulga. Ponieważ we dwoje zamierzaliśmy przedostać się do obozu, jego rzekoma poufna wiedza była ewidentnym blefem. Niemal go spiorunowałam wzrokiem, ale w ostatniej chwili przypomniałam sobie, że jestem teraz osobą nieśmiałą. Zamiast tego spiorunowałam własne, delikatne, drżące ręce leżące bezwładnie na kolanach.

- Nie ja - powiedział mężczyzna z mojej lewej strony, młody, chudy, ciemnoskóry z dużymi, szelmowskimi, wesołymi oczami. - Mnie raczej by nie wzięli.

Wydawał się z tego powodu jakoś dziwnie rozbawiony. Może podniecał go wycelowany w niego pistolet. Kiedy olbrzym skupił się na nim, młody człowiek przestał się uśmiechać.

- Ej, koleś, myślisz, że jesteś taki straszny? Strzelały do mnie babcie straszniejsze od ciebie.

- Pokaż - rozkazał mężczyzna z pistoletem. Młody rekrut przez moment się w niego wpatrywał, po czym uśmiechnął się, błyskając pięknymi zębami, wstał i zdjął koszulę.

- Tę dostałem, kiedy strzelali do mnie z samochodu, miałem wtedy dziesięć lat - powiedział, wskazując zabliznione wgłębienie po prawej stronie ciała. - A to sprzed dwóch lat. - Druga blizna była świeższa i robiła większe wrażenie; znajdowała się na piersi i wyglądała paskudnie. Miał też tatuaże, całe mnóstwo, delikatne i ciemne na tle jego karnacji. Przypomniało mi to nieodparcie Luisa i płomienne rysunki na jego skórze.

- W porządku. To nie ty - stwierdził mężczyzna. - Włóż koszulę.

Młody rekrut roześmiał się, włożył ją i usiadł. Zaryzykowałam i szybko rzuciłam okiem na bandziora; zobaczyłam, że wpatruje się we mnie. Spuściłam głowę i splotłam swoje trzęsące się ręce.

Dostrzegłam, że pokręcił głową.

- Ty też nie.

Merle siedział wyprostowany ze skrzyżowanymi ramionami. W przeciwieństwie do mnie patrzył mężczyźnie prosto w oczy, z kamiennym wyrazem twarzy, nieporuszony jak zawsze. Nic nie mówił. Zbir przyglądał mu się przez chwilę, po czym nagle odwrócił głowę i spojrzął na ostatnią osobę z naszej grupki, kobietę.

- Ty. Mów - rozkazał.

Była to starsza kobieta z siwymi włosami, poważna i zmęczona. Nie musiałam być dzinnem, aby odgadnąć, że miała trudne życie, pełne bólu i walki. Mówiła z akcentem, zdawało mi się, wschodnioeuropejskim.

- Nie lubię policji - powiedziała. - Po prostu chcę mieć spokój.

Młody mężczyzna, ten z bliznami, spojrzął na nią ostro i dostrzegłam w nim w tym momencie, że chciał dokładnie tego samego. Spokoju. Miejsca, gdzie poczuje się bezpieczny.

Rozgniewało mnie, że Perła ich oszukiwała.

Bandzior jeszcze przez kilka chwil odgrywał swoje przedstawienie, po czym teatralnym gestem zabezpieczył pistolet i schował go do kabury przypiętej do pasa.

- W porządku. Poczekaście tutaj.

Odszedł w stronę ciemnego kąta pokoju. Wpatrzyłam się w niego i siłą woli zmusiłam cienie, żeby się na sekundę rozstały - wystarczyło, żeby zobaczyć kobietę z baru kawowego, która się tam ukryła.

Oczywiście odczytywała nasze reakcje, monitorowała tętno, eteryczny puls. Trudno okpić Strażników Ziemi, kiedy rzeczywiście chcą poznać prawdę.

Po krótkiej chwili mężczyzna wrócił.

- Wstańcie. - Zrobiliśmy to, mniej lub bardziej niechętnie. - Idźcie się przebrać. Rozbierzcie się i zostawcie wszystko, podkreślam: wszystko. Zegarki, biżuterię, bieliznę, skarpetki - polecił. Rozsądny środek ostrożności. Nie miałam nic przeciwko temu. Merle chyba również był na to przygotowany. Poszłam za siwowłosą kobietą do wskazanego pomieszczenia, gdzie czekały dwa stosiki ubrań. Spodziewałam się, że tkaniny będą sztywne i szorstkie, ale okazały się zaskakująco miłe w dotyku. Zostawiłam swoje ciuchy - niemal równie bezbarwne, jak to, co mi dano - i wróciłam do pokoju. Merle i młody człowiek siedzieli już na krzesłach ubrani identycznie jak ja, a za chwilę dołączyła również starsza kobieta.

Nasz kierowca kazał nam po kolei wstawać i rewidował nas, ręcznie. Po każdym przeszukaniu spoglądał przez ramię w stronę ciemnego kąta, gdzie Strażniczka Ziemi - albo czegośkolwiek innego - lustrowała nas w sferze eterycznej, szukając ewentualnych ukrytych przedmiotów. Merle był czysty, ja też. Młody próbował przemycić cienki, giętki nóż, lecz kierowca go znalazł. Starsza kobieta zatrzymała zdjęcia małych dzieci, stare i wyblakłe. Rozplakała się, wręczając je mężczyźnie, ale oddała.

Jechaliśmy długo; zmęczyła nas ta podróż.

Kiedy furgonetka w końcu zaparkowała, wiedziałam, że dotarliśmy na miejsce. Czułam mrowienie mocy, która skwierczała wokół nas, ożywcza i groźna jednocześnie. Żaden z moich towarzyszy nic nie zauważył, a ja starałam się ukryć swoją reakcję. Znalazłam się w jaskini lwa i jeżeli Perła chciałaby mnie zniszczyć, nie stanowiłoby to dla niej żadnego problemu, wysiliłaby się nie bardziej, niż zabijając robaka. Moją jedyną bronią była anonimowość.

Poczułam jednak gwałtowny skok adrenaliny. Byłam tutaj! Wchodziłam do środka i wierzyłam, że będę miała szansę, marną, ale jednak szansę, żeby to skończyć.

Brakowało mi Luisa. Brakowało mi świadomości, że jest ze mną, że jesteśmy połączeni, że opiekuje się mną. Czułam się taka samotna, a to było bolesne - lecz tego warte, jeżeliby się udało.

Drzwi furgonetki rozsunęły się; ukazało się cudownie czyste niebo i do środka wpadło ciepłe powietrze pachnące drzewami i świeżo skopaną ziemią. Zamiast uzbrojonego kierowcy naprzeciw nas stało dwoje uśmiechniętych młodych ludzi - ubranych w takie same stroje, jak nasze teraz, lecz z kolorowymi dodatkami: dziewczyna miała na głowie białą-czerwoną chustkę przykrywającą gładkie brązowe włosy, a chłopak jaskrawopomarańczowy pleciony pasek. Oboje wyglądali na zdrowych, szczęśliwych i bardzo zadowolonych.

- Witajcie. - Dziewczyna wyciągnęła rękę, żeby pomóc wysiąść starszej kobiecie. - Cieszymy się, że tu przyjechaliście. Wiem, że podróż była trochę przerażająca, lecz teraz nic już wam nie grozi.

Jesteście wśród przyjaciół.

Uścisnęła kobietę, która wydawała się zaskoczona, ale odwzajemniła uścisk, szybko i niezgrabnie, jakby zapomniała, jak się to robi. Ja nigdy tego nie umiałam, lecz kiedy przyszła moja kolej, byłam gotowa. Merle'a nikt nie uściskał, kiedy wysiadł z samochodu, ale chłopiec podał mu rękę. Ostatni wynurzył się młody człowiek; dziewczyna wyciągnęła do niego rękę i uścisnęła go. Wyraźnie bardziej podobał mu się uścisk. Dziewczynie też.

Witający nas chłopiec wyjął notatki i coś sprawdził.

- Merle? - Merle podniósł rękę. - Zamieszkaż w budynku numer dwa. Kale? - To był nasz najmłodszy towarzysz podróży. - Jedyńka. Laura Rose? - Powoli podniosłam rękę, niezbyt wysoko. - Trójka.

Oriana, ty też trójka. Znajdziecie tam wszystko, czego możecie po-

trzebować: ubrania, przybory toaletowe i mały prezent powitalny.

Dziewczyna zaczęła trajkotać, uśmiechając się promiennie.

- Kilka reguł, zanim pozwolimy wam odejść. Wiem, reguły... przyjeżdżamy tutaj, żeby od nich uciec, te jednak są proste, zapewniam. Pracujemy wspólnie i wspólnie ze wszystkiego korzystamy, ale nie zabierajcie rzeczy osobistych innej osoby bez pozwolenia. Nie wolno pić alkoholu, używać narkotyków ani palić, ponieważ wierzymy w zdrowy styl życia. Pracujemy ciężko, ale nie brak nam też rozrywek. Aha, i trzymajcie się z dala od ogrodzenia. Jeżeli zobaczycie jakiegoś obcego, nie rozmawiajcie z nim, tylko znajdźcie kogoś z kolorowym identyfikatorem; zajmiemy się tym w waszym imieniu. Jasne?

Młody mężczyzna, który z nimi przyjechał, Kale, spojrzał na nią.

- Musimy też chodzić do kościoła, tak? - wypalił.

- Nie musicie - odparła. - Ale oczywiście chcielibyśmy, żebyście chodzili. Kościół to jądro naszej wspólnoty. Nie wszyscy jesteśmy tu głęboko wierzący i nie odrzucamy ludzi tylko dlatego, że nie uczestniczą w obrzędach tak jak my. Wierzymy, że nasza prawda kiedyś zwycięży.

Wyglądał, jakby miał wątpliwości, ale chyba mu też ulżyło.

- A co z pracą?

- Oczekujemy, że będziesz się przykładał do pracy, Kale. Nic za darmo. Ale robisz to, co umiesz i co chcesz robić. Wszyscy działamy wspólnie i mamy obowiązki wobec siebie nawzajem i wobec wspólnoty.

- Dostajemy pensję? Tym razem się roześmiała.

- Nie, nie dostajemy pensji. Ale dostajemy wszystko, czego nam potrzeba. Udowodniliśmy, że pieniądze

nie są niezbędne, żeby stworzyć społeczność, niezbędna jest tylko wspólnota.

Miała w sobie światło i iskrę osoby głęboko wierzącej i nawet Kale - na swój sposób równie cyniczny, jak Merle - wydawał się oczarowany i pogodził się z sytuacją, przynajmniej na razie.

- Oj, zapomniałam się przedstawić - powiedziała dziewczyna. - Georgie. A to Marcus.

I na tym, jak się zdawało, zakończyło się wprowadzanie nas do rodziny. Georgie i Marcus odeszli, żeby z kimś porozmawiać. Staliśmy tam we czworo, chwilowo związani wspólnym doświadczeniem, patrząc na siebie, po czym Merle skinął głową i powędrował do swojej kwatery, długiego budynku w stylu koszarowym z wyraźnie widocznym numerem. Kale wzruszył ramionami i poszedł do siebie, a Oriana i ja skierowałyśmy się do domu numer trzy.

Obóz był jednocześnie taki, jak zaobserwowałam z zewnątrz, i zupełnie inny. Unosił się tu zapach - mocny, zdrowy zapach tego, co rośnie: kwiatów, trawy, drzew, wzmocniony intensywną wonią nawozu. Nie spodziewałam się takiej eksplozji kolorów - alejki były starannie obsadzone kwiatami i obrzeżone skrupulatnie ułożonymi kamieniami, a trawniki czyste i równo przystrzyżone.

Sprawiło to wrażenie oazy spokoju.

Również ludzie nie wyglądali tu tak jak w innych obozach; wydawali się szczęśliwi, zdrowi, mieli cel, a kiedy z kimś rozmawiali lub pracowali, zachowywali się uprzejmie.

A dzieci? Zrobiło mi się niedobrze na ich widok tutaj, w tym miejscu - były wszędzie, ubrane w kolorowe stroje w stylu podobnym do tych, które nosili dorośli. Przypomniałam sobie dziczące dzieci z Kolorado, lecz tu nic nie świadczyło o maltretowaniu; ci chłopcy i te dziewczynki biegali i bawili się radośnie. Opiekun - albo

może nauczyciel - podążał za nimi, ale nie robiło to wrażenia nadzoru o złowrogim charakterze. Dopiero po kilku minutach dostrzegłam ukrytą prawidłowość, a kiedy sobie ją uświadomiłam, przejęło mnie to strachem. Grupki dzieci nie były, jak początkowo zakładałam, przypadkowe. Nie, wszystkie składały się z takiej samej liczby dzieci - zawsze z ośmiorga. Każdą grupę tworzyły cztery pary - dwoje dzieci ubranych na niebiesko, dwoje na pomarańczowo, kolejna para miała stroje zielone, a ostatnia złocistożółte. Nie zorganizowano ich według wieku; widziałam młodsze i starsze dzieci w tych samych kolorach. Nie podzielono ich również według płci. Niektóre grupy liczyły tyle samo dziewczynek i chłopców, inne nie.

Zastanowiłam się nad kolorami - niebieski, pomarańczowy, zielony, złocisty.

Niebieski dla wody - Strażnicy Pogody; pomarańczowy musiał oznaczać Ogień, a zielony Ziemię.

Pozostawał złocisty. Nie wiedziałam, jak go interpretować.

Dotarliśmy do budynku z naszym numerem i weszliśmy do środka. Było to pomieszczenie, jakiego się spodziewałam - długie i niskie z piętrowymi łózkami. Każde starannie pościelono, a na nim i wokół niego znajdowały się dokładnie te same rzeczy - prześcieradła, poduszka, koc i mała czarna torba - wisiała w nogach jak sakwa przy siodle. Na podłodze leżały ciepłe tkane chodniki i przy każdym łóżku stała lampa z elastycznym ramieniem. Okien było sporo i do wnętrza wpadało dużo światła słonecznego, tak że pokój wydawał się sympatyczny. Pachniał przyjemnie, ziołami i mydłem. Podeszła do nas kobieta w średnim wieku, wycierając się ręcznikiem w czerwoną kratę. Uśmiechnęła się, podała mi wilgotną rękę i mocno uścisnęła moją.

- Cześć, ty pewnie jesteś Laura Rose. A ty Oriana? - Jej też uścisnęła dłoń. - Cudownie, że się do nas

przyłączyłście. Chodźcie ze mną. Zaprowadzę was do waszych łóżek.

Znajdowały się w środku pokoju i obu nam przydzielono górny poziom. Pomyślałam, że rozmieszczenie nas w ten sposób, w środku grupy i na górze, sprawi, że nie zrobimy nic niezauważalnie, nie wymkniemy się dyskretnie. Mimo ciepłego przyjęcia wcale nam jeszcze nie ufali. W innych okolicznościach pochwalałabym taką ostrożność.

W nogach każdego łóżka widziałam identyczne czarne torby, jednak nasze nie wisiały, lecz leżały na łóżku, a oparte o nie były małe bukietki kwiatów.

- Na imię mi Willa - przedstawiła się kobieta, która nas przywitała. - Jestem gospodynią tego domu, więc jeżeli będziecie czegoś potrzebowały, jeżeli zobaczycie coś, co należy naprawić albo coś, co budzi wasze obawy, proszę, zgłaszajcie to do mnie. Po prostu zapytajcie o Willę. Zaopatrzyliśmy każdą z was w mydło, szczoteczkę do zębów, pastę, dezodorant, lotion, myjkę i ręczniki. W szafkach na końcu sali są szlafroki i kapcie, znajdźcie tam coś dla siebie i napiszcie na drzwiczkach swoje imię. Jeśli potrzebujecie jakichś rzeczy osobistych, których tu nie ma, na przykład lekarstw, dajcie mi znać, okej? Pośrodku obozu jest biblioteka, gdybyście miały ochotę coś sobie poczytać.

Oriana wyglądała na zdenerwowaną.

- Mój lekarz mówi, że powinnam brać witaminy -powiedziała.

- Oczywiście. Jakie? Wezmę z magazynu. Podczas gdy Oriana, jękając się, przedstawiała swoje potrzeby, otworzyłam torbę i obejrzałam jej zawartość. Willa nie wspomniała, że do zestawu powitalnego dołączono również podpaski i, co dziwne, paczkę prezerwatyw. Wyjęłam je, żeby się im przyjrzeć, i pokazałam Willi. Roześmiała się.

- Nie jesteśmy pruderyjni - powiedziała. - Ani szaleni. Po prostu nasze reguły mają służyć temu, żeby nikt nie został skrzywdzony. Jeżeli spotkasz tu kogoś wyjątkowego, powinnaś móc mieć z tego przyjemność.

Interesujące.

Wrzuciłam prezerwatywy z powrotem do torby, zamknęłam ją i zawiesiłam w nogach łóżka, przekręcając odpowiednio, aż wyglądała tak samo jak inne w tym pokoju.

- Co mamy teraz robić? - spytałam.

Willa właśnie coś notowała, ale podniosła głowę.

- A co byś chciała?

- Spać - odparłam i na dowód ziewnęłam.

- Więc idź spać. Możemy zacząć wprowadzać cię we wszystko od jutra. Obudzę cię na obiad.

Willa najwyraźniej nie była tak wymagającą przełożoną, jak przewidywałam. Oriana powiedziała z wahaniem, że ona też chciałaby odpocząć, i Willa bez problemu się na to zgodziła. Zdjęłam koszulę, spodnie i buty i wdrapałam się na łóżko. Okazało się wygodne, lepsze, niż się spodziewałam. Koce były grube i ciepłe, a poduszka miękka. Zdziwiłam się, że prawie natychmiast zachciało mi się spać. Miałam za sobą kilka naprawdę ciężkich dni i teraz, mimo delikatnego mrowienia mocy, poczułam się... spokojna. Nie było tu nieustannego hałasu, który nauczyłam się kojarzyć z nowoczesnym ludzkim światem. Panowała cisza, zakłócona jedynie krokami Willi i skrzypieniem metalu, kiedy Oriana wspinała się na swoje łóżko. Słyszałam wiatr uderzający w dach i westchnienia drzew; z dala dobiegał szmer głosów i śmiech.

Zanim zapadłam w ciemność, sięgnęłam mocami w eter i zlokalizowałam agenta Rostowa. Trudno połączyć się z takiej odległości z człowiekiem nieposiadającym odpowiednich zdolności, ale wcześniej bardzo dokładnie zapamiętałam jego eteryczną sygnaturę. Nie

poświęciłam wiele czasu na złożenie raportu. *Dotarłam*, powiedziałam, wprawiając w wibrację maleńkie kosteczki w jego uchu. *Bez problemu*. Co jeszcze przekazać? Gdyby miał pytania - a byłam pewna, że miałby - i tak bym ich nie usłyszała.

Kiedy nawiązałam już kontakt, natychmiast zasnęłam.

Obudziły mnie szept i delikatne potrząsanie moim ramieniem.

- Czas wstawać - usłyszałam. Willa przyszła mnie obudzić, tak jak obiecała. - Obiad.

- Dziękuję.

Usiadłam. Powietrze było teraz chłodne i drżałam z zimna, wkładając koszulę i spodnie; stopy wsunęłam w płócienną buty. Willa powiesiła w nogach łóżka szary sweter z supelkami, więc włożyłam go, żeby się ogrzać. Czułam zapach przypraw, mięsa, świeżego chleba i aż mi zaczęło burczeć w brzuchu. Willa poszła obudzić Oriane, a ja tymczasem zeskoczyłam z łóżka.

- Wyjdź na zewnątrz - powiedziała. - Sala jadalna jest tuż obok, kieruj się nosem.

Wyszłam na dwór. Kiedy spałam, zapadł zmierzch; niebo zrobiło się przejrzyste i granatowe, a na jego tle rysowały się czarne kontury drzew. Zaskoczył mnie widok potoku ludzi przechodzących obok mojego budynku - ubranych na szaro mężczyzn i kobiet w różnym wieku i różnych ras. Śmiali się i rozmawiali ze sobą w drodze na obiad. Myślałam, że natknę się tu na pewnego rodzaju paranoję, na wszechobecną atmosferę przygnębienia - nic podobnego. Jakimś cudem ci ludzie wydawali się... szczęśliwi.

Stałam tam przez chwilę, outsider nieczujący ducha wspólnoty. Mój wzrok zatrzymał się na niewielkiej grupce osób, a właściwie na jednym z mężczyzn. Jak wszyscy inni, one również rozmawiały z ożywieniem, ale coś w nim przykuło moją uwagę. Miła, żywa twarz, trochę zbyt sta-

nowcza szczeka, przenikliwe, szare oczy, które zobaczyłam, kiedy spojrzał w moją stronę. Miał gęstą, brązową czuprynę, był wysoki i silny, szeroki w barach. Nie potrafiłam od razu określić jego wieku - między trzydziestką a pięćdziesiątką, lecz chyba raczej bliżej czterdziestki, sądząc po wąskich pasemkach siwizny we włosach.

Zwolnił i pokazał mnie swoim przyjaciołom, po czym oderwał się od grupy i podszedł do mnie.

Stałam na stopniu prowadzącym do domu, mimo to nasze oczy znalazły się prawie na tym samym poziomie.

- Witaj. - Miał głęboki, ciepły głos i bardzo miły uśmiech, czego się nie spodziewałam. Wyciągnął do mnie rękę. - Will. Miło cię poznać...

Zaskoczyła mnie serdeczność jego uścisku i chwilę trwało, zanim zdołałam uporządkować myśli.

- Laura Rose - powiedziałam.

- Laura - powtórzył i jakimś sposobem nadał mojemu imieniu piękno, które, jak mi się wydawało, w ogóle się w nim nie kryło. - Wybierasz się na obiad, Lauro?

- Chyba tak.

- Wspaniale. Przyłącz się do nas. - Gestem przywołał swoich kolegów; podeszli do nas, uśmiechając się. -Becca, Aiyana, Karl, Desmond. A to Laura. - Ich twarze zlały się w jedno, każda zupełnie inna, a jednocześnie wszystkie podobne do siebie, przyjacielskie, bardzo miłe, życzliwe. - Pokażemy ci co i jak. Wiem, jak bardzo można się czuć nieswojo pierwszego dnia.

Zalała mnie fala osobliwej wdzięczności za serdeczność, którą mnie otoczyli; nie zdawałam sobie sprawy, jak byłam spięta, aż do chwili, kiedy moje naprężone mięśnie zaczęły się rozluźniać.

Wiedziałam, że Laura powinna być cicha i nieśmiała, więc mówiłam niewiele, kiedy szliśmy do sali jadalnej, ale za to słuchałam. Rozmawiali wesoło o swoim dniu pracy, o błahostkach, a łącząca ich sympatia niemal migotała w powietrzu jak złoty pył.

Włączyli mnie do swojej grupy, chociaż nic w tym kierunku nie zrobiłam; spoglądali na mnie, uśmiechali się, dotykali delikatnie mojego ramienia, żeby mną pokierować, kiedy się zatrzymywałam, nie wiedząc, co dalej. Nigdy nie byłam najmłodszym dzieckiem w rodzinie, lecz wyobrażałam sobie, że tak właśnie musi się ono czuć.

Kiedy Will na mnie patrzył, odczuwałam znamienne, zakazane drżenie i zaczęłam się zastanawiać nad swoim dziwnym zachowaniem. To prawda, dokuczała mi samotność i brakowało mi Luisa. Czyżbym jednak aż tak łatwo reagowała na spojrzenia innego mężczyzny, jego lekkie, przypadkowe dotknięcia? Jeżeli tak, świadczy to chyba o jakimś niepokojącym rysie mojego charakteru.

- Jedzenie mamy tu dobre - powiedział Will z ręką na mojej łopacie, kierując mnie do kolejki, która tworzyła się przed bufetem. - Na zmianę pracujemy w kuchni, ale szczęśliwie większość jest w tym lepsza niż ja. Świetnie kroję na drobno marchewkę, lecz przygotowanie lepiej zostawić ekspertom. Wszystko było rzeczywiście świeże i kolorowe; pachniało wybornie, od warzyw i chrupiącego pieczywa po cienkie plastry mięsa. Nałożyłam sobie jedzenia na niewielki talerz i razem z innymi podążyłam za Willem do długiego drewnianego stołu.

- Hodujecie tu własne zwierzęta? - spytałam, siadając.

- Tak - odparła Becca i wskazała kawałki wieprzowiny na swoim talerzu. - Mamy kilka świń, owce, kurczaki i parę krów, ale kury trzymamy głównie na jajka, a krowy na mleko. Są też konie, nie do jedzenia oczywiście.

- Króliki - wtrącił Desmond z ustami pełnymi jakichś zielonych warzyw. - Uwielbiam króliki.

- Nie znoszę widzieć ich w menu - westchnęła Aiyana. - Są takie piękne.

- Aiyana jest wegetarianką - wyjaśnił Will i podał jej chleb. Uświadomiłam sobie, że nałożyła sobie na talerz

wyłącznie zielone warzywa i ziemniaki; zaczerwieniła się lekko, kiedy Will zwrócił na to uwagę. - Szybciej by się zagłodziła, niż zabiła kurczaka.

- Tylko dlatego, że nie musi po nich sprzątać -stwierdził Karl. Miał wyraźnie europejski akcent, ale nie domyśliłam się, czy pochodzi z Niemiec, czy z jakiegoś sąsiadującego z nimi kraju. - Prawda, Aiyano? Jeszcze bardziej się zarumieniła, spuściła oczy i utkwiała wzrok w swoim talerzu.

- Lubię pracować w polu - powiedziała. - Tak tam spokojnie.

Chrząknęłam.

- Możemy wybierać, co chcemy robić?

- Na początku nie. Będiesz krążyć, żeby znaleźć to, w czym jesteś dobra - wyjaśnił Will. - Ja pracuję przy zwierzętach, a czasami w polu; poza tym, kiedy trzeba, bawię się w doktora. Becca uczy dzieci, ale ponieważ bardzo dobrze radzi sobie z krowami, wstaje rano, żeby przed lekcjami je wydoić.

Krowy. Pokręciłam głową, zastanawiając się nad tym, czego się spodziewałam po tym miejscu - na pewno nie prostej, wiejskiej rozmowy o dojeniu krów i sprzątaniu po kurach. Wyznawcy Perły to przecież fanatycy, niebezpieczni fanatycy.

A jednak ci tutaj nie wydawali się niebezpieczni nawet w najmniejszym stopniu.

Przysunęłam sobie szklanekę mętnego, żółtego napoju, lemoniady, jak ktoś powiedział, i skierowałam rozmowę na inny temat.

- Nie widzę tu dzieci. Mają własną salę jadalną?

- Jedzą wcześniej - odparła Becca. - Świetne dzieciaki, wiesz, niezwykle zdolne. Pilnujemy, żeby chodziły wcześniej spać; bardzo się męczą w ciągu dnia, biedactwa.

Spojrzałam wokoło, wszyscy jedli.

- Są wśród nich wasze dzieci? - spytałam.

Will prawie się zakrztusił swoją lemoniadą i wybuchnął śmiechem. Desmond walnął go w plecy, kiedy się rozkaszał.

- Oczywiście, że nie. - Karl wyszczerzył zęby w uśmiechu, po czym odgryzł kawałek chleba. - W każdym razie żadnego z nas. Przy innych stołach jest kilka osób, których dzieci zakwalifikowały się do programu.

Wybałuszyłam oczy - albo raczej zrobiła to Laura - i zamrugałam, udając zakłopotaną.

- Czyli większość z nich to sieroty?

Moi nowi przyjaciele spojrzeli na siebie i po raz pierwszy zauważyłam u nich lekkie wahanie.

- Większość tak - odezwała się w końcu Aiyana. - A reszta znajdowała się w nieciekawej sytuacji, rozumiesz, o co mi chodzi? Były w prawdziwym niebezpieczeństwie. Ratujemy im życie.

- Nie pozwolimy nikomu ich skrzywdzić - dodał Desmond stanowczym, ponurym tonem. - Nigdy więcej.

Pasowało to do tego, czego się od dawna domyślałam - że Perła indoktrynowała swoich wyznawców, kazała im wierzyć w to, że dzieci Strażników są maltretowane, że grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony organizacji, która powinna je chronić. Rozmijało się to z prawdą, ale przesłanie miało w sobie moc, a ta odrobina prawdy, która w nim była, sprawiała, że kłamstwo brzmiało wiarygodnie.

Pozostali pomrukiem wyrazili mu swoje poparcie. Will patrzył na mnie; skinęłam głową, nie pozwalając sobie na spuszczenie wzroku.

- Nie cierpię, kiedy krzywdzi się dzieci - powiedziałam. - Zwłaszcza małe. Ktoś musi je chronić.

Wyraziłam swoje uczucia; miałam tylko nadzieję, że nie zdawali sobie sprawy, że to ja zamierzałam chronić te dzieci przed nimi. A przynajmniej zamierzałam spróbować.

Will chyba niczego nie podejrzewał. Nie dostrzegłam żadnej zmiany w jego ciepłym spojrzeniu. W końcu na-

brał na widelec kawałek wieprzowiny i zjadł go bez dalszych komentarzy.

Wkrótce potem zauważyłam Orianę - siedziała w innym towarzystwie i rozmawiała z ożywieniem, tak jakby otrząsnęła się z otępienia, niemal zamroczenia. Wydawała się teraz równie szczęśliwa, jak inni. Atmosfera mi się udzieliła, kiedy wraz z upływem wieczoru moi nowi znajomi coraz bardziej usypiali moją czujność, aż poczułam spokój i przynależność do wspólnoty.

Zanim zaczęliśmy się rozchodzić, zrobiło się zupełnie ciemno i Will wytrzasnął skądś lampę naftową, żeby mnie odprowadzić do domu. Było cicho i bardzo pięknie; nie słyszałam żadnych maszyn ani nawet odległego szumu samochodów, swego rodzaju ścieżki dźwiękowej nowoczesnego życia. To miejsce przypominało mi zamierzchłe czasy, podobnie jak domy, stroje, a nawet szczerzy, beztroski uśmiech Willa.

- To tutaj - powiedział i podniósł lampę, żeby oświetlić schodki. Kiedy trzymał ją w górze, złociste światło migotało na jego twarzy i w oczach. - Cieszę się, że do nas przyjechałaś, Lauro. Myślę, że ci się tu podoba.

- Już mi się podoba - przyznałam. Tak, podobało mi się, bardziej niż życie za ogrodzeniem, choć wiedziałam, że panujący tu spokój nie jest naturalny. Na zewnątrz słowo „zaufanie” od dawna należało do martwego języka, a za każdym rogiem czaiło się niebezpieczeństwo. Tutaj nie czułam żadnego zagrożenia. Absurdalne to, a jednak prawdziwe.

Will podniósł moją rękę i bardzo mnie zaskakując, szybko dotknął jej swymi ciepłymi wargami. Specyficzna fala uczuć przelała się przez moje ciało, od palców u nóg po czubek głowy - uderzenie gorąca, które dotychczas znałam tylko z najbardziej osobistych kontaktów z Luisem. Zadrzałam i poczułam się zupełnie bezbronna.

Luis. Zamknęłam na chwilę oczy i usłyszałam cichy, jednostajny szmer naszego łącza, które ciągle istniało. Przez mój umysł przemknęły obrazy: Luisa klęczącego obok swojego zamordowanego brata; Luisa trzymającego mnie mocno, kiedy próbował mnie uleczyć; Luisa z oczami rozświetlonymi namiętnością nieporównywalną z niczym innym, kiedy pochylał się, żeby mnie całować.

To, co się tu dzieje, nie jest prawdziwe, powiedziałam sobie. Will nie jest prawdziwy. Luis jest. Tego, co nas łączy, nie da się powielić.

Ale Luisa tu nie było, a Will miał w sobie coś głęboko uwodzicielskiego, słodkiego, z czymś takim dotychczas się nie spotkałam. Ogarnęła mnie panika. Dżinn nie powinien być tak zmienny, tak łatwo ulegać wpływom...

.. .Lecz ja nie byłam już dżinnem.

Kiedy otworzyłam oczy, Will ciągle jeszcze trzymał moją rękę i patrzył na mnie tymi wielkim i pięknymi oczami. Chciał coś powiedzieć, zmienił jednak zdanie i się odwrócił. Przyglądałam mu się, kiedy odchodził skąpany w złocistym świetle, aż zniknął w innym budynku.

Weszłam do mojego domu, odnalazłam swoje łóżko, niczym się nieodróżniające od innych, zdjęłam swoje szare ubranie i pomartwiłam się jeszcze tylko przez moment, po czym zasnęłam snem tak głębokim i spokojnym, jakiego nie zaznałam od chwili, kiedy odrodziłam się w ludzkim świecie.

Cóż za ironia losu: największy spokój, jakiego dotychczas doświadczyłam, znalazłam w najniebezpieczniejszym miejscu, do jakiego kiedykolwiek dotarłam.

Następny dzień zaczął się wcześniej, kiedy świt miał jeszcze taki sam bury kolor jak ubrania wiszące w nogach mojego łóżka. Obudziło mnie skrzypienie metalowych sprężyn, przyciszone rozmowy, szelest ubrań i szmer wody w łazience na końcu pomieszczenia. Długo leżałam

bez ruchu, rozkoszując się ciepłym odpoczynkiem, po czym z ociąganiem wstałam, zebrałam swoje ciuchy i podreptałam do łazienki. Były tam wspólne prysznice, nikt nie mógł liczyć na prywatność, ale kobiety nie wydawały się zbyt przejmować swoją nagością. Nie miałam co do tego żadnych etycznych zastrzeżeń i cieszyłam się bardzo, że korzystam z gorącej wody i że znowu jestem czysta. Mydło okazało się bardziej chropowate, niż się spodziewałam - robione ręcznie, tak powiedziała mi jedna z wielu kobiet stojących obok mnie pod prysznicem. Kiedy się namydliłam, podałam kostkę dalej. To wszystko sprawiało wrażenie bardzo... wspólnotowego.

Ubrana i w miarę uczesana, poszłam do sali jadalnej, gdzie czekały kawa i herbata, a także jajka, bekon i tosty. Nie zauważyłam Willa ani Becki, ale Desmond, Karl i Aiyana przywołali mnie machnięciem ręki. Spędziliśmy razem kilka miłych minut, po czym oni wyszli, aby spełnić swoje poranne obowiązki. Kończyłam tost, kiedy pojawił się Will, nalał sobie kawy i usiadł koło mnie. - Dobrze spałaś? - spytał. Na tę grzecznościową formułkę odpowiedziałam odpowiednio uprzejmie. - Masz jakiś pomysł, co byś chciała dziś robić?

- Żadnego. Myślałam, że może mnie do czegoś wyznaczą. - Było to trochę niebezpieczne, a jednak zaryzykowałam pytanie. - Gdybym tak zajęła się dziećmi?

Will ani na chwilę nie przestał sączyć kawy, ale też nie patrzył na mnie. Znowu wyczułam to samo dziwne wahanie.

- Później - odparł. - Dziś potrzebują pomocy w pralni. Suzette zachorowała, a Topher musi ścinać drzewa. Chyba nie masz nic przeciwko praniu?

Ja oczywiście miałam, lecz Laura Rose nie sprzeciwiłaby się.

- W porządku - odparłam. - Gdzie jest ta pralnia?

- Zaprowadzę cię.

Skończyliśmy posiłek i Will wyszedł ze mną na zewnątrz. Ręce splótł z tyłu i wymieniał uśmiechy i uprzejmości z ludźmi, których mijaliśmy. Nigdzie nie dostrzegłam śladu broni. Przymaszerowała koło nas grupka dzieci; kierowały się do budynku pomalowanego na biało; wyglądał na szkołę. Nic nie dowodziło obecności Perły poza szmerem mocy nad tym miejscem.

- Nie ma tu żadnych wartowników? - zapytałam. - Chodzi mi o to, że nieźle się wystraszyłam, kiedy nas tu wieziono. Myślałam, że ktoś...

- Tak, proces weryfikacji jest bardzo przykry; ciągle im mówię, że to niepotrzebne - przyznał Will. - Zawsze wiemy, kiedy próbuje wejść ktoś, kim kierują nieszczerze motywy. Nie jesteśmy ludźmi agresywnymi. Nikogo nie chcemy skrzywdzić, chcemy tylko żyć trochę inaczej niż reszta. Nie podoba mi się to, że grożą ludziom i próbują ich wystraszyć. Nie, nie mamy tu wartowników. To nie więzienie, Lauro. To nasz dom.

- Należysz do szefostwa? - spytałam wprost, co zaskoczyło go tak, że wybuchnął śmiechem, głębokim, dźwięcznym, beztruskim.

- Czy ja wyglądam na faceta, który mógłby należeć do szefostwa? - Spoważniał. - Nie, nie należę. Tu coś takiego nie istnieje. Nie ma dyktatora i nie ma rządu, ściśle rzecz biorąc. Jest pełnomocnik do spraw działalności gospodarczej; układa harmonogramy zajęć, to jednak głównie robota papierkowa. Drugi pełnomocnik, do spraw żywności, opracowuje w szczegółach kwestie rolnictwa i hodowli i przygotowuje jadłospisy. I mamy jeszcze pełnomocnika do spraw usług, do którego należy cała reszta.

- Jak wybieracie tych pełnomocników?

- Kiedyś robiliśmy to po kolei. Ale niektórzy ludzie mają talent do administracji, więc teraz działalnością gospodarczą zajmuje się na stałe Violet, bo świetnie sobie radzi z planowaniem i umie ułożyć to tak, żeby każdemu za-

pewnie zróżnicowaną pracę i odpoczynek. Ciągłe szukamy kogoś, kto chciałby pełnić dwie pozostałe funkcje na pełny etat; dopóki kogoś takiego nie znajdziemy, zmieniamy się co tydzień. Wierz mi, to działa. Nie jesteśmy doskonali i od czasu do czasu się kłócimy, ale naprawdę zadziwiająco rzadko.

Nie potrzebujemy więzień. Nie potrzebujemy sądów ani prawników, ani ośrodków odwykowych dla narkomanów. - Will zawahał się, po czym pokręcił głową, żeby odrzucić z oczu swoje długie włosy. - Na zewnątrz byłem zupełnie do niczego. Uzależniłem się od metamfetaminy. Nie pasowałem do otoczenia. Tutaj wszystko jest inaczej, Lauro. Tutaj można po prostu być sobą.

To stwierdzenie brzmiało paradoksalnie, zważywszy na to, co oznaczało w moim wypadku „bycie sobą”, lecz gdzieś w głębi siebie naprawdę marzyłam, żeby móc zdobyć taką pewność, jaką słyszałam w jego głosie. Znalazł swój raj. W innych okolicznościach prawdopodobnie byłby to również mój raj. Gdyby nie dzieci.

Perła była jak niewidoczny nowotwór na sercu tej rzekomo zdrowej wspólnoty i nagle poczułam do niej wielką, zapierającą dech w piersiach nienawiść. To, co się stanie, załamie Willa i wielu, wielu innych, którzy nie zasługują na to, żeby rozwiewać ich marzenia.

Winę za to poniesie ona, poniosę ją, a w każdym razie oni tak to będą widzieli; uznają mnie za zdrajcę najgorszego gatunku.

Nawet teraz czułam zwiastuny bólu, którego im przysporzę.

- Lauro? - Will przyglądał mi się z niepokojem. Zmusiłam się do uśmiechu.

- Nie wiem, kim jestem - powiedziałam, znów całkiem szczerze. - Jak więc mam być sobą?

- Odnajdziesz się - próbował mnie pocieszyć. -Wszyscy się na swój sposób odnajdujemy.

10

Odkryłam, że pranie może być czynnością o zaskakująco kontemplacyjnym charakterze; nie było tu żadnych mechanicznych pralek i suszarek, ale był centralny bojler z podgrzewaną wodą i balie. Należałam do czteroosobowego zespołu, który napelniał balie, namaczał ubrania, prał je na tarze, płukał, wyżymał i rozwieszał, aby wyschły w prażącym słońcu. Detergent - domowej roboty - pachniał silnie i trochę dusząco, lecz ciepła woda działała kojąco na moją skórę, podobnie jak słońce. Byłam zaskoczona, kiedy nadeszła pora południowego posiłku; zrobiliśmy pranie dla prawie całego obozu w ciągu jednego ranka. Rona z naszej czwórki wyjaśniła mi, że ubrania będą się suszyły do zmierzchu, po czym je zbierzemy, poskładamy i odpowiednio rozdzielimy. System wydawał się niezawodny i prosty. Kilka sztuk odzieży podpisano atramentem - ubrania w specjalnych rozmiarach uszyte na zamówienie dla ich właścicieli -większość jednak stanowiły wymienne koszule, spodnie i spódnice. Bandany w różnych kolorach należały do starszyny grupowej, ale było ich niewiele. Przerwę na lunch spędziłyśmy, siedząc w cieniu; jedzenie dostarczono nam z jadalni. Znowu poczułam odprężenie i spokój - tak wygląda ciche, przewidywalne życie. Nikt tu nie walczył. Nikt się nie bał. Nikt nie czuł się wyizolowany, niekochany, niechciany. Nawet ja.

Po trzech dniach pracy w pralni wyznaczono mi inne obowiązki, tym razem czekało mnie sprzątanie po kurczakach, świniach i koniach. Owce pasły się na wzgórzach pod opieką dwóch pasterzy, a krowy, spokojne i dobrze odżywione, u podnóża.

Mieliśmy dwa konie, duże, chude zwierzęta, które wykorzystywano do orania i ciągnięcia wozów. Nie były młode, ale za to zdrowe. Traktowano je dobrze. Powitały mnie tak samo przyjaźnie jak inne zwierzęta. Konie lubiłam chyba najbardziej. Karl miał rację co do kurcząt, natomiast świnie czarowały mnie swoją bystrością i ciekawością świata.

Od czasu do czasu widywałam Becę, a Will ciągle znajdował się gdzieś w pobliżu - nie śledził mnie, po prostu pracował w tych samych miejscach co ja. Czułam się dobrze w jego towarzystwie, kiedy wspólnie wykonywaliśmy nasze obowiązki i gawędziliśmy ze sobą.

Dopiero w trzecim dniu pracy przy zwierzętach uświadomiłam sobie, że zapomniałam połączyć się z Luisem, no i z agentem Rostowem. Myśl o kontakcie z FBI napawała mnie lękiem. Wnosiła nieprzyjemne, twarde poczucie rzeczywistości do złudzenia, które zaczynało mi się naprawdę podobać.

Me mam jeszcze nic do przekazania, poinformowałam Rostowa krótko i rzeczowo. W większości wypadków nie są to dzieci członków komuny. Nie widziałam broni ani niczego, co świadczyłoby o tym, że dokonywano porwań.

Zdałam sobie sprawę, wykorzystując odrobinę mocy, żeby przekazać ten raport, że od kilku długich dni nie czułam potrzeby pobierania energii od Luisa - bo niewiele jej zużywałam poza drobnymi ilościami niezbędnymi do utrzymania mojego obecnego wyglądu. Kiedy zamknęłam oczy i skoncentrowałam się na Luisie, dostrzegłam cień jego obecności daleko stąd. Po chwili wahania, która wydawała się trwać całą wieczność, delikatnie szarpnęłam łącze i wkrótce poczułam leciutkie poruszenie błony bębenkowej, po czym w mojej głowie rozległ się głos Luisa.

Gdzie jesteś? Wszystko w porządku? - jego głos brzmiał tak wyraźnie, że dosłyszałam w nim niepokój. *W porządku*, szepnęłam w odpowiedzi. Było w tym kontakcie coś intymnego, co sprawiło, że chciałam tego jak najwięcej. *A u ciebie? U Ibby?*

Wszystko dobrze.

Jakieś kłopoty?

Dotychczas nie. Jest spokojnie. Jeżeli mamy tu zdrajcę, to ja nie potrafię go wykryć. Cass, w co ty, do diabła, wdepnęłaś?

Tak musi być odparłam. *Żeby ochronić Ibby. I ciebie. I ich wszystkich. Ona tutaj jest. Kiedyś odsłoni swój słaby punkt. Mogę to zrobić, Luisie. To nasza największa szansa.*

Luis zawahał się. *Pewnie nie ma większego sensu mówić ci, żebyś uważała, prawda?* - powiedział w końcu.

Czuję się tu bezpiecznie. Wyrwało mi się to, zanim ugryzłam się w język. Tym razem Luis wahał się dużo dłużej.

Zaraz, zaraz, chica. Musisz się zastanowić nad samą sobą. Nie powinnaś się czuć bezpiecznie.

Powinnaś być śmiertelnie przerażona, bo nie jesteś tam bezpieczna. Nie zapominaj o tym, okej? To niepodobne do ciebie. Nie jesteś typem, który by się do czegokolwiek chciał przyłączać.

Przyłączyłam się do Strażników. I do ciebie. Tam nie ma Strażników, Cass. Mnie też nie. Był Will, ale absolutnie nie chciałam o nim wspominać.

Będę ostrożna. Nikt tu nie wydaje się niebezpieczny.

Zawsze tak jest, odparł Luis ponuro, *dopóki ktoś nie strzeli ci w plecy. Wiem, że nie rozstaliśmy się w wielkiej zgodzie, Cass, ale... ale ja cię kocham. Zależy mi na tobie, rozumiesz? Interesuje mnie, co się z tobą stanie. Błagam, nie trać czujności.*

Obiecuję, powiedziałam, ale nawet w momencie, kiedy to mówiłam, wiedziałam, że go okłamuję. Powoli traciłam czujność i nie wiedziałam, co zrobić, żeby ją odzyskać. Chyba wcale nie chciałam jej odzyskiwać.

Czułam się tu zbyt bezpiecznie. W zbyt dużym stopniu stałam się częścią tego wszystkiego. Wkrótce potem zasnęłam, uspił mnie cichy oddech i chrapanie mieszkających razem ze mną kobiet. Luis miał rację... Powinnam bardziej uważać.

Przez kilka kolejnych nocy spałam głęboko, bez żadnych snów, ale jak się okazało, było to preludium do koszmaru, cisza przed burzą.

Wynurzyłam się z sennej ciemności i uświadomiłam sobie, że stoję na górze, na skalnej półce pod powłoką burzowych chmur. Zimny wiatr targał delikatnym materiałem, który mnie okrywał; moja skóra była biała jak lód, a długie włosy łopotały jak jedwabny transparent, smagane wściekłymi podmuchami.

Naprzeciwno, na innej górze, dostrzegłam piękną, egzotyczną istotę - człowieka, który jednak porzucił swe ludzkie kształty i nie miał żadnego. Ta istota płynęła, przemykała, ulatywała i znów wracała, żeby przybrać swą właściwą formę. W tych krótkich mgnieniach, kiedy przyjmowała człowieczą postać, była wysoką, szczupłą kobietą z błyszczącymi czarnymi włosami, ubraną w wielowarstwowy strój z watowanego jedwabiu o barwie granatu nocy. Skórę miała złocistą, gładką, a w prawej ręce trzymała złotą włócznię z czarną jedwabną flagą. Różne tony czerni nachodziły na siebie, tworząc niewyraźne, ciemne, koliste wzory, niemal ukryte w materiale.

Wydawało się, że ta ciemność żyje w świszczącym, trzeszczącym jedwabiu. Z każdym powiewem flaga stawała się coraz większa, aż oderwała się od włóczni,

rozpostarta na wietrze jak olbrzymi, czarny nietoperz i zaczęła szybować na przekór prądom powietrza.

- Siostró - powiedziała do mnie Perła, ukryta w ciemności pod coraz większą, dziwnie złowieszczą, jedwabną osłoną. Okrągła atramentowa plama pośrodku flagi poruszała się teraz wolnym, nieprzerwanym ruchem rotacyjnym. - Czekam na ciebie. Kiedy do mnie przyjdiesz? Gdzie jesteś?

- Nie możesz mnie znaleźć? - spytałam. Perła porzuciła swą człowieczą postać, naelektryzowała się, przekształciła w bestię z obnażonymi kłami, potem w powyginane, najeżone drzewo, aż wreszcie znowu odzyskała swoją urodę. - Skąd wiesz, czy już do ciebie nie przyszedłem?

Uśmiechnęła się. Łopoczący nad nią sztandar powiększył się i jednocześnie wzmógł się wiatr; szarpał mój delikatny strój, ciągnął moje włosy rękami okrutnych, niewidzialnych dzieci.

- O, siostró, znam cię zbyt dobrze. Nie da się ukryć twojej arogancji. Lśniesz jak ogień w nocy. Ale ogień można zdławić.

Sztandar nagle zwinął się na wietrze i pomknął w moją stronę jak strzała, spowijając mnie duszącą czernią, zalewając falami nicości. Wciągała mnie, przyssała się do mnie jak pijawka; moc wylewała się ze mnie jak krew ze świeżej rany. Sztandar był zimniej szy niż wiatr, który go przyniósł. Nie widziałam już Perły, ale czułam ją, słyszałam, a jej przytłaczająca moc wyrywała korzenie, które trzymały mnie w tym świecie...

Lecz tymi korzeniami przypląnęła inna moc; uniosła się w górę, potężna, słodka, gorąca, wypaliła czerwone dziury w ciemności, podarła ją na strzępy. Była to siła przeogromna, której nie wzywałam i która nie czekała na moje rozkazy, ale właśnie ona ocaliła mi życie.

Resztki jedwabistej ciemności oderwały się ode mnie i uleciały w czyste, zimne powietrze. Upadłam na skałę

z twarzą w dłoniach, z włosami splątanymi jak u wariatki. Wiatr porozrywał moje ubranie. Skóra, cała pocierana, zrobiła się zupełnie biała; z ran spływała gęsta czerwona krew, tworząc kałużę pod moimi posiniaczonymi kolanami.

Perła podniosła włócznie i sztandar popłynął jedwabną rzeką przez otwartą przestrzeń między nami, po czym owinał się wokół złocistego drzewca, skurczył i znów stał zwyczajną flagą. Perła przybrała ludzką postać i była równie doskonała i piękna, jak w czasach naszej młodości, tak bardzo dawno temu.

- Nie straciłaś swych umiejętności, siostró - stwierdziła. - Ale stracisz. Matka nie jest już taka jak w zamierzonych czasach, rozbudzona i żywa. I tak jak ona, my też nie jesteśmy takie same. Zepsucie nie może pozostać niewidoczne albo nieodczuwalne; nie da się go uleczyć, można je tylko przetrwać.

- Perło - powiedziałam, podnosząc głowę, żeby spojrzeć jej prosto w oczy. - Zniszczę cię. Nie chcę tego, ale to zrobię. Przestań szerzyć zło, zanim będziemy zmuszone przybrać nasze prawdziwe postacie.

- Możesz sobie marzyć dalej, siostró - odparła. - To, co robię, musi zostać zrobione, żeby powstało miejsce dla tego, co ma nadejść. Trzeba zniszczyć, żeby móc tworzyć. Życie tu było eksperymentem, przypadkowym zderzeniem substancji chemicznych i światła. Czas zakończyć te zmagania i pozwolić zapanować ciemności. Kto wie, jakie nowe formy z tego powstaną? Pustka, w którą mnie wysłałaś tak dawno temu, jest piękna. I głodna, tak jak głodne jest życie. Już wkrótce się nasyci.

Nagle pod moimi kolanami odłamała się skała i moje eteryczne ciało zleciało w czeluść bez dna; spadało, wirowało, spadało...

...Aż zderzyło się z moim ludzkim ciałem, zdyszonym, spoconym i rozdygotanym.

Wszystko stało się ciemnością. Już nie czułam spokoju.

Czekałam na śmiertelny cios; Perła musiała oczywiście wyczuć moją obecność tak blisko swojego skupiska mocy. Następnego ranka byłam spięta i czujna; wypatrywałam jakiegokolwiek zapowiedzi ataku. Moje nerwowe zachowanie nie spodobało się koniom, które szczotkowałam, i wkrótce przypomniały mi o moich obowiązkach, popychając mnie i rżąc. Przynajmniej one wydawały się nie mieć żadnych zmartwień. Kończyłam szczotkować ostatniego, kiedy do stajni przyszła grupka ośmiorga dzieci, w strojach w te cztery kolory, które zauważyłam wcześniej, pod opieką kobiety w czerwonej bandanie. Kiedy tylko się pojawiła, poczułam mrowienie mocy; Strażniczka Pogody, pomyślałam. Powietrze wokół mnie smakowało ozonem. Na pewno nie była związana z Ziemią; zwierzęta stłoczyły się wokół mnie, jakby szukały ochrony. Przyjrzała mi się bacznie, uznała za nieważną i zaczęła opowiadać dzieciom o koniach -a dzieci ją beztrudnie zlekceważyły, byle tylko móc pogłaskać wielkie zwierzęta i karmić je jabłkami.

Ta kobieta w niczym nie przypominała moich sympatycznych towarzyszek pracujących w polu. Wyczuwałam, że nimi, i mną, pogardzała. Była jak wilk ukrywający się wśród łagodnych owiec i nie cierpiała nas, mimo że nas potrzebowała.

Wróg, na którego czekałam.

- Dzień dobry - przywitałam wszystkich, i ją, i dzieci. Chłopcy i dziewczynki odpowiedzieli, Strażniczka Pogody nie. Spoglądała na mnie długo, spokojnie. Też na nią popatrzyłam i wyciągnęłam do niej rękę. - Na imię mi Laura. Jestem nowa.

- Tak - powiedziała i uniosła jedną brew. Musiała dojść do wniosku, że jeżeli będzie otwarcie niegrzeczna,

może ją to narazić na pytania dzieci, więc uścisnęła mi dłoń. - Mariah - przedstawiła się. - Przepraszam, ale jesteśmy dość zajęci. Dzieci, musimy ruszać dalej. Mamy dziś rano lekcje. Dzieci chórem jęknęły. Jedną ze starszych dziewczynek oddzielało od Mariah cielsko konia i zobaczyłam strach w jej twarzy, zanim zdążyła ją ukryć w końskiej grzywie. Zastanawiałam się, dlaczego ona się boi, a reszta dzieci nie. Możliwe, że dziewczynka widziała coś albo wiedziała więcej, niż powinna.

Przysunęłam się do niej pod pretekstem szczotkowania konia.

- Jak ci na imię? - spytałam miękko. Była ładnym dzieckiem, delikatnym, o ciemnej karnacji, wielkich czarnych oczach i spiczastej, figlarnej twarzy.

- Zedala - szepnęła. - Czy pani może odnaleźć moich rodziców? Błagam. Ja chcę wrócić do domu. Spojrzałam na nią i zobaczyłam łzy. Mariah właśnie zbierała w grupę rozbawione dzieci, więc zaryzykowałam i przytuliłam dziewczynkę, chcąc ją pocieszyć.

- Bądź dzielna, Zedalo - powiedziałam. - Wszystko się ułoży.

Popatrzyła na mnie z rozpaczą.

- Pani nie rozumie.

Chciałam jej powiedzieć więcej, obiecać, że wkrótce będzie wolna, ale za bardzo bym ryzykowała.

Nawet to cudowne dziecko mogło być pułapką zastawioną na mnie, żebym się zdradziła.

Zmusiłam się do uśmiechu i poklepałam ją po ramieniu.

- Jesteśmy tu wszyscy przyjaciółmi. Zajmiemy się tobą. Nie musisz się bać.

- Zedalo! - krzyknęła kobieta i zobaczyłam, że dziewczynka zadrżała. Szybko otarła łzy. - Zedalo, pośpiesz się!

- Tak, proszę pani! - Jeszcze raz spojrzała na mnie smutno, błagalnie i szybko odeszła. Szczotkowałam odruchowo konia i obserwowałam, jak Mariah ponagła swoich ośmioro małych podopiecznych. Zedala zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, to było oczywiste. Inni nie.

Musiałam odkryć, co widziała.

Przerwę na lunch spędziłam z Willem; zjedliśmy do spółki niewielki kawałek żółtego sera, kilka plastrów szynki i świeży chleb. Wszystko było pyszne. Kiedy tak wygodnie siedzieliśmy sobie w słońcu, wydawało się niemożliwe, że tu, w samym sercu tego spokojnego miejsca, dzieje się coś złego. Ale strach w oczach Zedali był prawdziwy, żywy i nie mogłam sobie pozwolić na luksus niezwrócenia uwagi na ból dziecka.

- Dziś rano przyszło do stajni kilkoro dzieci - powiedziała Willowi, jedząc jabłko. Na farmie nie rosły jabłonie; pomyślałam, że musieli prowadzić wymianę, żeby kupować owoce. - Dlaczego one noszą te mundurki?

- My wszyscy nosimy mundurki - odparł i też sięgnął po jabłko.

- Wiem, ale te kolory...

- To po to, żeby odróżnić ich moce - wyjaśnił.

- Moce?

- To wyjątkowe dzieci - ciągnął bardzo cicho. Utkwił wzrok w odległych drzewach, lecz dojrzałam błysk w jego oczach, surowość, która nie pasowała do tego, co o nim wiedziałam. - Mają specjalne uzdolnienia, są inne niż normalne dzieci. Musimy je chronić i szkolić, żeby je przygotować na koniec.

- Koniec?

- Koniec cywilizacji. On się zbliża, Lauro. To dlatego tu jesteśmy. Musimy nauczyć się żyć bez tych wszyst-

kich rzeczy, które dała nam tak zwana cywilizacja: te zabawki, maszyny, no i zanieczyszczenie. Dzieci pomogą nam przetrwać, a my z kolei uratujemy je i ochronimy przed tymi, którzy chcą je skrzywdzić.

- O! - westchnęłam. To właśnie spodziewałam się usłyszeć, ale nie od Willa, nie od kogoś, kogo polubiłam. - Zdawało mi się, że były trochę wystraszone.

Wzruszył lekko ramionami.

- Muszą się uczyć. Nie wszystkie lekcje są łatwe. To dla nich dobrze, że są trochę wystraszone - stwierdził.

Przełknęłam kawałek chleba, który nagle wydał mi się obrzydliwy, i sięgnęłam po szklankę lemoniady, żeby zabić zły smak w ustach.

- Nie podoba mi się straszenie dzieci - oświadczyłam. - Nawet w dobrej sprawie.

- Muszą być szkolone. Daj temu spokój, Lauro. Niech się nimi zajmują nauczyciele.

- Dobrze.

Wgryzałam się w jabłko. Nie było już tak słodkie jak poprzednio.

Will jadł dalej w milczeniu, aż talerze i szklanki zrobiły się puste, po czym wstał i się przeciągnął.

Przyglądałam mu się, widząc bardzo dokładnie, jak słońce przenika przez jego ubranie i podkreśla silne linie ciała. W pełni zdawałam też sobie sprawę z delikatnej intensywności jego spojrzenia, kiedy odwrócił się do mnie i wyciągnął rękę.

Podałam mu swoją. Podniósł mnie i przytulił. Nie wrywałam się. Była w tym jakaś dziwna nieuchronność, coś rozpoznawalnego, jakbym o tym śniła albo przeżyła to w innym życiu. Spojrzałam mu w twarz, w te piękne oczy i poczułam, że spadam w wielką, ziejącą otchłań bez wyjścia. Powinno mnie to przerazić, tymczasem uspokoiło. Jak powrót do domu.

Will puścił mnie i się odsunął. Stałam tam jeszcze przez chwilę, patrząc na niego, po czym pozbierałam nasze talerze i szklanki.

- Odniosę je - zaproponowałam.

Nic nie powiedział, nawet nie podziękował. Czułam na sobie jego spojrzenie, ciężkie i gorące, przez całą drogę do sali jadalnej.

Kiedy znów wyszłam na zewnątrz, nigdzie nie dostrzegłam Willa. Brakowało mi go i nienawidziłam się za to; nie powinnam tutaj marzyć o żadnym mężczyźnie, z Willem włącznie, niezależnie od tej dziwnej wzajemnej sympatii, która się między nami zrodziła. Byłam tu z określonego powodu i ten powód właśnie się skryształizował pod postacią jednego, ale niedającego spokoju obrazu - łez rozpaczy w oczach Zedałi.

Wróciłam do stajni i podniosłam grabie. W tym momencie z cieni za moimi plecami wyłoniła się para rąk, złapała mnie od tyłu i próbowała wciągnąć w to ciemne miejsce.

Przypuszczam, że Laura Rose pewnie by krzyczała, ale w tej chwili nie byłam Laurą Rose. Byłam Cassiel, a Cassiel nie woła o pomoc.

Cassiel zmusza innych do wołania o pomoc.

Zaatakowałam łokciem z całej siły i mocno wbiłam się w ciało, mięśnie i kość. Usłyszałam, jak gwałtownie uszło z niego powietrze, poczułam podmuch na włosach i szyi. Zanim zdołał się pozbierać - przekonałam się, że to mężczyzna, kiedy tylko jego ciało zetknęło się z moim - odwróciłam się błyskawicznie i zamierzyłam się nasadą dłoni do ciosu w nos, chcąc go złamać, a może nawet spróbować wepchnąć kość do mózgu.

Złapał moją rękę w ostatniej chwili i ponieważ się zdałam sobie sprawę, że go znam.

Merle. Prawie zapomniałam o swoim koledze w agencji, bo został włączony w zupełnie inny cykl pracy... ale to był on i chował się w ciemnościach.

- Czego chcesz? - syknęłam. Konie wokół nas zaczęły nerwowo tupać, czując przepływ adrenaliny w naszych żyłach. Merle wyglądał na zmartwionego. Udręczonego.

Nie, on wyglądał na wręcz zaszczutego.

- Myślę, że coś podejrzewają - odparł. - Daj znać Rostowowi. Powiedz mu, że musi mnie stąd zabrać.

- Czego się dowiedziałeś?

- Niczego, do jasnej cholery, poza tym jak chodzić za pługiem. Nie mogę znaleźć sposobu, żeby do nich dotrzeć, a oni nie lubią pytań. Chyba zadałem o jedno za dużo.

- Straszili cię?

- Nikogo nie straszą. Ale domyślałam się, że pewnego dnia po prostu budzisz się na polu. Skontaktuj się z Rostowem. Zorganizuj nam wyjście.

- Ja nigdzie nie idę - oznajmiłam. Merle puścił moje ramię i się odsunął. - Nie mogę odejść. Idź, jeżeli tak sobie życzysz, ale ja zostaję.

- Zostaniesz i w końcu zmienisz się w jedną z nich - stwierdził. - Albo jeszcze gorzej. Coś tu nie gra. Byłem już w sektach, ale tu są jakieś zupełnie nowe odcienie zła, jakby cię coś wywracało do góry nogami. To nie pranie mózgów. Umiem się przeciwstawić praniu mózgów. To co innego.

Wiedziałałam, że to coś to lekkie mrowienie mocy w całym obozie. Oddziaływanie Perły, obejmujące nas swoim tchnieniem, przenikające każdą naszą myśl, oddech, uderzenie serca. Merle to czuł, chociaż nie miał pojęcia, co to takiego, i był przerażony. Osłabiało to jego własne ja, demoralizowało go od wewnątrz... i podobnie wpływało na mnie, tyle że w moim wypadku stworzyło tę fałszywą więź z Willem.

- Nie mogę odejść - powiedziałam tak spokojnie, jak potrafiłam. - Ale ty powinienesz. I to szybko. - Merle, walcząc o zachowanie własnej tożsamości i dążąc do celu,

sam stawał się celem. Wkrótce się zorientują, że nie jest jednym z nich, a może nawet już to wiedzą. Merle mógł być doskonałym tajnym agentem w innych okolicznościach, lecz tu znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie. - Dam ci znać, kiedy przygotuję twoje wyjście -oznajmiłam. - Wracaj do pracy. Uważaj.

- Dobrze. - Otarł czoło rękawem swojej szarej koszuli i odetchnął głęboko. Mimo wszystko nie jest sobą, pomyślałam.

- Zachowaj spokój - poradziłam. - Wkrótce się stąd wydostaniesz.

Jeszcze raz przytaknął i wyszedł na słońce ze spuszczoną głową. Nawet jego sposób poruszania się różnił się od zdecydowanych ruchów mieszkańców obozu. Ja to widziałam. Więc inni też musieli to widzieć.

Merle był w prawdziwym kłopotcie.

Zabrałam się znów do grabienia słomy. Wprowadziłam się w lekki stan medytacji i sięgnęłam mocami do Rostowa, żeby przekazać mu wiadomość - niewielki wysiłek i prawie niezauważalne zużycie energii, a i tak wydawało się to teraz trudniejsze, jakby mury wokół obozu blokowały do niego dostęp nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Może chodziło o to, że jakaś część mnie tęskniła do tego nowego życia - do jego prostoty, uczciwości i zaufania.

Ale właśnie to zaufanie było kłamstwem; kryło się pod nim czarne rozlewisko toksycznej zdrady.

Wiedziałam to, naprawdę wiedziałam, mimo to ledwie odróżniałam wiedzę od uczuć.

Już miałam się połączyć z Rostowem, by przekazać prośbę Merle'a, gdy dobiegły mnie z zewnątrz jakieś krzyki. Nikt tu nigdy nie krzyczał, nie takim głosem.

Wyjrzałam i zobaczyłam tę dziewczynkę, Zedale. Biegła przez pole, potykając się o skiby starannie zaoranej ziemi. Wyglądała na przerażoną.

Mariah, jej nauczycielka, zatrzymała się na skraju pola i obserwowała ją z surowym, bezwzględny wyrazem twarzy. Obok niej stała inna nauczycielka w zielonej chustce; wyciągała rękę do Zedali. Dziewczynka zrobiła kolejny krok, potknęła się i upadła płasko na ziemię.

Nie.

Zanurzyła się w ziemię.

Rzuciłam grabie i wybiegłam ze stajni. Pracujący wokół ludzie przerwali zajęcia, lecz nikt się nie ruszył, żeby interweniować.

Nawet Merle - stał obok furmanki z nawozem, zaciskając pięści.

Zedala nie wynurzyła się spod ziemi.

Wzięłam głęboki wdech i pognałam w jej stronę, odpychając dwie nauczycielki stojące mi na drodze. Zrobiłam tylko parę kroków w głąb pola, kiedy otworzyło się ono przede mną - nie ja to spowodowałam - i wpadłam w gęstą, ciężką ciemność, otoczyła mnie żyzna, uprawna ziemia, robaki i ostre odłamki skalne.

Zdawałam sobie sprawę, że mogłabym dotrzeć do dziewczynki. Nie spodziewali się, że potrafię się poruszać w piaszczystym gruncie i że, wykorzystując własne moce Ziemi, mogę odnaleźć Zedale.

Jednak gdybym to zrobiła, zdradziłoby mnie to nie tylko przed nimi, ale i przed Perłą.

Krzyczałam bezgłośnie z frustracji w ciszy mojego tymczasowego grobu.

Nie mogłam jej uratować. Mogłam jedynie mieć nadzieję, że chcieli ją ukarać, nie zabić.

Trwało to chyba całą wieczność. Wreszcie ziemia zaczęła mnie wypychać do góry i wyrzuciła mnie z powrotem na powietrze. Przewróciłam się na plecy, dyszałam i krztusiłam się; drżącymi rękami ocierałam z twarzy czarną ziemię.

Kilka metrów ode mnie leżała zwinięta w kłębek Zedala. Płakała. Była brudna i przerażona, ale żyła. Plułam ziemią i mrugałam oślepią jaskrawożółtym słońcem, które nagle przesłonił mi jeden z nauczycieli. Nie Mariah, lecz Strażnik Ziemi o niezwykle potężnym potencjale.

Był bardzo, bardzo młody, nie starszy niż Zedala, ale otaczała go drgająca chmura mocy, łatwa do rozpoznania dla każdego, kto sam posiadał ten dar. Pomyślałam, że to chyba najpotężniejszy Strażnik Ziemi, jakiego kiedykolwiek spotkałam, poza Lewisem Orwellem.

Miał ciemne, puste oczy, w których nie było litości, wahania, wątpliwości. Oczy fanatyka.

- Zabierz ją - powiedział do Mariah. Posłusznie schyliła głowę, szybko pobiegła przez skiby do Zedali i postawiła ją na nogi. - Zaprowadź ją do boksu.

- Nie! - krzyknęła Zedala, ale tylko raz. Chłopiec Strażnik spojrzał na nią i kiedy znów otworzyła usta, nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Jednak panika i przerażenie na jej twarzy mówiły same za siebie. Wyglądało to okropnie, lecz kiedy rozejrzałam się dookoła, zobaczyłam, że ubrani w szare mundurki robotnicy odwrócili się jak jeden mąż i skupili na swoich obowiązkach.

Wszyscy prócz Merle'a, on ciągle się przyglądał tej scenie z mocno zaciśniętymi pięściami.

I oprócz stojącego w cieniu, w rogu stajni... Willa. Jego jasne, szare oczy były utkwione nie w Zedali, lecz we mnie.

Dwie nauczycielki odciągnęły dziewczynkę. Mnie zostawiono samej sobie. Wstałam, chwiejąc się na nogach, i zaczęłam strzepywać brud z ubrania. Will podszedł do mnie, złapał mnie za nadgarstek i ściągnął z pola. Kiedy już znalazłam się na twardym gruncie, chwycił mnie za ramiona i potrząsnął mną tak silnie, że grudki ziemi spadły ze mnie jak krople deszczu.

- Zwariowałaś? - zapytał. - Nie rozumiesz? Bez względu na to, co się dzieje, my się nie wtrącamy w szkolenie tych dzieci!

- Szkolenie! - parsknęłam i odepchnęłam go. - Nie widziałam tu szkolenia. Myślałam, że chcą ją zabić!

- Ich metody mogą się wydawać surowe, ale...

- Surowe? Raczej okrutne, Will! I wcale nie jestem pewna, czy nie pozwoliliby jej tam umrzeć, gdybyśmy się nie przyglądali! Nie mogłam...

- Posłuchaj! Musisz, Lauro, musisz zrozumieć, że oni wiedzą, co robią, a my mamy to akceptować!

- Bo co? - Podniosłam podbródek i spojrzałam mu w oczy. Jego źrenice powoli rozszerzały się, jakby wchłaniał mnie całą.

- Bo nie będziesz tu mogła zostać - powiedział miękko i dotknął mojego policzka. - A ja bym tego żałował. Bardzo bym żałował.

Uświadomiłam sobie, że ja też. Nawet teraz. Nawet kiedy widziałam panikę i ból na twarzy Zedali i lodowatą obojętność okrutnego chłopca Strażnika. Nie chciałam opuszczać tego miejsca.

Nie chciałam opuszczać Willa.

Zrobiłam krok i kiedy poczułam, że trzymam się pewnie na nogach, wróciłam do stajni, ze spuszczoną głową.

Podniosłam grabie i zabrałam się do roboty. Grzebiąc w słomie, spróbowałam połączyć się z Rostowem, żeby przekazać mu wiadomość od Merle'a.

Nie udało mi się nawiązać łączności.

Po drugiej stronie ogrodzenia, tam gdzie powinien być Rostów i jego agenci, była tylko pustka. Nicość. Złowroga cisza, która kazała mi przerwać pracę i wznieść się do sfery eterycznej, żeby rozeznąć się w sytuacji.

Za lasem stała na swoim miejscu przyczepa FBI, samochody, suvy i namioty, w których sypiali agenci.

Ale po nich samych nie było śladu. Po prostu... zniknęli. Wszyscy, co do jednego. Merle i ja byliśmy zupełnie bezbroni i zdani tylko na siebie.

II

Reszta dnia upłynęła bez incydentów. Powlokłam się razem z innymi do swojego domu, wzięłam prysznic, przebrałam się w czyste ubranie i zjadłam kolację jak zwykle w towarzystwie przyjaciół Willa. Nie wspomnieli o nieszczęsnej Zedali ani o moim zanurzeniu się w ziemi podczas nieudanej próby pomocy.

Merle ze spuszczoną głową siedział samotnie w końcu innego długiego stołu. Wyglądało to tak, jakby już został zbojkotowany przez swoją grupę. Chciałam go ostrzec, że nie otrzyma pomocy ani że nie ułożę planu wyjścia, ale teraz jakoś nie śmiałam. Jeżeli Perła i jej wyznawcy byli na tyle potężni, żeby porwać, zniszczyć albo przenieść gdzieś całą jednostkę FBI, jakiegokolwiek przejawienie mocy, które mogłoby zwrócić ich uwagę, było niebezpieczne. Wiedziałam, że moja nieudana próba ratowania dziewczynki już wzbudziła podejrzenia. A Merle'em i tak za bardzo się interesowano.

Sącyłam wodę z oczami utkwionymi w talerzu, podczas gdy inni rozmawiali i śmiali się; w końcu, używając mocy, bardzo ostrożnie wprawiłam w vibracje delikatne kosteczki w jego uchu. *FBI zniknęło, możemy liczyć tylko na siebie, bądź czujny*, powiedziałam.

Podniósł głowę, zaskoczony, ale nie spojrzał w moją stronę. Popatrzył na zupełnie niewinną Oriane, któ-

ra słuchała czyjejs rozwlekłej opowieści o wronie i polu kukurydzy.

Zauważyłam, że siedzący blisko niego mężczyzna przygląda mu się, obserwuje, co może łączyć Merle'a z innymi osobami.

Dzięki refleksowi agenta nie zostałam zdemaskowana, naraziło to jednak na niebezpieczeństwo niczego nieświadomą Oriane.

Moja spokojna idylla skończyła się; w ciągu kilku godzin to miejsce zmieniło się w niebezpieczne gniazdo żmij. Różnica między mną a Merle'em - czy między mną a Zedałą - polegała na tym, że ja nie zamierzałam opuścić obozu, dopóki nie osiągnę swojego celu.

Musiałam zwabić tu Perłę w jej ludzkiej postaci i znaleźć sposób, żeby ją zabić - albo okaleczyć. Ta część mojej istoty, która ciągle była dzinnem, przekonywała mnie, że jest to warte życia Merle'a czy Zedali. Albo nawet Willa, Oriany i wszystkich innych członków tej sekty, którzy przyszli tu szukać ucieczki przed własnymi problemami. Niezamierzone straty wśród zwykłych ludzi były nieuniknione w tej walce. Na pewno lepiej poświęcić paru, niż zostać zmuszonym do ostateczności i zabić miliony, zniszczyć całe szerokie i piękne spektrum ludzkiej rasy.

Na pewno.

Jednak rozglądając się po jadalni, widząc spokój tych ludzi, miłość i szacunek, którymi się darzyli... czułam, że byłoby to nie tyle poświęcenie ich, ile ponure, okrutne morderstwo.

Do tego też byłam zdolna.

Odpowiadałam teraz tylko przed samą sobą. Nie przed Luisem. Nie przed Isabel. Nawet nie przed Ashanem. Tylko przed sobą i swoim ludzkim sumieniem.

Powinno być je łatwiej zagłuszyć.

Następnych kilka dni minęło w ciszy, swego rodzaju pełnym napięcia impasie, wyczekiwaniu. Część mojej osoby czuła się teraz spokojna; ta, która uparcie pozostawała dzinnem, uświadamiała sobie, jak wielkie podejmowałam ryzyko i jak subtelna oplotła mnie sieć. Żadne z dzieci nie odwiedziło już stajni. Na ogół widywałam je tylko z daleka, zawsze w pobliżu szkoły i w towarzystwie nauczycieli. Ani razu nie zauważyłam Zedali.

Merle działał tak jak dotąd, w ukryciu, i dopiero trzeciego dnia z rana zorientowałam się, że wśród znajomych mężczyzn pracujących w polu obok stajni jego nie ma.

Postanowiłam pójść do jadalni i wróciłam z ciężkim dzbanem zimnej wody i kubkiem, po czym zaczęłam krążyć wśród spoconych robotników, z uśmiechem częstując ich wodą. Kiedy doszłam do Willa, wytarł swoją wilgotną twarz, pięknie się do mnie uśmiechnął, wypił dwa pełne kubki i westchnął z wdzięcznością.

- A gdzie Merle? - spytałam, rozglądając się dookoła. - Zwykle tu bywa, prawda?

Will przeciągał się właśnie w ramionach, ale teraz opuścił je i spojrzał na mnie z ukosa, unosząc brwi.

- Zwykle - powtórzył. - Dlaczego pytasz?

- Ot tak. Po prostu zastanawiałam się, czy wszystko z nim w porządku. Jest ostatnio taki cichy.

- Sądzę, że mu się nie powiodło - powiedział Will. Zabrzmiało to bezceremonialnie... i złowieszczo.

Wypiłam trochę wody, zastanawiając się, jak podejść do tematu.

- Odszedł? - zapytałam wprost.

- Tak. Odszedł. - Po chwili krępującej ciszy Will kiwnął głową. - Dzięki za wodę. Muszę wracać do pracy. Robota sama się nie robi.

Zamyślona, podążyłam do jadalni, żeby oddać dzbanek. Merle mógł odejść bez żadnych incydentów; mogli mu na to pozwolić.

Ale tak naprawdę w to nie wierzyłam. Widział epizod z Zedałą. Wiedział, że dzieciom grozi niebezpieczeństwo, a to czyniło z niego niebezpiecznego świadka. Nie pozwoliliby mu tak po prostu wyjść na wolność, nawet gdyby nie podejrzewali go o szpiegostwo.

Nakładając pokarm świniom i poklepując je przyjaźnie na powitanie, wzniosłam się do sfery eterycznej, żeby się rozejrzeć po okolicy. Merle był dotychczas dobrze widoczny, rozpoznawalny bez trudu, łatwy do namierzenia... lecz teraz nigdzie go nie dostrzegałam. Moją uwagę zwróciła natomiast ciemna skaza w eterze, na polu, głęboko pod powierzchnią. Przypominała dużą, intensywnie krwawą plamę.

Miała kształt ciała. Nie... nie jednego ciała. Naliczyłam co najmniej cztery, zakopane głęboko w ziemi.

Na tyle świeże, że ciągle zachowały typową ludzką postać; a eteryczna skaza świadczyła o zmaganiach tych ludzi ze śmiercią.

Jednym z nich musiał być Merle.

Fala emocji zalała mnie chwilę po tym, jak uświadomiłam sobie, że Merle, tak kompetentny i ostrożny, został zabity. Byłam sama. Bez przyjaciół. Bez sojuszników, bez szans, żeby ujść z tego z życiem. Tak jak Merle widziałam zbyt dużo, zadałam zbyt wiele pytań. Znalazłam się w potrzasku. Ale przecież chciałam znaleźć się w potrzasku. Czyż nie? Czyż od samego początku nie było to celem mojego przyjazdu tutaj?

Jednak w tym momencie, stojąc twarzą w twarz z brutalną rzeczywistością, widząc, co przytrafiło się człowiekowi, który pod wieloma względami wydawał się niezniszczalny, czułam strach, prawdziwy, instynktowny. Jeżeli umrę tutaj, zostawię Luisa i Ibby, nawet się z nimi właściwie nie pogodziwszy. Będą myśleli, że rzeczywiście ich nie kochałam, że rzeczywiście nie chciałam z nimi zostać.

Nie jesteś tu, żeby ich kochać. Jesteś tu, żeby ich ocalić, pomyślałam. To też było prawdą. Ashan wysłał mnie do tego świata, gdyż tego pragnął, zdawałam sobie z tego sprawę; tak mną manipulował, że uwierzyłam, iż robię to z własnej woli, ale w istocie poznawałam rękę mistrza. Ashan umieścił mnie na wybranej pozycji i nie mógł przegrać tej partii - jeżeli nie znajdę sposobu, żeby zniszczyć Perłę, zostanę doprowadzona do ostateczności i zniszczę ludzką rasę, na której żerowała i która zapewniała jej istnienie. Byłam narzędziem w jego rękach i jeżeli przyszłoby mi zginąć, to byłaby to cena akceptowalna, zarówno w jego, jak i w moim pojęciu, bo oboje wiedzieliśmy, o co toczy się gra. Nie zamierzałam czuć tak dużo i tak głęboko. A w każdym razie nie do siebie i tej kruchej łupiny mojego ciała, dzięki któremu żyłam. Powinno to być tymczasowe, niewygodne więzienie, a zamiast tego - zamiast tego czułam się człowiekiem i bałam się tak samo jak każdy z otaczających mnie ludzi. Resztę dnia spędziłam w poczuciu izolacji, samotności, zagubienia, z tym ohydny sekret pod naszymi stopami. Will nic nie wiedział, inni też nie. Sądziłam, że to chłopiec Strażnik, ten, który zakopał mnie na chwilę, wykonywał egzekucje. Był to czysty, nieskomplikowany sposób pozbywania się tych, którzy stali się niepotrzebni. Straszliwa to śmierć: umierać, dusząc się ziemią ze swojego grobu, ale nie przypuszczałam, żeby chłopiec się tym przejmował.

W końcu był głęboko wierzący.

Szłam właśnie do sali jadalnej, zmęczona i bardziej niż rozgniewana na samą siebie za swoje niezdecydowanie, kiedy zobaczyłam małą, niewyraźną postać przyczajoną za rogiem mojego domu. Zedala. Udało jej się zamaskować swoją obecność i zrobiła to dobrze; przesunęłam się wolno w jej stronę,

niby przypadkiem, i oparłam plecami o ścianę budynku, obok niej. Noc była chłodna i dziewczynka trzęsła się w swoim cienkim ubraniu. Miałam na sobie pikowaną kurtkę; zdjęłam ją i upuściłam. Szybko ją podniosła i włożyła z cichym, drżącym westchnieniem wdzięczności.

- Co tu robisz? - spytałam. Bacznie obserwowałam, czy nikt na nas nie patrzy, ale chociaż wokoło znajdowało się kilkoro ludzi, nikt nie zdawał się zwracać na mnie szczególnej uwagi.

Zedała ciągle stała skulona.

- Szukałam pani. Próbowała mi pani pomóc - odezwała się w końcu.

- I?

- Muszę się stąd wydostać. - Podniosła głowę i w słabym, gasnącym świetle dnia zobaczyłam na jej twarzy lśniące ślady łez. - Mówią, że zawiodłam. Że nie mam dostatecznej mocy. Że kogoś takiego nie potrzebują. Mówią, że pojedę do domu. Ale ja nie pojedę do domu, prawda?

Pomyślałam o ciałach pod polem uprawnym.

- Nie - odparłam. - Nie sądzę, żeby pozwolono ci jechać do domu.

- Może mi pani pomóc? - zapytała bardzo słabym głosem. - Bo nikogo innego nie mam. Nikogo. Zamknęłam oczy. Ból w jej głosie przeszył mnie na wskroś, wiedziałam jednak, co Ashan życzyłby sobie, żebym zrobiła. Wiedziałam, co zrobiłaby dawna Cassiel, Cassiel dzinn. Powinnam odejść, zostawić ją z jej łzami i rozpaczą i zachować szanse na ostateczną wygraną.

Ale dziewczynka bez mojej pomocy szans nie miała. Żadnych. Zdawałam sobie sprawę, że zanim nadejdzie świt, znajdę jej ciało zakopane obok zwłok Merle'a. Będę mogła sobie wyobrazić ostatnie, gorączkowe, rozpaczliwe ruchy dziecka. Dziecka, zgodnie z tym, co twierdzili ci ludzie, szanowanego tu i chronionego.

Może i byłabym dobrym dzinnem, gdybym pozwoliła, żeby to się stało, ale byłabym też potworem w ludzkiej skórze.

Otworzyłam oczy.

- Dobrze - powiedziałam. - Dasz radę maskować się, aż wrócę i cię zabiorę?

- Chyba tak. - Zedła wytarła twarz rękawem i spojrzała na mnie błyszczącymi nadzieją oczami. -

Pomoże mi pani? Naprawdę?

- Tak. Zamierzam ci pomóc. Ale musisz mi jedno obiecać.

- Okej.

- Musisz mi obiecać, że będziesz biegła tak długo, aż natkniesz się na Strażników. Powiesz im, że wysłałam cię po pomoc.

Przytaknęła poważnie, a ja odepchnęłam się od ściany i wróciłam do domu. Wzięłam prysznic, co wydawało się trwać całą wieczność, podobnie jak później obiad. Will próbował zabawiać mnie wesołymi historyjkami, ale śmiałam się z przymusu.

Rozejrzałam się wokoło i uświadomiłam sobie, że Oriana też zniknęła. Merle i Oriana, oboje przypadli, oboje prawdopodobnie nie żyli.

Ja będę następna albo dziecko. Nie mogłam pozwolić, żeby dziewczynka cierpiała z powodu moich błędów.

Po obiedzie wróciłam do pokoju. Z łóżka Oriany, starannie zasłanego, zniknęły wszystkie jej rzeczy osobiste; było gotowe na przyjęcie nowego rekruta; wyposażone w taki sam pakiet powitalny, jaki i my otrzymałyśmy w dniu przyjazdu. Rozebrałam się, wsunęłam pod koc i czekałam, aż zapadnie ciemność.

Po paru godzinach wstałam, cichutko się ubrałam, poszłam do toalety i otworzyłam jedno z małych okienek w tylnej części pomieszczenia. Nie udałoby mi się wtedy wydostać w mojej właściwej postaci, ale Laura Rose była

mniejsza i drobniejsza niż Cassiel, precyzyjnie się więc przez wąski otwór i zeskoczyłam na ziemię po drugiej stronie. Nie świecił księżyc i mogłam się kierować tylko blaskiem gwiazd. Do moich uszu dobiegał szmer wiatru w drzewach; wydawało się, że tej nocy na zewnątrz nie ma nikogo.

Zauważyłam delikatne migotanie zasłony Zedali; stała tam, gdzie ją zostawiłam, przytulona do ściany budynku. Wahałam się jeszcze przez chwilę, wdychając czujnie ostre nocne powietrze, ale nie usłyszałam ani nie dostrzegłam niczego.

Podeszłam do dziewczynki ukrytej w swojej cienistej zasłonie i ukucnęłam obok. Opatuliła się moją pikowaną kurtką, ale ciągle drżała. Mimo to, kiedy mnie zobaczyła, uśmiechnęła się blado.

- Przyszła pani - szepnęła. - Naprawdę pani przyszła.

- Oczywiście. Nie mogłabym cię zostawić.

Wzięłam ją za rękę, jeszcze raz dokładnie przeczesalam wzrokiem okolicę i poprowadziłam małą przez niebezpiecznie otwarty teren w kierunku ogrodzenia, poważnej bariery do pokonania, ale nie dla Strażnika Ziemi. Przestałam się przejmować ukrywaniem mocy, bo wiedziałam, że chcąc umożliwić Zedali ucieczkę, muszę się zdradzić.

Wydawało mi się, że robię coś dobrego. Dopóki nie przypomniałam sobie swoich nowych przyjaciół; spokoju, jaki odczuwali. Dopóki nie wyobraziłam sobie oczu Willa, kiedy dowie się o mojej zdradzie.

- Wszystko w porządku? - szepnęła Zedala. Doszliśmy do ogrodzenia i nastąpiła dla mnie chwila prawdy. Koniec zwlekania, koniec wątpliwości. Musiałam to zrobić albo dziecko nie przetrwa kolejnego spotkania ze swymi „nauczycielami”.

Wiedziałam, że jeżeli to uczynię, zapłacę za to utratą szansy na załatwienie porachunków z Perłą, ale jeżeli się usunę na bok i dopuszczę do śmierci dziecka, to cena...

Nie. Byłam gotowa zapłacić wysoką cenę. Ale nie taką.

Wyciągnęłam rękę, użyłam delikatnego impulsu mocy i metalowa siatka ogrodzenia zaczęła się rozpruwać, otwierać jak płatki ostrego, niebezpiecznego kwiatu.

Coś uderzyło mnie w plecy, zadało ogłuszający cios, a potem jeszcze jeden, nawet mocniejszy. Zalała mnie fala dezorientacji, ciemności i bólu, a potem opadłam na kolana, próbując zwrócić swoją moc przeciw temu, kto mnie zaatakował...

...I zobaczyłam twarz Zedali pałającą triumfem i złościwością. Ciągle trzymała w ręce zakrwawiony kamień. Podniosła go nad głowę i wydała okrzyk wojenny, okrzyk mrozący krew w żyłach, bo przecież krzyczała taka mała, delikatna dziewczynka.

- Dlaczego? - spytałam. Z największym trudem zachowywałam przytomność, lecz coś bardzo złego działo się z moją głową. Świat się przechylił, a ja zsuwałam się ku jego czarnej krawędzi.

W odpowiedzi Zedala uderzyła mnie jeszcze raz. Usłyszałam okrzyki gorącej aprobaty i tym razem nie udało mi się już utrzymać kontaktu ze światem.

Cass. Cass! Obudź się!

Głos Luisa szeptał mi natarczywie do ucha. Nie chciałam się obudzić. Ciemność była łaskawa; ukrywała cierpienie i przytębiała wspomnienie zdrady, ale szepty docierały do mnie nawet tam i ciągnęły w szarość pełną udreki. Ból dźwigał mnie w górę, aż wyniósł na ostre światło; jęknęłam i odwróciłam się od oślepiającego blasku.

- Budzi się. - Usłyszałam czyjś głos, ale nie Luisa. Pragnęłam poczuć jego obecność, jego kojący, uzdrawiający dotyk, ale zamiast tego doskwierały mi ból i samotność. Nie mogłam się swobodnie poruszać. Byłam związana, a w każdym razie skrepowana. Kiedy otworzyłam oczy, poraziło je słońce i zebrało mi się na wy-

mioty. Otaczały mnie ciemne kształty, zdeformowane i złowrogie.

- Zablokuj ją! Nie pozwól jej korzystać z mocy!

Ktoś położył mi dłoń na czole - dziecko - po czym poczułam, jak zimna, twarda jak żelazo ściana odcina mnie od ciepłej, złocistej energii w moim ciele. Uświadomiłam sobie, że to Luis mnie nią karmił; próbował mnie uleczyć z daleka, ale teraz byłam sama, pozostawiona własnemu losowi. Pozbawiona stałego pulsowania mocy, zaczynałam umierać. Umierać powoli. Czekwały mnie długie dni męczarni i przerażenia, aż moje ciało zacznie gnić, a potem z głodu umrze jądro mojego bytu i w końcu zgasnę jak zdmuchnięty płomień.

Mrugałam, broniąc się przed oślepiającym światłem, a tymczasem cienie przybrały kształty twarzy i ciał. Pierwszą zobaczyłam twarz Zedali. Klęczała obok mnie z ręką na moim czole; to ona odcięła mnie od źródła mocy. Od Luisa.

Podniosła głowę i wtedy dostrzegałam stojącego w pobliżu chłopca mniej więcej w jej wieku. Chłopca Strażnika Ziemi, tego, który zainscenizował tę wymyślną farsę na polu, żeby zmusić mnie do ujawnienia się. Wpatrywał się w nas zimno, wyniośle. Zauważyłam też dwoje innych dzieci - małą delikatną dziewczynkę, która wibrowała energią Ognia, i chłopca o złocistej skórze, z jedwabistymi czarnymi włosami; z niego nie emanowało nic... absolutnie nic.

Było w nim coś przerażającego, zwłaszcza w jego spojrzeniu. Nie mógł mieć więcej niż dziewięć lat, ale to, co się w nim kryło, musiało być prastare, straszne.

Dostrzegłam jeszcze dorosłą kobietę, jedną z nauczycielek, w czerwonej bandanie. Stała z tyłu ze spuszczoną głową i splecionymi dłońmi. Myślałam przez chwilę, że okazywała tak pokorę wobec dzieci, ale uświadomiłam sobie, że ktoś jeszcze tu się znajdował, ktoś, kto stał trochę dalej, gdzieś za moją obolałą głową.

Drżąc, wstrzymałam oddech, kiedy poczułam jej obecność, która ogromną falą przelała się przez pokój. Szukałam Perły. I znalazłam ją.

- Nic nie powiesz, siostró? - Perła powoli wkroczyła w moje pole widzenia. Była wysoka, piękna jak olśniewająca gwiazda, pełna wdzięku; moja niedawna senna wizja dokładnie odzwierciedlała jej ludzkie wcielenie, tyle że grube, jedwabiste czarne włosy teraz upięła w misterne zwoje na czubku głowy, co podkreślało jej długą szyję. W przeciwieństwie do swoich wyznawców była ubrana w bajecznie wzorzyste jedwabie; sunęły się za nią po podłodze, kiedy się przemieszczała. Stopy miała gołe i bardzo kształtne. - Żadnych gróźb? Żadnych przeprosin? Sprawiasz mi zawód. Nie podejrzewałabym, że poddasz się tak łatwo.

Milczałam, skoro ją to drażniło. Coś złego działo się z moją głową, bardzo mnie bolała; prawie na pewno pękła mi czaszka. Poduszka, na której leżała, lepiała się od krwi, czułam jej żelazisty odór. Dostałam silnych mdłości, lecz jakoś je opanowałam. Nie potrafiłam sama się uleczyć, a odcięta od Luisa nie miałam żadnej szansy na przeżycie takiego urazu. Perła o tym wiedziała.

I cieszyło ją to.

Zedała i inne dzieci patrzyły na Perłę z całkowitym oddaniem. Ona tymczasem przeciągnęła swoimi długimi, pięknymi palcami po włosach mniejszej dziewczynki i okazała swoją przychylność, obdarzając ją chłodnym uśmiechem.

- Wiesz, co osiągnęłam, Cassiel? - spytała. - Czy ty rozumiesz, jaka zadziwiająca rzecz się tutaj dokonała?

- Zdeprawowałaś i zniszczyłaś dzieci - odparłam słabym i suchym głosem. - I nic w tym zadziwiającego. Ludzie robią to swoim dzieciom od tysięcy lat. - Przeszył mnie gorący, kłujący ból, napięłam się i krzyknęłam.

Zedala uśmiechnęła się do mnie drapieżnie.

- Nie bądź niegrzeczna wobec Pani. Nie zasługujesz na to, żeby na nią patrzeć. Powinnam ci wydłubać oczy - oznajmiła.

Przez jedną straszną sekundę myślałam, że Perła na to pozwoli; zastanawiała się nad tym, podchodząc do chłopca Strażnika Ziemi, którego pogłaskała po twarzy z leniwą sympatią.

- Nie - powiedziała w końcu. - Najpierw mi pokaż jej właściwą ludzką postać.

Zedala przekrzywiła głowę, utkwiała we mnie wzrok, a w następnej chwili trysnęła z niej moc, jakby tony wody wylały się z przerwanej tamy, moc tak niesłychanie potężna, że powaliła mnie i zatopiła, po czym wirując, rozerwała na części, by po chwili złagodnieć i płynąć wolnym, lepkiem strumieniem.

Poczułam, że się zmieniam. Moje kości roztrzaskały się i na nowo uformowały. Skóra się rozpuściła i potem wygoiła. Krzyczałam; nie mogłam powstrzymać fali agonii; ani pierwotnej, instynktownej odpowiedzi na rozgrywający się horror.

Nie cierpiało tylko moje lewe ramię, od przedramienia w dół. Ciało, pod którym je ukryłam, stopiło się, pozostawiając zimny, błyszczący kikut z brązu, wykonany starannie ze wszystkimi szczegółami, aż po sztuczne linie papilarne metalowych palców. Swojego czasu odcięłam sobie ramię, żeby ocalić życie, i wykorzystując moc dzinna, wykonałam duplikat, a następnie zastąpiłam nim ludzką kończynę. Wyglądało na to, że teraz tylko ono zapewnia mi chwile wytchnienia od bólu, którego Perła i jej dzieci postanowiły mi przysporzyć.

Mogłam poruszać tym metalowym ramieniem.

Kiedy moc Zedali niczym ogień strawiła całe moje ciało, przybyło mi trzydzieści centymetrów wzrostu, a moja skóra znów nabrała barwy kości słoniowej. Podobnie włosy - odrosły i odzyskały swój lodowatobiały kolor.

- Oto cała ty - oświadczyła Perła, wzruszając ramionami. - A przynajmniej twoja ludzka skorupa. Powiedz mi, siostrze, ile czasu minęło, od kiedy byliśmy razem, w naszych normalnych postaciach, jako dżinny? Ludzki czas się nie liczy, nieprawdaż? Tak dawno temu mnie zabiłaś.

Zabiłam ją, a przynajmniej wierzyłam, że to zrobiłam. Jedynie tak mogłam zareagować na jej zbrodnie, które doprowadziły do tego, że Matka Ziemia szalała z bólu. Zniszczyłam Perłę i sądziłam, że wypleniałam wszelkie ślady po niej... lecz coś z niej przetrwało, mocne jak korzenie chwastu. Całe wieki upłynęły, nim odzyskała siły, ale w końcu znowu znalazła się tutaj, fizycznie.

I była bardzo groźna. Śmiertelnie groźna.

- One - powiedziała, całując Zedałę we włosy zaplecione w warkocz - są teraz częścią mnie. Wierzą bezgranicznie w moją sprawę. Rozumieją, jak niebezpieczni są Strażnicy i dżinny. To moi wojownicy. Moje awatary. Moje dzieci. A kiedy przyjdzie kres, a on przyjdzie, Cassiel, na ciebie, na was wszystkich, one przeżyją wraz ze mną. I wtedy z popiołów podniesie się nowa Matka.

Zaschło mi w ustach. -Ty.

- Tak. Oczywiście. Któż bardziej na to zasługuje? Ambicje Perły byty większe, bardziej szaleńcze, niż kiedykolwiek przypuszczałam. Nie chodziło jej o unicestwienie, choć już to było zamysłem niesłychanie zuchwałym; ciągle zamierzała zniszczyć Strażników, ludzi, dżinny, w gruncie rzeczy całe życie, ale planowała więcej. Chciała zabić własną Matkę, ducha życia naszej planety, a potem sama stać się tym duchem.

Zdeprawowanym, zepsutym, złym duchem. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co zrodzi się z niej, kiedy tchnie swoją moc w martwą ziemię - cokolwiek jednak by to było, będzie koszmarną, wynaturzoną i perwersyjną parodią piękna i różnorodności tego świata.

Dżinny nie wiedziały o tym wszystkim. Gdyby to do nich dotarło, gdyby zdały sobie sprawę z niebezpieczeństwa, połączyłyby się, żeby ją zniszczyć, niezależnie od tego, ile by za to zapłaciły. Nawet Ashan zapomniałby o swoich ambicjach.

Miałam teraz nową misję - już nie zabić Perłę, chociaż to był ciągle mój główny cel - lecz przekazać tę wiedzę dżinnom, Strażnikom, wszystkim, którzy mogli chwycić za broń i walczyć. Musiałam więc przeżyć i uciec.

Gdybym tylko mogła.

- Nie będę obrażała ani ciebie, ani siebie, prosząc cię, żebyś się do mnie przyłączyła - ciągnęła Perła.

-Wiem, że tego nie zrobisz. Tkwi w tobie jakiś fundamentalny upór, Cassiel, co nie przynosi ci szczególnego zaszczytu. Podejrzewam, że niektórzy uznaliby to za bohaterstwo, dla mnie to arogancja. Bezpodstawna, moja droga siostrze. Nie jesteś już taka jak dawniej.

- A kto jest?

Roześmiała się, zabrzmiało to jak złociste dzwoneczki, tak cudownie, że z łatwością można było zapomnieć o ponurym zepsuciu w najgłębszych zakamarkach jej istoty. Perła potrafiła uwodzić; to dlatego istniał ten obóz, dlatego te nieszczęsne dzieci naginały się do jej woli. To dlatego dżinny nie potrafiły się zdecydować na wystąpienie przeciwko niej - choć również z powodu swojego wyrachowania.

Nawet na mnie oddziaływała jej siła przyciągania, od chwili, kiedy weszłam do tego obozu.

Roztaczała tu swój urok, zachwycała... i każdy na to reagował. Podejrzewałam, że uległo jej nawet FBI, agenci za bramami ośrodka. Niewykluczone, że wystarczyło jej wyrzucić na nich odpowiedni wpływ, a sami zdecydowali się opuścić pozycje. Wcale by mnie to nie zdziwiło. Już się przestałam dziwić.

Merle się jej oparł. I jak skończył?

Musiałam się uwolnić. Szaleństwo, ale w jakiś sposób musiałam się stąd wydostać.

- Ona coś knuje - stwierdził chłopiec Strażnik Ziemi, osobisty kat Perły, tak jak Zedala była jej osobistym oprawcą. - Będzie próbowała coś zrobić.

- Jeszcze nie teraz - odparła Perła łagodnie. - Jest ranna i sama. Poczeka na właściwy moment. Cassiel jest w tym dobra. Ale ja, moja siostrze, mam znacznie większą praktykę. - Pochyliła się nade mną i musnęła moje usta swoimi gładkimi, wilgotnymi, chłodnymi wargami. Nie ugryzłam jej tylko dlatego, że mnie by to nie pomogło, a jej nawet by nie zabolęło. Dzięki temu dotykowi poznałam prawdę o jej ludzkim wcieleniu: sztucznym, a nie autentycznie ludzkim. Perła nie miała jeszcze takiej mocy, żeby stworzyć kompletne ciało aż do poziomu komórkowego. To była tylko skorupa, choć piękna.

- Jeżeli liczysz na swojego kochanka Strażnika, radziłabym przestać - mówiła, ciągle nade mną pochylona. Jej oczy ziały wielką czernią i połyskiwały jak oliwa. - Nie zostawi dziecka, żeby ratować ciebie. A jeżeli to zrobi, będę miała was wszystkich, no nie? Przybranego ojca... przybraną matkę... i dziecko.

- Nigdy nie dostaniesz Isabel - warknęłam. - Jest teraz wolna.

- Tak sądzisz? - Uśmiech Perły przyprawiał o mdłości, kiedy patrzyło się na nią z bliska, w żadnym razie tak nie uśmiecha się człowiek. Wyprostowała się i spojrzała na Zedale.

- Lepiej mnie zabij - powiedziałam poważnie. - Jeżeli nie, obiecuję, że cię zniszczę. Niezależnie od tego, jaką cenę przyjdzie mi zapłacić.

- Bez mocy nie możesz nic zrobić - powiedziała Perła

- ale zamierzam cię zabić, siostrze. Nie widzę tylko powodu, żeby cię zmarnować. Moje dzieci potrzebują praktyki.

Skinieniem głowy dała znak małemu, czarnowłosemu chłopcu, temu, w którym nie wyczułam żadnego rodzaju mocy właściwej Strażnikom. Wyciągnął palec i dotknął mnie w chwili, kiedy Zedala oderwała rękę od mojego czoła.

Próżnia.

Jego mocą był brak mocy. Żył i oddychał, lecz to, co go wypełniało, zostało odcięte od korzeni życia; istniał, zawieszony w próżni. Kiedy mnie dotknął, zniknęła przepaść między nami i poczułam, że moje żywe organy są rozdzierane na strzępy, gubią się w wirze głodnej pustki. Nawet nie mogłam krzyczeć. Żaden ludzki dźwięk nie odda agonii rozpadających się na atomy komórek, zmienianych w nicość.

To będzie powolne konanie i będę czuła każdą jego sekundę.

Miałam umrzeć w sposób bardziej bolesny, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażałam, śmiercią bardziej absolutną niż jakikolwiek inny jej rodzaj. Taką, która pochłonie cały mój byt duchowy, to, co czyniło ze mnie dzinna. Wymaże mnie.

I kompletnie nic nie mogłam zrobić, żeby ten proces zatrzymać.

12

Ta część mnie, która była dzinnem, która pozostała Cassiel, szemrała już tylko resztkami sił, lecz ten szmer nie chciał umierać. Czułam, jak płynie we mnie srebrzystą nitką, zbierając moc, do której znów miałam dostęp, od kiedy Zedala zdjęła swoją blokadę - ta moc nie mogła

jednak przetrwać w starciu z Próżnią wciągającą mnie z siłą czarnej dziury.

Organy mojego ciała się rozpadały i cała moc zaczęła koncentrować się w moim bezwładnym, metalowym ramieniu.

Nie kierowałam jej tam świadomie; sterował nią instynkt dzinna, pierwotna potrzeba przetrwania.

Moja metalowa kończyzna odkształciła się i zmieniła w metalowe ostrze, a ono rozcięło więzy, którymi przymocowano do łóżka moją lewą rękę i nogę.

I wtedy dzinn we mnie, moje prawdziwe i zimne ja, przeszył ostrzem powietrze, mierząc w cudowną skorupę Perły. Klinga rozplatała jej szyję i ciało zważyło się jak budzący obrzydzenie pusty worek z mięsa - bez organów, kości, mięśni. Tylko ciało. Moc w jego wnętrzu umknęła.

Pozostało tylko echo szyderczego śmiechu.

Co teraz? Wymierzyłam cios i odcięłam palec uciskający moją czaszkę, który był kanałem przewodzącym Próżnię w głąb organizmu.

Chłopiec krzyknął i upadł. Zabrzmiało to jak głos rannego dziecka, a nie czegoś bezwzględnie pustego i przez jedną, fatalną w skutkach sekundę zawahałam się z ostrzem gotowym do śmiertelnego ciosu.

Ta chwila wystarczyła Zedali, żeby przyskoczyć do mnie i złapać mnie za ramię. Eksplozja mocy gorącej jak gwiazda zogniskowała się na metalu, rozgrzewając go i zmieniając w ciekły żużel.

Odrzuciłam ją, ale było już za późno; okazja została zmarnowana. Dziecko Próżnia ciągle kulilo się w szoku, ale pozostali mnie dopadli.

Chłopiec Strażnik Ziemi położył ręce płasko na mojej klatce piersiowej i zaczął napierać, wciskając mnie w metalową ramę łóżka, potem w drewnianą podłogę pokoju, i jeszcze głębiej w ubitą ziemię.

Aż do samej skały.

Byłam jak ślepiec, lecz znów miałam moc, więc rozmiękczyłam skałę, zmieniając ją w luźny, sypki piasek, przez co chłopiec stracił grunt pod nogami. Walczyliśmy zagubieni w ziemi. Próbował wykorzystać swoją władzę i pogruchotać mi kości, ale tu, w moim środowisku, nie przyszło mu to łatwo.

Brakowało mi sił po ataku Próżni i byłam ciągle obolała po tym, co zrobiła mi Zedała. Chłopiec skoncentrował się w końcu na moim słabym punkcie - czułam, jak jego moc naciska na moją popękana czaszkę, próbując ją zgnieść jak skorupkę jajka. Jeżeli udałoby mu się wepchnąć kość do mojego delikatnego ludzkiego mózgu, nic już by mnie nie uratowało. Musiałam stawić mu opór, ale pozostały mi tylko resztki sił, a w ogniu walki nie mogłam wykorzystać Luisa, nie z takiej odległości. Przegrywałam.

Coś przepłynęło obok mnie jak rekin prujący fale i uderzyło w chłopca. W sferze eterycznej ukazało mi się to jako ostre światło o ludzkim kształcie, w chłodnym szarym kolorze, pokryte nieuchwytną, rozmytą aurą typową dla dżinna. Chłopiec walczył z tą zjawą, i przynajmniej na razie byłam wolna. Zaczęłam się przekopywać ukosem przez ziemię, jak najdalej od budynku, gdzie mnie trzymano, i trafiłam na miękką, zaoraną glebę pola uprawnego. Przebiłam się na powierzchnię i poczołgałam do ogrodzenia. Moja czaszka płonęła, wstrząsały mną dreszcze i poruszałam się niemrawo. Straciłam zbyt dużo plazmy i mocy. Niewiele mi pozostało. Moja okaleczona lewa ręka, bezkształtny stopiony kawał metalu, utrudniała przemieszczanie się.

Ktoś próbował mnie złapać i pociągnąć do tyłu. To ścigała mnie Zedała. Użyłam tępej, poskręcanej pałki -kiedyś mojego metalicznego ramienia - i uderzyłam ją z całej siły; upadła z krzykiem.

Dotknęłam chłodnego metalowego ogrodzenia, ale zaczynało mi brakować mocy; mogłam tylko wygiąć ogniwa. Znalazłam się w pułapce.

Poczułam, że pode mną przedziera się przez ziemię ta istota, ni to dzinn, ni to człowiek; nagle wynurzyła się, wyrzucając fontannę ziemi jak gejzer.

Will! To był Will.

Złapał mnie za ramiona w momencie, kiedy ogrodzenie się rozrywało, a stopiony metal rozpryskiwał za moimi plecami, i przeciągnął mnie na drugą stronę. Zedala poderwała się, dzika i wściekła; krew na twarzy podkreślała jej okrucieństwo. Gdy rzuciła się na Willa, wyciągnął rękę do tyłu, skumulował moc w zbitej srebrzystej kuli i cisnął nią w jej klatkę piersiową. Uderzyła w dziewczynkę i przewróciła ją na miękką ziemię. Zedala próbowała ją odrzucić, wymachując rękami, lecz kula wżerała się nieustępliwie i bezlitośnie w jej ciało, aż dziecko znieruchomiało i zamilkło.

Twarz Willa była umazana ziemią i błotem i właśnie w tym momencie rozpoznałam te oczy, szare, beznamiętne oczy. Rozpoznałam nieprzejednaną furję, z jaką właśnie zabił Zedale.

Zwrócił ją teraz przeciwko chłopcu Strażnikowi Ziemi, który wyskoczył na powierzchnię i złapał mnie za włosy. Nie widziałam, co się z nim stało, ale to poczułam: krwawy wybuch w eterze - a potem silne, agresywne kolory chłopca zaczęły blaknąć, w końcu przeszły w czerń.

- Przestań - szepnęłam. - Przestań, Ashan.

- Nie - powiedział i ciągnął mnie dalej. - Trzeba ich zniszczyć. Położyć kres całej tej ohydzie!

- Nie!

Zrzucił ludzkie przebranie Willa, a wraz z nim ciepło i słodycz, tę cudowną, kuszącą iluzję. Był znów księciem starych dzinnów, zimnym, srebrzystym płomieniem

wściekłości, który z trudem utrzymywał się w ludzkim kształcie. Moim bratem. Moim królem. I okrutnym mordercą bez sumienia. Teraz skupił się na chłopcu Próżni, który pędził za nami, zupełnie jak fanatyk, nie zważając na swoje bezpieczeństwo.

Ten chłopiec mógł zabić dzinna. Bez problemu.

- Nie dotykaj go! - wrzasnęłam do Ashana. - Zniszczy cię!

Ashan, który już wyciągnął rękę, żeby rozedrzeć chłopca na pół, odskoczył w ostatniej chwili.

Rozczapierzone palce dziecka otarły się o bok dzinna i na jego ciele pojawiła się czarna bruzda.

Wywinął się, ale jego krzyk bólu sprawił w drganie sferę eteryczną, a w świecie fizycznym połamał gałęzie drzew. Ashan wstał, chwiejąc się na nogach, po czym płynnym ruchem złapał dużą, ciężką, zwisającą gałąź. Zawirował i nabrał impetu, wykorzystując jej ciężar, włożył w to siłę fizyczną i wbił gałąź w chłopca.

Usłyszałam miękki trzask łamanych kości i próbowałam podnieść się na kolana. Udało mi się, ale straciłam równowagę, kiedy chciałam wstać. Trzymając się pnia drzewa, patrzyłam, jak chłopiec - już okaleczony - ciągle prze do przodu, zdecydowany za wszelką cenę zabić Ashana.

- Przestań! - krzyknęłam, kiedy Ashan podniósł gałąź, szykując się do śmiertelnego ciosu. - Ashan, nie, nie w ten sposób...

Nie słuchał. Odwróciłam głowę w ostatniej chwili, ale to nie stłumiło odgłosu uderzenia gałęzi ani ostatniego zdławionego tchnienia chłopca.

- Nie - szepnęłam cicho, bezsilna.

Ashan chwycił mnie i wziął na ręce. Zobaczyłam ostatnie z wybranych dzieci Perły, malutką dziewczynkę, Strażniczkę Pogody; obiema dłońmi przywoływała moc, z przerażającą zręcznością, której nie powinna posiadać w tym wieku. Dojrzałam za nią gromadzących się ludzi, których znałam i lubiłam, uzbrojonych w to, co zdołali

znaleźć. Rzuciliby się na nas i zabili, gdyby tylko mogli. Wściekłość rozprzestrzeniała się jak ogień na wietrze.

Ashan spojrział na mnie i przez sekundę znów widziałam Willa, mężczyznę, z którym połączyła mnie taka mocna więź - a potem Will zniknął i został tylko Ashan.

- Trzymaj się - powiedział i wzniósł się do sfery eterycznej w momencie, kiedy piorun uderzył w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą staliśmy, wypalając w dymiącej ziemi krater głęboki na sześć metrów.

Nie może być co do tego żadnych wątpliwości: nie lubię Ashana. Nawet wśród dzinnów wzbudzał lęk, nie miłość; zasłynął arogancją i mocą. Pochylał głowę, choć niechętnie, przed jednym tylko dzinnem, a kiedy Jonathan został zabity, nie musiał już deklorować lojalności wobec nikogo. Zgłosił swoje pretensje do władzy, a ja nigdy tego nie kwestionowałam, chociaż mogłabym. Podobnie jak Venna, najstarsza z mojego rodzeństwa, ale obie byłyśmy zadowolone z zajmowanych pozycji i pozwoliłyśmy mu cieszyć się potęgą.

Nie znaczyło to, że go lubiłyśmy. Znaczyło tylko, że go szanowałyśmy.

Jednak teraz, kiedy czułam się słaba i krucha, i pokonana, kochałam go i nienawidziłam tak bardzo, że chciało mi się płakać gorzkimi, ludzkimi łzami. Trzymałam się go kurczowo, kiedy płynęliśmy przez mgłę w sferze eterycznej, w pośpiechu oddalając się od obozu. Większość dzinnów nie umiała przenosić ludzi przez eter, nie robiąc im krzywdy, ale Ashan to potrafił, jeżeli tylko chciał.

Co zdarzało się rzadko, a właściwie nie zdarzało.

Wynurzyliśmy się z mgieł i wkroczyliśmy w noc... w gęstą, aksamitną, całkowitą ciemność, z dala od ludzkiej cywilizacji. Migotały gwiazdy, wiatr świstał wśród sosen. Ashan schylił się i położył mnie na posłaniu z liści. W świetle gwiazd ostro rysował się na tle mroku - je-

go oczy stały się intensywnie srebrzyste, a skóra prawie tak jasna jak moja. Wyglądaliśmy teraz jak krewni, tyle tylko, że jego uroda była intensywną urodą dzinna, wyniosłą i surową, a moja była miękka, krucha i zgaszona.

- Udawałeś człowieka, Willa. Po co? - zapytałam.

- Tak jak ty chciałem to zobaczyć - odparł. - Chciałem się dowiedzieć, co ona robi i dlaczego. Nie mogłem polegać na tobie, Cassiel. Kiedyś myślałem, że mogę, ale zaczęło ci na nich za bardzo zależeć. Nie jesteś już taka sama jak Cassiel, którą tu przysłałem.

- Ty też nie. Nie udawałbyś człowieka aż tak dobrze, gdyby ci się nie podobało przebywanie w jego skórze. Sądziłam, że oboje pogardzamy ludźmi.

- Tak było - przyznał. - Ale chyba masz rację. Oboje się zmieniliśmy.

- Przez cały czas wiedziałeś, kim jestem. Poznałeś mnie.

- Nie - zaprzeczył i odwrócił się, żeby spojrzeć na gwiazdy. - Nie wiedziałem na początku. Czulem... coś. Ale dobrze się ukryłaś w swoim przebraniu, równie dobrze, jak ja. Obojgu nam udało się ją chwilowo oszukać. I siebie nawzajem też.

- Już się nam to nie uda.

- Nie, teraz już nie. Nie zwiedziemy jej fałszywą skromnością. Co ci powiedziała?

- To, co już wiedzieliśmy: zamierza nas zniszczyć. Wszystko, co żyje. Nawet Matkę. - Wciągnęłam powietrze, zabolalo, a w ustach poczułam smak krwi. - Zamierza zająć jej miejsce.

To go zmroziło. Rzadko zdarzało mi się widzieć zdziwienie na twarzy Ashana; nigdy nie widziałam, żeby się bał. Jednak tym razem blask, który przez okamgnienie dostrzegłam wokół niego w sferze eterycznej, świadczył o autentycznym lęku. Niemal natychmiast nad nim zapanował.

- Myślisz, że mogłaby? - spytał.

- Nie wiem - przyznałam i przekręciłam się, żeby odkaszląć; poczułam ból w boku i splunęłam krwią.
- Muszę odpocząć.

- Odpoczynek ci nie pomoże - stwierdził Ashan. - Jesteś połamana. - W tym, co powiedział, zabrzmiała nutka uznania, nic więcej, lecz kiedy ukląkł i dotknął mnie, jego ręka była ciepła i niemal delikatna. - Nie ruszaj się.

- Nie potrzebuję twojej pomocy. Uśmiechnął się kpiąco.

- W takim razie powinienem był zostawić cię tam na ich łasce. Należą ci się przeprosiny, Cassiel. Nie zdawałem sobie sprawy, że tak doskonale panujesz nad sytuacją.

W swoim uporze próbowałam odnaleźć Luisa poprzez nasz słabiutki kanał komunikacyjny; poczułam bolesne szarpnięcie i łącze się rozpadło. Przeszył mnie strach i usiadłam, nie zważając na urazy.

- Nie! - Wzniosłam się do sfery eterycznej i rzucałam na wszystkie strony, próbując odzyskać łączącą nas nić, ale zniknęła, ulotniła się.

Luis zniknął.

- Już go nie potrzebujesz. - Usłyszałam głos Ashana w dole, w ludzkim świecie. - To nonsens, żebyś w dalszym ciągu się upokarzała, siostró. Rozumiesz teraz powagę sytuacji i wiesz, co trzeba zrobić. Nie pozwolę, żeby człowiek trzymał cię na postronku, nie teraz, kiedy musisz wykonać swoje zadanie.

Potrafię być litościwy.

Utkwiłam w nim martwy wzrok.

- Przeciąłeś połączenie. - Nie odpowiedział. - Przywróć je, Ashanie. Natychmiast.

- Nie.

- Przywróć je!

- Już dość długo bawiłaś się w człowieka, Cassiel. Dość tego. Zajmij znów swoje miejsce i zrób to, co musisz zrobić.

- Sam to zrób! - warknęłam. Mój gniew miał w sobie coś odrażającego, jakąś koszmarną intensywność. Co więcej, moje ludzkie ciało zaczynało słabnąć i Ashan to wiedział. - Zabij ich sam, jeżeli uważasz, że to tak ważne!

- Nie mogę - odparł. - To mnie zniszczy, a jestem łącznikiem między prawdziwymi džinnami i Matką. To by nas zarało. Przecież zdajesz sobie z tego sprawę.

Nie myślałam o tym w ten sposób, ale miał rację. Ashan, uderzając w ludzi, ryzykowałby doprowadzenie do upadku džinnów i dlatego potrzebował mnie, żebym ja to zrobiła.

Bo ostatecznie mnie mógł poświęcić.

Nagle poczułam, że zmniejszył się ucisk utrzymujący mnie w ludzkim ciele, jakby w dusznym pokoju otworzyły się drzwi. Doznałam ulgi, olbrzymiej, szokującej. Ciało było klatką, więzieniem, a teraz mogłam je opuścić, wznieść się do sfery eterycznej i zostać tam, gdzie moje miejsce. Jeżelibym zapragnęła odwiedzić ten ziemski świat, mogłabym spłynąć w dół jak anioł, kiedy tylko miałabym na to ochotę. Lub porzucić go na zawsze.

Ashan ofiarował mi powrót do wiecznego życia, coś, za czym tęskniłam, czego potrzebowałam.

To było jak skok spragnionego do wody. Zapomniałam, co to za uczucie być tak wolną, tak czystą, tak całkowicie kompletną.

Kusiło mnie to bardziej niż cokolwiek, czego doświadczyłam.

Wciąż się w niego wpatrywałam, wyczytując z tych srebrnych oczu całe wieki historii i niezmierzone odległości przez niego przebyte. Był stary. Bardzo stary. I bardzo potężny. To nas ciągle łączyło. Tak wiele widzieliśmy.

Sądził, że mnie zna.

Ale w tym jednym, w tej jednej prostej sprawie, różniliśmy się absolutnie: ja oddychałam, płakałam, krwawiłam. Żyłam. A on nie, nie w pełni. Nawet kiedy był w obozie, kiedy udawał Willa. Teraz to w nim widziałam,

ten brak empatii i zrozumienia; prawdopodobnie mógłby się ich nauczyć, ale się nie nauczył. Jeszcze nie.

Chciałam odlecieć, poddać się temu miękkiemu, powitalnemu uściskowi wieczności. Chciałam być taka jak kiedyś, wielka, potężna i doskonała.

Wiedziałam jednak, że jakaś częśćka mnie na zawsze pozostanie tutaj, w brudzie, we krwi, w ciężkim ciele. W tym również była siła i moc, czego Ashan po prostu nie potrafił zrozumieć.

To właśnie pozwoliło mi zamknąć drzwi między nami.

- Nie - powtórzyłam raz jeszcze, miękko, lecz sta¹ nowczo. - Nie opuszczę ich. Nie mogę.

Ashan wpatrywał się we mnie zdumiony. Znowu udało mi się go zaskoczyć.

- Nawet żeby nas obronić? Nawet żeby obronić Matkę?!

Milczałam. Przycisnęłam drżącą dłoń do mojego zranionego boku. Przeszył mnie ból ostry jak brzytwa. Najprawdopodobniej złamano mi żebro. Uraz głowy wydawał się teraz nierealny; ciągle czułam krew - spływała strużką po szyi i sklejała mi włosy - ale sam ból zmniejszył się, stał się tępy, pulsujący. Nie wiedziałam, czy to dobry, czy zły znak.

Ashan zastanawiał się nad tym, co powiedziałam. W końcu pokręcił głową.

- Straciłaś rozum - stwierdził. - Jesteś ranna. Miłe z jego strony, że to zauważył.

- Nieważne, czy jestem ranna, czy zdrowa. Nie zabiję ich. Jeżeli chcesz ich zniszczyć, zrób to sam.

- Jedno z nas musi przewodzić, Cassiel. Zawsze się zgadzaliśmy co do tego, że tym kimś jestem ja. Zawsze. A przywódca musi teraz kazać innym ruszyć w bój.

Poczułam zimną falę gniewu, silniejszego niż zwyczajny, ludzki ból spowodowany urazami, i spojrzałam na niego ostro.

- Może czas na zmiany - oświadczyłam. Roześmiał się.

- Nie będziesz przecież ze mną walczyć. Spójrz na siebie. Ledwie się trzymasz, a moją pomoc odrzuciłaś. Cud, że jeszcze w ogóle istniejesz.

Powoli wstałam, bardzo, bardzo powoli. Nie skrzywiłam się, nawet kiedy ból wgrzył się we mnie głęboko; nie pozwoliłam sobie choćby na cień wahania. Nawet na chwilę nie oderwałam od niego wzroku, stojąc o własnych siłach naprzeciwko niego, bez niczyjej pomocy.

Wiatr zginał drzewa wokół nas i zalewało nas bezlitosne światło gwiazd. Cisza wydawała się trwać całą wieczność.

- W porządku, dość - powiedział w końcu Ashan. - Nigdy nie wątpiłem w twój upór. Tylko w twoje możliwości.

- Mam możliwości - odparłam. - I wolę. Niczego więcej nie potrzebuję.

- Nie zamierzam z tobą walczyć. Nie czas na to i miejsce też nieodpowiednie. - Białe usta Ashana wykrzywiły się w krótkim, bardzo chłodnym uśmiechu. - Jeżeli zechcesz łaskawie poczekać, jest wielce prawdopodobne, że już wkrótce zostanę zabity. Żyjemy w niebezpiecznym świecie, Cassiel. I wszyscy zapłacimy wysoką cenę za przetrwanie, o ile w ogóle przetrwamy.

- Nigdy nie słyszałam, żebyś mówił takie rzeczy. - Ashan był egoistą i tchórzem i zapominał o tym tylko wtedy, kiedy należało bronić samej Matki. To sprawiało, że okazywał się mniejszym pesymistą niż cała reszta.

- Nigdy nie żyliśmy w takich czasach - stwierdził spokojnym i beznamiętnym tonem, ale przez to jeszcze bardziej władczym. - Choroba, którą wnieśli do tego świata Strażnicy, może nas zniszczyć; nawet Perła wykorzystuje to, posługując się Próżnią. Czy ty naprawdę wierzysz, że wygramy, nie ponosząc olbrzymich strat, gdy

do zgładzenia nas dąży jednocześnie i Perła, i śmiertelni wrogowie Strażników?

- A to zaskoczenie! W ogóle bierzesz pod uwagę, że to ty możesz być jedną z tych strat?

Odsłonił zęby w niemal prawdziwym uśmiechu.

- David nie ma żadnego powodu, żeby mnie chronić.

- Ani ty jego, choć chyba niezbyt go to martwi. David, przywódca nowych dzinnów, prawdopodobnie przejmował się Ashanem o wiele mniej niż Ashan nim. Podejrzewałam, że gorąca i legendarna miłość Davida do Strażniczki Joannę Baldwin obudziła w moim bracie pogardę i wprawiła go w

zakłopotanie, co objawiło się - jak można się było spodziewać po Ashanie - prawdziwą nienawiścią.

David, sądząc po moich nielicznych z nim spotkaniach, miał jej w sobie niewiele albo nie miał wcale.

Próbowałam pokazać swoją siłę, ale ugięły się pode mną kolana. Moje ciało mnie nie ostrzegło -

poczułam potężny zawrót głowy, po czym uświadomiłam sobie, że osuwam się na ziemię.

Rozłożyłam ręce, żeby się podeprzeć - a raczej moją jedną ludzką rękę i zniekształcony kawał brązu, który obciążał moje lewe ramię - i nie upadłam. Ashan zrobił krok do przodu, złapał mnie i ostrożnie przycisnął, tak że opadłam na kolana. Z trudem oddychałam - moje płuca były ciężkie i mokre, ale udało mi się wycharczeć jeszcze te kilka słów.

- Tak ci się podobam, na kolanach przed tobą. -Rozkaszałam się, a z ust buchnęła mi gorąca krew.

Ashan westchnął sfrustrowany, po czym poczułam, jak przemknęła przeze mnie zimna, srebrzysta moc, od czubka głowy w dół. Próbowałam się opierać, jego dotyk był jednak zniewalający i władczy, a ulga, którą przynosił, tak olbrzymia, że omal się nie rozplakałam. Ale zapanowałam nad sobą. Kiedy Ashan mnie puścił, moje oczy były suche. Zdezorientowana spojrzałam na siebie ze sfery eterycznej.

Głowa ciągle mnie bolała, lecz pęknięta czaszka została scalona, postrzępiona skóra głowy wygładzona, połamane żebra złożone na nowo, a krew w płucach zniknęła. Zlekceważył niezliczone siniaki, ale ogólnie rzecz biorąc, byłam w dobrym stanie, zważywszy na obrażenia, których ostatnio doznałam.

- Mogłem zniszczyć twoje fizyczne ciało - oświadczył. - Ale nie byłem pewien, czy nawet wydając ostatnie tchnienie, zechciałabyś odzyskać należne ci miejsce. To się musi skończyć. Potrzebuję cię, Cassiel. Nie możemy pozwolić Perle podążać tą samą drogą, a ciągle istnieje tylko jeden sposób, żeby ją powstrzymać.

- Ludobójstwo - powiedziałam.

- Zagłada - poprawił mnie. - Coś, co już się dokonało i co dokona się znowu. Po to zostaliśmy stworzeni, żeby bronić Matki. I zrobimy to, z tobą albo bez ciebie.

Wstałam z klęczek.

- W takim razie beze mnie - oznajmiłam, strzepując obiema rękami ziemię z mojego brudnego, bezkształtnego, szarego mundurka... i dopiero w tym momencie uświadomiłam sobie, że odtworzył również moją metaliczną lewą rękę. Podniosłam ją i w świetle gwiazd przyjrzałam się elastycznej skórze dopracowanej w każdym szczególe, sprawdziłam precyzję ruchów moich metalowych palców. Zrobił to lepiej niż ja pierwotnie. Pstryknęłam palcami i to, co poczułam, było absolutnie realistyczne. Gdyby nie ciepły, matowy kolor mojego przedramienia i dłoni, można by je uznać za prawdziwe.

- To prezent - powiedział, wskazując głową moją sztuczną rękę. - I sądzę, że w końcu zrozumiesz, że miałem rację co do ludzi. Byli pomyłką, którą trzeba naprawić.

Wyczułam, że zamierza wznieść się w eter i zostawić mnie.

- Zaczekaj! Moje połączenie z Luisem. Przywróć je.

Spojrzał na mnie i w jego srebrnych oczach dojrzałam ślad mężczyzny, którego polubiłam w obozie. Cień żalu, życzliwości. A potem Ashan mrugnął i to zniknęło.

- Dobrze - zgodził się. - Ale nie będzie ci się podobało to, co zobaczysz. Próbowałem oszczędzić ci bólu.

Zrobiło mi się gorąco i coś trzasnęło - tym razem nie był to odgłos łamania, lecz łączenia - zapłonęło, po czym ostygło i przez kilka sekund nie docierało do mnie zupełnie nic.

Wtem z oddali poczułam ból, który przeniósł się po łączy jak odległy krzyk. Ból, cierpienie, wściekłość, lęk! Otworzyłam oczy i wbiłam wzrok w Ashana.

- Co ty zrobiłeś?

- Nic. Zniszczyłaś najzdolniejszych poddanych Perły. Myślałaś, że tak po prostu odpuści? Jest do ciebie podobna. Kieruje się emocjami.

Szok ustąpił, a pojawił się strach; ciężki i czarny, skręcał wnętrzności.

Ja to zrobiłam. My to zrobiliśmy. Luis został zaatakowany, był ranny, może umierał. Przed oczami mignął mi obraz Manny'ego Rochy, mojego pierwszego partnera Strażnika, dogorywającego pod gradem kul, podczas gdy ja patrzyłam na to z oddali, nie mogąc go uratować. Teraz było to doznanie intensywniejsze, gorsze, bo to, co czułam do Luisa - miłość - sprawiało, że paraliżowały mnie strach i rozpacz.

Musiałam go ratować.

Ashan zaczynał już zanikać.

- Nie! - krzyknęłam i rzuciłam się za nim. Jego kształt z wolna rozmywał się, przeobrażał w mgiełkę. Przez chwilę stał tam, ukazując mi się jako prawdziwy dzinn, jako coś, co nie było przeznaczone dla ludzkich oczu. Musiałam odwrócić wzrok. - Proszę - powiedziałam. - Proszę, zabierz mnie tam.

Proszę, Ashanie. Będę błagać, jeżeli tego właśnie chcesz.

- Nie tego chcę - odparł i poczułam, że się wymyka, przechodzi do sfery eterycznej. Pozostał tylko jego głos, szept niesiony wiatrem. - Chcę, żebyś zapamiętała, co to znaczy być jednym z nich, nie jednym z nas. Gdybyś zdecydowała się połączyć ze mną, mogłabyś teraz go ocalić. Mogłabyś ocalić ich wszystkich.

Zniknął, a ja zostałam sama w nieznanym lesie.

A daleko ode mnie mój ukochany walczył o życie.

Wydałam z siebie krzyk, który strącił liście z drzew, i popędziłam przed siebie.

Przebiegłam może półtora kilometra, kiedy wpadłam na Ashana; stał na mojej drodze lśniący jak księżyc. Spojrzał na mnie dziwnie, jakby mnie nigdy przedtem nie widział.

- Biegniesz - powiedział. - Nie masz pojęcia, gdzie jesteś, a mimo to biegniesz.

Wyczuwałam Luisa, był jak kompas wskazujący drogę. Nie zwolniłam, okrążyłam tylko nieruchomą postać Ashana i biegłam dalej. Nie wiedziałam, jak daleka droga przede mną, wiedziałam tylko, że nie mogę się poddać.

Jeżeli Luis umrze, umrę z nim, w ten czy inny sposób. Chciałam tego.

Znow Ashan stojący obok pnia potężnego, ciemnego drzewa. Byłam mu nawet wdzięczna za to, że się tam pojawił, bo oświetlił gałąź, o którą mogłam się potknąć. Przeskoczyłam ją i pędziłam dalej.

- Nie zdążysz! - zawołał za mną. - Cassiel! Okłamywał mnie. Musiałam wierzyć, że mnie okłamywał.

I biegłam. Biegłam, aż poczułam, że zaraz braknie mi tchu, że cała się trzęsę i oblewa mnie pot.

Biegłam, aż moje mięśnie zaczęły drżeć z wyczerpania. Ashan niczym duch ukazywał się raz po raz w ciemnościach i obserwował mnie bez słowa.

Nie zatrzymałam się, aż do momentu, kiedy nagle w sposób typowy dla dzinna jego postać pojawiła się

dokładnie na mojej drodze, na tyle blisko, że musiałam gwałtownie zwolnić, pomagając sobie rękami, żeby na niego nie wpaść. Złapał mnie w milczeniu, kiedy się zachwiałam, i trzymał, przyglądając mi się uważnie. Był ubrany w nienagannie czysty, szary garnitur, ludzki, ale nieludzko doskonały. Jego oczy, podobnie jak krawat, miały morski odcień błękitu ze srebrzystymi refleksami. Nigdy tak bardzo nie czułam swojego człowieczeństwa jak w tym momencie, kiedy brudna stałam twarzą w twarz z niesamowitą urodą tego, co porzuciłam.

- Dość - powiedział. - Jeżeli musisz się zabić, zrób to w bitwie, a nie... tak. Bezsensownie.

I porwał mnie w przyprawiający o mdłości wir barw, dźwięków, smaków i zjętcałego zapachu śmierci... po czym wyrzucił z powrotem na zimne powietrze, w dym i huk ognia.

Potknęłam się o trupa i upadłam twarzą na zakrwawioną, spulchnioną ziemię.

13

Ciało, o które się potknęłam, było ciałem kogoś, kogo nie rozpoznałam, mężczyzny w ciemnym ubraniu. Miał strzelbę, a także pistolet w kaburze przymocowanej do pasa. Wyciągnęłam pistolet, wzięłam strzelbę, przerzuciłam ją sobie przez ramię, po czym podniosłam się na kolana.

Ashan sprowadził mnie z powrotem do szkoły, ale szkoła zmieniła się nie do poznania. Tonąła w morzu ognia i tylko niewyraźne zarysy ścian pozwalały się domyślać, co się tam znajdowało. Ogień był niesamowicie gorący i gwałtowny, płomienie miejscami wzbijały

się w niebo na piętnaście metrów. Naokoło mnie płonęły drzewa od liściastych koron w dół. Pomyślałam najpierw, że szkoła znalazła się na drodze pożaru lasu, ale to nie miało sensu; byli tu potężni Strażnicy Ognia, którzy powinni umieć zmienić kierunek płomieni, nawet gdyby nie mogli ugasić ognia całkowicie.

Nie, to był atak.

Udany.

Nie słyszałam odgłosu strzału, ale poczułam kulę - rozerwała mi ramię, pozostawiając krwawy ślad. Wydawało mi się, że ktoś dotknął mojej skóry gorącym pogrzebaczem, i przez moment nie w pełni zdawałam sobie sprawę, co się właściwie stało. Ocalił mnie instynkt; rzuciłam się na ziemię i poczołgałam w stronę jedyne go dostępnego schronienia - zwłok, o które się wcześniej potknęłam. Przewróciłam ciało na bok i zwinęłam się w kłębek, zdjęłam strzelbę i rozejrzałam się uważnie w poszukiwaniu napastnika. Nie mogłam usłyszeć strzału, ale dostrzegłam wśród drzew błysk, którego tam być nie powinno - to w ciemnościach zaśniła lufa. Wymierzyłam i strzeliłam, wykorzystując moc Ziemi do naprowadzenia naboju na cel.

Wiedziałam, kiedy kula uderzyła w tego kogoś, wiedziałam, że rozłupała kość, przeszła przez mózg i wydostała się na zewnątrz. Trafiłam w cel. Jeszcze przez chwilę dokładniej analizowałam sytuację. Był to chyba jedyny strzelec, który pozostał na placu boju, albo może ktoś, komu przydzielono zadanie powstrzymania ewentualnych posiłków; nikt więcej do mnie nie strzelał.

Wyczułam natomiast gwałtowne falowanie w eterze i gdy zwróciłam się w tę stronę, zobaczyłam, że drzewa pochylają się, kołyszą, pękają. Coś się do mnie zbliżało, szybko. Coś dużego. Bardzo dużego. Dostrzegłam ciemny kształt, ale nie mogło to być zwierzę; moc, która tym czymś kierowała, nie miała

w sobie życia. Próżnia! Ktoś sterował przemieszczającą się przez las kulą próżni. Pożerała wszystko, czego dotknęła, i toczyła się wprost na mnie.

Nie potrafiłam z tym walczyć, a na ucieczkę było za późno. Poderwałam się, zrobiłam trzy długie kroki i zebrałam siły. Niedaleko mnie sterczał pień martwego drzewa. Popędziłam ku niemu, wspięłam się i stawiając ostatni krok, skierowałam energię w nogi, po czym skoczyłam.

Dokładnie w momencie, kiedy zawisłam w najwyższym punkcie skoku, piętnaście metrów nad ziemią, czarna kula natarła na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą leżałam. Po chwili wylądowałam w kucki na gałęzi wysokiego drzewa. Kula zawahała się, przez moment krążyła w pobliżu, aż wreszcie pomknęła dalej. Znalazła inny cel i usłyszałam czyjś krzyk.

Szybko zdławiony.

Czubek mojego drzewa płonął, ale dobrze stąd widziałam spustoszenie, którego dokonano w warowni Strażników. Atak rozerwał na strzępy metalowe ogrodzenie wokół budynku, lecz to sam budynek został uszkodzony najbardziej - betonowe ściany były roztrzaskane, części drewniane spalone i wydawało się, że płonie każde pomieszczenie szkolne i to tak intensywnie, że niczym nie przypomina normalnego pożaru. Płomienie podsycił Strażnik Ognia dysponujący niezwykłą mocą i siłą koncentracji... jeden ze stronników Perły, jak się domyślałam. Czułam w powietrzu mroczne drganie jej mocy, chociaż jej samej nie udało mi się zlokalizować.

Jej zwolennik, który kierował Próżnią, był wyraźnie mniej uzdolniony, bo po kilku chwilach czarna kula zakołysała się, uderzyła jeszcze w kilka nieszczęsnych drzew, po czym nagle raptownie się skurczyła, zrobiła małeńką jak łebek od szpilki i zniknęła z trzaskiem wybuchu głośniejszym niż huk ognia. Zeskoczyłam z drzewa i zaczęłam szukać pozostałych bojowników Perły.

Zamiast nich dostrzegłam Strażniczkę; rozpoznałam ją, chociaż nie wiedziałam, jak się nazywa. Machała do mnie jak oszalała. Wyłoniła się zza krzaków i zrzuciła bardzo, ale to bardzo dobrą zasłonę, pod którą się maskowała. Pognałam do niej, pochyłona, i kiedy wskoczyłam za krzak, zobaczyłam, że towarzyszy jej sporo ludzi, w tym większość Strażników pracujących w szkole. Prawie wszyscy byli ranni albo wycieńczeni walką.

- Dzięki Bogu - powiedziała. Trzymała przy boku zakrwawiony bandaż i uśmiechnęła się do mnie szczerze, choć nerwowo. - Jestem Gayle.

Skinęłam głową, obrzucając wzrokiem zmęczone twarze.

- Gdzie reszta? - Było zbyt mało dzieci i ani śladu Luisa i Ibby. Uśmiech Gayle zgasł; obejrzała się na morze płomieni szalejących w miejscu, gdzie stała szkoła.

- Nie mogliśmy do nich dojść. Marion, Janice, Luis, Shasa, Ben, co najmniej pięcioro dzieci.

Próbowaliśmy, ale atakowano nas - wyjaśniła. - Musieliśmy ratować tych, do których zdołaliśmy dotrzeć. Tak mi przykro.

Nie powinnam ich za to winić, a jednak w tym momencie zalała mnie fala czystej nienawiści.

Zostawiliście ich, skazaliście na śmierć, myślałam rozgoryczona. Gayle musiała wiedzieć, co czuję, musiała zobaczyć żar w moich oczach, ale się nie przestraszyła, co dobrze o niej świadczyło. Może po prostu była zbyt zmęczona i zbyt poważnie ranna.

Odwróciłam się i utkwiałam wzrok w płonących ruinach. Adrenalina i strach wytrąciły mnie z równowagi, lecz uspokoiłam się i słuchałam - wsłuchiwałam się w ten cichutki szmer, który nigdy nie ustawał, w delikatne, a jednocześnie mocne jak stal połączenie z Luisem.

Czułam przedziwne rozedrganie emocji, nie moich emocji.

Żyje. Żyje i gdzieś tam jest.

Spojrzałam na Gayle.

- Są w środku - powiedziałam. - Musimy ich wydostać.

Popatrzyła na swoją wycieńczoną, ranną grupkę, na skulone, przerażone dzieci, które Strażnicy mieli za zadanie chronić.

- Nie mogę. Przykro mi, ale musimy się skoncentrować na tych maluchach. Nie możemy tam wrócić.

Pomaga mu tylko jedna żyjąca Strażniczka Ognia, a ona odniosła poważne rany.

Nie mogłam nic zarzucić jej logice ani ocenie sytuacji, ale nie byłam skłonna tak łatwo pogodzić się z porażką. Nie wtedy, kiedy chodziło o życie tych, których kochałam.

- Więc osłaniajcie mnie - poprosiłam. Dałam jej strzelbę, a ona fachowo sprawdziła magazynek; dodało mi to pewności siebie.

- Powodzenia - powiedziała. - Jeżeli zdołasz ich wyciągnąć, skierujcie się na wschód do drogi pożarowej. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w ciągu najbliższych dwudziestu minut powinien przyjechać transport ratowniczy, ale nie będziemy czekać na was zbyt długo, gdyby miało to zagrozić tym, którzy są już z nami.

Wstałam i, pochylona, ruszyłam biegiem wokół szkoły. Z tej strony ogień nie był tak intensywny - część ściany wydawała się nienaruszona, choć ciężki jak żelazo szary dym wydobywał się przez rozbite okna. Na zewnątrz, obok drzwi, na gołej ziemi leżały skulone, przytulone do siebie dwa małe ciała.

Podbiegłam do ogrodzenia, ciągle w większości nietkniętego, rozerwałam je mocą Ziemi i zostawiłam otwarte, po czym podniosłam dwójkę dzieci i odciągnęłam je od budynku. Z trudem je rozpoznałam; twarze miały pokryte grubą warstwą sadzy, ale dostrzegłam ja-skrawoczerwone, płomienne włosy Gillian. Więcej czasu

zajęło mi zidentyfikowanie chłopca - oczywiście musiał to być Mike, nieodstępujący jej towarzysz i opiekun.

Nie żył. Obejrzałam go całego, żeby zyskać pewność, i wypróbowałam wszystkie znane mi metody, chcąc przywrócić chłopcu życie, ale jego duch odszedł, a ciało nie reagowało. Był bardzo poparzony, miał spalone płuca. Mike, Strażnik Ognia, został pokonany przez płomień, które próbował sobie podporządkować.

Uratował jednak Gillian - bez wątpienia kosztem własnego życia. Była nieprzytomna i zatruta dymem, lecz żyła. Wlałam w nią moc, po czym wyskoczyłam przez ogrodzenie i przekazałam dziewczynkę Gayle, a ona położyła ją obok innych rannych dzieci.

Drzwi do wnętrza budynku były zamknięte i piekielnie gorące, ale w oknie, przez które musiały uciec dzieci, nie buzowały jeszcze płomienie - wylewała się przez nie tylko gęsta, czarna rzeka dymu.

Wspięłam się i weszłam do środka. Dym owinał się wokół mnie jak gorący, duszący materiał i natychmiast padłam na podłogę, licząc na to, że znajdę tam powietrze nadające się do oddychania.

Znalazłam, ale była to cieniutka warstwa i smakowało toksynami. Niewiele widziałam poza kłębam szarości i oślepiającymi językami ognia na przeciwległej ścianie; po chwili uświadomiłam sobie, że jestem w bibliotece. Książki na drugim końcu pokoju płonęły. Plastikowe krzesło i stół stały pośrodku, a żar bijący od ognia topił je, nadając surrealistyczne kształty. Czołgałam się, czując, jak lepi się podę mną syntetyczny chodnik. On też rozpuszczał się pod wpływem gorąca. Oddychanie stało się coraz trudniejsze, w miarę jak zbliżałam się do drzwi w przeciwległej ścianie pokoju; płomienie wlewały się tamtędy, ale poruszały się po suficie i tylko częściowo atakowały ściany. Ciągle miałam szansę, choć nie było to bezpieczne.

W korytarzyku natknęłam się na kolejne ciało -Strażnika. Rozpoznałam młodego Bena. Postrzelono go trzykrotnie, dwa razy w plecy i raz w tył głowy. Był martwy. Czołgałam się dalej, nie wiedząc, czy odnajdę pozostałych. Wiedziałam tylko, że Luis nadal żyje i że jest gdzieś w tym piekle.

Musiałam go znaleźć. Nie mogłam go zostawić samego.

W końcu korytarzyka wisiała kurtyna potwornie gorących płomieni - gorących i dziwnie ukierunkowanych. Skoncentrowanych. Napastnicy Perły tutaj skupili swoje wysiłki, na pewno nie bez powodu.

Ktoś prowadził odważną, upartą obronę.

Instynkt nakazywał mi nie pchać się w największe płomienie, ale wyczuwałam wrzawę mocy, która unosiła się nad pożarem. To nie był zwykły ogień; to była broń w ręku mistrza.

A po drugiej stronie prowadzono równie mistrzowską obronę.

Nie dysponowałam mocą, którą mogłabym przywołać, aby się ochronić przed poparzeniem, lecz nawet nie przeszło mi przez myśl, żeby się wycofać. Za tą grubą ścianą zniszczenia był Luis. A Isabel z nim.

Nie mogłam ich zostawić.

Powinłam była przyjąć ofertę Ashana. Jako dzinn wkroczyłabym do bitwy ze znacznymi atutami... ale ryzykowałabym utratę tego, co sprawiało, że tak bardzo chciałam walczyć. To, co straciłam w tym świecie, uczyniło mnie jego częścią; dzinny nie miały takich powiązań. Nie te dzinny, które znałam, nie ten dzinn, którym byłam.

Chęć pozostania człowiekiem przeważyła nad chęcią posiadania potężnej mocy. Musiałam znaleźć sposób działania. Kucnęłam, zbierając siły, i zamknęłam oczy.

Po czym rzuciłam się w płomienie.

Lęk przed ogniem to uczucie pierwotne; nie sądziłam jednak, że ten strach będzie tak mocno zakodowany w komórkach mojego ciała, ale w chwili gdy poczułam syczące płomienie na włosach i ubraniu, mój przerażony organizm zaczął pracować na najwyższych obrotach - uwolnił potężną dawkę adrenaliny i stłumił ból. Świat się skurczył, pozostał tylko jeden, ostateczny cel: biec. I biegłam, prosto przed siebie i szybko, przez huczący, wściekły żar. Nawet mimo uśmierzającego działania adrenaliny poczułam jakby z oddali smagnięcie bólu, kiedy zajęło się moje ubranie i zaczęło na mnie płonąć. Każdy krok do przodu wydawał się trwać wieczność. A przecież nie mogło upłynąć więcej niż kilka sekund, kiedy natknęłam się na barierę w miejscu, gdzie ogień już nie gorzał. Była to kamienna bariera nie do przebycia, wzniesiona z kośćca samej Ziemi. Nie mogłam się zatrzymać. Pobrałam od Luisa olbrzymią dawkę mocy, która z przygniatającą siłą zalała kamień na mojej drodze, wprawia go w falowanie i stopiła. Było to niezwykle niebezpieczne, czułam, że z drugiej strony ktoś wywiera nacisk na barierę, chcąc mnie zablokować. Kamień stwardniał i stanęłam w obliczu koszmaru: mogłam zostać uwięziona w tej skale, zamknięta w niej, zgnieciona... a wtedy nacisk ustąpił i wpadłam w gorące, zadymione powietrze, które wydawało się zimne jak lód w zetknięciu z moim poparzonym ciałem. Upadłam na tłącą się drewnianą podłogę i potoczyłam po niej. Ktoś narzucił na mnie gruby koc i poczułam uderzenia wielu rąk próbujących zdławić płomienie. W tym samym czasie ktoś inny skierował potężną moc o sile eksplozji na kamienną ścianę, przez którą przeszłam, żeby na nowo szczelnie ją zamknąć. Kiedy zdjęto ze mnie koc, natychmiast zobaczyłam Luisa. Jego oczy rozszerzyły się, a usta rozchyliły albo

z przerażenia, albo ze zdziwienia - albo z obu tych powodów naraz, zważywszy na to, w jakim byłam stanie - lecz pomógł mi usiąść i przytulił mocno. Poziom adrenaliny opadał równie szybko, jak przedtem się podnosił, przejmujący ból jednak ustąpił, kiedy zaczęła działać uzdrowicielska moc Luisa.

Nie tylko jego moc... również moc Isabel. Ona też była przy mnie, jej rączka spoczywała na moim ramieniu. Dwa typy mocy o skomplikowanych sygnaturach, tak różne jak gatunki wina, zmieszały się w moim wnętrzu i ich potężna wspólna eksplozja sprawiła, że moje komórki błyskawicznie ozdrowiały.

Przygarnęłam ich oboje do siebie, drżąc z szoku i wdzięczności, i poczułam, jak ramię Isabel otoczyło moją szyję. O, dziecinko. Cudowna dziecinko. Pocałowałam szybko Luisa i położyłam rękę na jego nieogolonym policzku.

- Ben nie żyje - wyrzuciłam z siebie. - Chłopiec, Mike, też nie. Gillian się uratowała, wyniosłam ją za ogrodzenie. Gayle ukryła się z innymi poza terenem szkoły, czekają na transport.

- A tu jest niemal cała reszta - powiedział Luis. - To stało się tak szybko. Nie wiem jak; Bena musieli zabić pierwszego, kiedy tylko zaczęły się fajerwerki. Chcieli nas tu wszystkich spalić.

Ja tak nie myślałam. Rozejrzałam się po tych, którzy siedzieli lub leżeli w tym małym pomieszczeniu, gdzie przyszło im się bronić. Marion, ciągle na wózku inwalidzkim, spojrzała na mnie szybko, odrywając się na moment od utrzymywania bariery zagradzającej drogę żarłocznemu ogniowi.

- Dzięki, że się do nas przyłączyłaś. Ale to chyba nie najlepszy pomysł. Nie radzimy sobie zbyt dobrze -oznajmiła.

Tak, sytuacja wyglądała źle. Ziemia potrafiła bronić się przed Ogniem, ale niedługo. Umiejętności Bena,

Strażnika Pogody, były ich największą szansą; mógł sprawić, że powietrze byłoby ciągle świeże i czyste, mógł też pozbawić ogień pożywki, jeżeli miały dość czasu i mocy.

Starsza Strażniczka Ziemi, Janice, zajmowała się dziećmi; skupiły się wokół niej, szukając pociechy.

Uśpiła dwoje z nich, zapadły w nienaturalnie spokojny sen.

- Nie możemy pozwolić im wpaść w panikę - powiedziała, kiedy nasze oczy się spotkały.

Tak, oczywiście. Gdyby te nadzwyczajne dzieci straciły kontrolę nad swoimi umiejętnościami, stałyby się dla nas śmiertelnym zagrożeniem.

Isabel pociągnęła mnie za rękaw. Popatrzyłam na nią czule, ale i z niepokojem i pocałowałam w czoło, lecz pociągnęła mnie jeszcze mocniej.

- Jesteśmy w tarapatach - szepnęła mi do ucha, kiedy się pochyliłam.

- Wiem, Ibby.

- Nie, jesteśmy w prawdziwych tarapatach.

- Możesz przejść przez ogień i wydostać się na zewnątrz?

- Jasne - odparła, wzruszając ramionami. - Nie mogę jednak wyprowadzić nikogo innego. Pozwolą mi wyjść, już mi to powiedzieli. Pozwolą też Sanjayowi i Eljahowi. I nikomu więcej. Ja nie zostawię wujka Luisa.

- Może będziesz musiała. Może będziesz musiała wziąć tych dwóch chłopców i odejść, jeżeli ci pozwolą.

Spojrzała na mnie przeciągle, poważnie.

- Chcą, żebyśmy właśnie to zrobili. Chcą, żebyśmy wrócili do Pani.

Uścisnęłam ją mocniej. Pomyślałam o Zedali i o innych dzieciach fanatykach; Ibby, Sanjay i Eljah byliby doskonałymi zabójcami, gdyby Perła dalej ich indoktrynowała. Nie wolno mi do tego dopuścić.

Ale przynajmniej by żyli. W przeciwnym wypadku mogło dojść do tego, że na moich oczach umieraliby straszną śmiercią.

Odwróciłam się do Luisa. Szedł do Marion, bo poprosiła go o pomoc. Utykał, a na nogawce jego spodni widniała duża plama krwi. Rana od kuli, ale jakoś sobie radził.

Ben został zastrzelony, od tyłu, przez kogoś, komu musiał ufać. Śpieszył do Marion, żeby się do niej przyłączyć albo ją ostrzec.

- Ibby, kiedy powiedziałaś, że jesteśmy w tarapatach, nie miałaś na myśli ognia, prawda?

- Widziałam, jak go zastrzeliła - wyszeptała cicho i z napięciem. - Nie wiedziałam, jak temu zapobiec.

Powinnaś mi była pokazać, co trzeba zrobić, żeby kule nie wybuchały; może bym zdołała ją powstrzymać i nie zabiłaby Bena. Ale było za późno. Nie mogłam przywrócić mu życia. Nikt inny tego nie widział i nie sądzę, że ona wie, że ja wiem.

Rozejrzałam się po pokoju i mój wzrok padł na Shasę; siedziała z dłońmi zwróconymi wnętrzem do góry, w stanie głębokiej koncentracji. Wysyłała fale kontrolujące ogień, ale ktoś, kto kierował go przeciw nam, był silniejszy. Drżała i pocila się z wysiłku i z gorąca.

- Nie ona - szepnęła Ibby. - Ona.

Odwróciłam się i napotkałam wzrok Janice Worthing - tyle że w tym momencie nie był on ani spokojny, ani życzliwy, lecz obojętny, zimny. Poczułam, że coś we mnie znieruchomiło i ucichło.

Od dawna to wiedziałam na jakimś poziomie świadomości. Czułam się nieswojo w towarzystwie tej kobiety, chociaż wszystko i wszyscy zadawali kłam złemu przeczuciu. Uświadomiłam sobie, że powinnam była usłuchać głosu drzemiącego we mnie dżinna, cynicznego i nieufnego, który nie uległ naciskom i nie pozwolił dać się oczarować subtelnym wykorzystywaniem mocy.

Janice Worthing była zdrajczynią w samym sercu szkoły i nikt jej nie podejrzewał, nawet Marion. Zastanawiałam się, jak długo czekała, żeby uderzyć: Miesiące? Lata? Mogła być jednym z wcześniejszych przechrztów Perły albo po prostu wynająć się do tej pracy. Nawet teraz nie sprawiała na mnie wrażenia osoby głęboko wierzącej... raczej najemnika.

Trzymała w ramionach małego Elijaha, najmłodsze z dzieci. Wprowadziła go w głęboki, nienaturalny sen; na pozór tuliła go delikatnie i opiekuńczo, lecz nagle dojrzałam w tym co innego.

Elijah stał się tarczą.

- Puść mnie - powiedziałam do Ibby. Pokręciła głową. - Ibby, puść mnie i idź do wujka. Nie chcę, żeby ktoś cię skrzywdził. - Sytuacja była pod wieloma względami o wiele bardziej niebezpieczna niż cokolwiek innego, co mogło się zdarzyć... Zdrajczyni była tu zamknięta razem z nami, w tym ostatnim punkcie rozpaczliwego oporu, gotowa w każdej chwili uderzyć. Zastanawiałam się, dlaczego jeszcze tego nie uczyniła, i chyba wiedziałam. Nie śmiała uderzyć, nie mając pewności, że uda się jej zabić wszystkich pozostałych Strażników jednym ciosem - Marion, Luisa, Shasę, a teraz doszłam jeszcze ja, komplikując jej plan. Misja Janice musiała polegać na tym, żeby zebrać dzieci posiadające najpotężniejszą moc i dostarczyć je żywe Perle.

Zebrała je. Pozostawało jej tylko zabić resztę i w ten sposób zapewnić sobie zwycięstwo.

Uwolniłam się z uścisku Isabel i wskazałam palcem Luisa.

- Zostań z nim - nakazałam.

Cofnęła się z szeroko otwartymi oczami, ani na chwilę nie odrywając wzroku od Janice.

Janice lekko przechyliła głowę i zobaczyłam w jej oczach, że zrozumiała. Wiedziała, że ja i Ibby przejrzałyśmy ją. Farsa dobiegła końca.

- No cóż. Dobre było, dopóki trwało. - Wyciągnęła rękę w stronę Luisa; rana po kuli w jego udzie otworzyła się nagle i trysnęła z niej fontanna jaskrawoczerwonej krwi. Ibby, zaszokowana i przerażona, odsunęła się odruchowo, jakby się bała, że krew ją ochłapie. Luisowi wyrwał się zduszony krzyk, po czym chwycił udo i ścisnął je obiema rękami. Marion obróciła swój wózek, podjechała i położyła rękę na jego dłoni. Niebezpiecznie się dekoncentrowała, a jak zauważyłam, kiedy wyjeżdżałam ze szkoły, już wtedy była zmęczona. Musiała zostawić Luisa, kiedy nastąpił kolejny atak na kamienny mur, który wzniosła; krwawienie się wzmoгло i Luis osunął się na podłogę. Ibby podbiegła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie, nie, Isabel, nie jesteś w dostatecznie dobrej formie, żeby robić takie rzeczy - zawołała Janice i wyczułam, że energia, którą wysyłała, delikatnie się zmieniła. Jej moc otarła się o mnie i żołądek podszedł mi do gardła; było w niej coś złego, wynaturzonego... ale nie kierowała jej na mnie, lecz na Isabel. Dziewczynka krzyknęła i upadła na podłogę obok swojego wujka, zwijając się w ataku podobnym do tego, którego świadkiem byłam wcześniej.

To Janice go wywołała. Z premedytacją.

Warknęłam i rzuciłam się na nią. Mój instynkt - dzin-na i człowieka - domagał się, żebym ją zabiła... ale nie mogłam. Trzymała ręce na szyi Elijaha, a chłopiec, uspiiony, nie mógł się bronić.

- Obedrę cię ze skóry - oświadczyłam z upiornym opanowaniem. - Obedrę cię ze skóry i rzucę ją świniom na pożarcie na twoich oczach. Przestań zadawać im ból.

- Wycofaj się, to przestanę - warknęła Janice. - Ej, Marion, ani kroku dalej. Nie zmuszaj mnie, żebym zaczęła przersedzać stadko.

Marion wyglądała groźnie, ale zatrzymała się. Czułam, że zbiera moc, przygotowuje się do ataku, lecz podobnie jak ja, znalazła się w bardzo trudnej sytuacji.

Dopóki dzieci były skupione wokół Janice, my mieliśmy związane ręce.

Shasa się zdekoncentrowała, kiedy w końcu dotarło do niej, że coś się dzieje. Otworzyła oczy, zaskoczona, i spojrzała na Janice spod zmarszczonych brwi.

- O co tu, do diabła, chodzi? - Dopiero w tym momencie uświadomiłam sobie, w jak wielkim stopniu moc Shasy tłumiała żarłoczny ogień; przez maleńkie szczeliny w kamieniu napłynął dym, a sama skała pękała i trzeszczała pod naporem gorąca. Bariera Marion nie mogła przetrwać długo bez pomocy Strażnika Ognia. - Janice? Co ona wygaduje?

- Drobiazg - odparła Janice tym ciepłym, kojącym głosem, który uspił czujność tak wielu i kazał im jej zaufać. - Jest zdrajczynią, Shas. Jest jedną z nich. Zostawiła nas, żeby im przekazać informacje, a teraz wróciła, aby dokończyć dzieła. To ona na nas to sprowadziła, a my wpuściliśmy ją do środka.

Brzmiało to na tyle prawdziwie, że rozproszyło uwagę Shasy na jeszcze jedną krytyczną chwilę... i wtedy Janice wyciągnęła rękę i klepnęła Strażniczkę Ognia po ramieniu. Zwykle, lekkie klepięcie, ale wyczułam zimny powiew mocy, która zniewoliła dziewczynę.

Shasa upadła, a oczy uciekły jej w tył głowy. Nagle wydała się krucha i słaba, jak połamana lalka.

Nasze linie obronne, pozbawione wsparcia jej mocą, zaczęły się wokół nas rozpadać i przemieszczać pod naciskiem sił zewnętrznych.

Sił Perły.

Spojrzałam na Luisa, był blady, dygotał; zdjął pasek i owijał go wokół uda, próbując spowolnić upływ krwi. Isabel leżała na podłodze obok niego, trzęsąc się i skrzęcając z bólu w szponach ataku i ten widok podsycił moją wściekłość.

Odwróciłam się do Janice.

- Połóż Elijaha. Już - rozkazałam. - Albo cię zabiję. Nie jesteś dla mnie żadnym przeciwnikiem.

- Masz rację - odparła i obdarzyła mnie swoim słodkim uśmiechem dobrej babci. W tym momencie wolałam fanatyzm Zedali; przemoc i okrucieństwo Janice były zimne i wykalkulowane i to czyniło je jeszcze bardziej przerażającymi. - Ale przecież mam pewne atuty, no nie? Jeżeli chcesz, żeby Luis przestał krwawić i żeby Ibby przeżyła ten ostatni atak... usuń się na bok. Mogę wstrzymać szturm. Możemy zorganizować pokojową wymianę: te dzieci za wasze życie.

- I twoje.

- No cóż - wzruszyła ramionami - to naturalne, że ktoś musi z nimi wyjść i się nimi opiekować. A ja jestem jedną z najlepszych. - Jej uśmiech zrobił się nieprzyjemny. - Nawet Marion tak powiedziała. Marion nie odezwała się ani słowem, lecz jej spojrzenie mogłoby roztrzaskać skałę. Nigdy nie widziałam, żeby człowiek patrzył na coś z tak nieprzejednanym gniewem. To był rodzaj wściekłości, którego Strażnicy próbowali unikać, bo doprowadzał ich do ostateczności niezrozumiałej nawet dla dzinnów. To, co się stało -począwszy od wykorzystania jej współczucia dla dzieci po gigantyczne, nieprawdopodobne nadużycie zaufania, którego dopuściła się Janice - głęboko ją zraniło.

- Cassiel chyba nie ma racji - powiedziała w końcu, bardzo cicho. - Obdarcie ze skóry jest dla ciebie zbyt łagodną karą, Janice. Będę musiała pomyśleć o czymś... lepszym.

Uśmiech zupełnie zniknął z twarzy Janice.

- Nowa Matka zabije was wszystkich w sposób tak straszny, że wam w ogóle nie przyszłoby coś takiego do głowy, nie mówiąc o wypróbowaniu tego na mnie - warknęła. Uświadomiłam sobie z ponurym rozbawieniem, że Perła nadała sobie tytuł. Jakież to do niej podobne. - Nie

bądźcie głupi. Pozwólcie mi zabrać dzieci. Pozwólcie mi odejść. Mogę zagwarantować, że przeżyjecie, aby lizać swoje rany.

- Kłamie - stwierdziła Marion. - Nie zamierza pozwolić żadnemu z nas wyjść stąd żywym.

- A ja nie zamierzam jej pozwolić żyć - oświadczyłam. - Pat.

Janice się roześmiała.

- Czy aby nie robi się tu coraz cieplej, a może tylko ja tak to odczuwam?

Robiło się. Kamień wokół nas pękał i kruszył się pod bezlitosnym naporem ognia. Dym napływał cienkimi strużkami przez szczeliny, sprawiając, że powietrze stawało się coraz cięższe i coraz bardziej przytłaczające. Zdałam sobie sprawę, że oddycham szybciej i głębiej. Pożar szalejący na zewnątrz zatrzuwał powietrze i bez Strażnika Pogody, który mógłby je oczyścić, pozostało nam niewiele czasu, nawet jeżeli wcześniej nie dosięgnie nas ogień.

Janice nie mogła się ze mną równać, w każdym razie nie pod względem siły; dlatego potrzebowała Elijaha i innych dzieci. Ludzkie tarcze. Każdy z nas w takiej sytuacji zawahałby się przed użyciem całej swojej mocy; Janice, Strażniczka Ziemi, zabiłaby dziecko z koszmarną łatwością, zanimbyśmy zareagowali.

- Gdybym miała Gillian, można by rozwiązać ten mały problem - powiedziała Janice. - Możecie za to winić Bena. Stracił hart ducha.

Ben. Strażnik Pogody. Nagle zrozumiałam, kto urządził na mnie zasadzkę w postaci lawiny błotnej, kiedy wracałam do szkoły, zanim... Ben; to musiał być on. Janice zwerbowała go albo został tak jak ona umieszczony w sercu szkoły... ale zmienił zdanie. Pomyślałam, że prawdopodobnie z powodu dzieci. Widziałam go wśród nich - wydawał się naprawdę poruszony ich losem.

Ja byłam dla niego łatwym i właściwym wrogiem. Dzieci nie.

Został zastrzelony, kiedy pomagał Mike'owi i Gillian w ucieczce... a w każdym razie Gillian. Było coś honorowego w takiej śmierci.

- Niemożliwe, żebyś tego chciała - powiedziałam. -Widziałam, jak pracujesz z dziećmi. Nie jesteś okrutna, Janice. Troszczysz się o nie. Przecież nie możesz chcieć, żeby je wykorzystano, zdeprawowano, zmieniono w zabójców.

- Nie sądzisz, że one już są zabójcami? - Janice dotknęła czoła Elijaha, a potem Sanjaya. Chłopcy się poruszyli, wyglądali na oszołomionych. Znów zmieniła ton i mówiła tak jak zazwyczaj, ciepło, uspokajająco; tym razem jednak w jej głosie zabrzmiał strach i błagalna nuta. - Potrzebuję was, chłopcy. Musicie bronić siebie nawzajem, a także mnie.

Sanjay spojrział na nią ufnie, z absolutnym oddaniem.

- Przed czym, proszę pani?

- Przed nimi. - Ruchem głowy wskazała Luisa, Marion i mnie. - Przed naszymi wrogami.

I jak dobrzy żołnierze, których Janice musiała z nich zrobić bez wiedzy Marion, Sanjay i Elijah poderwali się i stanęli przed nami z identycznym wyrazem determinacji na twarzach.

Gotowi walczyć i umrzeć za sprawę.

- Nie - wyszeptała Marion. Była przerażona i czuła się głęboko zdradzona. Mogłam to zrozumieć... Tak jak inni dała się zwieść mocom Janice. Janice miała rzadką umiejętność: potrafiła wpływać na ludzi, a to przysłużyło się sprawie Perły dużo lepiej niż potężniejsze, bardziej oczywiste talenty. W taki czy inny sposób zmanipulowała absolutnie wszystkich. Byłam gotowa się założyć, że

zgrupowanie tych dzieci w szkole, chociaż wtedy mogło się to wydawać logiczne, także było pomysłem Janice.

Podczas gdy Marion skupiała się na leczeniu fizycznych obrażeń dzieci, Janice prowadziła zupełnie inną kampanię... systematycznie je indoktrynowała tuż pod nosem strzegących ich Strażników. Nawet Luis, którego przestrzegłam przed zdrajcą, tego nie zauważył.

Ja również mimo swojego cynizmu i podejrzliwości wskazałabym ją jako ostatnią. Coś w niej po prostu nie pozwalało na żadne uzasadnione wątpliwości.

- Sanjay, Elijah - powiedziała Marion - nie róbcie tego. Nie jesteśmy waszymi wrogami. Wasi wrogowie są na zewnątrz. To oni chcą skrzywdzić nas wszystkich.

- Nieprawda - zaprzeczyła Janice. - Ona was okłamuje. Ci ludzie na zewnątrz próbują się do nas przedostać. Uratować nas. Musimy im pomóc.

- Ona ma rację. Oni próbują nas uratować - odparł pewny siebie Sanjay. - A ty chcesz nas skrzywdzić.

- Nie, skarbie, nie. - Cierpienie Marion było wyraźnie widoczne, ale nie działało uspokajająco; chłopcy zbliżyli się do Janice, szukając u niej otepiającego, łagodnego ciepła, którym emanowała.

Tylko Ibby się wyłamała, najprawdopodobniej dlatego, że widziała Janice bez maski, kiedy zabijała Bena. - Proszę, nie róbcie tego. Wiecie, że próbujemy wam pomóc. Zawsze próbowaliśmy.

Jej argumentacja nie miała szans ich przekonać. Obaj, Sanjay i Elijah, doświadczyli bólu podczas leczenia, a byli zbyt młodzi i zbyt słabi, żeby zrozumieć, że musieli cierpieć. Janice, czyniąc z nich posłusznych sobie żołnierzy, dokonała dobrego wyboru, bo nawet ja, z całym swoim pragmatyzmem, nie wystąpiłabym przeciwko nim, chyba że zostałabym do tego zmuszona. Zbyt małe i stanowczo zbyt potężne dzieci to zabójcza kombinacja.

Nagle Marion skierowała na chłopców impuls mocy, żeby ich uspić, ale Elijah odepchnął go z łatwością, pogardliwie. Nie powinna tego robić, choć gdyby jej się powiodło, może byśmy sobie poradzili. Teraz jednak wszelkie wątpliwości, jakie chłopcy prawdopodobnie mieli, rozwiały się, ponieważ potraktowali to jako atak na siebie.

Elijah z miażdżącą siłą skierował moc na nas. Bez problemu ją zatrzymałyśmy, Marion i ja; to była nasza specjalność.

Ale był inny problem.

- Padnij! - wrzasnęłam i przewróciłam wózek Marion w momencie, kiedy Sanjay podniósł rękę.

Płomień buchnął z obicia fotela, ale udało mi się wyciągnąć Marion i ogień tylko lekko przypalił jej ubranie.

- Muszę podtrzymać mur! - krzyknęła do mnie i zobaczyłam na jej twarzy cierpienie i wściekłość. - Nie mam już podzielnej uwagi, jestem zbyt zmęczona. Musisz się z nimi rozprawić sama, Cassiel.

Zrób to szybko.

Elijah chyba to usłyszał, bo zaatakował nas ponownie, a właściwie nie nas, tylko Luisa i Ibby, rannych i bezbronych. Rzuciłam się do przodu i zwróciłam moc chłopca przeciw niemu. Natarła na niego w postaci gorącego, złocistego rozbłysku; cofnął się zaskoczony, ale go nie powaliła.

Przeturlałam się, by umknąć wiązce mocy wyemitowanej przez Sanjaya - rozbiła się o kamień - i wpadłam prosto pod kolejną wysłaną przez Elijaha, która owinęła się ciasno wokół moich kości, próbując je roztrzaskać. Chłopiec mógł mnie zgnieść na miazgę w jednej chwili, zanim zdołałabym podnieść rękę w swojej obronie... lecz coś mu przeszkodziło.

Isabel. Leżała na boku z szeroko otwartymi oczami, z twarzą upiornie bladą, zlaną potem. Choć słaba i przerażająco bezbronna, wyrzuciła z siebie wystarczająco duży impuls mocy, żeby osłabić uścisk, w którym trzy-

mał mnie Elijah. Wystarczająco duży, żebym się oswobodziła i odrzuciła chłopca.

Elijah z Sanjayem wypracowali doskonałą strategię... nie potrafiłam skutecznie przeciwdziałać atakom Sanjaya, musiałam robić uniki, a to wytrącało mnie z równowagi i stawałam się podatna na ciosy Elijaha, które wprawdzie bym odparowała, ale pod warunkiem, że daliby mi chwilę na przygotowanie.

A nie dali. Wcześniej czy później musiałam popełnić błąd, a wtedy by mnie dopadli. Obaj.

Potrzebowałam Luisa, lecz on był jeszcze słabszy niż Isabel; krwawienie z nogi nie ustawało - opaska, którą założył, spowolniła je, ale go nie powstrzymała. Ani Marion, ani ja nie miałyśmy czasu ani miejsca, żeby zastosować jakieś leczenie, a on stracił zbyt wiele siły, żeby próbować leczyć się samodzielnie. Zresztą Strażnicy Ziemi byli znani z tego, że źle zarządzali własną mocą.

Wytrzymaj, szepnęłam przez nasze łącze. Błagam, wytrzymaj.

Mamy asa w rękawie, odparł cichutko. Trzeba go wykorzystać.

Na początku nie zrozumiałam, o co mu chodziło, ale za chwilę stało się to jasne, kiedy Luis pogrzebał w swojej kieszeni i wyciągnął małą pękatą buteleczkę zamkniętą czarnym gumowym korkiem.

Położył kciuk na korku, by ją otworzyć. Chciał uwolnić Raszida i kazać mu nas uratować.

- Nie! - krzyknęłam. - Luis, nie rób tego! Wydawał się zdziwiony. Pokręcił głową. Zaczynał mieć problemy z koncentracją z powodu utraty krwi, widziałam to w jego mętnych oczach.

- To jedyny sposób - powiedział. - Potrzebuję jego pomocy.

- On cię zabije! Nie jesteś teraz zdolny kontrolować dzinna!

Nie słuchał. Rzuciłam się na niego. Cofnął się, ale nie miałam czasu, żeby się z nim siłować, musiałam mu szybko odebrać butelkę; zacisnęłam pięść, skierowałam impuls mocy Ziemi w mięśnie mojego ramienia i zadałam cios w szczękę, elegancki prawy hak, po którym głowa odskoczyła Luisowi do tyłu, a on sam się zatoczył.

Wypuścił butelkę, ciągle zakorkowaną. Złapałam ją, nie pozwoliłam jej sobie odebrać i wróciłam na środek pokoju. Naprzeciwko mnie jeden z kamiennych murów wzniesionych przez Marion rozpadł się pod wpływem siły napierających płomieni i falująca ściana ognia przedarła się przez dziurę, połykając chłodniejsze powietrze naszego małego schronu. Marion wzdrygnęła się, ale nic już nie mogła na to poradzić. Podczołgała się do Shasy, odpierając atak Elijaha, i obudziła ją w momencie, kiedy przez otwór wpadła olbrzymia, rozpalona do białości kula ognia. Rzuciłam się do Luisa i Ibby, zakrywając ich sobą, gdy tymczasem kula rozkwitła nad naszymi głowami, napełniając pokój żarem nie do wytrzymania i oślepiającym światłem.

Shasa usiadła, wrzasnęła ze złości, stłumiła ogień do małej kuleczki plazmy, złapała ją i wyrzuciła przez dziurę na drugą stronę. Wyczułam, że znów wzniosła swoją tarczę, i udało się jej powstrzymać atak przynajmniej na najbliższe kilka sekund.

Sanjay skierował swoją moc przeciw Marion, która usiłowała odbudować kamienną barierę.

Isabel wywinęła się spode mnie, wstała i chwiejąc się na nogach, zagroziła mu drogę.

- Nie! - krzyknęła Marion. Za późno: Isabel wyemitowała tak potężną dawkę mocy, że wstrząsnęła nawet moimi zmysłami dżinna. Sanjay wyleciał w powietrze, po czym wpadł na Janice, zanim udało mu się zebrać dostatecznie dużo mocy, żeby odpowiedzieć na atak. - Nie, Cassiel, powstrzymaj ją! Nie jest gotowa, to ją zabije! -

Zacząła się dusić i kaszleć, bo powietrze nie nadawało się już do oddychania.

Zdawałam sobie sprawę, że wszystkim nam grozi śmierć, ale zabrakło mi oddechu, żeby to powiedzieć. Nawet próba wciągnięcia gęstego, cuchnącego, gorącego powietrza w płuca wymagała wysiłku. Rozpadała się cała szkoła i wydawało się, że w naszym bezpiecznym kręgu czeka nas teraz śmierć jeszcze bardziej powolna i okrutna.

Spojrzałam na butelkę w swojej ręce i podniosłam się na kolana. Luis z trudem próbował wstać, wycierając krew z twarzy. Niewiele sił mu pozostało. Na pewno nie dość, żeby kontrolować takiego dżinna jak Raszid, uwięzionego wbrew jego woli.

Raszid pewnie i mógłby nam pomóc, ale jak to dżinn nie cierpiał, żeby go do czegokolwiek zmuszano. Nawet jego szacunek dla mnie i chłodne uznanie dla otaczających mnie ludzi mogły okazać się zbyt małe.

Mógł równie dobrze pozwolić nam umrzeć - ze zwykłej, nieludzkiej potrzeby zemsty. Byłoby to dla niego łatwe. Bardzo łatwe.

Nie powinnam mu dać do tego powodu.

Rzuciłam zamkniętą butelkę na podłogę, po czym chwyciłam odłamek skalny. Luis, domyślając się, co zamierzam zrobić, machnął swoją osłabioną ręką, ale nie zdążył mnie powstrzymać.

Rozbiłam butelkę kamieniem i poczułam powiew ni to wiatru, ni to mocy. To coś przemknęło po nas jak fala uderzeniowa. Otarło się jak westchnienie.

- Nie - wyszeptał Luis. W jego oczach ukazały się łzy. Osunął się na podłogę, przyciskając policzek do skały. - Cass, dlaczego? Dlaczego ty go?...

- Nie miałam wyboru - odparłam, dusząc się, i upadłam obok niego. Nawet Janice, osłabiona, przyklękła, lecz Elijah i Sanjay ciągle byli groźni, ciągle działali. -Nie można go zmuszać.

Raszid, nasza ostatnia deska ratunku, się nie pojawił. Mijały sekundy, okrutne, beznadziejne. Isabel upadła; Shasa też; odrzuciłam kamień, poczołgałam się do Ibby i wzięłam ją w swoje omdlałe ramiona. Moc wrzała we mnie bezsilnie. Nie mogłam nic zrobić. Próbowałam rozmiękczyć kamień pod nami, stworzyć drogę ucieczki, ale nasi wrogowie o tym też pomyśleli. Znaleźliśmy się w pułapce.

Wykorzystując swoją moc, Elijah zaczął rozbijać ściany. W walce z Marion to on okazał się silniejszy i wygrywał.

- Poddajcie się - wydusiła Janice między napadami kaszlu. Oczy miała przekrwione i podkrążone, z trudem łapała resztki powietrza. Przestała już emanować ciepłem i spokojem, została w niej tylko desperacja i wściekłość. - Dlaczego się po prostu nie poddacie? Naprawdę myślicie, że możecie wygrać?

Ja się nie poddawałam, bo nie mogłam. Pomyślałam, że Janice, najemnik w głębi duszy, nigdy nie miała szans zrozumieć, że pewne bitwy są zbyt ważne, żeby się wycofać, bez względu na ich cenę. Postawiłam na Raszida, może naiwnie. Ufałam dzin-nowi, bo sama kiedyś byłam dzinnem, a przecież wiedziałam, że nie miał żadnego obowiązku ani powodu nam pomagać. Luis był bezwzględny, lecz chyba miał rację, trzymając Raszida w niewoli.

Nie, zrobiłam to, co trzeba.

Umrę, robiąc to, co trzeba.

Umrę obok Luisa, z Isabel w ramionach. Przynajmniej będziemy razem.

Przez pokój przemknął nagle podmuch świeżego powietrza, słodkiego i zimnego - wciągnęłam je łakomie, wygłodzona, bezsilna. Płuca Luisa również zafalowały; i Isabel też. Wszystkich nas to pokrzepiło i dało nam jeszcze kilka bezcennych chwil.

Niestety wzmocniło także Sanjaya; wystarczyło mu to, żeby rozpałił na swojej małej dłoni potężną i zwartą kulę ognia. Cisnął ją we mnie.

Nie miałam szans się usunąć ani zmienić jej kierunku. Sięgnęłam po moc Ziemi, próbując utworzyć kamienną tarczę, ale Sanjay działał błyskawicznie i zupełnie mnie zaskoczył.

Luis wskoczył między mnie a kulę i przyjął cios na siebie.

Płonąca plazma uderzyła go w pierś i rzuciła nim jak szmacianą lalką o popękana, dymiącą ścianę.

Krzyknął i wstrząsnęły nim konwulsje. Próbowałam do niego podejść, lecz Sanjay wypuścił kolejny strumień mocy. Tym razem udało mi się wznieść kamienną zasłonę i zablokować atak, ale Luis...

Leżał bez ruchu, bezwładny jak potracone zwierzę na poboczu drogi.

Krzyknęłam przeraźliwie; poczułam w ustach krew i jeszcze coś ostrego. Dopadłam chłopca, złapałam go za ramiona i przygniotłam do ziemi. Był straszliwie rozpalony, jak w śmiertelnej gorączce. Położyłam rękę na jego czole i zdołałam powściągnąć moc, którą w niego wlewałam, choć instynkt kazał mi zabić, ukarać... Ale to nie chłopca należało zabić, lecz starą kobietę z przyklejonym do ust kpiącym uśmiechem, która przyglądała mi się zza tarczy zakładników. Doskoczyłam do niej, a wtedy Elijah machnięciem ręki odrzucił mnie na bok jak natrętną muchę i zamierzył się na mnie dłonią niczym ostrzem noża, chcąc zadać cios w szyję. Czułam w nim czystą, brutalną siłę, rozciąłby moje ciało i zmiażdżył kości, zabiłby mnie bez cienia litości.

Coś zatrzymało jego rękę.

Raszid.

Wspaniały garnitur dzinna i krawat kłóciły się z dziko wykrzywionymi ustami i ogniem w oczach, srebrzystych

i gorących jak płomienie pożerające ściany wokół nas. Trzymał Elijaha za ramię i patrzył na mnie, leżącą na podłodze, ogłuszoną.

- Wstawaj - powiedział. - I niech ci się nie wydaje, że wyrównaliśmy rachunki, Cassiel. Twój mężczyzna jest mi winny tak dużo, że ten dług będzie spłacało kilka pokoleń.

- Wiem - odparłam, podnosząc się na nogi. - Czy powietrze to dar od ciebie?

- Nie mogłem pozwolić, żebyś umarła, zanim zbiorę owoce. - Raszid spojrział na chłopca, który usiłował mu się wyrwać. - Ten mały jest silniejszy, niż myślałem.

- A Raszid panował nad nim bez widocznego wysiłku. Imponujące.

- Nie rób mu krzywdy - poprosiłam.

- Naprawdę myślisz, że jestem aż tak okrutny? - Raszid świetnie udawał urażonego, ale wiedziałam, że urażony nie był; znałam go na tyle dobrze, że zdawałam sobie sprawę, iż nie zawahałby się przed niczym, niezależnie od tego, jak bardzo moralnie odrażające byłoby to w oczach człowieka. - Spokój, dziecko. Dość. - Dotknął opuszką palca czoła Elijaha i ciało chłopca zwiotczało. Raszid położył go na podłodze i podał mi rękę. Nie byłam aż tak dumna, żeby nie przyjąć jego pomocy.

- Luis - powiedziałam z przerażeniem, dopiero teraz zaczynało do mnie docierać, co się stało. - Luis został uderzony...

- Tak. - Raszid się nie poruszył; nawet nie spojrział w stronę leżącego Luisa. Chciałam popędzić do niego, ale kiedy mijałam Raszida, złapał mnie i przytrzymał.

- Poczekaj. - Podniósł spiczasty palec, żeby mnie uciszyć - była to bardziej groźba niż zwykła gestykulacja

- po czym pokazał mi Luisa, który siedział, wpatrując się w czarną na obrzeżach, wypaloną w koszuli dziurę,

miała około dwudziestu pięciu centymetrów średnicy. Skóra, którą odsłoniła, wyglądała normalnie i nie była uszkodzona.

Tym razem sobie tego nie wyobraziłam. Jego płomienne tatuaże poruszyły się niczym snujące się, drgające nerwowo cienie, a potem znów znieruchomiały.

Luis dotknął przypalonych brzegów tkaniny i spojrzał na mnie, otwierając usta ze zdumienia.

- Co się stało? - spytał. Był ciągle blady i wyglądał na chorego, a przecież powinien nie żyć. Kula plazmy Sanjaya uderzyła go z pełną siłą i jako Strażnik Ziemi nie potrafił się przed tym obronić.

Jako Strażnik Ziemi.

Luis, czy chciał to przyznać, czy nie, demonstrował właśnie swoją drugą, jakże istotną moc.

Widywałam to od czasu do czasu, czułam, dotykając tych ciemnych tatuaży, ale nie rozumiałam, co to było. Wiedziałam natomiast, że tym razem ocaliło nam obojgu życie.

- Jak widzisz, nie potrzebuje mojej natychmiastowej pomocy. Nie mówię, że bym mu ją zaoferował - powiedział Raszid.

- Ciągle krwawi - zauważyłam.

- Przeżyje. A poza tym to nie mój problem. Właściwie się tego spodziewałam.

- Możesz nam pomóc się stąd wydostać?

Ładna, nieczłowiecko ostra twarz Raszida odprężyła się i niespodziewanie pojawił się na niej czarujący uśmiech.

- Za odpowiednią zapłatą, oczywiście. Zagrożone było życie zbyt wielu ludzi, żeby tak ze sobą pogrywać.

- Uwolniłam cię - powiedziałam i wytrzymałam jego spojrzenie. Nie przychodziło mi to łatwo, kiedy wwierały się we mnie te gorące, srebrzyste oczy. - Uwolniłam cię i to dostateczna zapłata, Raszidzie.

Nie przeciągaj struny.

- I ty też nie, przyjaciółko. Pewnego dnia będziesz mnie potrzebowała bardziej niż dziś.
Rozejrzałam się wokoło - popatrzyłam na rozpadającą się skorupę, która do tej pory zapewniała nam bezpieczeństwo; na Shasę, ciągle jakimś cudem ostatkiem sił trzymającą ogień na wodzy; na Marion podpierającą kruszącą się kamienną barierą; na Luisa, Isabel, inne dzieci.

- Jeżeli będę cię potrzebowała bardziej niż teraz, to myślę, że nawet twoje umiejętności okażą się zbyt słabe - oświadczyłam.

Raszid przekrzywił głowę, jakby się zdziwił, i skinął na znak zgody.

- Czekaj na mnie - powiedział i przeszedł przez kurtynę płomieni. Ogień nie zagrażał dżinnom. Wręcz dodawał im sił. Dżinny zostały zrodzone z ognia dawno, dawno temu; to dlatego od czasu do czasu nazywano nas demonami. Ale byliśmy mniej od nich skomplikowani.

A jednocześnie dużo, dużo bardziej.

Chaotyczny atak na nas w końcu się załamał. Ogień, który przestał być kierowany przez kogoś, kogo łączyło z nim specyficzne powinowactwo, dogasł sam; od lat był podsycany w sposób nienaturalny. Tu i ówdzie płomyki migotały w popiołach, ale na ogół pozostał tylko dym, a i on szybko się rozproszył.

Raszid wrócił, ciągnąc za sobą dwa ciała. Nie znałam żadnej z tych osób, zresztą Raszid nie pozostawił wiele, po czym można by je rozpoznać. Rzucił mi je pod nogi jak kot, który przynosi swoją zdobycz właścicielowi, i popatrzył na Janice.

Prawie o niej zapomniałam. Powoli przesuwiała się w stronę, gdzie rozpadła się kamienna ściana. Bez wątplenia zamierzała wymknąć się, podczas gdy my byliśmy zajęci czym innym.

Niosła obu chłopców na biodrach.

Raszid spojrział na mnie.

- Twoja? - zapytał.

- Moja - odparłam. - Dziękuję.

- O, doliczę to do rachunku. Później o tym porozmawiamy. Na osobności. - Znów wyszczerzył zęby w uśmiechu, po czym zerknął na Luisa. - Z tobą też policzę się później, Strażniku.

Luis nawet nie próbował odpowiedzieć. Tylko pokręcił głową. Spojrzałam na niego; cierpiał, wymagał leczenia, i to szybko. Raszid nie zamierzał mu pomóc, zresztą, kiedy się do niego odwróciłam, wyparował w drgającą ciemność, zniknął.

Marion machnęła do mnie ręką.

- Zaopiekuję się Luisem - obiecała. - A ty zajmij się nią.

Rozluźniłam ramiona i podeszłam do Janice. Usiłowała dostać się do wyjścia, ale bez trudu sobie z nią poradziłam. Gniew czynił mnie szybką i dziką.

- Ciągle mogę ich zabić - ostrzegła. - Niewiele trzeba. Przecież wiesz.

- I niewiele trzeba, żeby zabić ciebie - stwierdziłam. - Zrobiłabym to szybciej, niż ty zdołałabyś stąd wyjść. Nie chcę, żeby chłopcom stała się krzywda, ale jeżeli do tego doprowadzisz, będzie to twój wybór. Moim celem jest cię powstrzymać.

- Za wszelką cenę? - spytała. - Naprawdę?

- Tak. - W tym momencie, bardziej niż w kiedykolwiek od chwili zamieszkania w ludzkim ciele, poczułam się dzinnem. - Przysięgam ci, że nie wyjdiesz stąd żywa, jeżeli nie położysz tych chłopców spokojnie na podłodze.

Janice zadrzała. To, co zobaczyła w mojej twarzy, przstraszyło ją i zmusiło do posłuszeństwa.

Schyliła się, ostrożnie położyła Sanjaya, a potem Elijaha, wyprostowała się i podniosła ręce do góry w geście poddania.

- W porządku - powiedziała. - Położyłam ich. Umowa stoi?

- Stoi - zgodziłam się. Po czym w sferze eterycznej okręciłam moc wokół jej szybko bijącego serca. Próbowала mnie powstrzymać, lecz pozbawiona swojego uroku, była dużo słabsza, niż się spodziewałam.

- Nie powiedziałam, że pozwolę ci wyjść stąd żywą. Tylko że nie wyjdiesz żywa, jeżeli nie zrobisz tego, co każę. Nie umiesz pertraktować.

I wtedy ją zabiłam.

Okazałam o wiele więcej litości, niż na to zasługiwała.

Marion była bardzo słaba, ale jej moc połączona z moją wystarczyła, żeby uleczyć ranę Luisa - postrzępioną dziurę w tętnicy - przynajmniej na tyle, żeby mógł się poruszać bez ryzyka. Niestety stracił mnóstwo krwi. Przyspieszyłyśmy jej produkcję, nie zapowiadało się jednak, że Luis prędko wróci do zdrowia. Ale był przytomny, stabilny i mógł chodzić, chociaż sztywno; był w stanie o wiele lepszym, niż się spodziewałyśmy.

Na jego podbródku pojawił się siniec. Potarł go, kiedy pomagałam mu wstać.

- Do cholery, dziewczyno, nie musiałaś wyrażać swojego zdania aż tak mocno.

- Nie było czasu na kulturalną dyskusję. A poza tym zasłużyłeś sobie na to - stwierdziłam.

Westchnął.

- No tak, jakbym trochę zasłużył. Ale więcej tego ode mnie nie usłyszysz. Wszystkiemu jest winna utrata krwi.

Wrócił mu humor, z czego bardzo się cieszyłam. Podtrzymałam go, dopóki nie stanął o własnych siłach, po czym chciałam się odsunąć.

Nie pozwolił mi. Położył ręce na moich ramionach i przyciągnął mnie do siebie.

- Złożyłaś nasze życie w ręce dzinna - powiedział -licząc na jego dobrą wolę.
- To lepsze niż liczyć na jego posłuszeństwo - odparłam. - Podstępem zamknąłeś go w butelce. To nie był jego wybór. A pomoc nam, tak. Musisz ufać dzinnom, Luisie. Nie możesz ich zmuszać, żeby były tym, czym ty byś chciał, żeby były.

Mówiłam oczywiście o Raszidzie, ale poniekąd i o sobie. Wiedział o tym.

- Ciągłe mnie nienawidzisz? - spytał. - Nie mów, że tak nie było. Czułem to. Wiem, jak bardzo zabolalo cię to, co zrobiłem. To, co powiedziałem, oczywiście też, ale przede wszystkim to, co zrobiłem. Nie chciałem tego, Cass. Naprawdę.

- A ja nie chciałam cię opuścić. Proszę, uwierz w to. Kiwnął głową i spochmurniał.

- Znalazłaś ją?

- Tak.

- Osłabiłaś?

- Trochę. Nie dość. Absolutnie nie dość.

- Zrobisz to.

- My to zrobimy.

- Tak. - Pocałował mnie w czoło z taką czułością, że stopiło to resztki lodowatego bólu drzemiącego gdzieś we mnie. - Zrobimy.

Pozostawiliśmy za sobą ruiny.

Innych Strażników spotkaliśmy, kiedy szli na wschód, do drogi pożarowej... obdarta, brudna, poharatana gromada. Nikogo już więcej nie stracili. Ktoś zapytał o Janice. Nikt z nas nic nie powiedział o jej śmierci poza krótkim stwierdzeniem faktu. Zastanawiałam się, jak zareaguje Marion. Ona bardziej niż ktokolwiek inny popełniła katastrofalną pomyłkę, ufając Janice, pozwalając jej na tak nieograniczony dostęp do swoich najwrażliwszych podopiecznych. Bardzo jej to ciążyło-widzieliśmy to: ramiona

jej opadły, a na twarzy pojawiły się nowe zmarszczki. Udało mi się wyciągnąć z ruin jej wózek, jednak silnik elektryczny został zniszczony, a nikt nie miał tyle energii, żeby go naprawić. Jechała skalistą ścieżką, popychając wózek siłą mięśni, z maską obojętności na twarzy. Sama ze swoimi myślami i niepowodzeniami.

Jakimś cudem zginęło tylko jedno dziecko: Mike, na którego natknęłam się obok budynku. Gillian była w rozpacz; polubiły się z Isabel i teraz maszerowały razem, trzymając się za ręce.

Zastanawiałam się, jak się to stało, że nawiązały przyjaźń. W ogóle nie wydawały się do siebie podobne.

Ale ludzie często mnie zadziwiali.

Szliśmy krętą ścieżką. Strażnicy zachowywali się nadspodziewanie cicho, porozumiewali się szeptem i gestami. Zatrzymywaliśmy się w równych odstępach czasu, żeby policzyć obecnych.

Tuż przed dojściem do drogi pożarowej przystanęliśmy na ostatnie liczenie. Luis i ja byliśmy razem; nie dotykaliśmy się, ale czuliśmy się sobie bliżsi niż kiedykolwiek od momentu podjęcia decyzji o przywiezieniu Isabel do szkoły. Nadal nie wiedziałam, czy był to błąd, czy zło konieczne; wydawało się, że dziewczynka czuła się lepiej, choć uczestniczyła w rozpaczliwym boju na śmierć i życie.

Możliwe, że zabiegi Marion pomogły, mimo to ciągle przerażały mnie ataki, które Ibby miewała, podobnie jak pesymistyczna ocena jej szans na długie życie.

Rozejrzałam się, szukając Isabel, ale za nami była jakaś inna dwójka dzieci.

- Ibby!

Ktoś mnie uciszył. Gayle przeszła obok mnie, szybko przeliczając obecnych. Wróciła i ze zmarszczonym czołem zaczęła liczyć raz jeszcze.

Ogarnął mnie strach, poczułam ucisk w żołądku.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Dwoje brakuje - wyjaśniła. - Nie widziałam, żeby ktoś został.

Ja też nie i to mnie zaalarmowało. Byłam czujna. Jeżeli ktoś rzeczywiście opuścił naszą grupę, zrobił to, maskując się, i to bardzo dobrze.

Wymieniliśmy z Luisem spojrzenia; rozumiejąc się doskonale, ruszyliśmy w przeciwnych kierunkach, przyglądając się twarzom. Kiedy doszłam do końca kolumny, odwróciłam się i pobiegłam z powrotem. Spotkaliśmy się w połowie drogi i instynktownie padliśmy sobie w ramiona.

- Nie ma jej - wydyszał Luis. - Ibby zniknęła. Ta druga dziewczynka też. Gillian.

Gillian, która była tak zrozpaczona. Odeszły z własnej woli czy zostały porwane?

- Musimy ich szukać. Nie ma ich dopiero od piętnastu minut, od ostatniego liczenia. Nie mogły zająć daleko-stwierdził Luis.

Gayle złapała go i przytrzymała.

- Hej! - syknęła. - A uchodźcy i ranni? Nie wiemy jeszcze na pewno, czy są bezpieczni! Nie możemy latać po lesie i wrzeszczeć!

Odepchnął ją, ale musiał przyznać, że zresztą też, że miała rację.

- I co z tego? - warknął. - Ktoś ją zabrał! Nie zamierzam tak po prostu machnąć na nią ręką!

- Może uda nam się ją namierzyć w sferze eterycznej - powiedziałam spokojnie. - Nie wiemy, czy została porwana, Luisie. Wcale tego nie wiemy.

Próbowałam go przygotować, bo nie wierzyłam ani przez moment, że Ibby zabrano niepostrzeżenie wbrew jej woli. To dziecko tak łatwo się nie poddawało; już raz została porwana i byłam przekonana, że nigdy więcej nie da się zabrać bez protestów. Poza tym znajdowała się w środku grupy, a nikt nie zauważył zniknięcia ani jej, ani Gillian.

Odeszła z własnej woli, obojętnie dokąd. I wzięła ze sobą Gillian.

- No więc? - szepnęła Gayle. - Nie możemy czekać. Muszę ich stąd zabrać. Tutaj jesteśmy narażeni na atak.

- Idźcie - powiedział Luis. - Bez nas. Przytaknęłam.

Odłączyliśmy się od reszty; Gayle zmarszczyła brwi, po czym poprowadziła grupę dalej w ciemność. Wkrótce zostaliśmy sami w mroku, bezradni, znów tylko we dwoje.

Luis przykuśtykał do mnie, kiedy stojąc nieruchomo, lustrowałam wzrokiem ciemny, zimny las.

Ogień w szkole zgasł, a w każdym razie dogasał w posępnych popiołach; noc była głucha, czarna, bezksiężycowa.

- Chodźmy - powiedział i utykając, wszedł z powrotem na nasz szlak. - Może nam się uda trafić na ich ślad, tam gdzie się odłączyły od grupy.

Nawet nie drgnęłam.

Po kilku krokach Luis przystanął i się obejrzał.

- Cass?

- Zostań tam, gdzie jesteś - szepnęłam. - Nie ruszaj się.

Usłyszałam wśród drzew delikatny szmer śmiechu.

- Dobra jesteś, muszę przyznać - odezwał się kobiecy głos. Natychmiast go rozpoznałam. - *Mira*, ale smakowity kąsek. Twój?

Luis chciał się odwrócić, lecz Esmeralda - dziewczy-na-wąż - wyskoczyła z ciemności z oszałamiającą, gadzią prędkością i owinęła się wokół niego. Sycząc i obnażając zęby jadowe, uniosła swoją ludzką połowę, piękna i przerażająca. Luis walczył, ale Esmeralda była zbyt silna fizycznie, żeby z nią wygrał... a kiedy próbowałam przerwać ten uścisk, moja pochodząca z Ziemi moc odbiła się od dziewczyny, nie robiąc na niej żadnego wrażenia, bo przecież Esmeralda była częścią tej mocy. Żeby udało się ją zamknąć w obecnej formie i odebrać jej siłę,

musiał zginać dzinn; to tylko dowodzi, jak niezwykle była kiedyś potężna i niebezpieczna. Mogłabym ją pokonać, ale nie kiedy trzymała Luisa jako zakładnika w tych umięśnionych, napinających się zwojach. Zmiażdżyłaby go, zanim zdołałabym go uratować.

- Bardzo smakowity - powiedziała i pochyliła głowę, żeby spojrzeć Luisowi w oczy. - Masz dobry instynkt, dzinnie. To nie królik. Raczej tygrys.

Luis próbował czegoś - nie wiem czego, ale to nieważne; Esmeralda zauważyła pierwsze oznaki koncentrowania przez niego mocy i zacisnęła zwoje. Usłyszałam, jak zatrzeszczały kości i mięśnie. Wyrwał mu się stłumiony krzyk, a potem nie mógł już nabrać powietrza, żeby uzupełnić to, które wypuścił. Panika na jego twarzy rozbawiła ją.

- A jakże, tygrys - powtórzyła. - Ale tygrysy umierają tak samo jak króliki, *hombre*. Więc bądź grzeczny.

- Pozwól mu oddychać - powiedziałam. - Proszę. Spojrzała na mnie, uniosła brwi i odrzuciła do tyłu ciemne włosy.

- Oczywiście, skoro tak ładnie prosisz. - Jej uśmiech był autentyczny i zjadliwy. - Pewnie chcesz zapytać, dlaczego tu jestem.

- Wiem dlaczego - odparłam. - Jesteś tutaj, bo Ibby kazała ci tu przyjść. Kiedy?

Zaskoczyło to dziewczynę-węża i znów dostrzegłam ten błysk zdradzający, że w istocie była bardzo młoda. Mogła emanować pewnością siebie, ale w środku pozostała dziewczynką, która popełniła olbrzymie błędy.

- A kto mówi, że jestem na zawołanie jakiejś smarkuli?

- Ja, bo ją polubiłaś. Bo zobaczyłaś w niej siebie z przeszłości. Bo zapytała o twoje imię.

- Myślisz, że jestem aż tak nieskomplikowana?

- Nie. Myślę, że jesteś aż tak samotna, Esmeraldo. W jaki sposób cię wezwała?

Es powoli rozwinęła zwoje i wypuściła Luisa z objęć. Chwiejąc się, podszedł do mnie. Staliśmy we dwoje naprzeciwko potwora... tyle że ja już nie widziałam w niej potwora.

Es ułożyła zwoje tak, żeby było jej wygodnie, i oparła podbródek na ręce, z łokciem na szczycie lśniącej góry wijącego się ciała.

- Zadzwoiła do sklepu i zostawiła wiadomość. Chciała, żebym wiedziała, gdzie jest. Przyznała, że się jej w szkole podoba, ale domyślała się, że stanie się coś złego. Uważała, że będę mogła pomóc.

Powiedziała, że przynajmniej tyle mogę zrobić.

- Możesz pomóc?

- Tak, chyba tak. - Es wzruszyła ramionami. Spojrzała na swoje palce i zmarszczyła brwi, kiedy dostrzegła brud pod paznokciami. Uświadomiłam sobie, że przybyła z daleka; jej podkoszulek, jedyne ubranie, jakie miała na sobie, był poplamiony i podarty, a włosy, kiedyś wspaniałe i błyszczące - zwichrzone i splątane. Bez wątplenia potrafiła skutecznie maskować swoją obecność, wykorzystując resztki mocy Ziemi, które ciągle posiadała, bo w przeciwnym razie jej podróż trwałaby krótko, gdyż szerzyłaby ogólną panikę. Ale mimo wszystko nie mogły to być dla niej łatwe dni.

Byłam gotowa się założyć, że pierwszy raz od długiego czasu zaryzykowała pojawienie się w zewnętrznym świecie.

- Dziewczynki - powiedziałam. - Wiesz, gdzie są?

- Ibby i rudzielec? Tak. Wiem, dokąd poszły.

- I tak po prostu pozwoliłaś im odejść? - zapytał Luis. Zaciśnął pięści; dostrzegłam, że czarne tatuaże na jego ramionach zabłysły w świetle gwiazd i zaczęły się tlić. Wykorzystywał ogień instynktownie, w żadnym ra-

nie kierował nim precyzyjnie. Położyłam mu rękę na ramieniu i poczułam, że powoli, lecz wyraźnie próbuje się uspokoić. - Gdzie one są?

- Robią coś, co wymaga odwagi - odparła Esmeralda. - Wiedziały, że ktoś będzie chciał zaatakować ich grupę na drodze. Odłączyły się i zamierzają tego kogoś zatrzymać.

Luis zaklął.

- Już mamy straż graniczną - burknął. - Ostatnie, czego potrzebujemy, to tych dwóch dziewczynek posługujących się mocą, których tknąć nawet nie powinny!

- Słuchaj, słodziutki. Jakies piętnaście minut temu prześlizgnęłam się obok waszej tak zwanej straży granicznej. - Es westchnęła. - Strażnicy. *Es stupido*. Lepiej by się wam przysłużyli trzeciorzędni gliniarze do wynajęcia; przynajmniej byliby uzbrojeni. Ibby miała rację. Jeżeli nie chcecie, żeby wasza grupa została wybita, lepiej niech obroną zajmą się najlepsi z was. A te dzieci są dobre. Lepsze niż wy.

- Es - powiedziałam - im więcej mocy wykorzystują te dziewczynki, tym bardziej osłabione z tego wychodzą. Zaczęły zbyt młodo. Rozumiesz to lepiej niż ktokolwiek inny.

Dziewczyna-waż odwróciła wzrok i nie skomentowała tego ani słowem. Zwoje poruszyły się niecierpliwie i zabręczała grzechotka na jej ogonie.

- Nic im się nie stanie - odezwała się w końcu. - Słuchajcie, nie możecie ich ochronić. Zrobią to, co chcą zrobić.

- To je zabija - spierał się Luis. Esmeralda wbiła w niego swoje ciemne oczy.

- I co z tego? - spytała. - A jak myślisz, co będzie, kiedy zabroni się tym dzieciom używania mocy? Zabije je to wolniej? Niektórym się nie uda. Inne się zaadaptują. Tak to się dzieje na tym świecie. Nie możesz tego zmienić i lepiej nie wchodź im w drogę.

- Nie zamierzam jej na to pozwolić - oświadczy! Luis. - Cass. Idziemy.

- Nie znajdziecie ich - powiedziała Es. - Ten dzieciak świetnie się umie maskować. Nie znajdziecie ich, chyba że się o nie potkniecie w ciemnościach.

- Czy ty możesz je odnaleźć? - spytałam.

Es zastanowiła się, po czym lekko przechyliła głowę.

- Może i mogę - odparła. - Ale może nie chcę.

Zdecydowałam, że to już trwa zbyt długo. Byłam zafascynowana Esmeraldą, jak mangusta wężem, ale co za dużo, to niezdrowo. Luis miał rację. Nie mogliśmy pozwolić, żeby zamiast nas tę walkę toczyło sześciolatek dziecko.

Od jakiegoś czasu przesyłałam moc cienkimi smużkami przez korzenie otaczających nas drzew i teraz siłą woli uruchomiłam pułapkę. Gałęzie opadły z trzaskiem, tworząc wokół Esmeraldy grubą, sprężystą klatkę. Z ziemi wystrzeliły korzenie i splotły się z gałęziami.

Esmeraldą syknęła, zdumiona, i rozległ się suchy dźwięk grzechotki - tak wyrażała swoje przerażenie. Zaczęła tuc cielskiem o klatkę, lecz była ona ściśle spleciona, a dziewczyna-wąż nie miała jak wykorzystać w tej walce swojej prawdziwej mocy.

- Wypuść mnie, ty wstrętne suko! - wrzasnęła i wbiła się rękami w drewno, ale były to tylko ludzkie ręce, nie dość silne, żeby rozerwać twarde włókna. - Wypuść mnie!

- Jak tylko mi powiesz, gdzie one są - oświadczyłam. - Wiesz, że to dla nich zbyt niebezpieczne. Nie zawieź ich, Esmeraldo. One chciały, żebyś nam powiedziała. Miały nadzieję, że to zrobisz.

- Nieprawda. - Wężowe zwoje bębniły w ściany klatki, napierały na nią, drzewa były jednak mocno i głęboko zakorzenione w ziemi. Esmeraldą osunęła się, dysząc i rzucając nam gniewne spojrzenia.

Trzymała się gałęzi,

knykcie jej pobielaly. - Prosiła, żeby nikomu nie pozwolić jej odnaleźć.

- Jest dzieckiem - stwierdził Luis. - I jest stanowczo zbyt odważna. Potrzebuje nas. Powiedz nam, gdzie ona jest, albo przysięgam, że urwę ci grzechotkę i zmuszę cię, żebyś ją zjadła!

Esmeraldą milczała tak długo, że zaczynałam już wątpić, czy nam powie, ale w końcu się odezwała.

- Nie boję się was. Pomogę wam, bo uważam, że *gringa* suka ma rację; dzieciaki nie powinny tego robić same. I tak zamierzałam im pomóc.

- Gdzie... ona... jest? - warknął Luis i znów poczułam wokół niego aurę ognia, a temperatura podskoczyła

o kilka stopni.

Esmeraldą też to wyczuła i zamilkła. Suchy terkot grzechotki nasilił się w reakcji na groźbę Luisa, lecz nie miała dokąd uciec ani jak się bronić. Luis nie spaliłby jej żywcem - przynajmniej tak mi się wydawało - ale wściekłość aż się z niego wylewała.

- Jeżeli staniesz między mną a Isabel, zniszczę cię - powiedział. - Zaprowadzisz nas do niej. Już!

Dał mi znak głową, a ja rozplątałam gałęzie tworzące klatkę; z trzaskiem i szelestem suchych igieł odskoczyły sprężyste na swoje właściwe miejsca. Korzenie skurczyły się i wróciły do ziemi.

Esmeraldą była wolna, ale się nie poruszyła. Jednostajne, drażniące grzechotanie trwało nadal, jakby ktoś podrzucał kostki w butelce.

- Nie jestem twoją dziwką, zapamiętaj to sobie - syknęła. - Jeżeli ze mną zadrzesz, zmiażdżę cię, a potem zjem.

Luis zbył to gniewnym machnięciem ręki.

- Możemy się pozabijać później. Ibby. Już! Rozluźniła się trochę; grzechotanie zmniejszyło się i w końcu ucichło.

- Dobrze. Spróbuj za mną nadażyć, dupku.

Potrafiła się poruszać z zadziwiającą prędkością i jej szybkie, wijące się ciało już zniknęło między drzewami. Jediną widoczną jej częścią była biała grzechotka.

- Biegiem - powiedziałam i pomknęłam za nią.

14

Nie zapomniałam o ranie w nodze Luisa, ale wiedziałam, że on nie pozwoli, żeby go zbyt spowolniła. Choć tak bardzo zdeterminowany, musiał się wysilać, aby dotrzymać mi kroku, z trudem łapał powietrze i w końcu się zachwiał; złapałam go i ciągnęłam dalej. Sięgnął do żelaznych zapasów siły, żeby nie dopuścić do siebie bólu, a ja uśmierzałam go, jak potrafiłam. Załamana tętnica na szczęście się nie rozerwała i mogłam tylko mieć nadzieję, że nie pęknie. Ten pościg narażał go być może na nieodwracalne szkody, wiedziałam jednak, że Luis nie zrezygnuje. Nie było nawet sensu go o to prosić.

Wężowe ciało Esmeraldy przemykało wśród drzew, lawirowało między gałęziami, prześlizgiwało się po ocienionych zaspach śnieżnych, które się jeszcze nie rozpuściły. Myślałam, że zwolni, ale przeciwnie, przyspieszyła, a gwiazdy nie świeciły na tyle jasno, żebym mogła śledzić jej ruchy. Obserwowałam ją w eterze; upiorna aura dziewczyny-węża kontrastowała z kształtem, który miała w ludzkim świecie. Było to bardziej jej wyobrażenie o sobie... nie pozostało w niej nic z człowieka. Na eterycznych wysokościach sunął bezgłośnie wąż porośnięty piórami, wspaniale ubarwiony. W tym królestwie siły i woli budziła jeszcze większą grozę niż na ziemi. Po raz kolejny zdałam sobie sprawę, jak potężna moc została uwięziona w tych wężowych zwojach.

Dżinn, który ją zwyciężył, musiał być nadzwyczajny. I niebywale bezinteresowny. Po kwadransie Esmeralda nagle zahamowała. Ze zdyszaniem, rozdygotanym Luisem zatrzymałam się metr za nią. Wzór na jej zwojach zwarł się, łuski się napreżyły - przygotowywała się do ataku, ale grzechotka się nie poruszała.

Luis opadł na jedno kolano i usłyszałam cichy jęk, który daremnie próbował zdławić. Ból był intensywny, gorący jak płomień. Czułam go między nami. Dotknęłam wilgotnego ramienia Luisa, próbując ukoić poranione nerwy. Odtrącił mnie. Jego długie ciemne włosy były mokre od potu, ich ostre, lepkie końce przylgnęły mu do twarzy.

- Jest tutaj? - wyszeptał.

Pokręciłam głową. Nie wyczuwałam jej, ale coś zbierało się wokół nas w sferze eterycznej, coś mrocznego, jakby zbliżała się burza.

Na wschodzie ciemność rozdarł nagle niebiesko-biały błysk i w jego świetle zobaczyłam Isabel i Gillian. Stały plecami do siebie. Otaczało je co najmniej sześć wielkich, smukłych wilków - krążyły wokoło i atakowały dziewczynki, próbując chwycić je zębami. Nie było to naturalne zachowanie polującej watahy, chociaż wilki oczywiście napadały czasami na ludzi. W sferze eterycznej czułam presję wywieraną na zwierzęta, tak silną, że rozboleła mnie głowa, mimo że znajdowałam się daleko. Wilki cicho skowyczały - nie z podniecenia, lecz z bólu.

Chciały uciec, ale nie mogły. Jeden z nich rzucił się na Gillian. Młoda Strażniczka Pogody była na to przygotowana; podmuch powietrza natarł na zwierzę i odrzucił je do tyłu - poszybowało w górę i wylądowało na rozstawionych nogach trzy metry dalej. Wilk aż się trząsnął, tak bardzo chciał umknąć, tymczasem znów zaczął się wolno posuwać do przodu, siłą wciągany do walki.

- Es - powiedziałam. Odwróciła do mnie swoją ludzką twarz. - Zajmij się wilkami. My dopadniemy prawdziwego wroga.

Jej oczy zwięzły się, ale kiwnęła głową i w okamgnieniu rzuciła się tam, gdzie Isabel i Gillian walczyły o życie. W kolejnym błysku światła - to Isabel cisnęła ogień - zobaczyłam, że jeden z wilków złapał Ibby z przodu za kuszulkę i ciągnął ją jak szczenię po ziemi, ona jednak nie przestawała walczyć. Zaatakowane ogniem zwierzę uciekło, skowycząc, a Ibby doskoczyła do Gillian, walczącej z kolejnym wilkiem. Nad ich głowami zaczęło się formować tornado i nawet tu, gdzie stałam, czułam gwałtowne, ostre porywy wiatru. Gillian zamierzała sprowadzić tornado na dół i schować się w jego oku, lecz wymagało to umiejętności kierowania wiatrem i wielkiej precyzji. Był to dobry plan, gdyby się jej udało go zrealizować.

Ale gdzieś w ciemnościach ktoś przeciął jej staranną konstrukcję i tornado rozchwiało się, straciło spójność i spadło na dół z siłą eksplozji, łamiąc drzewa i powalając Gillian i Ibby na ziemię.

Wilki zacieśniły krąg, lecz zanim zdołały zagłębić kły w ciała dziewczynek, przybyła Esmeralda.

Uderzyła w sferę jak stalowa kula, wbijając się w zwierzęta swoim cielskiem; jedne miażdżyła, inne rzucała na drzewa z zawrotną prędkością, tak że rozlegał się tylko trzask gru-chotanych kości.

Odwróciłam się, kiedy syknęła i natarła na wilka, który był najbliżej Isabel. Nie musiałam na to patrzeć, żeby wiedzieć, że obroni dziewczynki... przynajmniej przed wilkami. Czy jednak sama im nie zagrozi, pozostawało wielką zagadką, ale należało podjąć to ryzyko.

Luis dał mi znak i ruszyliśmy w stronę Strażnika Pogody, który ujarzmił tornado. W sferze eterycznej znajdowało się w tym miejscu czarne kłębowisko nie do rozplątania - mogło oznaczać jednego przeciwnika, lecz równie dobrze dwudziestu.

Okazało się, że było ich trzech i że znowu były to dzieci: jeden Strażnik Pogody, jeden Ognia i jeden Ziemi. Nic nie wskazywało na obecność dziecka Próźni, co przyjął z wielką ulgą. Możliwe, że Perle nie udało się wyszkolić dostatecznej liczby żołnierzy tego rodzaju albo że byli rzadkością. W każdym razie ucieszyło mnie to, że nie musiałam z żadnym z nich się zmierzyć.

Dzieci obserwowały Esmeraldę, tak jak się tego spodziewałam, i udało nam się podejść z Luisem niepostrzeżenie na tyle blisko, że znalazły się w naszym zasięgu. Luis zaatakował najpierw Strażnika Ziemi - zaszedł chłopca od tyłu i przyłożył mu rękę do czoła, co zważyło go z nóg; w tym samym momencie zajęłam się Strażnikiem Ognia. Poszło mi z nim łatwiej i szybko zapadł w sprowokowany, głęboki sen, podczas gdy przeciwnik Luisa stawiał opór. Musiałam wesprzeć Luisa i połączyć swoją siłę z jego siłą, żeby pokonać chłopca, choć go zaskoczyliśmy.

Pozostała Strażniczka Pogody, trochę starsza dziewczynka, mniej więcej czternastoletnia. W tym wieku wolno już jej było wykorzystywać moc, ale jej doskonale panowanie nad nią i żywotna siła odbiegały od naturalnych. Miała chwilę na przygotowanie się i dobrze ją spożytkowała. Kiedy Luis i ja próbowaliśmy ją złapać, pobrała potężną dawkę mocy z otaczającego ją powietrza; pozostawiła jedynie wilgoć, którą następnie zamieniła w lód, wysyłając odpowiedni impuls energii. Zaskoczyła nas tym, a lód, choć niegruby, spowolnił nas na tyle, że zdążyła się cofnąć, po czym przypuściła kolejny atak, z chmur ponad naszymi głowami: na niebie pojawiła się błyskawica. Poczułam szmer mocy pod stopami i bzy-czenie wirujących elektronów próbujących połączyć się z tymi w górze. Nawet prawdziwy dzinn zawahałby się, czy przyjąć na siebie uderzenie pioruna. Nie byłam pewna, czy uda mi się przeżyć coś takiego.

Ciało jest przewodnikiem niedoskonałym. Delikatne mechanizmy życiowe nie są przystosowane do przewodzenia takiej ilości czystej energii, a ja nie posiadałam naturalnych atutów Strażników Pogody, które pozwoliłyby mi znieść szok.

Miałam natomiast związek z Ziemią i umiejętność zmiany składu chemicznego własnego organizmu. Ryzykowałam, ale cóż innego mogłam zrobić, pozostała mi przecież tylko sekunda, by przygotować obronę. Zwiększyłam w sobie ilość elektrolitów i pokryłam nimi skórę, tak jakbym oblała się potem, po czym skoncentrowałam się na skierowaniu energii w dół, przez stopy.

Nikt mnie nie przygotował na taki ból. Niedawno porażono mnie paralizatorem - przykre doświadczenie - a teraz czułam, jakby niezwykle brutalnie zdzierano osłonki z każdego włókna nerwowego w moim ciele, a następnie każde z osobna i wszystkie naraz golono brzytwą. Trwało to chyba całą wieczność; moje serce usiłowało nie odmówić posłuszeństwa, ale naelektryzowane komory migotały...

...I nastał koniec: padłam na leśne runo, bezwładna, choć żywa, cierpiałam męczarnie. Zauważyłam tylko, że nic nie stało się z moją ręką, mimo że z rękawa kurtki wydobywały się smużki dymu.

Luis ciągle walczył. Całym ciałem natarł na dziewczynkę i przewrócił ją na leśną ściółkę. Krzyknęła buntowniczo, stawiając zażarty opór, przeturlała go na plecy i zaczęła wciskać dłonie w jego pierś. Zobaczyłam, że oczy mu się rozszerzyły i nie może złapać tchu.

Nie! Pozbawiła go oddechu. Mogła go w ten sposób udusić - Strażnikowi Ziemi trudno uciec przed tego rodzaju atakiem... trudno pozostać skoncentrowanym i sterować swoją mocą, tonąc w czystym powietrzu.

Myślała, że zostałam pokonana, że już nie potrafię walczyć.

Myliła się.

Przyskoczyłam do niej, złapałam ją swoją metalową lewą ręką za długi warkocz i odciągnęłam do tyłu. Wrzasnęła i instynktownie sięgnęła dłonią do głowy, a wtedy otoczyłam ją ramionami i unieruchomiłam. Luis przeturlał się, wstał i przyłożył dłoń od jej czoła. Walczyła, ale nie zdołała utrzymać się na fali ciemności. Ona ją wchłonęła.

Pozwoliłam jej upaść i sama, dysząc, osunęłam się na ziemię obok niej. Przez moje nerwy ciągle płynęły niekontrolowane strumienie energii; czułam się dziwnie, kręciło mi się w głowie, byłam otepiała. Nie powinnam tego przeżywać, pomyślałam, ale to również wydawało się odległe, niemal nieistotne.

Kątem oka dojrzałam skręcające się zwoje Esmeraldy; owinęła się wokół pnia drzewa. Były z nią Isabel i Gillian. Nie widziałam jednak żadnych wilków - ani żywych, ani martwych; miałam nadzieję, że większość z nich przeżyła, chociaż dziewczyna-wąż wyglądała na podejrzaną nasyconą.

- Załatwiliście ich - stwierdziła. Wydawała się zaskoczona. - Nieźle.

- Cieszę się, że jesteś zadowolona - burknął Luis i usiadł, a raczej, kontrolując się, osunął się na ziemię. - Do jasnej cholery, Ibby, co ty sobie właściwie myślisz?

Podeszła do niego i uściskała go serdecznie.

- Przepraszam. - Nie brzmiało to tak, jakby rzeczywiście czuła się winna. - Es powiedziała nam, że tu są. Bałam się, że kogoś skrzywdzą. Nie chciałam, żeby dorwali Sanjaya i Elijaha.

- A co by było, gdyby was dorwali? - zapytał Luis i ją przytulił. - Musisz być bardziej ostrożna, *mi hija*. Nie możesz narażać własnego życia.

Ibby spojrzała na niego smutnymi, poważnymi oczami.

- Już na to za późno. Wiesz, że tak. Pani chce nas mieć u siebie i przyjdzie po nas. Będziemy dla was kłopotem, dopóki nas nie zabierze.

- Ibby. Chciałyście nie tylko przyjść tutaj i z nimi walczyć, prawda? - spytałam.

Pokręciła głową, wyglądała na o wiele starszą, niż rzeczywiście była; może nawet na starszą niż Esmeralda. Popatrzyła na Gillian, a ona skinęła głową.

- Miałyśmy zamiar pozwolić im się zabrać - oświadczyła Ibby. - Jeżeli to zrobimy, będziemy mogli pomóc. Możemy sprawić, że Pani nam zaufa. Możemy ją powstrzymać. Wiem, że możemy.

- Skarbie - szepnął Luis i dotknął jej policzka. - Kochanie, to dowód odwagi, ale również głupoty. Nie możemy ci na to pozwolić. To bardzo niebezpieczne.

Było to ryzykowne jeszcze z jednego powodu, mimo że Luis nie przyznałby tego nawet przed samym sobą... Ibby została raz przekonana przez Perłę o słuszności jej sprawy i chociaż wiedziałam, że jest silnym, niezależnym dzieckiem, mogła znów dać się przeciągnąć na złą stronę, nawet sobie tego nie uświadamiając.

- Zostać tutaj jest równie niebezpieczne - stwierdziła Gillian. Tak jak Ibby, ona także wydawała się nie być już dzieckiem. Za dużo widziała, za dużo doświadczyła. - Będą ciągle po nas przychodzić. I ciągle będą ginęli ludzie, starając się nas ochronić. Niewinni ludzie. - Jej twarz wyrażała smutek, a w oczach lśniły łzy; myślała o Mike'u, który oddał swoje życie, żeby ratować jej. - Tak będzie lepiej.

Możliwe, że Esmeralda wiedziała, co zamierzały zrobić; wierciła się nerwowo, a jej grzechotka szemrała cicho, nieśmiało.

Ale ani Luis, ani ja z całą pewnością nie byliśmy na to przygotowani.

Ibby objęła wuja i pocałowała go w policzek.

- Śpij - powiedziała i poczułam niespodziewaną, czarną falę, która przygniotła go swoim ciężarem. Osunął się na ziemię, jakby Isabel go zabiła, ale wiedziałam, że nie zabiła; ciągle wyczuwałam miarowe, spokojne bicie jego serca, jednostajny rytm oddechu, puls życia.

Spał, tak jak trójka dzieci, które obezwładniliśmy.

- Cassie - Ibby ciągle patrzyła na wujka, nie na mnie - pozwolisz nam odejść?

Byłam zbyt słaba, żeby z nią walczyć - z nią, no i z Gillian - i nie wiedziałam, po czyjej stronie stanęłaby Esmeralda, jeżeli w ogóle wzięłaby czyjąś stronę.

- Zabierzcie mnie ze sobą - odparłam. - Mogę pomóc. Mogę wam zapewnić bezpieczeństwo.

- Nikt nie jest bezpieczny - powiedziała Ibby i jej łzy spływały na przypaloną, podartą koszulę Luisa. - Ani ja, ani ty, ani on. Ani ten świat. Czujesz to?

Esmeralda podniosła głowę i nagle rozległo się szaleńcze, ostre grzechotanie.

Nocne niebo było ciche, pełne gwiazd, ale to, co czułam, i to, co słyszałam, nie pochodziło z nieba.

Donośny krzyk dobiegał ze sfery eterycznej, a wydawała go z siebie ziemia pod nami, drzewa, świat.

Był to krzyk przebudzenia, bólu; zapowiadał nagłą, nieodwracalną zmianę naszego życia.

Isabel wstała. Ja też. Esmeralda podpełzła do nas, podnieconym grzechotaniem wyrażając trwogę.

Gillian przytuliła się do mnie. Objęłam ją ramieniem, by dodać jej otuchy.

Krzyk stał się tak głośny, że rozsadał mi głowę. Padłam na kolana. Eter płonął na czerwono, zwiastując koniec świata.

I usłyszałam jej głos. Głos Matki. Potężne dudnienie, huk pioruna i huraganu, pękających skał i dymiącego wulkanu. Przejmujący krzyk życia zmagającego się

z agonią. Nie było w nim słów, nie umiałam go zinterpretować, a jednak wiedziałam, co oznacza. Oznacza, że mój czas minął, tak samo jak minął czas Perły. Cokolwiek planowała, musiała teraz zakończyć swoje przygotowania. Matka się przebudziła, oszalała z bólu; dzinny będą musiały stanąć w jej obronie, pośpieszyć z pomocą niczym białe ciała krwi, by powstrzymać rozprzestrzenianie się infekcji... infekcji, którą była ludzkość.

Nie spowodował tego Ashan. Nie wyobrażałam sobie, jaką ranę musiano zadać światu, żeby do czegoś takiego doszło, ale nie miało to już znaczenia. Matka się przebudziła, a dzinny pod jej rozkazami przestaną decydować o drodze, którą chcą podążać. Nawet Ashan będzie żołnierzem tej armii, bezmyślnym, a przez to niepoczytalnym w gniewie.

Gdybym przyjęła jego propozycję, gdybym znów stała się potężnym dzinnem, byłabym teraz równie bezsilna, jak inni.

W pokrętny sposób wszystko ułożyło się po myśli Ashana, a nie wbrew niemu. Chciał zniszczenia ludzkości i teraz to krwawe zadanie zamiast niego wypełni sama Ziemia, uruchamiając swoje mechanizmy obronne. Zginą miliony. Zapanuje chaos.

Nikt nie przeciwstawi się Perle; ludzie poświęcą całą swą energię walce o przetrwanie, natomiast ona będzie zbierać siły i czekać na koniec, a nikt się jej nie oprze.

Nikt prócz nas.

- Musimy iść - powiedziała Ibby. - Wytłumacz to wujkowi Luisowi, Cassie. On zrozumie.

Potrzebujemy go.

- Wiem - szepnęłam. Przełknęłam ślinę i poczułam w ustach smak krwi i popiołu; zwiastowały koniec wszystkiego i wszystkich. - Wytłumaczę mu.

To nie był czas, żeby chronić Ibby, Gillian czy kogokolwiek.

Nastał czas wojny totalnej.

Od autorki

Te utwory były dla mnie doskonałym źródłem inspiracji podczas pisania trzeciej części *Czasu Wygnania*. Mam nadzieję, że wy również je polubicie! (Jak zwykle przypominam: artyści istnieją, ponieważ to wy wspomagacie ich finansowo. Kupujcie muzykę - nie kradnijcie jej.)

To Hell with the Devil Jim Bianco

Tomorrow Is Another Day The Stone Coyotes

Nostalgia Emily Barker i the Red Clay Halo

Steal Your Heart Away Joe Bonamassa

Quarryman's Lament Joe Bonamassa

Telephone Lady Gaga i Beyonce

Back Against the Wall Cage the Elephant

ROTUB The New Hotness

I know Who You Could Be Butcher Boy

Lost Art Mere Mortals

Boys and Girls Mon Roe

Resistance Muse

The Pigeons Couldn't Sleep Peter Himmelman

It Dawned on Me Calla

Teardrop Jose Gonzalez

Saint Weronika Billy Talent

So Long, Good-bye 10 Years

A Place Called Home PJ Harvey

Any Other Way Colin Blunstone

Not As We Alanis Morissette
Gives You Hell The All-American Rejects
Piano Fantasy William Joseph
Alice Avril Lavigne
Whataya Want from Me Adam Lambert
Complicated Shadows Elvis Costello
/ Should Be Born Jets Overhead
Hold On KT Tunstall
Mykonos Fleet Foxes
Robots Dan Mangan
Why Try to Change Me Now Fiona Apple
To Ohio The Low Anthem
Be OK Ingrid Michaelson
Now Dave Carroll
21 Guns (American Idiot) Green Day

Podziękowania dla:

The Stone Coyotes (dzięki, Barbaro!)

Joe Bonamassy Lexi Wallera

Jak zwykle... Cat, bez której... no przecież wiesz